

FLORA M. SPEER

TWIERDZA MARZEŃ

Dla Doris za wysiłki wydawnicze wykraczające poza obowiązek,  
i dla wszystkich bratowych czekających tak długo, by przeczytać tę  
książkę

Czy kochał ktokolwiek inaczej niż od pierwszego wejrzenia?

CHRISTOPHER MARLOWE Hero and Leander, 1598

## KOMENTARZ AUTORKI

Afoncaer, Tynant - ziemie na granicy walijskiej jak również Kelsey w Mercji i opactwo Llangwilyrn w Walii są wytworami wyobraźni autorki. Również fikcyjni są wszyscy bohaterowie tej historii, oprócz króla Anglii, królowej Matyldy, hrabiego Chester, Shrewsbury, Hereford, Ralpa Flambarda i księcia Roberta z Normandii.

Chociaż najazdy Normanów na Walię zaczęły się krótko po zdobyciu Anglii przez Wilhelma Zdobywcę w 1066 roku i były kontynuowane przez jego syna Williama Rufusa, Walijscy wytrwale bronili swojej ziemi. Dopiero Edwardowi I udało się całkowicie podbić Walię w 1283 roku.

W czasach, w których dzieje się ta historia, data początku roku nie była jeszcze ustanowiona. Wahala się pomiędzy pierwszym lub dwudziestym czwartym września aż do dnia Bożego Narodzenia lub nawet dwudziestego piątego marca. Niektórzy uznawali datę pierwszego stycznia jako początek nowego roku. Wszystko to zależało od kronikarza i jego systemu obliczania dni, również od wydarzeń tak świeckich, jak i religijnych. Autorka dla uproszczenia używała współczesnego systemu datowania rozpoczynającego rok w pierwszym dniu stycznia.

Lekarstwa dołowe przygotowywane i używane przez Rhysa, Branwen i Meredith odzwierciedlają średniowieczne sposoby i wiedzę na ten temat. Przytoczone recepty przygotowania lekarstw ziołowych pochodzą ze średniowiecznych zapisów dotyczących ziołarstwa.

Reynaud

Po raz pierwszy przyjechałem do Afoncaer w roku pańskim 1103, Miałem wtedy trzydzieści cztery lata Bardzo szybko spodobała mi się ta nieobłąskawiona jeszcze, zielona przestrzeń rozciągająca się na granicy Walii i Anglii. Twierdza Afoncaer zafascynowała mnie tak mocno, że podczas długich zimowych nocy, kiedy inni w zacisznych kątach bawili się, rozmawiali, popijali i kochali, zacząłem spisywać historie związane z tą wielką, nadrzeczną fortecą i ludźmi, którzy w niej mieszkali.

Bardzo pomagano mi w tym zamierzeniu. Nie byłem zaskoczony, gdy ci, którzy mieszkali w Afoncaer, opowiadali bardzo chętnie o sobie lub przywoływali z pamięci to, co zasłyszeli w młodości. Już dawno przestało mnie dziwić, jakież to dziwne rzeczy opowiadają ludzie księdzu, nawet takiemu, który nie jest jeszcze wyświęcony. Pozostałem świeckim bratem, a opowieści tutaj przytoczone nie były traktowane przeze mnie jako spowiedź, chociaż nie wątpię, że dla wielu były one formą spowiedzi, wyznaniem najskrytszych tajemnic. Wielu zdradziło sekrety, których nie wolno im było powiedzieć głośno.

Co mnie jednak zadziwiło i dotąd jeszcze dziwi, to szczerość i zaufanie, jakimi podczas rozmowy darzyły mnie kobiety. Twierdzi się, że są one niedostępne, pełne żądań, głupie i niebezpieczne dla mężczyzn. One jednak bez obaw otwierały przede mną swoje usta i dusze. Sprawily, że ja, który nie posiadałem żadnej wiedzy o kobietach, odkąd wstąpiłem do kleru w wieku lat osiemnastu, który wcześniej wypaliłem wszystkie swoje uczucia dla jednej tylko kobiety, która zresztą kochała innego i nigdy nie odgadła moich uczuć - ja, Reynaud, architekt, poznałem, zacząłem podziwiać, rozumieć i kochać, w najczystszy sensie tego słowa, kobiety, które tak niewinnie odkrywały przede mną tajemnice swojego życia. I tak spisałem te opowieści, jak gdyby działały się one przed moimi oczami.

Sir Guy fitz Lionel, drugi baron w twierdzy Afoncaer, najdroższy mój przyjaciel, zwykł był dokuczać mi z powodu moich oczu. Moje błękitne i ustawicznie łzawiące od wiatru, kurzu, brudu i ciągłego mrużenia na słońcu oczy tak naprawdę słabe były od nadmiaru czytania i pisania. Sir Guy nie znał tego objawu, gdyż najbardziej szlachetni tych dni nie umieli ani czytać, ani pisać. Doskonale wiedziałem, że jego uszczypliwość była wyrazem przyjaźni, a nie

zazdrości czy niechęci wobec mnie. Sir Guy był bardzo uprzejmym człowiekiem, może aż nadto uprzejmym, w szczególności dla lady Isabel, mając na uwadze to, co uczyniła. A co do kary, którą wymierzył sir Walterowi fitz Alanowi... Ale, ale, wyprzedzam fakty historii, którą dopiero zamierzam opowiedzieć. Powinienem był zacząć od wyjątego spod prawa rycerza, rozbójnika, który był pierwszym Normanem w Afoncaer. Teraz, kiedy patrzę w tył i przywołuję w pamięci to, co mi powiedziano o tamtych czasach, moje słabe oczy wyraźnie widzą ten rodzaj ambicji i zdrady, która przetrwała tyle lat, aż do momentu, gdy Afoncaer był prawie zgubiony.

CZEŚĆ 1  
BRANWEN  
Walia, AD. 1085

## ROZDZIAŁ 1

Branwen miała czternaście lat, kiedy Normanowie po raz pierwszy przybyli do Afoncaer. Wiedziała, tak zresztą jak każdy, że Normanowie podbili już część południowej Walii i wzniesli fortece w Gwyneld i Powys. Jak dotąd zignorowali Afoncaer. Daleki kuzyn Branwen, Wise Man Rhys ap Daffydd, uciekł ze swojego domu w Powys i ukrywał się w gęstym lesie na wschód od Afoncaer. Niektórzy mówili, że Rhys uczynił siebie niewidzialnym i pozostanie w lesie tak długo, dopóki Normanowie nie odejdą. Branwen jednak, która była jego oddaną uczennicą przez wiele lat, nie wierzyła w tę historię.

Branwen opuściła dom rok temu, po śmierci swojej matki. Wysłano ją do ciotki i wuja mieszkających w Tynant. Griffin, jej starszy o sześć lat brat, pojechał do Afoncaer odległego o pół dnia drogi od Tynant, by służyć tam swojemu dziadkowi jako wojownik. Nie darzyła Griffina sympatią. Jak na jej gust był zbyt gwałtowny. Niechęć do gwałtowności wzbudził w niej Rhys. Delikatna natura i miłe usposobienie pomagały dziewczynie w przygotowywaniu uzdrawiających mieszanek ziołowych, a także czyniły ją troskliwą dla wszystkich żyjących istot.

Bardzo kochała swoich kuzynów w Tynant. Codziennie, kiedy tylko uporali się ze wszystkimi domowymi pracami, wyruszali na spacer do lasu lub jeździli konno. Kiedyś nawet wykryli w domu w Tynant ukryte przejście do piwnicznych spiżarni. Nikomu o tym nie powiedzieli. Była to ich tajemnica, a sekretne przejście stało się częścią ich niewinnych zabaw. Mimo swojego pólsieroctwa Branwen była szczęśliwa.

Nie mogła pojąć, dlaczego nikt nie chciał mieszkać w Afoncaer, drewnianej budowli wznoszącej się nad rzeką. W Afoncaer były stajnie i mała murowana kapliczka. Twierdza zawsze pełna była silnych mężczyzn, poddanych dziadka Branwen, władcy Afoncaer. Branwen nigdy nie lubiła tego miejsca, o wiele bardziej wolała Tynant, który stał na usłanej kwiatami łące pośrodku lasu. Spomiędzy skał wypływał czysty, bystry strumyk. Ale jeszcze większe wrażenie niż Tynant robiła na Branwen zielona cisza lasu, którą nauczyła się kochać od Rhysa.

Normanowie jednak docenili to, czego Branwen nawet nie zauważała. Twierdza Afoncaer strzegła jednej z najważniejszych dróg

do Walii. Normanowie chcieli podbić Walię, tak jak to zrobili z Anglią. Zdobyte Afoncaer pochłonęło życie wielu walijskich obrońców, także ojca, wuja i dziadka dziewczyny.

Po zajęciu Afoncaer przez Normanów, Griffin posłał po Branwen, by przyłączyła się do niego w twierdzy.

- Nie chcę tam jechać. Nienawidzę Afoncaer i gardzę Normanami - powiedziała. - Ciekawe czego chce Griffin?

- Być może chce cię wydać za jakiegoś normańskiego pana - dokuczał jeden z jej młodszych kuzynów.

Spojrzała zdumiona, czując dreszcz przerażenia.

- Jeżeli tego właśnie chce, to mu odmówię - oświadczyła.

- Nie wiemy jeszcze, czego chce od ciebie Griffin. - Ciotka załagodziła rozsądną uwagą narastające napięcie. - Griffin jest teraz twoim najbliższym żyjącym członkiem rodziny. Nie możesz odrzucać jego wezwań bez żadnego powodu, a w tym wypadku nie masz takiego. Może Griffin chce wykorzystać twoje uzdrawiające umiejętności do leczenia rannych?

- Tak, na pewno masz rację ciociu - powiedziała Branwen z ulgą, nie chcąc pogodzić się z tym, co zasugerował jej młodszy kuzyn.

- Powinnam przygotować zapasy ziół, by łagodzić ból wojennych ran, by utulić do snu rannych żołnierzy.

- Czy pomogłabyś Normanom? - zapytał inny z jej młodszych kuzynów. - Gdybym tylko miał możliwość, to zabiłbym ich.

- Rhys nauczył mnie - odpowiedziała ośmioletniemu przyszłemu wojownikowi - że jeżeli ktoś jest ranny i potrzebuje pomocy, to nie jest ważne, po której walczył stronie i nie jest ważne, czy lubię, czy nie lubię mojego pacjenta. Muszę włożyć cały wysiłek i wszystkie swoje umiejętności, by pomóc temu, kto mojej pomocy potrzebuje. Poza tym, jeżeli troskliwie zaopiekuję się rannymi Normanami, ich przywódca chętniej wyrazi zgodę na troszczenie się o jeńców walijskich i w ten sposób będę w stanie pomóc naszym dobrym żołnierzom.

Branwen wybrała najbardziej potrzebne zioła ze swoich zapasów i zapakowała je do toreb wiszących przy siodle. Zabrała tyle lnianych bandaży, ile ciocia mogła jej dać. Wsiadła na swojego wierzchowca i w towarzystwie strażników wysłanych po nią przez Griffina opuściła Tynant, udając się w kierunku Afoncaer.



Gdy dotarli na miejsce, zobaczyła potworny widok. Wszystko na co spojrzała, dowodziło, jak ciężką walkę tutaj stoczono. Kapliczka i domek księdza stały na swoim miejscu, ale palisada otaczająca twierdzę była zburzona i spalona. Wielki dwór był straszliwie zniszczony przez ogień. Branwen zsiadła z konia, patrząc dokoła z przerażeniem. Właśnie chciała poprosić jednego ze strażników, by przytrzymał jej wierzchowca, gdy ujrzała brata zmierzającego w jej kierunku.

- Griffinie, jakże się cieszę, że jesteś bezpieczny! Przywiozłam moje zioła - powiedziała, odpinając torby od siodła.

Griffin przerwał jej głośnym śmiechem.

- Ależ to nie po to kazałem ci tu przyjechać - powiedział.

Zaciekawiona, co też jej brat może od niej chcieć, odwróciła się i spojrzała na szkody wyrządzone przez Normanów. Wzdrygnęła się na widok okrutnych cudzoziemców plądrujących własność jej dziadka w poszukiwaniu jakiegokolwiek łupu. Griffin zrobił gest zniecierpliwienia, chcąc odwrócić jej uwagę.

- Mogło być jeszcze gorzej - rzucił w odpowiedzi na jej przerażony wzrok. - Czyż nie poddałem się w najlepszym momencie?

- Poddałeś się?! - wybuchnęła ze złością. - Dziadek ani ojciec nigdy by się nie poddali!

- Tylko że do tego czasu obaj byli martwi, nasz wuj również. Wtedy ja objąłem dowództwo nad obrońcami twierdzy. Przeciwnie niż inni mężczyźni w naszej rodzinie mam dość zdrowego rozsądku, by zapewnić sobie przetrwanie. - Uśmiechnął się do Branwen, nie był to jednak miły uśmiech. - Teraz Afoncaer należy do sir Edouarda. Pozwolił mi zatrzymać ziemie naszego ojca w zamian za pewną przysługę. Ty mi w niej pomożesz, moja mała siostrzyczko.

- Cóż ja mogłabym uczynić?

Nie wierzyła, by bestialscy Normanowie oddali kiedykolwiek coś, co już raz zabrali, nawet jeżeli to jest nic nie warty las czy ziemia. Powiedziała to głośno i Griffin zaczął się z niej śmiać.

- Nie znasz się na tych rzeczach. Zawarłem z nimi kontrakt. Dałem swoje słowo, a sir Edouard dał swoje. Edouard jest przywódcą Normanów i ty go poślubisz.

- Nigdy! Przenigdy! Pierwej umrę!

Branwen patrzyła na brata, jak gdyby nigdy wcześniej go nie widziała. A więc jej kuzyn miał rację. Nigdy by nie przypuszczała, że Griffin może być tak nieczuły i okrutny dla własnej siostry.

- Przecież ci Normanowie wymordowali połowę naszej rodziny, a ty oczekujesz, abym ja poślubiła jednego z nich?

- Właśnie taki

- Jesteś szalony! Nie zrobię tego. Wracam do Tynant Gdy zaczęła siodłać swego konia, zatrzymały ją stanowcze słowa wypowiedziane przez Griffina.

- Nie możesz tam jechać. Tynant zostało zaatakowane zaraz po twoim wyjeździe i teraz już należy do sir Edouarda.

- Nasza ciotka, nasi kuzyni, co z nimi?

Głos jej drżał i łamał się z obawy o najbliższych. Griffin wzruszył ramionami. W tym samym momencie Branwen pomyślała, że jeden z jej kuzynów jest już na tyle dorosły, by stać się w niedalekiej przyszłości przeciwnikiem Griffina. Już od dawna mówiono w rodzinie o rywalizacji, jaka panuje między nimi.

- Jak możesz być po stronie tych brutalnych Normanów?! - krzyknęła.

- Jesteś za delikatna Branwen i zanadto drobiazgową. Ja - rzekł Griffin - jestem teraz wasalem sir Edouarda. On da mi w lenno stare ziemie naszego ojca i wkrótce, jeżeli oboje będziemy sprytni i zrobimy dobry użytek z naszej mądrości, będę panem twierdzy Afoncaer. Tego zawsze najbardziej chciałem. Gdyby nie przybycie Normanów, musiałbym latami cierpliwie czekać, aż skończy się panowanie najpierw naszego dziadka, potem naszego wuja i w końcu naszego ojca. Dopiero wtedy nadeszłaby moja kolej. No i pewnego dnia na pewno musiałbym się zmierzyć z naszym kuzynem Owainem z Tynant, którego właśnie dzisiaj Normanowie sprytnie usunęli z mojej drogi. Zobaczyłem swoją szansę i skorzystałem z niej. A teraz ty, moja siostrze, zrobisz to, co ci każę.

To było nieprawdopodobne, wprost nie do uwierzenia. Branwen miała wrażenie, jak gdyby cały świat oszalał. Nie było nawet chwili na żal i smutek nad zmarłymi. Sir Edouard, jak wyraził się Griffin, nie mógł doczekać się małżeństwa i nie chciał marnować ani jednej minuty na zbędne przygotowania. W Afoncaer nie było żadnych godnych szacunku kobiet, które mogłyby zająć się nią. Wszystkie uciekły lub zostały zabite w czasie walk o twierdzę. Jedyne kobiety,

które znajdowały się tu, to popleczniczki najeźdźców i nawet Griffin nie mianował żadnej z nich na służącą swojej siostry.

- Będziesz musiała sama się przebrać - powiedział Griffin, chwytając ją za rękę i prowadząc do domu księdza. - Masz czekać tutaj do momentu, kiedy sir Edouard będzie gotowy.

- Gdzie jest ojciec Conan? - Z troską w głosie, choć stanowczo zapytała Branwen. Znała tego starszego księdza już od dawna. Miał prawie tyle lat co jej dziadek i był bardzo szanowany. Być może on byłby w stanie uświadomić Griffinowi, jak bardzo źle ją traktuje i jaki popełnia błąd.

- Chowa zmarłych - powiedział Griffin, prowadząc ją korytarzem do ciemnego, pustego pokoju. - Nie zobaczysz go aż do chwili, kiedy będzie błogosławił wasz związek. Zostaw swoje torby tutaj. W kaplicy nie będziesz potrzebowała ziół. Oszczędzaj je, by pewnego dnia leczyć nimi rany twojego ukochanego męża. - Poszedł do innego, mniejszego pokoju, który był sypialnią ojca Conana. Podniósł ułożoną na wąskim łóżku sukienkę. - Oto twój podarunek ślubny od sir Edouarda - powiedział. - Włóż ją.

- Gdzież on ją znalazł? - spytała Branwen. Suknia uszyta była z błękitnego jedwabiu i naszywana złotą pasmanterią. Od razu spostrzegła, że była zbyt obszerna jak na jej drobną postać. - Jestem pewna, że takiej sukni nie było w Afoncaer.

- Prawdopodobnie pochodzi z innej twierdzy, którą zdobył sir Edouard - rzucił niedbale w odpowiedzi.

- Z pewnością zdarta została z jakiejś nieszczęśliwej kobiety - powiedziała z obrzydzeniem. - Nie założę tego!

- Założysz, założysz albo zamiast sukni będziesz miała ciało pokryte siniakami. A będziesz je miała, jeżeli się za ciebie zabiorę.

Te słowa uprzytomniły jej, jak okrutny i porywczy potrafi być Griffin. Widząc, że nie ma innego wyboru jak posłuszeństwo wobec brata, Branwen niechętnie wzięta w ręce suknię.

- Dobrze - wyszeptała. - Proszę zostaw mnie samą, bym mogła się przebrać.

- Pamiętaj, żadnych sztuczek. - Griffin spojrzał z niepokojem na małe okienko w pokoju. - Nie ma sposobu, abyś mogła uciec od swojego losu, lecz jeżeli spróbujesz, będziesz surowo ukarana.

Kiedy wyszedł i zamknął drzwi sypialni, Branwen włożyła suknię. Musiała długo podwijać rękawy, aby wdać było ręce. Nadmiar

materiału w talii zaciągnęła własnym paskiem. Do paska przywiązany był mały bogato zdobiony sztylet. Do dzisiejszego dnia używała go tylko do krojenia mięsa przy stole. Teraz była przygotowana, by użyć go zgodnie z przeznaczeniem: do samoobrony. Nie miała grzebienia, więc palcami starała się rozczesać i uporządkować swoje ciemne loki. Podczas tych przygotowań usilnie zastanawiała się nad swoją sytuacją. Rozumiała, dlaczego sir Edouard chciał się z nią ożenić. Znała swoją wartość. Pochodziła przecież z arystokratycznego rodu. To prawda, że nie najbardziej znamienitego, ale jednak arystokratycznego. Poprzez ten ślub sir Edouard będzie sprawował legalnie władzę nad włościami jej dziadka i ojca. Skoro tylko się pobiorą i małżeństwo zostanie skonsumowane, sir Edouard będzie rządził własnością jej rodziny jako strażnik drogi prowadzącej do Walii. Dzięki pierworództwu swojej żony Edouard stanie się wkrótce bogaty i silny. Branwen przypuszczała, że jej zdradziecki brat nigdy nie będzie władcą Afoncaer, niezależnie od tego, co obiecał mu sir Edouard. Griffin zapewne zostanie zabity, gdy tylko okaże się już niepotrzebny. Tym bardziej że stanie się zagrożeniem dla samego sir Edouarda. Dziwiło ją jak to jest możliwe, że jej brat sam tego nie widzi.

Griffin zastukał do drzwi, wołając że godzina ślubu już niedaleka. Próbowwała po raz ostatni nakłonić go do zmiany decyzji. Błagała go na duszę ich zmarłego ojca, by nie czynił jej tego. Tłumaczyła, że winny jest jej ochronę i opiekę, że powinien się wstydzić przed samym sobą. Nie reagował jednak na jej słowa. Ujął ją pod rękę i poprowadził do kaplicy.

Branwen czuła się, jakby uczestniczyła w nocnym koszmarze. Wojownicy sir Edouarda i ich giermkowie byli już w kaplicy. Tłoczyli się wokół ołtarza, gdyż kaplica była za mała, by pomieścić ich wszystkich. Griffin stał obok niej bardzo zadowolony z siebie. Był też i nowożeniec, wysoki mężczyzna o kamiennym spojrzeniu. Jego oczy były tak zimne jak morza północne zimą. Zmierzył ją wzrokiem, nie okazując żadnych uczuć. Branwen zaschło w gardle.

Ojciec Conan podszedł do ołtarza. Znała na tyle dobrze starszego księdza, by wiedzieć, iż czuł się urażony, widząc miecze przy pasach Normanów. Było to pogwałcenie obowiązujących w kaplicy zwyczajów. Ksiądz patrzył na broń ze źle ukrywanym gniewem, lecz Normanowie nie mieli najmniejszej ochoty jej odłożyć.

- Zaczekaj - powiedziała Branwen, nim ojciec Conan otworzył usta. - Chcę coś powiedzieć.

Dobiegł ją szept dezaprobaty ze strony Edouarda, który przysunął się, by stanąć obok niej przy ołtarzu. Nie uczynił jednak nic, by ją zatrzymać. Griffin zmarszczył brwi. Modliła się, by nie zapomnieć łaciny, której nauczył ją Rhys. Miała nadzieję, że sir Edouard zna ten język. Wątpiła, by mógł ją zrozumieć, gdyby mówiła po walijsku.

- Według naszych starych praw - powiedziała głosem ciekim i drżącym - mogę odmówić poślubienia mężczyzny, którego nie kocham i nie chcę. Nie wyjdę za człowieka, który zamordował moją rodzinę. Nie wypowiem słów przysięgi, ani nie podpiszę kontraktu.

- Ależ uczynisz to, moja pani. - Nawet nie zmrużyła oczu, gdy sir Edouard wyciągnął miecz i zagroził jej nim. - Mów słowa przysięgi - nakazał i zbliżył ostrze miecza do jej szyi. - Walijskie prawa nic już nie znaczą w Afoncaer. Jesteś teraz pod moimi rozkazami.

Nie mogła nic powiedzieć, słowa uwięzły jej w gardle. Była nazbyt przerażona, by wydobyć z siebie jakikolwiek dźwięk. W tym momencie zdała sobie sprawę, że gdyby ją zabił, nie mógłby jej poślubić. Ta myśl dodała jej odwagi, by stawić mu dzielnie czoła, nie dbając o to, co się stanie. Jeżeli będzie martwa, Edouard nie będzie mógł zabrać jej do swego łóża.

- Odłóż swój miecz. To jest dom Boga - zażądał ojciec Conan. - Sir Edouardzie, zostaw tę niewinną dziewczkę w spokoju. Zdobyłeś Afoncaer, niech to ci wystarczy. A ty, Griffinie, jeżeli będziesz nalegał na to nienaturalne małżeństwo, z pewnością będziesz cierpieł ogień piekielny za to, co uczyniłeś swojej siostrze.

- Walijski zdrajco! - Sir Edouard wycelował teraz swój miecz w ojca Conana.

Ksiądz spojrział na niego zimno.

- Czy zabijesz nas? - zapytał.

- Myślisz, iż zrobisz ze mnie głupca przed moimi ludźmi? - warknął sir Edouard. - Udzielisz nam ślubu i to natychmiast, albo zginiesz tu, w tym kościele. Ja i tak wezmę tę kobietę, z twoim błogosławieństwem lub bez niego. Będzie moją kochanką, a kiedy mnie znudzi, oddam ją moim żołnierzom. Co ty na to, klecho?

Miecz sir Edouarda dotknął piersi duchownego. W kaplicy zaległa cisza. Nikt się nie poruszał. Nawet dla tych mężnych wojów perspektywa rozlewu krwi w świętym miejscu była nie do

pomyślenia. Byłby to grzech śmiertelny godny najwyższej pogardy. Branwen wierzyła jednak, że sir Edouard dopełniłby swojej groźby.

- Skończcie! - Chwyła sir Edouarda za rękę, w której trzymał miecz, i mocno odepchnęła ją od piersi ojca Conana. W tym momencie w ogóle nie myślała o sobie, ale o starym, bezsilnym księdzu. Nie chciała dopuścić do tego, by coś mu się stało. Napęła ją smutek z poniesionej porażki, lecz czoło wzniesione miała wysoko. Sir Edouard nigdy się nie dowie, jak bardzo poczuła się poniżona jego łatwym zwycięstwem.

- Czytaj kontrakt małżeński - powiedziała. - Podpiszę go i będę twoją posłuszną żoną, mój panie. A ty nie karz tego dobrego księdza, którego intencją było chronić mnie.

- Wiedziałem, że się zgodzisz. - Sir Edouard schował swój miecz. - Gdzie jest ten kontrakt? Gdzie u licha, jest mój sekretarz?

Drobna postać wysunęła się ze swego ukrycia za żołnierzami sir Edouarda. Jeden z nich pchnął go do przodu. Ten potknął się i prawie by upadł przed ołtarzem, gdyby nie podtrzymał go ojciec Conan. Nerwowe napięcie zamieniło się w drwiący śmiech.

- Do niczego innego się nie nadaje, tylko do czytania i pisania - kpiąco powiedział sir Edouard. - Nie umie nawet trzymać miecza, a myśli, że jest mężczyzną. Dalejże, głupcze, czytaj kontrakt.

Kontrakt był zwięzły i dokładnie taki, jak przewidywała Branwen. Zgodnie z nim sir Edouardowi przypadało Afoncaer i Tynant, Griffinowi obiecywano ziemie, które chciał w zamian za lojalność wobec sir Edouarda. Ostatni zapis dotyczył Branwen; według niego miała zostać żoną sir Edouarda. Wszystkie punkty kontraktu miały się zrealizować z chwilą skonsumowania małżeństwa.

Drżącą ręką Branwen podpisała kontrakt. Griffin, jako że nie umiał pisać, postawił krzyżyk, po czym przybił pierścień - pieczęć, który Branwen bardzo dobrze знаła. Sekretarz podał więcej wosku i Edouard, który również nie umiał pisać, zanurzył w nim większy pierścień - pieczęć lorda Afoncaer. Branwen poczuła ochotę, by zedrzeć ten pierścień z jego ręki. Z wielką trudnością udało się jej zachować niewzruszoną twarz, kiedy uklękła przed ołtarzem i podała swą dłoń sir Edouardowi, a ojciec Conan wypowiadał słowa błogosławieństwa. Po wyjściu z kaplicy żołnierze przepychali się, by pogratulować swojemu dowódcy.

- Pocałuj ją - krzyknął jeden z wojów.

- Najlepiej uczynisz, panie, jeżeli pójdziesz z nią do łoża natychmiast - dodał inny Sir Edouard zaśmiał się i podniósł dłoń, prosząc o ciszę.

- Ja, pan wielkiej twierdzy i ziem ją otaczających - oświadczył - zapraszam wszystkich na uroczystość weselną, zanim ja i moja małżonka udamy się w zacisze naszych komnat Chodźmy, moja droga - powiedział, podając Branwen lewe ramię.

- Mój panie - rzekł ojciec Conan - zrobiłem wszystko, czego ode mnie żądałeś, od kiedy zostałeś panem Afoncaer. Opiekowałem się rannymi, pomagałem pochować zmarłych i chociaż byłem temu przeciwny, pobłogosławiłem twój związek z lady Branwen. Teraz proszę cię o przysługę, która zresztą przyniesie i tobie korzyść.

- Cóż to takiego, księżę? - Sir Edouard spojrzał podejrzliwie na ojca Conana.

- Pozwól lady Branwen pomodlić się ze mną w kościele, by niebiosa zesłały pokój jej zmarłym krewnym. Jestem pewien, że te modlitwy ukoją jej ból i uczynią ją posłuszną twoim planom. Pouczę ją także, jak ma spełniać swoje małżeńskie obowiązki.

- Ksiądz chce uczyć kobietę, jak ma być żoną? Cóż to za dziwny walijski zwyczaj?

Sir Edouard odrzucił w tył głowę i śmiał się, pokazując mocne, białe zęby. Jego wojowie śmiali się razem z nim. W tym śmiechu nie było szczerości, była w nim kpina.

- Nieszczęśliwy jest mężczyzna, który ma za żonę wroga - odpowiedział ksiądz. - Pozwól mi więc spędzić z nią godzinę na modlitwie i rozmowie, a obiecuję ci, że u twego boku znajdziesz oddaną ci żonę.

- Nie u jego boku, ale pod nim! - krzyknął jeden z rycerzy.

Wywołało to nową lawinę śmiechu wśród żołnierzy.

- Zezwalam tylko na krótką chwilę - zdecydował sir Edouard, mierząc żonę ostrym spojrzeniem. - Później chcę, aby siedziała obok mnie w czasie uroczystości. Chcę, by zachowywała się tak, jak przystało na moją żonę.

Branwen podążyła za ojcem Conanem do kaplicy. Duchowny zarygłował drzwi i poprowadził ją do ołtarza. Uklękli i ofiarowali swe modlitwy tym, którzy zginęli w Afoncaer i Tynant.

- Teraz - powiedział ojciec Conan, siadając na kamiennym stopniu prowadzącym do ołtarza - możemy porozmawiać bez obawy,

że będziemy podsłuchani, ale musimy się śpieszyć. Moje dziecko, tak mi przykro, gdy patrzę na twoją niedolę. Chciałem cię przestrzec przed twoim nowym mężem. Kiedy chowaliśmy dzisiaj zmarłych, dowiedziałem się od jednego z jego poddanych, że sir Edouard nie jest podwładnym Wilhelma Zdobywcy, jak przypuszczaliśmy. On jest banitą, żołnierzem wyjętym spod prawa i nie ma suzerena. Takemu człowiekowi nie wolno ufać. Nigdy go nie rozzłość, Branwen, bo on nie zawaha się ciebie zabić. Jest to pierwsza wskazówka, jaką muszę ci dać. Zdław swoją dumę, bądź łagodna i miła.

- Tak abym mogła długo być jego żoną? - Branwen otarła łzy, które popłynęły z jej oczu w czasie modlitwy. - Nie chcę być jego żoną nawet jednego dnia! Chcę odebrać mu prawo do Afoncaer. Ojciec musisz pomóc mi uciec, zanim będzie chciał skonsumować to straszne małżeństwo.

Ksiądz zdziwiony spojrział na nią z uwagą. Przestraszyła się, że ktoś może im przeszkodzić i nie zdąży wyjawić księdzu swojego planu, który obmyśliła w pośpiechu. Planu, który wymagał udziału ojca Conana, jeżeli miał się powieść.

- W normalnych warunkach - odezwał się - nakazałbym tobie, byś wypełniała życzenia swojego starszego brata. W tym przypadku jednak nie mogę tego zrobić. To sam sir Edouard zabił twego ojca i to w najpodstępniejszy ze sposobów. Zadał mu cios w plecy jak tchórz. Oszczędził Griffina i mnie dlatego, że potrzebuje nas do swoich celów. Próbowałem ostrzec Griffina, ale on jest zbyt dumny, by słuchać kogokolwiek.

- Czy Griffin wie, że oddaje mnie mordercy? - Branwen była bliska szoku. Nie czuła już zniewagi, nawet nie płakała, słysząc tę potworną wiadomość.

- Mężczyzna, który wyciąga miecz i grozi nim w domu Boga, nie może być władcą Afoncaer - oświadczył ojciec Conan. - Nie mogę znieść myśli, że taki ktoś zniszczyłby twoją młodość i odebrał niewinność. Powiedz mi, jaki masz plan, Branwen, zrobię wszystko, by ci pomóc.

- Zioła, które przywiozłam ze sobą, działają nasennie, jeżeli je zmieszać z winem - zaczęła Branwen. Ojciec Conan przysunął się do niej, by nie uronić ani jednego słowa.



## ROZDZIAŁ 2

Po szczegółowym omówieniu planu ucieczki, ojciec Conan i Branwen wyszli z kapliczki i udali się do komnaty, w której poddani sir Edouarda ustawiali stoły i ławy. Inni przygotowywali potrawy z zapasów w spizarniach Afoncaer i upolowanej tego dnia zwierzyny. Mięso piekło się na dworze, nasycając powietrze smakowitym zapachem.

Sir Edouard usiadł przy stole na honorowym miejscu. Bacznie obserwował zbliżającą się Branwen. Podeszła do niego i odezwała się łagodnie:

- Mój panie, proszę o przebaczenie. Nie powinnam była odzywać się tak niegrzecznie w kaplicy. Ojciec Conan przekonał mnie, iż myliłam się, nie chcąc cię poślubić; jesteś przecież panem Afoncaer. Będę twoją posłuszną żoną. Postaram się dogodzić ci jak najlepiej potrafię.

- Przebaczam ci. Nie sądziłem jednak, że walijska niewiasta przyjmie to tak łatwo. Usiądź obok mnie, Branwen.

- Wiem, kiedy przestać walczyć panie - powiedziała, w ostatniej chwili powstrzymując się, by nie odtrącić jego dłoni, którą położył na jej kolanie.

- Edouardzie, nasz władco! - Ojciec Conan pokłonił się przed lordem Afoncaer. - Czy mogę wypowiedzieć słowa błogosławieństwa, zanim rozpocznie się uczta?

- Tak, księżu.

Zapanowała cisza i duchowny pobłogosławił wszystkich zebranych.

- A teraz - powiedział ksiądz - czy nie masz nic przeciwko temu, by lady Branwen rozpoczęła od razu swoje obowiązki? Jako pani Afoncaer powinna doglądać służby podczas tego przyjęcia. Byłoby dobrze, gdyby jak najszybciej wyrobiła sobie autorytet u służby. Jako gospodyni tego dworu musi dbać o obowiązki domowe. To ważne, by twój dom prowadzony był przyzwoicie, zasługujesz na to, panie.

- Mój dom? - Sir Edouard rozejrzał się dookoła. Jego żołnierze zachowywali się głośno i arogancko. Pożerali mięso rękami, tłuszcz ciekł im po brodach. Ktoś rzucił kawałek dziczyzny w błoto. Inni wyrywali sobie tacę z jedzeniem. - Możesz nauczyć ich dobrych manier i zmusić, by ich przestrzegali?

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy, mój panie, uczono mnie, jak dawać sobie radę ze służbą i jak prowadzić duży dom. Musisz tylko powiedzieć, czego sobie życzysz, a ja postaram się wypełnić twoje życzenia.

- Zaczynij więc od zaraz, ale żadnych sztuczek. Chyba lepiej nie ufać wam, Walińczykom. Będę cię bacznie obserwował.

W drodze do kuchni czuła na sobie jego wzrok. Wydała służącym kilka poleceń. Po chwili dołączył do niej ojciec Conan.

- Pozwól, że ja zajmę się winem - powiedziała do jednej ze służących, która właśnie napełniała dzbanki. - Sir Edouard uczynił mnie odpowiedzialną za całe przyjęcie.

Służąca zmierzyła Branwen wzrokiem pełnym zazdrości i odeszła.

- Mam zioła, schowałam je pod sutanną. Powiedz, ile ci trzeba? Działajmy szybko, nim ktoś zacznie nas podejrzewać.

Pod pretekstem doglądania i błogosławienia każdego naczynia, Branwen i duchowny wsypywali zioła do wina. Z zadowoleniem patrzyli, jak Edouard i jego ludzie opróżniali dzbany. Jako hojna gospodyni zachęcała ich do picia, mówiąc, że należy dużo pić na przyjęciu weselnym. Kiedy sir Edouard zawołał ją z powrotem do siebie, ojciec Conan wsypywał dalej zioła.

- Cóż to takiego? Czyżby moja dumna siostra tak szybko zamieniła się w pokorną żonę? - śmiał się pijany Griffin. Podszedł do głównego stołu, obejmując w pół ubraną w czerwoną suknię kobietę, co świadczyło o tym, że jest ona poplecniczka sir Edouarda. - Widzę, że dowodzisz przyjęciem tak, jakby sprawiało ci to przyjemność, lady Afoncaer.

- Zrozumiała, że robi lepiej, jeżeli zacznie mnie słuchać - odpowiedział sir Edouard.

Branwen nie odezwała się. Niechaj myślą, co chcą. Tak długo będzie grać rolę posłusznej żony, aż zioła nie zaczną działać. Wtedy spróbuje uciec.

Normanowie pili dużo. Stawali się głośni i buńczuczni, aż w pewnym momencie zaczęli zasypiać przy stołach. Niektórzy z nich udawali się na chwiejnych nogach do lasu, by tam zdrzemnąć się trochę. Griffin zniknął również. Sir Edouard nie zauważył nic szczególnie zadziwiającego w zachowaniu swoich żołnierzy. Na niego wino nie działało. Pił obficie jak każdy na przyjęciu, prosząc

Branwen, by dolewała również do swego kielicha. Ona jednak wylewała wino na stół lub, kiedy nie patrzył, wlewała do jego kielicha. Nie wiedząc, kiedy znowu będzie mogła jeść, starała się skosztować wszystkiego, ale była tak zdenerwowana, że jej żołądek nie przyjmował tak dużej ilości pokarmu.

Sir Edouard wstał i podał jej rękę.

- Chodź - powiedział. - Wybiła godzina skonsumowania naszego małżeństwa.

W Branwen serce zabiło mocniej. Gdyby zaprotestowała i rozeźliła go, wszystkie jej dotychczasowe starania poszłyby na marne. Niewątpliwie sir Edouard zamknąłby ją i nie miałaby żadnej szansy ucieczki. Nie pozostało jej nic innego, jak iść z nim i żywić nadzieję, że zioła zaczną działać lada chwila. Mąż poprowadził ją do kaplicy.

- Mój panie dokąd mnie zabierasz? - krzyknęła.

- Nie ma odpowiedniego miejsca dla nas w innych budynkach - odpowiedział. - Wszystkie są spalone, a zapach dymu i popiołu drażni mnie. Zauważyłem wcześniej, że ksiądz ma w swoim domu małą sypialnię. Tam będziemy się czuć swobodnie.

Właśnie w tym momencie pojawił się ojciec Conan, niosąc duży dzban pełen wina i dwa kielichy.

- Idziemy do twojego domu, księżu. Chyba nie masz nic przeciw temu? - rzekł sir Edouard.

- Nawet nie śmiałybym nic powiedzieć, mój panie - odpowiedział duchowny głosem pełnym pokory. - Chcę, panie, aby ci było jak najwygodniej. Przyniosłem trochę wina. Jeżeli chcesz, będę stał na straży, gdyż twoi ludzie wydają się bardzo zmęczeni.

- Nie potrzebuję żadnego wina - odburknął opryskliwie sir Edouard.

- Ale ja tak! - krzyknęła Branwen, mając nadzieję, że opóźni w ten sposób moment pójścia z mężem do łóżka. - Chcę sprawić ci przyjemność, panie, ale taka jestem zdenerwowana. Byłoby przyjemnie, gdybyśmy najpierw wypili trochę wina i porozmawiali, zanim pójdziemy do łóżka. - Rumieniła się, kiedy mówiła o łóżku i miała nadzieję, że jej czerwone policzki przekonają Edouarda, że mówi prawdę.

- Czy naprawdę jesteś tak łagodna? - Spojrzał na nią z niedowierzaniem. - Czy jest to być może jakaś walijska sztuczka? Wiem, że nie wolno wam ufać.

- Nie mam innego wyboru, jak tylko być łagodną i posłuszną wobec ciebie, mój panie - powiedziała. - Jesteś moim mężem, będę cię szanować i słuchać. - O mało nie zadławiła się, wypowiadając te słowa, ale wiedziała, że to jedyna szansa, by nie wzbudzić jego podejrzeń.

- Dobrze. Księżu, wnieś wino do naszej komnaty - powiedział - i strzeż drzwi Nie chcę, aby ktokolwiek nam przeszkadzał.

- Przyniosę świecę z kaplicy, by oświetlić wasz pokój - zaproponował duchowny.

Kiedy pozostali nareszcie sami w maleńkiej sypialni, Branwen zaczęła się cichutko modlić, by jej mąż zasnął, zanim będzie chciał ją dotknąć.

- Pij wino, skoro go chciałaś - rozkazał.

- Chciałabym, żebyś i ty trochę wypił - powiedziała przymilnym głosem. Podała mu kielich pełen wina, sama udając, że pije. - Nic o tobie nie wiem, mój panie. Czy powiesz mi coś o sobie i o tym, dlaczego przyjechałeś do Afoncaer?

- Wiesz o mnie tyle, ile trzeba, więcej nie musisz wiedzieć - odpowiedział, dopijając wino.

Branwen ponownie napełniła jego kielich. Pił, głośno przetykając. Kielich odstawił na ławę, która była jedynym meblem oprócz łóżka.

- Podejdz tutaj dziewczyno - powiedział. Wiedziała, że nie ma wyboru. Zrobiła to, co jej kazał.

Położył ręce na jej ramionach, patrząc na nią oczami, w których widać było podniecenie. Miała nadzieję, że nie zauważy przerażenia, które wkradło się w nią na myśl o tym, co za chwilę nastąpi. Szansa, że Edouard zaśnie pod wpływem ziół stawała się coraz bardziej nierzeczywista.

- Ile masz lat? - zapytał.

- Czternaście.

- To dobry wiek na małżeństwo. Królewskie córki wychodzą za mąż, gdy mają czternaście lat. Jesteś wystarczająco dojrzała, by rodzić dzieci. Wyglądasz na silną kobietę, chociaż jesteś taka drobna. Powinniśmy mieć synów, Branwen.

- Tak, mój panie - powiedziała miękko, myśląc, że nie chce dać mu żadnych dzieci. Znowu spróbowała odwrócić jego uwagę na kilka chwil i dowiedzieć się czegoś, co mogłoby się jej przydać.

- A ty ile masz lat, mój panie?

- Nie musisz tego wiedzieć. Twoim obowiązkiem jest słuchać wszystkich moich poleceń, rodzić dzieci, zajmować się prowadzeniem domu i wygrzewać moje łóżko. Nie będę tolerował żadnych sztuczek z twojej strony. Nie walcz o pozycję w Afoncaer, bo nigdy żadnej nie osiągniesz. Zrozumiałaś?

- Tak, mój panie. - Czyż te zioła straciły swoją moc? Kimże jest ten człowiek, że na niego nie działają? Wszyscy jego żołnierze już dawno śpią.

- Słyszałem, że walijskie kobiety mają dużo przywilejów. Mogą dyskutować z mężami, a nawet posiadać ziemię. Pamiętaj, jesteś teraz moją własnością. Afoncaer jest moje, nie twoje.

- Tak, mój panie. - Czy jego surowa twarz złagodniała pod wpływem jej cichych słów? Czy był już trochę śpiący?

- Odstaw kielich i zdejmij rzeczy - powiedział.

- Panie, jestem taka zdenerwowana - wyszeptała, łudząc się, że porozmawia z nią jeszcze chwilę. Ale on nie miał chyba pojęcia, co to jest rozmowa, umiał tylko wydawać rozkazy.

- To naturalne dla dziewczycy, że jest zdenerwowana. Nie zrobię ci krzywdy, Branwen. Wolałbym, żebyśmy nie byli wrogami. Jeżeli mi pomożesz, będziesz przeze mnie dobrze traktowana.

Chciała mu powiedzieć, że zmuszanie jej do dzielenia z nim łoża i traktowanie jej jak więźnia nie było tym, czego chciałaby spodziewać się od swojego męża.

Potem jednak doszła do wniosku, że Edouard naprawdę sądzi, iż dobrze ją traktuje. Przecież mógł po prostu rzucić ją na łóżko, odebrać cnotę i zawołać swoich ludzi, by zaświadczyli, że stał się panem Afoncaer. On jednak starał się najpierw ją ułagodzić. Z pewnością oczekiwania kobiety nic dla niego nie znaczyły, jednak starał się być uprzejmy.

- Ta sukienka jest dla ciebie za duża. - Rozpiął jej pasek, przy którym wisiał mały sztylet i rzucił niedbale na podłogę. Później chwycił suknię i podciągał do góry. - Mogę ją zmniejszyć.

- Chcę, abyś miała inne sukienki. Moja żona musi mieć piękne stroje. Rzucił suknię na podłogę. Branwen stała przed nim tylko w swojej lnianej bieliźnie i butach. Wyciągnął do niej rękę, dotknął włosów. Delikatnie ułożył jej ciemne, długie loki na ramionach, pozwalając, by część zakryła piersi. Kiedy to robił, Branwen drżała. Gorącymi Dłońmi drażnił jej sutki. Walcząc ze wzrastającym

podnieceniem, jakie w niej wywoływał, Branwen zamknęła oczy. Jeżeli wino nie powstrzyma go, nie będzie sposobu, by się mu przeciwstawić. Myśl o ucieczce dodawała jej odwagi i chroniła przed paniką. Jednak chwila, w której sir Edouard ją posiadzie, stawała się coraz bliższa. Czuła jego dłonie zaciśnięte na swoich biodrach przyciskające ją coraz bliżej, aż w końcu poczuła męską twardość pomiędzy udami,

- Tak, o tak, Branwen. - Jego szorstki głos był teraz chropowatym szeptem. - To będzie wielka przyjemność czynić cię swoją własnością.

Przysunął usta do jej ust i po chwili muskał jej wargi językiem. Branwen poczuła podniecenie, ale bojąc się tego uczucia, starała się je odrzucić. Nie chciała wzbudzać w nim za dużej aktywności, pasji, która nieuchronnie doprowadziłaby do ostateczności. Było to tym bardziej przykre, że działo się na łóżku ojca Conana. Kiedy skończył ją całować, chwyciła jego ramiona i starała się go odepchnąć.

- Proszę cię, panie, czy mogę napić się jeszcze wina? - zapytała, ledwie łapiąc oddech.

- Czyż jestem tak odrażający, że musisz być pijana, by mnie zaakceptować?

- Nie, mój panie. Jestem bardzo zdenerwowana i... taka niezręczna - dodała cienkim głosem zupełnie zrozpaczona.

- Przecież to naturalne, że jesteś niezręczna. Jeden kielich tylko i więcej już żadnych zwlekań. Moi ludzie będą się dziwić, co zabiera mi tyle czasu.

Wypił wino, które mu podała, sama zamoczyła w nim tylko usta.

- Ty wcale nie chcesz wina - powiedział, biorąc od niej kielich. - Ty tylko grasz na zwłokę. Wejdz z powrotem do łóżka.

Teraz on zaczął się rozbierać. Rzucił swoją wełnianą tunikę na ziemię, zdjął spodnie, cały czas bacznie ją obserwując. W pewnej chwili wydawało jej się, że Edouard stara się opanować ziewanie. Bardzo chciała, by wypił jeszcze jeden kielich wina. - Powiedziałem, połącz się do łóżka. Ostrzegam cię lepiej mnie słuchaj. Branwen wdrapała się na wąskie łóżko. Podciągnęła nogi pod brodę, otoczyła je rękoma i siedziała tak, obserwując go, gdy się rozbierał. Sir Edouard był przystojnym mężczyzną, dobrze zbudowanym, miał wspaniałe umięśnioną klatkę piersiową i ramiona. Branwen przyzwyczajona była do widoku nagich chłopców. W Tynant często kąpała się ze swoimi

młodszy kuzynami w strumieniu. Ale żaden z chłopców nie przypominał tego przystojnego Normana. Jej oczy ogarniały to zadziwiające męskie ciało.

- Czy ja cię przerażam? - zapytał, siadając obok niej. - Wszystkie żony muszą nauczyć się lubić uściski swoich mężów. Postaram się być delikatny. Bolesny będzie tylko pierwszy raz. Później będzie ci to sprawiało przyjemność.

Sir Edouard otoczył ją ramieniem i powoli ułożył wygodnie na łóżku. Rozprostował jej nogi i dotknął bioder. Przesuwał palce wyżej aż do piersi.

- Nie ma powodu, dla którego mielibyśmy być wrogami, Branwen. Możesz być mi bardzo pomocna,' a tak długo, dopóki będziesz mi posłuszna, będę cię bronił.

Łóżko było tak wąskie, że kiedy się położył, leżał na niej, a jego członek wbijał się w jej udo. Delikatnie podrażniał jej sutki, wywołując falę ciepła ogarniającą całe ciało. Czowała, jak krew uderza jej do głowy, gotuje się wprost w jej żyłach. Poruszyła się, chcąc się uwolnić z jego objęcia, to jednak przybliżyło ją ku niemu jeszcze bardziej. Zaczął ją całować, najpierw powoli, potem bardzo namiętnie. Instynktownie czowała, jak bardzo stara się być wobec niej delikatny. Była mu za to bardzo wdzięczna. Zamknęła mocno oczy i pozwoliła, by jego język wsunął się do jej ust. Jego palce nieprzerwanie bawiły się jej piersią. Branwen uniosła swoją wolną rękę, tę, która nie była wciśnięta między ich ciała. Koniecznie chciała zdjąć jego dłoń ze swojej piersi, ale już jej tam nie było. Powoli przesunął ją wzdłuż jej ciała, głaskał łono i mierzwił włosy pomiędzy udami. Branwen przestraszyła się, ale zamiast zatrzymać ten niezwykle miły i przyjemny atak, położyła tylko rękę na jego ramieniu. Czowała na sobie jego ciężki oddech.

- Otwórz się przede mną, moja pani. - W jego gardłowym tonie było coś triumfującego. Przyssał usta do jej piersi. Wzdychając w połowie z desperacji, w połowie z rezygnacji, Branwen posłuchała go. Dłoń, którą trzymała na jego ramieniu przesunęła do góry, by odciągnąć delikatnie jego głowę od swoich bolących piersi. Rozłożyła nogi, a jego palce przesunęły się coraz niżej. Łzy wypłynęły spod jej zamkniętych powiek. Gdyby tylko ten mężczyzna przyjechał do Afoncaer w pokojowych zamiarach, gdyby tylko przyrzekł lojalność jej dziadkowi, a później poprosił szczerze o rękę i gdyby jej dziadek i

ojciec zaakceptowali go, na pewno przyjęłaby go bez wahania. Był bardzo przystojny i starał się nie zrobić jej krzywdy. W innych okolicznościach jego czułość wobec niej byłaby zachęcająca i sprawiłaby, że kochanie się z nim stałoby się przyjemnością. Ale mężczyzna, który namiętnie całował teraz jej brzuch, piersi i uda był tym, który zamordował jej rodzinę. Jej rozbudzone ciało odpowiadało na jego dotyk, ale gdzieś w głębi nienawidziła go, a nawet bardziej nienawidziła siebie za to, że jego pieszczoty sprawiały jej przyjemność. Płakała, jej drobne ciało drżało.

- Nie płacz. Będę całował twoje łyzy. - Pocałunkami startł kilka łez, ale nowe wciąż napływały. Położył ręce na jej udach i próbował je rozchylić. Poczul niewielki opór z jej strony, ale ostatecznie się poddała. Nie było już sensu walczyć. Jej plan się nie powiódł. Musi się poddać, tym bardziej że gdyby go teraz rozgniewała, mógłby jej zrobić krzywdę. Sądząc po jego głosie i delikatnych, kontrolowanych ruchach, z dużym wysiłkiem opanowywał podniecenie. Był dla niej bardzo czuły.

- Jeszcze chwilę - powiedział, klękając między jej nogami. - Za moment będę panem Afoncaer.

Poczula twardość jego członka, później cały ciężar jego ciała. Jego usta zetknęły się z jej ustami, tak jakby chciał zdławić krzyk, który wydobywał się z jej gardła. Przerwał pocałunek, chcąc zaczerpnąć więcej powietrza. Ciężar jego ciała wzrósł. Położył głowę na jej ramieniu. Branwen pomyślała, że chce usłyszeć jej głos. Czekala w napięciu, aż w nią wejdzie, jednocześnie bojąc się i chcąc tego. Lecz siła, z jaką napierał na nią, zmalała. Sir Edouard wziął jeszcze jeden oddech i legł na niej spokojnie.

- Mój panie? - Nie miała siły, by go przewrócić na drugi bok. - Czy coś się stało? Czy to już po wszystkim?

Edouard spał twardym snem, wino nareszcie zadziało. Ale czy nie za późno? Nie miała doświadczenia i nie wiedziała, co on jej zrobił. Uwolniła się z jego uścisku i przesunęła go trochę, by móc spojrzeć na prześcieradło. Nie mogła nie spojrzeć. Musiała się dowiedzieć. Prześcieradło było czyste. Nie było też krwi na jej ani na jego ciele. Cały czas czuła jeszcze jego dotyk, ale była pewna, że nie uzyskał prawa do Afoncaer. Zniszczył jednak jej niewinność. Spoglądała na jego mocną, męską sylwetkę i płakała. Płakała z powodu zmarłych, których kochała i tego, co jej uczynił, ale



najbardziej żałowała tego, że gdyby był uczciwym żołnierzem, mógłby wziąć ją za żonę, a jej dziadek i ojciec błogosławiliby ten związek.

Przestała płakać. Wiedziała, że musi uciec jak najdalej od Afoncaer, zanim sir Edouard się obudzi. Ubrała się i otworzyła drzwi. Ojciec Conan klęczał i modlił się na zewnątrz.

- Moje dziecko - powiedział wstając. - Płakałaś? Czy nic ci nie jest? To trwało tak długo. Czy sir Edouard... czy on...?

- Nie ma prawa do Afoncaer - powiedziała Branwen dumnie, trochę się czerwieniąc na myśl, że sama chciała mu to prawo dać. - Gdyby to zrobił, musiałabym go zabić moim sztyletem, a potem siebie. - Dotknęła sztyletu i wiedziała, że mówi prawdę. Uklękła i poprosiła księdza o błogosławieństwo. - Dzięki ci za twoją pomoc, ojcze. Radziłabym ci napić się tego wina i zasnąć. W ten sposób sir Edouard nie będzie cię podejrzewał, kiedy zobaczy, że mnie nie ma. Będzie obwinał tylko mnie.

- Jedź z Bogiem, moje dziecko. Będę się za ciebie modlił codziennie.

Na dworze robiło się coraz ciemniej. Szła wolno w kierunku stajni, cichutko stawiając stopy między rycerzami, którzy na szczęście spali kamiennym snem. Przez czyjeś niedopatrzenie paliła się pochodnia, dzięki której Branwen dotarła spokojnie do stajni. Znalazła swojego konia i siodło. W porównaniu z ogromnymi wierzchowcami Normanów, koń był niewielki, ale szybki i, co najważniejsze, znał ją dobrze. Cicho zawołała jego imię. Zwierzę od razu ją rozpoznało i podniosło głowę. Osiodłała go i poprowadziła do drogi. Używając dużego kamienia, wspięła się na jego grzbiet. Ciężka, długa suknia plątała się między nogami. Kiedy konik ruszył, na chwilę straciła równowagę. Zdołała się jednak utrzymać. Ruszyła galopem wzdłuż oświetlonej księżycem drogi. Oddalała się od Afoncaer, nie patrząc za siebie.

### ROZDZIAŁ 3

Nie wiedziała, dokąd ma jechać. Tynant było w rękach Normanów, tam nie znajdzie schronienia. Znała kierunek, w jakim uciekł Rhys ap Daffydd, kiedy Normanowie zdobyli jego dom w Powys. Myślała, że może uda się jej go odnaleźć. Na pewno by się ucieszył. Za chwilę jednak zapomniała o tej możliwości. Sir Edouard z pewnością zacznie ją ścigać, nie da mu więc szansy, by pojmał Rhysa, zanego mężczyznę, który był jej nauczycielem. Pojedzie w innym kierunku daleko od jego kryjówki.

Branwen jechała tak szybko, jak tylko mogła. Zniknął księżyc i słońce zaczęło już wstawać. Wstrzymała konia i szła stępą. Krótko przed świtem zjechała z drogi, kryjąc się między skałami i krzewami w lesie. Jacyś uzbrojeni mężczyźni przejechali drogą była pewna, że jej szukali. Miała nad nimi przewagę - znała te ziemie o wiele lepiej od nich, mogła podróżować lasem, omijając główny trakt. Piła wodę ze strumieni, jadła wszystkie leśne owoce, jakie tylko mogła znaleźć. Doskonała znajomość ziół pomagała jej w poszukiwaniu jedzenia. Tego lata nie musiała obawiać się o to, że będzie głodna, owoców było mnóstwo.

Wiedziała, że wielu jej rodaków mieszka w lesie, nie spotkała jednak nikogo. Kiedy niebo znowu zaczęło szarzeć, Branwen postanowiła odpocząć. Spędziła noc, leżąc skulona pod drzewem. Spała niespokojnym snem, a właściwie czuwała cały czas. Bała się nawet pomyśleć, co by się stało, gdyby sir Edouard ją odnalazł. Wspomnienie o tym; co działo się w sypialni ojca Conana wzbudzało w niej niechęć do samej siebie, bo jakaś jej część zaakceptowała jego pieszczoty. Była takim samym zdrajcą swojej rodziny jak Griffin. Zasługiwała na wygnanie.

Drugiego dnia jej koń zgubił podkowę. Branwen rozsiadła i prowadziła obok siebie, potem jednak zdecydowała puścić go wolno. Był jej przyjacielem, nie chciała go zostawiać, ale co mogła innego zrobić? Miała nadzieję, że jakiś dobry Walińczyk znajdzie go i zaopiekuje się nim. Na horyzoncie ukazał się jakiś dom. Podeszła bliżej i weszła do środka. Był bardzo zniszczony, zapewne po najeździe Normanów. Niszczyli wszystko, czego nie mogli wziąć ze sobą. W środku poprzewracane sprzęty były dowodem walki, jaką tu stoczono. Na stole znalazła kilka okruchów chleba, w kącie leżała stara, brązowa suknia. Pomyślała, że lepiej byłoby się w nią przebrać.

Jej niebieskożłota, elegancka suknia mogła wzbudzać wiele podejrzeń. Przebrała się, przewiązała talię paskiem i nie chcąc pozostawić po sobie żadnych śladów, spaliła niebieską suknię. Zjadła okruchy chleba, napiła się wody ze strumyka i poszła dalej na wschód, szukając przyjaznego miejsca. Pozostawała wciąż w lesie. Spała pomiędzy kamieniami, szukając w nich schronienia. Żywiła się tym, co znalazła w lesie. Sądziła, że już dawno minęła Walię. Ogromne przestrzenie, które rozpościerały się przed nią, wydawały się obce i nie zamieszkane. Gdziekolwiek tylko widziała małe, zagospodarowane poletki. Szła wytrwale dalej, dotarła, w końcu do małej wioski. Było tam kilka domów stojących w dużych odległościach jeden od drugiego. Branwen widziała kilku ludzi pracujących na polu. Najbliższy dom był większy niż pozostałe. Dochodziło stamtąd ciche zawodzenie. Ktoś bardzo cierpiał. Czowała, że byłoby bezpieczniej, gdyby pozostała w lesie. Była jednak wyczerpana długą wędrówką bez celu, ucieczką przed Normanami. Znowu usłyszała przesywający krzyk, podążyła za nim. To było w tej chwili najważniejsze, Rhys nauczył ją bowiem, żeby pomagała innym i nigdy nie przechodziła obok cierpienia ludzkiego obojętnie. Otworzyła drzwi domku i weszła do środka.

Na sienniku leżała dziewczyna, młodsza może o rok lub dwa od niej. Miotaly ją bóle porodowe, zaczynała rodzić. Nikogo przy niej nie było, leżała zupełnie sama Branwen nigdy nie była przy porodzie, ale zawsze z wielką ciekawością słuchała kobiet w Tynant, które o tym mówiły. Zrobiła wszystko, aby pomóc dziewczynie. Nie było to wiele, bo bardzo się jej bała, zresztą nie miała przy sobie swoich ziołowych medykamentów. Przed wieczorem urodziła się małą dziewczynką. Owinęła ją w prześcieradło i położyła obok młodej matki.

Branwen posprzątała pokój. Twarz i ręce umyła w strumieniu za domem. Właśnie szukała jedzenia dla siebie i młodej matki, gdy w drzwiach pojawił się mężczyzna. Wszedł do domu, patrząc ze zdziwieniem na Branwen, a potem na dziewczynę. Ujrzał niemowlę. Na jego twarzy ukazało się najpierw zdziwienie, a później radość.

Pewnie to jej mąż, pomyślała Branwen. Zastanowiło ją, gdzie były inne kobiety. Dopiero za chwilę zrozumiała, że to nie żona, tylko siostra mężczyzny. Mieszkańcy wioski zaś nie chcieli pomóc dziewczynie, gdyż ta nie z własnej woli urodziła dziecko, którego

ojcem był władca tej okolicy. Zrobili tak na znak buntu przeciw niemu.

Mężczyzna przemówił do niej, nie, zrozumiała go jednak. Z jego gestów domyśliła się, że pytał, czy to ona przyjęła poród. Również gestami odpowiedziała mu, że tak. Uśmiechnął się do niej. Miał przyjazną twarz, było w nim ciepło, którego Branwen tak brakowało, od kiedy uciekła z Afoncaer. Ten człowiek nie był taki jak sir Edouard, jemu można było zaufać. Uśmiechnęła się również. Miała nadzieję, że pozwoli zostać jej w tym domu przez dzień lub dwa. Tak bardzo chciała przespać się znowu pod dachem, choćby najbiedniejszym. Nie miała sił iść dalej.

Radość z przyjścia na świat nowego człowieka minęła i smutek zakradł się w serce Branwen, niszcząc resztki sił. Nieomal upadła, na szczęście przytrzymały ją jego silne ręce. Z wyrazu jego twarzy Branwen odczytała odpowiedź, której tak bardzo pragnęła: mogła tu zostać.

- Alfric - powiedział mężczyzna, wskazując na siebie palcem.
- Branwen. - Dotknęła swoich piersi.
- Branwen, Branwen - powtórzył kilka razy, by się upewnić, że wymawia je dobrze. Znowu zaczął mówić w swoim języku.

Branwen знала walijski, trochę łaciny i pół tuzina słów francuskich, ale w ogóle nie знала angielskiego. Zrozumiała, że jeżeli miała tu zostać, będzie musiała się go nauczyć.

Reynaud

Sir Edouard, rycerz - banita, nie rządził długo w Afoncaer. W rok po zdobyciu przez niego twierdzy, Walińczycy wznieśli powstanie i odzyskali Afoncaer. Rycerze posłani do Walii przez Wilhelma Zdobywcę byli zbyt zajęci własnymi problemami z tubylczą ludnością i nie pomogli sir Edouardowi. Zresztą nie chcieli pomagać rycerzowi, który nie miał swojego suzerena.

Latem 1087 roku, dwa lata po ucieczce Branwen, zmarł Wilhelm Zdobywca i królem Anglii został jego drugi syn, William Rufus. Nowy król uwikłany był w walkę ze swoim starszym bratem, księciem Robertem z Normandii i królem szkockim Malcolmem. Nie miał więc czasu myśleć o Walii. Twierdza Afoncaer cieszyła się dziesięcioma latami pokoju do czasu, gdy Normanowie znowu napadli na kraj.

Minęło dwanaście lat, zanim Branwen powróciła. Do tego czasu Afoncaer rządził baron Lionel. Była też tam lady Isabel.

CZEŚĆ 2

ISABEL

Anglia, AD. 1090 - 1098

## ROZDZIAŁ 4

Westminster, początek grudnia 1090

Isabel była zadowolona z decyzji, jaką podjął jej ojciec w związku z wzorem jej męża. Sir Fulk z Bretanii nic nie mówił o swoim zdrowiu, ale widziała, jak bardzo cierpiał przez ostatni rok. Jedną z jego wojennych ran znowu się otworzyła i zakażenie drażyło jego ciało, odbierając siły. Lekarze udawali optymizm. Isabel nie wierzyła jednak ani jednemu ich słowu. Jej ojciec wkrótce umrze, ale zanim dołączy do matki Isabel na tamtym świecie, zapewni córce godziwe życie na ziemi. Zawsze troskliwie opiekował się nią i teraz też jej nie zawiedzie. Znajdzie jej dobrego męża.

Wiedziała, że odrzucił kilka próśb o jej rękę. Odmówił także wysoko postawionemu arystokracie z dworu francuskiego. Zdaniem sir Fulka duże możliwości leżały nie we Francji, lecz w kraju podbitym ćwierć wieku temu przez Williama z Normandii. W Anglii ciągle można było uzyskać ważne tytuły. Sir Fulk, którego ziemie w Bretanii przejdą po jego śmierci w ręce jego bratanek, śnił piękne sny o wspaniałej przyszłości swoich wnuków. Wybrał męża dla swojej ukochanej córki, może trochę zepsutej jedynaczki, posiadającej wspaniałe wiano - ziemie w Anglii. Rękę córki wraz z jej posagiem chciał oddać sir Lionelowi Fitz Lionelowi z Adderbury. Zapewnił Isabel, że jej przyszły mąż jest młody, przystojny i co najważniejsze, jest bliskim przyjacielem króla Williama Rufusa.

- Nigdy nie spotkałem nowego króla - powiedział sir Fulk do Isabel - ale miejmy nadzieję, że jest dzielny i dobrym władcą tak jak jego ojciec. Będziesz mieszkała na dworze angielskim, na którym twój mąż będzie miał duże uznanie i autorytet.

Isabel bardzo podobała się taka wizja przyszłości. Cały czas myślała o nowych sukniach, biżuterii, wspaniałych bankietach i ludziach, których miała spotkać. Miała wszystko, co młodej arystokratce się należało. Nigdy nie była dalej niż kilka mil poza zamkiem jej ojca w Bretanii, dlatego też myśl o podróży, która ją czekała i nowym mężu, nie dawała jej spokoju. Była bardzo podniecona.

Szybko wypoczęła po podróży. Stała teraz w jednym z pokojów domu królewskiego w Westminster i przygotowywała się do uczty weselnej. Służące ubierały ją w piękną suknię. Początkowo ślub miał się odbyć minionego lata, sześć miesięcy temu. Jednak z powodu

śmierci ojca sir Lionela, potem zaś jego matki, został przełożony. Sir Lionel odziedziczył spadek i honory po swoim ojcu i zyskał sobie uznanie króla. Był teraz bardzo bogatym człowiekiem.

Skończył się okres żałoby. Sir Lionel i lady Isabel mieli się pobrać. Ślub miał się odbyć wczesnym rankiem, wieczorem natomiast organizowane było huczne przyjęcie na ich cześć. Isabel nie widziała jeszcze swojego przyszłego męża, co było w ówczesnym zwyczaju. Ufała, że jej ojciec dokonał dobrego wyboru.

Isabel była zachwycona sukienką, w której miała wystąpić podczas uroczystości ślubnej. Służące, Agnes i Joan, pomagały jej się ubrać. Agnes płakała.

- Drogie dziecko, jaka szkoda, że twoja mama nie może cię zobaczyć - powiedziała.

Agnes była bardzo oddaną służącą. Wiele lat spędziła u boku matki lady Isabel, a po jej śmierci opiekowała się Isabel.

Joan, druga służąca, była młodsza. Niezwykle zdolna, umiała szyć wspaniałe suknie. To Joan wytłumaczyła Isabel, co należy do obowiązków żony i jak należy je wypełniać. Roztoczyła przed Isabel świat pełen fascynujących przygód i nowych możliwości. Joan również była służącą matki Isabel. Dużo wiedziała o sprawach małżeńskich, ponieważ sama była kiedyś mężatką.

Służąca delikatnie ułożyła na głowie Isabel jedwabny, biały welon, po czym założyła złoty diadem.

- Wygląda pani pięknie. Kolor sukni pasuje do twoich oczu, włosów i karnacji. Sir Lionel nie oderwie od ciebie wzroku.

Agnes chlipała cichutko, Isabel zaś, widząc podziw w oczach Joan, była bardzo zadowolona. Wcale nie była zdenerwowana. Wiedziała, że jest piękna, w sukience czy bez niej. Nie miała żadnych wątpliwości, że sir Lionel ją pokocha. Każdy, kto ją spotkał, był nią oczarowany i wypełniał wszystkie jej zachcianki. Była pewna, że jej mąż będzie robił to samo.

Agnes otworzyła drzwi. W asyście służących Isabel wyszła na spotkanie nowego życia.

Król William Rufus nie spodobał się Isabel. Pojawił się nieoczekiwanie w komnacie właśnie wtedy, kiedy przedstawiano ją sir Lionelowi. Strój króla mienił się kolorami, a od mnogości złotych haftów można było dostać zawrotu głowy. Jak na jej gust był w stosunku do niej zbyt grzeczny. Czuła się przez to nieswojo; król



zachowywał się tak, jakby miał jakiś ukryty cel w swojej serdeczności. Był przystojny, dobrze zbudowany, miał długie blond włosy skręcone w loki i czerwoną twarz. William pochylił się nad jej ręką, a ona ukloniła się przed nim.

- Och, lady Isabel Jakże długo czekaliśmy na twój przyjazd. - Delikatnie musnął jej rękę wydatnymi, czerwonymi ustami, po czym wyprostował się i spojrzał na nią zimnymi, niebieskimi oczyma. - Jesteś prześliczna. Będiesz ozdobą naszego dworu, słodkim, niewinnym skarbem naszego drogiego Lionela.

- Dziękuję, panie.

Źle na nią działał miękki ton połączony z lodowatym spojrzeniem króla. Sądziła, że jej nie polubił. Nie miała jednak pojęcia dlaczego. Przecież w ogóle jej nie znał. Podniosła jednak wysoko czoło, przypominając sobie, że pochodzi ze starego i szanowanego rodu podczas gdy on był synem bękarta i wnukiem córki garbarza.

- Cieszę się, że mogę być nareszcie w Anglii, mój panie. Niecierpliwie czekam na rozpoczęcie wesela.

- Niecierpliwie? To niesamowite! Na ogół to pan młody niecierpliwie czeka.

Król zaśmiał się drwiąco, zawtórowali mu również jego dworzanie. Isabel poczuła, że się rumieni. Król obdarzył ją ostatnim pełnym rozbawienia spojrzeniem i opuścił komnatę, stawiając drobne kroczki, co nie pasowało do jego olbrzymiej postury.

Isabel ochłonęła z zawstydzenia i skierowała całą swoją uwagę na sir Lionela. Pomyślała, że jest najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego w życiu widziała. Miał prawie dwadzieścia dwa lata. Był wysoki, miał niebieskie oczy i złote włosy. Jego promienny uśmiech i wykwinne maniery spowodowały, że Isabel była gotowa go pokochać. Sir Lionel podszedł do niej i kłaniając się wytwornie, podał jej dłoń.

- Spotkamy się za chwilę - powiedział uśmiechając się i podążył za królem.

W kaplicy podczas czytania kontraktu małżeńskiego Lionel wydawał się niezupewnie pewny swojej decyzji. Podczas wspaniałej uczyty weselnej wydanej na ich cześć przez króla Rufusa pił bardzo dużo alkoholu. Isabel starała się sobie wytłumaczyć, że widocznie jest bardzo zdenerwowany. Na pewno wkrótce przyzwyczają się do siebie i jego niepewność zniknie. Podziwiała wspaniałe ubranie Lionela,

jego bogato haftowaną, błękitną tunikę, zdobiony pas i klamrę przypiętą do jasnozielonego płaszcza. Nosił długie włosy tak jak król i inni mężczyźni w Bretanii. Były smarowane specjalnymi olejami i skręcane w długie loki w ulubionym stylu króla naśladowanym przez wszystkich innych mężczyzn na dworze.

Isabel zauważyła, że jej ojcu nie podoba się ubiór dworzan. Podejrzewała też, że rozczarował go sam król. Sir Fulk oczekiwał, że król ubrany będzie w strój rycerski. Nie podobały mu się te eleganckie fatałaszki. Sir Fulk był dobrym żołnierzem, weteranem wielu bitew. Gdy nie musiał nakładać zbroi, nosił skórzane tuniki i ciężkie buty do jazdy konnej. Nie rozumiał obyczajów nowej generacji zapominającej już o chwale zdobywanej na polach bitewnych. Isabel zignorowała ostre spojrzenia ojca i skoncentrowała się na rozmowie. Jednak grubiańskie i ordynarne dowcipy opowiadane przez dworzan peszyły ją.

Na przyjęciu był jeden mężczyzna, który nie nosił ani jedwabnej szaty, ani ozdób. Był to trzynastoletni brat sir Lionela - młody Guy z Adderbury, paź króla Wiliama Rufusa. Tymczasowo został zwolniony ze swoich obowiązków, by towarzyszyć bratu na jego weselu. Guy był jeszcze chłopcem, ale z łatwością można było zauważyć ogromne podobieństwo do sir Lionela. Był bardzo spokojny, obserwował brata i jego głośnych przyjaciół z powagą. Czasami zatrzymywał swój wzrok na Isabel i kiedy ich spojrzenia spotykały się, uśmiechał się, dodając jej odwagi. Czyżby sądził, że boi się nocy, która ją czeka? Przecież był jeszcze głupiutkim chłopcem młodszym o cały rok od niej. Dumna Isabel nie patrzyła na niego więcej. Po chwili jednak, kiedy przypadkiem na niego spojrzała, zajęty był rozmową z jej ojcem. Pasują do siebie, pomyślała, obaj tacy poważni. Odwróciła się z powrotem do swego roześmianego, przystojnego męża.

Kiedy uczta miała się już ku końcowi, Isabel zaczęła się denerwować. Starła się zignorować nagle, mocne bicie serca, które czuła za każdym razem, kiedy spojrzała na Lionela. On natomiast zaczął unikać jej wzroku. Z pewnością był także mocno przejęty tym, co miało nastąpić. Ciągle jednak śmiał się i pił z przyjaciółmi.

Nadszedł czas, kiedy miała udać się na spoczynek; wtedy podszedł do niej ojciec.

- Idź z tymi kobietami - powiedział. - One się tobą zaopiekują, moje dziecko. Sir Lionel zaproponował, żebyście byli sami. Król

wyraził na to zgodę. Doprawdy jego wysokość jest dla was bardzo łaskawy. - Sir Fulk mówił to z ogromnym zdziwieniem w głosie.

Isabel, która przygotowana była na zwyczajową publiczną inspekcję pierwszej nocy kochanków, zdziwiła się również. Może myliła się co do króla, może jednak ją polubił. Potem przyszło jej na myśl, że król chce zadowolić nie ją lecz swojego przyjaciela, sir Lionela. Jakikolwiek był powód tej decyzji, Isabel była wdzięczna królowi i Lionelowi za troskę, jaką jej okazali. Czuła się teraz o wiele spokojniejsza, wiedząc że jej pierwsze spotkanie z mężem będzie miało intymny charakter. Była przerażona na myśl, że ją i jej męża będzie oddzielać od rozpustnych dworzan tylko lekko zasunięta kotara. Bała się ich ciętych języków i nieprzyjemnych komentarzy. Na szczęście uniknie tego i to dzięki królowi i Lionelowi.

Kilka dam dworu już mocno wstawionych, odprowadziło Isabel do jej pokoju. Służące rozebrały ją, a damy dworu obejrzały ciało Isabel, by się upewnić, że nie ma żadnych poważnych fizycznych braków. Ta krótka ceremonia nie była taka straszna, jak obawiała się Isabel. Zarumieniona stała cichutko, pozwalając kobietom oglądać swoje ciało w pełni świadoma tego, że podziwiają jej jędrne, ładne piersi i śmietankową skórę. Piszczące i plotkujące damy dworu powróciły na przyjęcie, które miało trwać całą noc.

Do pokoju weszły Joan i Agnes, posprzątały wszystkie porozrzucane rzeczy. Później ubrały ją w długą lnianą suknię i pozostawiły, aby w samotności oczekiwała na przyjście męża. Isabel zrzuciła z siebie niepotrzebną jej zdaniem suknię i weszła do łóżka. Teraz, kiedy publiczna część wieczoru była już zakończona, Isabel czuła podniecenie, a nie lęk, choć Joan ostrzegła ją, że pierwsza noc nie będzie tą najwspanialszą. Gdy w trakcie ceremonii małżeńskiej Lionel pocałował ją by przypieczętować ich związek, jego usta były gorące i delikatne. Z pewnością nie zrobi nic, by ją zranić. Zresztą Joan mówiła tylko o delikatności i uczuciowości towarzyszącej temu przeżyciu. Isabel czekała wpatrzona w drzwi.

Słyszała głośny śmiech mężczyzn dochodzący z drugiego pokoju. Wydawało jej się, że słyszy króla. Nastąpiła cisza, a po niej dobiegł ją szept dwóch mężczyzn. Niestety nie mogła zrozumieć żadnego słowa. Zaczęły zawodzić ją nerwy. Była pewna, że jednym z rozmówców był sam król. Nie mogła zrozumieć jednak, co robił tak długo przed jej

pokojem, kiedy powinien być w sali bankietowej i pełnić honory gospodarza.

Nareszcie otworzyły się drzwi i Lionel wszedł do pokoju. Miał na sobie luźną, czerwoną togę. Isabel uśmiechnęła się do niego. Widok przystojnego męża dodawał jej śmiałości. Przysunął się do niej, stawiając małe kroki, najwyraźniej niechętnie. Miał wypieki na twarzy, a jego niebieskie oczy były nienaturalnie błyszczące.

- To musi się stać, żeby nasze małżeństwo było legalne - powiedział.

Czy sądził, że nikt jej nie powiedział, czego od niej teraz oczekiwano? Czy to dlatego wahał się, by do niej podejść? Pospieszyła go zapewnić, że zna swoje obowiązki.

- Wiem, mój panie i postaram się sprawić tobie przyjemność. - Znowu się uśmiechnęła, tym razem trochę niepewnie, ponieważ coś w jego zachowaniu zaczęło ją przerażać.

- Przyjemność nie ma z tym nic wspólnego, to tylko nieprzyjemny obowiązek, nic więcej - powiedział.

Zdjął togę i stanął przed nią nagi. Ciężko oddychał. Jego potężna klatka piersiowa pokryta była złotymi włosami tak jak jego wspaniale umięśnione ramiona. Nogi miał długie i smukłe, ale Isabel wcale tego nie zauważyła. Wpatrywała się w nabrzmiały członek mężczyzny. Lekki dreszcz przeszył jej ciało, ale szybko przypomniała sobie, że jej obowiązkiem jest być mu posłuszną. Mając w pamięci to, co powiedziała jej Joan, poczuła podniecenie rosnące w jej ciele. Zrzuciła z siebie koce i zapytała:

- Czy wejdiesz do łóżka, mój panie? - Przesunęła się trochę, by zrobić mu więcej miejsca.

- To nie będzie długo trwało - zapewnił, rzucając ją na prześcieradła. Mocno chwycił jej kolana i silnym ruchem rozchylił je, po czym położył się na niej.

- Co robisz? - krzyknęła. Ich pierwsza noc nie przebiegała tak jak ona sobie to wyobrażała i jak opowiadała jej Joan. Czyż nie miał zamiaru jej pocałować? Powiedzieć jaka jest piękna i miła? Poczwała coś twardego między swoimi nogami. Nie, to z pewnością nie było miłe. - Proszę, mój panie, nie rób tego.

- Bądź cicho - zażądał Lionel, przyciskając ją coraz mocniej. Isabel zacisnęła usta, starając się być mu posłuszną. Zasłony przy łóżku nie były zaciągnięte, toteż w blasku świecy zobaczyła w szafie

odbicie twarzy Lionela. Malował się na niej niesmak i niechęć. Widać było, że czuje się tak jak ona. Była pewna, że coś jest nie w porządku, nie wiedziała tylko co.

Lionel spróbował znowu. Isabel nie mogła wytrzymać bólu i chciała krzyknąć. Lionel osiągnął to czego chciał, był w niej. Może teraz będzie przyjemniej, pomyślała Isabel. Poruszał się szybko, był cały spocony i czerwony z wysiłku. Teraz już nie czuła takiego bólu jak na początku. Powolotku powracał do niej stan podniecenia. W przyszłości to naprawdę może być przyjemne. Kiedy chciała objąć rękoma jego ramiona, Lionel znieruchomiał i zsunął się z niej. Isabel leżała odwrócona do niego plecami, gryząc dolną wargę, bliska płaczu, zupełnie rozczarowana tym, co się stało.

- Bogu dziękujemy, że już po wszystkim - powiedział. Isabel przyszło do głowy tylko jedno wytłumaczenie, dlaczego Lionel tak szorstko się z nią obchodził.

- Mój panie - zapytała, opanowując łzy - czy dla ciebie to był również pierwszy raz? Czy nie wiedziałeś, że powinienes być dla mnie delikatny, że oboje powinniśmy być czuli wobec siebie?

- Pierwszy raz? Dla mnie? - Wybuchnął śmiechem tak głośnym, że zatrzęsło się łóżko. Łzy pociekły po jego policzkach.

- Czułość, delikatność? Muszę pamiętać, by powiedzieć o tym królowi. - Nie mógł mówić, dławiąc się śmiechem.

Isabel oniemiała. Przecież Lionel nie będzie rozmawiał z królem o tak intymnych sprawach dotyczących zresztą tylko jej i jego. Poczekała, aż ucichnie jego spazmatyczny śmiech,

- Mój panie, bardzo mnie zraniłeś. Mówiono mi, że akt miłosny może być piękny i przyjemny.

- Doprawdy? A któż to ci tak mówił? Jakiś bawidamek w zamku twojego ojca?

- Nie, mój panie. - Ciągle nie umiała powiedzieć do niego Lionel, chociaż miała już do tego prawo. To słowo nie mogło po prostu przejść przez jej usta. - To Joan, moja służąca, mi powiedziała. Od kiedy umarła moja matka, Joan wyjaśniała mi różne problemy i mówiła to, co powinnam wiedzieć. Opowiadała mi, że ona i jej mąż znajdują w sobie dużo przyjemności i że ty i ja również ją z czasem znajdziemy. Nie sądzę jednak, że tak będzie, skoro obchodzisz się ze mną tak surowo. Czy będziesz trochę delikatniejszy następnym razem? Teraz Lionel też usiadł.

- Oto dowód twojego dziewictwa - wskazał plamy krwi na prześcieradle. - Jest to również dowód tego, że nasze małżeństwo zostało skonsumowane i teraz jest legalne. Wypełniłem to, co wynikało z umowy pomiędzy twoim ojcem a moim. Nie będzie już następnego razu.

- Nie rozumiem...

- Nie oczekuję od ciebie, że to zrozumiesz.

- Większość arystokratycznych małżeństw zawierana jest w ten sposób. Mąż i żona nie znają się wcześniej, zazwyczaj żyją jednak ze sobą szczęśliwie. Dlaczego my nie możemy? Będziesz potrzebował dziedzica, mój panie.

- Jeżeli owocem tej nocy będzie dziecko, to niechaj tak zostanie. Jeżeli jednak nie, to Guy będzie moim dziedzicem. - Powiedziawszy te słowa, nachylił się nad nią i rzekł jadowicie ledwie słyszalnym głosem: - Sądzę, że to powinno zniechęcić moich rodziców.

Wpatrywała się w niego, nie będąc pewna, czy dobrze słyszała. Oboje jego rodzice już nie żyli. Dlaczego więc chciał ich zniechęcić? Dlaczego w ogóle ich zniechęcać? Za chwilę dotarło do niej znaczenie tych słów. Ten mężczyzna odmawiał bycia jej mężem.

- Masz w stosunku do mnie obowiązki! - krzyknęła ze złością. - Nigdy nie zaakceptuję małżeństwa na papierze! Zrobiłam swoje, a ty winien mi jesteś więcej niż tylko chłodne traktowanie. To moje prawo urodzić dziecko, które będzie dziedzicem Adderbury. Nie możesz odmówić mi moich obowiązków. Poskarżę się ojcu.

Chwycił jej złote włosy i mocno pociągnął, zmuszając ją w ten sposób, by na niego patrzyła

- Nikomu nic nie powiesz o tym, co tu się dzisiaj wydarzyło, ani o czym rozmawialiśmy, rozumiesz? Jedno słowo, a zabiję cię i powiem wszystkim, że to dlatego, iż byłaś mi niewierna Przyniesiesz wstyd całej swojej rodzinie. Wierz mi, że to zrobię, widziałas chyba, że mam w królu sprzymierzeńca.

Uwierzyła mu i zdała sobie sprawę, jak zimne były jego piękne, niebieskie oczy. Jej ciało drżało ze strachu. Była za bardzo przerażona, by zauważyć, że w oczach Lionela też gościło przerażenie. Skinęła głową na znak zgody. Lionel zwolnił uścisk i spojrzał na krew na prześcieradle.

- To nas rozdzieli. Ty na swojej stronie, ja na swojej. Tak pozostanie przez kilka następnych nocy, by twój ojciec nie czuł się

urazony. Szanuję jego wojskowe zasługi. Później będę spał gdzie indziej, obiecuję jednak, że przez te kilka nocy nie dotknę cię. Nikt nie będzie się temu dziwił. Wiele małżeństw na tym dworze prowadzi osobne życie.

- Ale nie wyślesz mnie daleko od dworu? - prosiła, by uratować chociaż część marzeń. Nie zniósłaby żyda gdzieś daleko od ludzi w jakimś szarym zamczysku.

- Nie. Bardziej przydasz mi się tutaj, na miejscu. Zdaje się, że lubisz luksus. Widziałem dzisiaj twoje suknie. Dostałem wiele podarunków od króla w podziękowaniu za wychodzenie naprzeciw jego zachciankom, podarunki, które muszą poczekać, aż moja sytuacja będzie pewniejsza, ale ty, moja żono, możesz pozwolić sobie na te zbytki. To ucieszy króla, a wszyscy będą myśleć, że jestem kochającym mężem. Tak, zostaniesz tutaj, Isabel. Będziemy najzabawniejszą parą. Jeżeli z czasem zaczniesz mnie nudzić, wyślę cię do Adderbury. Ale teraz będziesz blisko mnie, droga żono.

Lionel położył się wygodnie.

- Nie zapomnij zdmuchnąć świecę - powiedział, po czym zasnął.

## ROZDZIAŁ 5

Najdziwniejsze wydało się Isabel odkrycie, że jej życie na dworze angielskim nie było całkowicie nieszczęśliwe. Zdana sama na siebie po raz pierwszy w życiu, oddzielona od rzeczy i ludzi jej bliskich, nie mogąca mówić otwarcie o tym, co ją trapi powinna była czuć się źle, tymczasem wcale tak nie było. Zrozumiała, że jej dziewczęce marzenia o cudownym małżeństwie z szanowanym rycerzem były płonne, ale zrekompensowała to sobie w inny sposób.

Lionel traktował ją jak fascynującą nową zabawkę. Ubierał ją w kosztowne suknie i obdarowywał złotymi koliami i pierścionkami. Suknie szyte były według najnowszych wykrojów, według tych, przeciw którym występowali księża głoszący z ambon, że kobiety hołdujące tej modzie zasługują na wieczne potępienie za to, że wystawiają na pokusę umysły i ciała mężczyzn. Isabel wzruszała ramionami na te uwagi. Mogła pozwolić sobie na te ekstrawaganckie stroje, tym bardziej że jej figura nie pozostawiała nic do życzenia. Niestety noc spędzona z Lionelem nie przyniosła żadnych konsekwencji prócz niechęci i niesmaku. Miała zupełnie płaski brzusek i nosiła suknie, jakie ubierał jej Lionel, śmiejąc się z innych, bardziej konserwatywnych pań. Lionel lubił patrzeć na Isabel i jej wytworność. Był to jedyny sposób, w jaki mogła go uszczęśliwić, a kiedy to robiła, stawał się jeszcze bardziej szczodry.

Udawanie, że ich małżeństwo jest szczęśliwe, było z początku trudne, wymagało dużego poświęcenia z jej strony. Nigdy przedtem nie musiała udawać, że jest szczęśliwa, jeżeli tak nie było naprawdę. Musiała uważać na każde słowo i kontrolować wszystkie gesty. Jak się jednak okazało, była w tym całkiem niezła i przed nikim nie zdradziła się, że pomiędzy nią a Lionelem nie jest dobrze.

Po wyjeździe jej ojca z powrotem do Bretanii było to nawet łatwiejsze. Żegnała się z nim, roniąc wiele łez i podejrzewając, że więcej już go nie zobaczy, a również ciesząc się, że już jedzie. Bez jego rozumnego, ostrego spojrzenia będzie jej łatwiej się rozluźnić. Była pewna, że ojciec był zupełnie nieświadomy, w jakie ręce oddał swoją córkę, a ona bała się cokolwiek mu powiedzieć po tym, co usłyszała w noc poślubną.

Z podsłyszanych uwag wypowiedzianych przez dworzaków, Isabel szybko zrozumiała prawdziwą naturę związku, jaki łączył jej męża z królem. Budziło w niej to przerażenie i odrazę, ale nic nie mogła na to



poradzić. Lionel był władcą i panem, a ona jego własnością: gdyby dowiedział się, jakie jest jej zdanie, z pewnością wysłałby ją do Adderbury.

- Sir Lionel już z tobą nie sypia, nieprawdaż? Słyszałam, że ma teraz swój własny pokój, ale plotki głoszą, że rzadko spędza w nim nocę - powiedziała kiedyś lady Aloise, ciemnowłosa piękność o kilka lat starsza od Isabel. Jej mąż, sir Stephen z Dol, był doradcą jeszcze Wilhelma Zdobywcy. Lady Aloise miała pasierbów o wiele starszych od niej samej. - Uważaj się za szczęśliwą, moja droga Isabel Mój mąż, choć już zupełnie niezdarny w łóżku, nalega, by mnie odwiedzać codziennie, a na dodatek chrapie. Ty chociaż możesz odpocząć w spokoju.

Isabel nie wiedziała, co ma odpowiedzieć. Nie przyzwyczała się jeszcze do udawanej szczerości i wylewności innych dworzan. W domu jej ojca wymagano większej powściągliwości.

- Wiesz chyba, kochanie - kontynuowała Aloise - że nie musisz spędzać każdej nocy sama, jeżeli tego nie chcesz. Może Lionel nie chce spełniać swych obowiązków wobec ciebie, ale znalazłoby się wielu chętnych, by go zastąpić, musisz ich tylko troszeczkę do tego zachęcić. Rozejrzyj się trochę i wybierz sobie kogoś. O proszę, właśnie nadchodzi sir Richard. On uważa, że jesteś bez wątpienia najpiękniejszą kobietą na dworze. - Aloise uśmiechnęła się do mijającego je mężczyzny, a widząc wyraz twarzy Isabel, powiedziała: - No, może nie sir Richard..

- Ja nie potrzebuję mężczyzny. - Isabel chciała odejść, ale Aloise przytrzymała jej ramię.

- Nie odchodź. Myślałam, że lubisz sir Richarda. Zawsze jesteś dla niego taka miła. Pozostańmy przyjaciółkami, Isabel. - Oczy Aloise badały jej twarz. - Jakaż ty jesteś dziwna, taka łagodna i uprzejma, a jednak myślę, że masz jakieś sekrety. Nigdy nie wiadomo, co i o czym myślisz. Czyżby pierwsza noc z sir Lionelem była aż tak niefortunna?

- Ani z tobą, ani z nikim innym nie będę dyskutować na takie tematy. - Isabel próbowała bezskutecznie wyzwolić się z jej uścisku.

- Nie powinnyśmy się kłócić, Isabel. Mój mąż był bliskim przyjacielem poprzedniego króla i ciągle jeszcze ma wpływ na obecnego. Może być jeszcze potrzebny sir Lionelowi.

- Masz rację. - Isabel nie wrywała się już, usiadła obok Aloise i skierowała rozmowę na inne tematy, ale uważała na każde słowo, by

niczym się nie zdradzić. Wiedziała, że ta samokontrola nigdy się nie skończy. Obiecała Lionelowi, że będzie milczeć w tej sprawie i obietnicy dotrzyma.

Isabel rzuciła się w wir przygotowań i uciech świąt Bożego Narodzenia. Nie opuściła prawie żadnej uczyty czy polowania na cześć króla Williama. Chociaż szczerze mówiąc nic ją te polowania nie obchodziły, w szczególności gdy było zimno. Wolałaby raczej zostać w domu przy ognisku, ale nie chciała rozzłościć Lionela ani dać mu powodu, by stwierdził, że zaczęła go nudzić. Chciała pozostać na dworze królewskim, opływając w luksusie i bogactwie, dlatego zrobiłaby wszystko, by ucieszyć męża.

Lionelowi podobała się jej smukła sylwetka, toteż jadła bardzo niewiele, szczuplejąc z dnia na dzień. Wiedziała, że pije trochę za dużo na tych nigdy nie kończących się uroczystościach, ale to dodawało jej odwagi i rozluźniało napięte nerwy. Jej ulubioną zabawą było wychwalanie wyśmienitych win znad Renu podawanych w specjalnych srebrnych kielichach. Lionel był tym zachwycony. Nikt inny na dworze nie miał żony tak dobrze znającej się na zagranicznych winach i przykładającej tyle uwagi do sposobu ich podawania. Żadna też żona nie mówiła tak pięknie, że robi to, by zadowolić swego męża, który nauczył ją wszystkiego. To dało sir Lionelowi specjalną pozycję na dworze, a kiedy król William przyłączył się do zabawy, drogie wina znad Renu stały się najmodniejsze na dworze.

Isabel знаła wszystkich na dworze Williama, nie miała jednak prawdziwych przyjaciół, ponieważ nie było nikogo, komu mogłaby zaufać. Dworzanie ustawicznie plotkowali lub wymyślali nowe intrygi. Nie wierzyła nikomu, nawet Aloise, z którą pozostawała najbliższą, a jednak martwiła się o nią.

- Powinnaś być ostrożniejsza. Zachowujesz się bardzo frywolnie wobec mężczyzn - powiedziała pewnego wieczoru. - Jeśli obrazisz swojego męża, on gotów odesłać cię daleko od dworu. - Isabel nie wyobrażała sobie obrazić Lionela w ten sposób, zadrzała na samą myśl o Adderbury.

- Ja nie jestem taka zimna jak ty. Potrzebuję opieki mężczyzn, ich adoracji.

Isabel potrząsnęła głową z niedowierzaniem. Wiedziała, że Aloise miała kochanków. Mało było sekretów na tym dworze.

- Co byś zrobiła, gdyby były jakieś konsekwencje? - zapytała.

- Konsekwencje? - Aloise przez chwilę była zdumiona, później zrozumiała i zaczęła się śmiać. - Jakaż ty jesteś niedoświadczona! Są sposoby, dzięki którym można zapobiec temu, co ty nazywasz „konsekwencjami”, a jeżeli nawet nie zadziałają, to zawsze znajdzie się ktoś, kto umie sobie z tym poradzić, zanim „konsekwencja” stanie się bardziej widoczna.

- Aloise, ależ to jest niebezpieczne! - Isabel myślała zarówno o ciele, jak i duszy.

- Życie jest niebezpieczne i niepewne. Dla mężczyzn niebezpieczne są wojny, dla kobiet miłość fizyczna, a dla każdego choroba. Dlatego staram się znaleźć przyjemność w każdej chwili mego życia. Kto wie, co przyniesie jutro? Powinnaś mieć kochanka, Isabel.

- Jestem zadowolona z mojego małżeństwa.

To było kłamstwo i obie dobrze o tym wiedziały. Isabel stawiała się coraz lepszą kłamczuchą. Jediną osobą, z którą mogła rozmawiać szczerze, był sam Lionel. Zaczynała być coraz bardziej od niego zależna. Wiedziała, że będzie bronić przed całym światem wizji małżeństwa, jaką razem z Lionelem stworzyli. Nie obchodziło ją, czy świat w to uwierzy, czy nie, chciała zaspokoić swoje rosnące ambicje. Nie będzie miała kochanka i zrobi wszystko, by zadowolić Lionela, a przez to i siebie. Czuła, że się zmienia. Wraz z upływem czasu jej zainteresowanie sobą i codziennymi uciechami wzrastało. Stawała się lekkomyślna, płytka, a przede wszystkim ekstrawagancka. Lionelowi bardzo się to podobało.

- Jesteś o wiele bardziej interesująca, aniżeli mi się wydawało - powiedział jej pewnego dnia, kiedy pokazywała mu swoją najnowszą suknię. - Nie, nie ten naszyjnik, załóż tamten i inny pasek. O tak, teraz o wiele lepiej. Jesteś bardzo inteligentna, Isabel. Będzie mi przykro cię zostawić. Nigdy nie sądziłem, że powiem to o jakiejś kobiecie.

- Zostawić? Dokąd jedziesz?

- Mogę ci powiedzieć, już prawie wszyscy o tym wiedzą, chociaż ja dowiedziałem się o tym na chwilę przed przyjściem do ciebie. Książę Robert przysparza coraz więcej problemów w Normandii. On chce, aby ludzie Williama mający zamki w Normandii składali hołd jemu, a nie Williamowi. Twierdzi, że William jest jego młodszym bratem i nie ma rzeczywistego prawa do tronu angielskiego, co jest

oczywiście nonsensem. Wilhelm Zdobywca jasno oświadczył przed śmiercią, że Anglia należy do Wiliama, a Normandia do Roberta Król William nie może zgodzić się na taką zniewagę. Wyruszamy do Normandii w dzień święta Matki Boskiej Gromnicznej z nadzieją, że William położy kres nikczemności, jaka spotyka go ze strony starszego brata.

- Będzie mi ciebie brakowało - powiedziała zdziwiona, że to co mówi, jest prawdą.

- Cóż to, ty dbasz o mnie, moja pani? Sądziłem, że nie. - Uśmiechnął się, po czym zamyślił na chwilę. - Jest coś, co mogłabyś dla mnie zrobić, kiedy mnie nie będzie. Czyż to nie dziwne, że ci ufam? Jest niewielu, na których mogę polegać.

- Zawsze mam twoje interesy na względzie, mój panie.

- Powiedz raczej, że mój interes, by mieć dobrą pozycję, zbiega się z twoim. To, kim ty będziesz, zależy od tego, kim ja będę. Baronem, hrabią, a może i kimś ważniejszym?

- Właśnie tak, mój panie.

- Nigdy nie spojrzałaś na innego mężczyznę, przez całe dwa miesiące naszego małżeństwa. Mając na uwadze zachowanie innych dam w tym dworze, to doprawdy wzruszające.

- Moje doświadczenie z mężczyzną nie zachęciło mnie, by szukać nowych wrażeń.

- No, no, bądź ostrożna, moja droga, nie irytuj mnie albo pojedziesz do Adderbury.

Isabel nauczyła się już, że najlepszą rzeczą, kiedy Lionel zaczynał się denerwować, było zmienić temat

- Mówiłeś, że jest coś, co mogłabym dla ciebie zrobić? - zapytała.

- Tak. Pilnuj skrupulatnie moich interesów, kiedy wyjadę. Zawsze będę przyjacielem Williama i jestem w stanie utrzymać jego przyjaźń, ale jest wielu, którzy są o mnie zazdrośni. Potrzebuję cię, byś chroniła mnie, kiedy pojedę na wojnę. Powiadom mnie od razu, jeżeli zauważysz, że ktoś knuje jakąś intrygę przeciwko mnie. Przede wszystkim obserwuj Ralpa Flambarda, on mi się nie podoba.

- Będę cię informować o wszystkim, co się tutaj będzie działo podczas twojej nieobecności.

- Oczywiście, że będziesz, przecież ty też na tym skorzystasz. - Posłał jej wspaniały uśmiech i odszedł.

Isabel naprawdę tęskniła za Lionelem. Wmówiła sobie, że nie jest jej obojętny i że z przyjemnością przywita go z otwartymi ramionami i przygotuje mu wygodne łóżko. Nie wiedziała, dlaczego tak myśli, być może to złość na inne kobiety wywołała w niej te uczucia. Bezustannie dokuczały jej z powodu płaskiego brzucha. Już dawno powinna była urodzić dziecko. Był to wstrętny sposób ranienia jej uczuć, za to co było już publicznym sekretem: przywiązanie i miłość króla Williama do Lionela.

- Nie zwracaj na nie uwagi - radziła Aloise, gdy niektóre damy dworu doprowadzały Isabel do łóżka. - Mnie też tak dokuczają, ale ja nie przejmuję się tym.

- Bo nie musisz, twój mąż jest za stary, by cię o cokolwiek winiły, ale Lionel? Jakżeż one nim gardzą!

- Zazdroszczą mu - zauważyła Aloise. - Gdyby król miał inne upodobania, to każda z nich chętnie rzuciłaby się do jego łóżka, by wzmocnić pozycję swoją i swojej rodziny. Zapomnij o nich, Isabel. One naprawdę nic nie znaczą.

Isabel nie mogła im jednak tego darować. Opinie tych kobiet miały dla niej znaczenie. Żałowała, że nie można mieć dziecka bez pomocy mężczyzny.

Króla i jego ludzi nie było przez osiem miesięcy. Powrócili do Anglii we wrześniu tylko po to, by przygotować się do wojny z królem Malcolmem ze Szkocji, który podczas nieobecności Williama wkroczył na tereny północnej Anglii.

Lionel miał w zanadrzu zaledwie kilka miłych słów dla swojej żony. Król William nie tylko zawarł pokój z księciem Robertem, ale również pogodził się ze swoim najmłodszym bratem Henrykiem. Powrócił z nimi do Anglii i królewskie rodzeństwo było w komplecie. Lionel czuł się opuszczony i zdradzony.

- Niech to diabli! - Rzucił kielichem, o mało co nie trafiając nim Isabel, która siedziała przy ogniu wyszywając. Podeszedł do niej i spoglądając spod swoich ciemnozłotych powiek, dodał: - Po tym wszystkim, co dla niego uczyniłem, on traktuje mnie tak chłodno! Jak on śmie?!

Guy fitz Lionel podniósł kielich z podłogi, nappełnił go winem i podał bratu.

- Bracia powinni żyć ze sobą w zgodzie, tak jak my zawsze żyliśmy - powiedział.

Lionel prychnął i nieomal zadławił się winem. Isabel spojrzała uważnie na szwagra. Guy pojechał do Normandii wraz z królem i wrócił bardzo zmieniony. Nie miał jeszcze piętnastu lat, jednak bardzo wydorósł i zmężniał. Jego twarz nabrała męskich rysów, szczęki mocno się zarysowały; nie był już chłopcem jak wtedy, gdy go poznała. Jego podobieństwo do Lionela było uderzające, ale można było przypuszczać, że będzie jeszcze przystojniejszy niż brat.

- Guy ma rację - zauważyła Isabel. - Nie radzę ci mieszać się w sprawy pomiędzy książętami. Poza tym wiesz, jak zmienny jest William. Wkrótce zmęczy się Henrykiem, pokłóci z Robertem i znowu powrócisz do jego łask.

- Nie potrzebuję twoich rad, głupia kobieto! - krzyknął Lionel i wybiegł z pokoju.

- Z pewnością nie... nie aprobujesz... przyjaźni między Lionelem a królem Williamem?

- Oczywiście, że nie. - Oczy Isabel i Guya spotkały się. - Wcale mi się to nie podoba, ale co mogę zrobić? Lionel jest panem samego siebie. - Ku jej wielkiemu zdziwieniu ogromne łzy spłynęły jej po policzkach. Tak bardzo była przyzwyczajona do ukrywania swoich prawdziwych uczuć, że zupełnie nie wiedziała, jak ma się zachować. Po kilku sekundach przestała płakać.

Guyowi zrobiło się jej bardzo żal.

- Proszę, nie płacz. Nie chciałem cię zranić. Czy jest coś, co mógłbym dla ciebie zrobić?

- Nikt nic nie może dla mnie zrobić. Lionel jest zły na króla, że ten nie zwraca na niego uwagi, ale nie mogąc okazać mu swojego oburzenia, całą złość wylewa na mnie. Cokolwiek powiem lub zrobię, on się wścieka. Boję się, że wyśle mnie do Adderbury, a tego bym nie zniosła. - Zadowolona z wrażenia, jakie wywarł na Guyu jej płacz, Isabel zatrzepotała rękami, pozwalając jeszcze kilku łzom popłynąć po policzku.

- Adderbury wcale nie jest takie złe. Lubilem tam mieszkać, kiedy byłem mały.

- Ale to nie jest dwór królewski - skomentowała. Starła ostatnie łzy chusteczką i pomyślała, że jest coś, co Guy mógłby dla niej zrobić. Nie mogła mu jednak tego powiedzieć, bo uciekłyby od niej przerażony, a dla niej nie oznaczałoby to wygnania, tylko śmierć. - Cokolwiek trzeba będzie zrobić - rzekła - zrobię to sama.

## ROZDZIAŁ 6

Lionel był bardzo pijany. Wypijał kielich za kielichem już od południa i Guy bardzo się o niego martwił. Lionel mówił o wiele za dużo na tematy, których nie powinien był poruszać. Około północy Guy zmuszony był zanieść kompletnie pijanego brata do pokoju Isabel.

- Mówił same okropne rzeczy. - Guy położył nieprzytomnego brata na łóżku i zaczął ściągać mu buty. - Lionel przysporzył sobie dzisiaj wielu wrogów. Nazwał Ralpa Flambarda mizdrzącym się tchórzem, po czym chciał obrazić samego króla. Musiałem wyprowadzić go z sali, bo nie wiadomo, czym by się to wszystko skończyła. Przyproceedziłem go tutaj, bo pomyślałem sobie, że jeżeli będzie w twojej sypialni, to tylko ty usłyszysz te okropieństwa, gdy znowu zaczniesz gadać w ten sposób.

- Mądrze zrobiłeś, Guy. - Isabel popatrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. - Myślę, że byłoby dobrze, gdybyś spał dzisiaj w pokoju obok. Odeślę służących i będziemy absolutnie pewni, że nikt nic nie usłyszy. Możemy przecież sobie nawzajem ufać.

- Tak, chyba masz rację. Aż do rana nie mam żadnych obowiązków. - Guy spojrział na bezwładnego Lionela i rzekł: - Chciałbym, żeby tyle nie pił. Czy możemy coś jeszcze dla niego zrobić?

- Tak. Pomóż mi go rozebrać.

- Zupełnie do naga?

- Tak. Przykryjemy go kocami, z pewnością będzie mu o wiele wygodniej. - Agnes cały czas kręciła się wokół nich, niepotrzebnie robiąc zamieszanie.

- Idź na dół do komnat dla kobiet i zostań tam dzisiejszej nocy. Nie będę cię już potrzebowała.

- Ależ pani, nie mogę zostawić cię samej.

- Będę z moim mężem. Guy pozostanie tutaj, by nas strzec. - Gdy już uporali się z Lionelem, Isabel przyniosła Guyowi koc i poduszkę. - Powinno być ci wygodnie koło kominka.

- To dziwne uczucie spać samemu, na ogół śpię w pokoju razem z innymi giermkami.

- Dobranoc, dziękuję za twoją troskę. - Isabel pocałowała go leciutko w policzek i poszła do swego pokoju.

Guy położył się koło kominka. Płomienie delikatnie oświetlały pokój. Był szczęśliwy, że jest sam. Ostatnio był trochę podenerwowany, i to nie tylko nierozsądnym zachowaniem brata, ale także snami, jakie miewał. Po raz pierwszy w życiu Guy szaleńczo zakochał się w Kate, jednej z dziewcząt pracujących w kuchni. Była to hoża, ognistowłosa osiemnastolatka. Widok jej ciała, gdy przypadkowo zobaczył ją w łaźni, jeszcze bardziej rozbudził w nim pożądanie. Nie mógł zapomnieć jej aksamitnych, kształtnych pośladków i podniecającego trójkątka rudych włosów pomiędzy udami. Wiedział, że to grzech, ale nie mógł przestać o niej myśleć. Każdej nocy miał przed oczami jej kremowe ciało, prawie czuł jej zapach. Guy nigdy jeszcze nie spał z kobietą i zaczynał już wątpić, czy kiedykolwiek to się stanie. Bezskutecznie usiłował zapomnieć o Kate, wiedząc, że nie przystoi giermkowi obdarzać miłością kuchty. Miał nadzieję, że może tej nocy nareszcie zaśnie spokojnym, niczym nie zmaconym snem i rano obudzi się świeży i wypoczęty.

Jeszcze chwilę rozmyślał, patrząc na wygasające już płomyki ognia, aż poczuł się senny. Zasnął głębokim, kamiennym snem.

Przyszła do niego w zupełnych ciemnościach. Ogień już wygasł i nic nie można było zobaczyć, ale wiedział, że to była Kate. Rozpoznał od razu jej gładkie, miękkie ciało. Było w dotyku zupełnie takie, jak sobie wyobrażał. Przebudził się, gdy rozpięła mu spodnie, obnażając jego męskość. Kiedy podniósł ręce, by zaprotestować, poczuł jej małe piersi. Chciał coś powiedzieć, ale jej usta przylgnęły do jego z ogromną siłą. Jego młode ciało natychmiast odpowiadało na pieszczoty jej zręcznych palców. Nagle zawahała się jakby zaskoczona tym, co robi.

Chciał jej udowodnić, że wcale nie jest taki niezdarny w tych sprawach, wsunął więc język do jej ust. Była to sztuczka, o której opowiadał mu jeden ze starszych giermków i niespodziewanie reakcja Kate była dokładnie taka, jak obiecywał kolega. Westchnęła cichutko, przysunęła się do niego bliżej i otworzyła szeroko usta, dotykając jego języka swoim. Przez cały czas jej palce dotykały i pieściły jego członek aż do momentu, kiedy Guy myślał, że wybuchnie. Wiedział, że nie może już dłużej czekać, to musi stać się teraz. Objął ją mocno, przysunął się bliźniutko i prowadzony przez nią dotarł do miejsca, do którego chciał dotrzeć, świat eksplodował, wydawało mu się, że oślepi od światła, które nagle zobaczył. Chciał krzyczeć, ale ona wciąż



przyciskała swoje wargi do jego ust Nie mógł uwierzyć, że to tak krótko trwało. Położył rękę na jej piersi, czując jak mały punkcik rośnie pod jego dotykiem. Żałował, że ogień już wygasł, tak bardzo chciał ujrzeć jej twarz, jej szare oczy, piegi i śmiesznie zadarty nosek.

- Kochana Kate - wyszeptał. - Czy ty też mnie kochasz? Wiem, że tak, chociaż tego nie powiesz. Zamiast odpowiedzi mruknęła i pocałowała go. Znowu głaskał jej piersi. Dziwne, jak małe wydawały się w ciemności. Przyciągnęła go do siebie obiema rękami. Nie sądził, by było możliwe powtórzyć to po tak krótkiej przerwie. Nie było wątpliwości, znowu był gotowy. Ale tym razem było inaczej. Kołysała biodrami powoli i postękiwała, zupełnie nie dbając o to, czy obudzi Lionela i Isabel, czy nie. Miał wrażenie, że tym razem i ona przeżyła prawdziwą eksplozję podniecenia. Teraz trwało to o wiele dłużej i było jeszcze przyjemniejsze. Nigdy wcześniej nie przeżył czegoś tak cudownego i podniecającego.

\*

Obudził się szarym świtem i sądził, że wszystko było tylko snem aż do momentu, kiedy zobaczył, że jest nagi. Przez długą chwilę myślał, że sam się rozebrał. Po chwili jednak przypomniał sobie Kate i wiedział, że to się wydarzyło naprawdę. Kate musiała podążyć za nim, gdy wyprowadzał Lionela z przyjęcia. Z pewnością widziała Agnes zmierzającą do komnat kobiecych i pomyślała, że jest sam. Wtedy przyszła do niego i dała mu najpiękniejszy podarunek i dowód swej miłości.

Nie mógł tylko zrozumieć, dlaczego później w kuchni, kiedy do niej podszedł i objął, odepchnęła go i nazwała głupim szczeniakiem. Może chciała zachować to w tajemnicy i nie narażać swej reputacji? Nie przypuszczał, by mogła tego żałować. Przecież tak samo rozkoszowała się tym jak i on. Pogwizdywał wesoło w trakcie wypełniania swoich obowiązków, bo tego dnia Guy fitz Lionel stał się nareszcie mężczyzną.

## ROZDZIAŁ 7

Lionel z trudnością otworzył zaspane, podkrążone oczy. Dopiero po kilku minutach był w stanie coś zobaczyć. Spojrzał na swoją żonę i krzyknął:

- Cóż u diabła robisz w moim łóżku?

- To jest moje łóżko, panie. - Spojrzała na niego, starając się wyglądać jak najniewinniej. - Twój brat przyprowadził cię tu wczoraj z obawy, że pod wpływem alkoholu zrujnujesz sobie życie.

- Guy mnie tu przyniósł? - Lionel oparł się o poduszkę, by złagodzić okropny ból głowy. - To dobry chłopak.

- Tak, ale ja nie jestem szczęśliwa z tego powodu. - Isabel miała bardzo zmartwioną minę, mrużyła powieki, spod których wypływały łzy.

- Co się stało? Moja zimna jak lód dama płacze? Czy boisz się, że zrujnuję nam obojgu życie na dworze?

- Nie, to nie to. - Zacisnęła wargi, by powstrzymać ich drżenie. - Ja wiem, że to jest twoje prawo, mój panie i wiem, że bardzo dużo wypiliśmy poprzedniego wieczoru.

- Kobieto, o czym ty mówisz? - Lionel usiadł na łóżku, potrząsając głową, jakby chciał w niej uporządkować myśli.

- Ty... - Isabel ciężko przełykała ślinę, patrząc mu prosto w oczy - wykorzystałeś wczoraj swoje prawo męża do żony.

- Ja? Nigdy! To niemożliwe!

- Cóż, zrobiłeś to już kiedyś i powiedziałeś, że się to więcej nie powtórzy; tymczasem stało się to wczorajszej nocy.

- Stało się? - Jego twarz była zupełnie blada.

- Rozumiem, że stało się to dlatego, że byłeś bardzo pijany i rozzłoszczony.

- Nic nie pamiętam. - Lionel chwycił głowę w obie ręce. - Przynieś mi wina, zanim moja głowa odpadnie.

Isabel wstała z łóżka i podeszła do stołu. Wzięła do ręki dzbanek z winem i kielich. Czowała, że Lionel cały czas na nią patrzy. Była zupełnie naga.

- Gdzie twoja koszula nocna?

- Kazałeś mi ją zdjąć w nocy.

- Włóż coś na siebie, jesteś odrażająca!

- Tak, mój panie. - W sypialni było zimno, szybko więc nałożyła na siebie wełnianą koszulę i stanęła przy nim.

- Nie obawiaj się, mój panie, nikomu o tym nie powiem. - Pomyślała jakie to dziwne, że prawowity mąż nie może sypiać ze swoją prawowitą małżonką. Ale dwór zazdrosnego króla rządził się swoimi prawami. Jakież odległe są te czasy, kiedy jeszcze w Bretanii była niewinną dziewczynką i marzyła o wspaniałym, przystojnym mężu. W przypiływie nagłej czułości wyciągnęła rękę i odgarnęła złoty kosmyk włosów z jego czoła. Gwałtownie odsunął się od niej, wylewając trochę wina z kielicha.

- Nie rób tego - powiedział.

- Przepraszam, nie chciałam cię rozgniewać właśnie teraz, kiedy masz tyle na głowie, ale musiałam ci o tym powiedzieć. Nie wiadomo co wyniknie z tej nocy, być może dziedzic Adderbury. - W jej głosie kryła się nutka nadziei.

- Tak. - Lionel wpatrywał się w wino. - Cieszę się, że mi powiedziałaś. Ty zawsze byłaś ze mną szczerą. Jesteś jedyną uczciwą, kobietą, jaką w życiu znałem. Gdyby tylko moja matka była taka jak ty...

- Staram się być taką żoną, jakiej sobie życzysz, mój panie.

- Tak, zrobiłaś wszystko, co w twojej mocy, ale ja nie jestem mężem, na jakiego zasługujesz. - Zupełnie nieoczekiwanie ujął jej rękę. - Czy bardzo się z ciebie naśmiewają? Czy bardzo ci dokuczają dlatego, że nie masz dziecka?

- Czasami, ale nie zwracam na to uwagi. - Nie miała pojęcia, że on zdaje sobie sprawę z tego, jak źle ją traktują. - Jestem panią Adderbury, nie obchodzi mnie, co mówią inni.

- Moja dzielna Isabel. - Pocałował jej rękę. Wstał z łóżka i poszedł po swoje rzeczy, by się ubrać. - Będę miał nadzieję, że zeszłej nocy dałem ci dziecko. Ale wątpię, by mężczyzna taki jak ja mógł spłodzić zdrowe dziecko, a jeśli nawet, to na kogóż ono wyrośnie?

Podeszła do niego, by pomóc mu się ubrać, ale palce zaczęły jej drżeć. Nagłym ruchem zarzuciła mu ręce na ramiona i położyła głowę na jego piersi.

- Zostaw mnie. - Odsunął ją od siebie zdecydowanym ruchem.

- Pani, czy mogę w czymś pomóc? - Agnes stanęła w drzwiach sypialni. - Dzień dobry, mój panie. Twój brat właśnie wyszedł. Prosił, bym ci przekazała, że całą noc spędził, pilnując cię w drugim pokoju. Teraz poszedł do kuchni coś zjeść, zanim zacznie służbę u króla. Jaką suknię dzisiaj włożysz, pani?

- Włóż tę nową czerwoną - powiedział Lionel - i ten rubinowy naszyjnik, który ci ofiarowałem w zeszłym roku na Boże Narodzenie. Potem zejdź na przyjęcie i bądź szczególnie miła dla króla.

\*

Koniec końców nie było wojny ze Szkocją. Podpisano pokój, w który nikt nie wierzył, że będzie trwać długo i król Malcolm wycofał swoje wojska z terenów północnej Anglii. Tymczasem książę Robert, nie mając nic ważnego do roboty, szybko pokłócił się ze swoim równie kłótliwym bratem, królem Wiliamem i wyruszył do Normandii jeszcze przed Bożym Narodzeniem.

W kilka dni po wyjeździe Roberta, Lionel odzyskał sympatię króla i spędził święta w doskonałym humorze. Jawnie ignorował wzrastającą irytację Ralpa Flambarda, równie bliskiego przyjaciela króla. Isabel znowu obsypywana była kosztowną biżuterią i sukniami szytymi dla niej z jedwabiu, który William ofiarował Lionelowi.

- Ach ziemię... - wzdychał Lionel. - Nowe honory i zaszczyty... Wiliam chce naprawić swoje paskudne zachowanie wobec mnie. Wiedziałem, że tak będzie. W końcu ktoś potrafi uszczęśliwić go lepiej ode mnie?

Isabel nie odezwała się ani słowem. Nie chciała wiedzieć, co Lionel rozumie przez uszczęśliwianie króla. Znienawidziła tego wysokiego, miedzianowłosego władcę, który fałszywie przymilał się do niej i zwykle na uroczystościach kazał jej siadać obok siebie. Bardzo często upijał się i patrzył wtedy na nią z nie ukrywaną niechęcią, wiedząc, że nie może odejść od stołu, dopóki on jej nie pozwoli. Isabel była pewna, że król tak samo nienawidzi jej jak ona jego. Gdyby William był dobrym władcą, mogłaby wybaczyć mu pełne skandali życie prywatne, nawet jeżeli dotyczyło ono jej męża. Ale William Rufus nie był dobrym władcą. Dochody prawnie należące do Kościoła i wszyscy ludzie zamieszkujący Anglię byli w mniemaniu króla jego własnością, którą chciał rozporządzać, jak mu się tylko podobało. Isabel wiedziała, że podatki zostały wprost niewiarygodnie zawyżone. Nawet Lionel nie był od nich wolny. Często skarżył się Isabel, że Adderbury i inne jego posiadłości są rujnowane, by sprostać potrzebom króla i spełnić wszystkie jego zachcianki. Inni arystokraci uważali to samo.

W przekonaniu, że postępuje słusznie, utrzymywał Williama jego poplecznik Ralph Flambard, którego Lionel szczerze nienawidził.

Flambard za wszelką cenę chciał zniszczyć związek króla z Lionelem. Obmyślił bardzo chytry plan. Otóż po śmierci każdego arystokraty jego ziemie miały przechodzić w ręce króla, a jeżeli rodzina zmarłego chciała te ziemie odzyskać, musiała je z powrotem wykupić. Ponadto wdowa, córki i synowie zmarłego stawali się własnością króla. Mógł on dobrowolnie rozporządzać ich planami życiowymi i aranżować małżeństwa, by w ten sposób powiększać swoje bogactwo.

- Czy dajesz mi do zrozumienia, że gdybyś umarł, ja należałabym do króla Williama i nie mogłabym wrócić do mojego ojca do Bretanii?  
- zapytała Isabel, kiedy Lionel powiedział jej o najnowszym rozporządzeniu króla.

- Dokładnie tak.

- A gdybyśmy mieli dziecko?

- William zająłby się jego przyszłością i małżeństwem. - Jego oczy szukały jej twarzy. - Co z tobą Isabel?

- Nic, mój panie, jestem po prostu przerażona tą wiadomością. A czy baronowie nie narzekają?

- Oni mogą sobie narzekać, ale to nie zmieni zdania Williama. Robi to, na co ma ochotę, to znaczy, na co ma ochotę Ralph Flambard, a my musimy się z tym pogodzić, ponieważ ślubowaliśmy Williamowi wierność.

- Boję się, mój panie. - Było to chwilowe załamanie nerwowe, nic więcej, ale Lionel spojrział na nią zdziwiony.

- Zaskakujesz mnie, moja droga. Nigdy nie pomyślałbym, że możesz się czegoś bać. Moje oczy zwrócone są ku wielkiej potędze i chwale, Isabel. Pewnego dnia będę drugim władcą tych ziem, a ty pierwszą damą, gdyż William nigdy się nie ożeni.

- Z pewnością nigdy nie pokonasz silnych lordów pogranicznych.

Lordowie Herefordu, Shrewsbury i Chesteru szczycili się wielkimi zasługami i honorami. Byli najpotężniejszymi panami na granicy Walii i Anglii. Nawet William ze swoimi wysokimi podatkami był dla nich pionkiem.

- W ciągu przyszłego roku - powiedział Lionel - przekonam Williama, by ogłosił mój plan, który teraz rozważa: podbicie Walii. A wtedy moją nagrodą za posłuszeństwo wobec Williama będzie Walia. Otrzymam tytuł hrabiego, a później zostanę księciem Walii.

Ta wizja sparaliżowała Isabel. Nie orientowała się w sprawach wojskowych, ale z tego, co słyszała o tym dzikim kraju, podbicie

Walii było niemożliwe. Ojciec Williama próbował i nie udało mu się, a William nie był tak dobrym dowódcą jak jego ojciec.

Obawiała się, że ambicje Lionela podsycane przez zażyłość z królem przewyższają jego możliwości. Ponadto należało spodziewać się kontrataku ze strony Ralpa Flambarda. On nie pozwoli, by Lionel zdobył lepszą pozycję. Poza tym Lionel mógłby zginąć w trakcie takiej wyprawy, a gdyby tak się stało, Isabel byłaby więźniem króla. Obawiała się też jeszcze jednej rzeczy. Ostatnio coraz częściej miewała mdłości. Była prawie pewna, że to rezultat tamtej ciemnej sierpniowej nocy. Postanowiła jednak nic nie mówić, dopóki nie okaże się to pewne.

## ROZDZIAŁ 8

- Nazywa się Walter fitz Alan - powiedziała Aloise, patrząc w ścianę tęsknym wzrokiem. - Nie widziałas go jeszcze? Właśnie wczoraj zawitał na nasz dwór. Mój pan mówi, że jest dzielnym żołnierzem, niesłychanie sprytnym, a przede wszystkim szarmanckim wobec dam.

- Zdaje się, że ciebie już oczarował. - Isabel była ciekawa, czy Walter będzie następnym kochankiem Aloise. Sir Stephen był bardzo tolerancyjny wobec postępów swojej młodej żony, chociaż z drugiej strony był już stary i z dnia na dzień stawał się słabszy. Aloise twierdziła, że zaczynał już wiele rzeczy zapominać, więc może nawet nie wiedział o jej romansach. - Chcę zobaczyć ten wzór męskich cnót - powiedziała.

Okazja nadarzyła się już wkrótce - Tego samego ranka, gdy wychodziła z kaplicy, spotkała Guya w towarzystwie sir Waltera. Podeszli, by się przywitać.

- Nie bierzesz udziału w polowaniu? - zapytał Guy, patrząc na jej strój.

- Jest trochę za zimno.

Isabel chwyciła się wszystkich możliwych wymówek, by unikać jazdy konnej. Obawiała się, że mogłaby spaść z konia i utracić dziecko. Była w kaplicy prosić Boga, by był przy niej, kiedy powie Lionelowi, że jest w błogosławionym stanie, ale niebiosa nie zesłały jej pomocy. Była zdesperowana, opuszczona przez świętych i nawet nie zauważyła towarzysza Guya, aż ten ich sobie przedstawił.

- Nasi ojcowie razem walczyli, gdy byli młodzi - powiedział sir Walter, pochylając się nad jej dłonią. - Słyszałem, że córka sir Fulka jest piękna, ale nie sądziłem, że aż tak.

- Dziękuję panie.

Isabel słyszała już tyle komplementów na temat swojej urody, że nie czuła się skrepowana tym jawnym podziwem. Przypominając sobie zachwyty Aloise, Isabel przyglądała się mężczyźnie z uwagą. Sir Walter był bardzo przystojny i zadziwiająco szczupły jak na rycerza. Był gładko ogolony, miał ciemne, proste włosy i ciemne oczy. Zadarty nos i szerokie usta podkreślały arogancki wyraz twarzy. Pod ciepłym płaszczem widać było spodnie i tunikę. Na nogach miał mocne, żołnierskie buty. Najprawdopodobniej zmierzali w kierunku stajni.

- Twój szwagier ma zostać moim giermkim - powiedział Walter.  
- Nie wiedziałam o tym - odpowiedziała Isabel, starając się nie patrzeć w jego ciemne, niezgłębione oczy. - Guy, dlaczego nic mi nie powiedziałeś?

- Obaj, Guy i Brian z Collen, który niedawno przybył z Walii, będą pasowani na giermków pojutrze - pospieszył z odpowiedzią Walter, nie spuszczać oczu z Isabel.

- Nie znam Briana z Collen, ale wiem, że Guy będzie jednym z twoich najlepszych giermków - rzekła, ledwie zdając sobie sprawę z tego, co mówi. Miała wrażenie, że tonie w spojrzeniu Waltera.

- Bardzo się cieszę z twojej opinii - ucieszył się Guy z chłopięcym entuzjazmem. - Sir Walter jest wspaniałym i odważnym rycerzem, chcę się nauczyć wszystkiego, co mi pokaże.

- Z pewnością ci się to uda - wyszeptała Isabel, z trudnością odrywając wzrok od Waltera.

- Guy, swoje obowiązki możesz zacząć od zaraz. Idź i osiodłaj mojego konia. Za chwilę do ciebie dołączę.

- Bardzo go lubisz - odezwał się sir Walter, kiedy zostali sami.

- O, tak bardzo. - Isabel cały czas wpatrzona była w plecy odchodzącego Guya. Bała się spojrzeć na Waltera.

- Dopilnuję, by nie działa mu się żadna krzywda. Zrobię to dla ciebie, pani. - Nic nie odpowiedziała, więc mówił dalej: - Spójrz na mnie, proszę. Chciałbym jeszcze raz zobaczyć twoje piękne, błękitne oczy.

- Muszę już iść. - Spojrzała na niego i zatrzymała się w pół kroku oszołomiona jego wzrokiem.

- Nigdy nie sądziłem, że mi się to przydarzy - powiedział głosem pełnym podziwu.

- Nie rozumiem, o czym mówisz, panie. - Nie potrafiła uniknąć zakłopotania. Czowała się bardzo nieswojo i chciała pokryć, oszołomienie ostrym głosem.

Odpowiedział łagodnym tonem:

- Żałuję, że nie spotkaliśmy się dawno temu, lady Isabel. Porwałbym cię i uczynił swą żoną.

- Takie postępowanie zniszczyłoby przyjaźń pomiędzy naszymi ojcami. Chyba nie chciałbyś tego, nieprawdaż?

- Sądzisz, że prawie ci komplementy i mówię te same bzdury co dworzanie? - Walter zrobił ruch ręką jak gdyby cały dziedziniec przed



kaplicą wypełniony był dworzanami. - Uwierz mi, mówię prawdę. Żadna kobieta nie wywarła na mnie takiego wrażenia jak ty. Te twoje oczy! Widzę w nich smutek.

Isabel odwróciła głowę i powiedziała surowo:

- Ostrzegam cię, na dworze króla Williama nie mówi się prawdy na żaden temat, więc jeśli jesteś rozsądny, to i ty tak postępuj. - Uśmiechnęła się do niego chłodno i odeszła. Przez cały dzień próbowała zapomnieć o spojrzeniu jego ciemnych oczu.

Isabel często flirtowała. Poszukiwała w ten sposób akceptacji u innych mężczyzn po tym, jak Lionel ją odrzucił. Nigdy nie pozwoliła, żeby flirt zaszedł za daleko; nie chciała znaleźć się na językach wścibskich kobiet. Na tym dworze pełnym zdrady, rozpusty i intryg imię Isabel było nieskalane. Dawało jej to poczucie wyższości nad innymi kobietami. Coś jednak kazało jej myśleć, że sir Walter nie zadowoli się tylko prawieniem jej komplementów. Wiedziała, że musi uważać, by nie dać się złapać w pułapkę.

Spotkali się następnego dnia. Król William nieświadomy tego, że wcześniej już się poznali, przedstawił ich sobie. Tego dnia William ubrany był w czarno - srebrną, brokatową tunikę uszytą z jedwabiu pochodzącego z dalekiego Bizancjum. Tunika podkreślała jego szczupłe, dobrze umięśnione ciało. W porównaniu z krzykliwie ubranym królem, którego tunika rozchyłała się, ukazując spoconą, owłosioną klatkę piersiową, sir Walter wyglądał jak rasowy, piękny ogier.

- Moja pani. - Walter pochylił się nad jej dłonią. Ponad jego głową Isabel dostrzegła zaciekawiony wzrok króla. Jej twarz pozostała zimna i niewzruszona. Wyrwała swoją rękę z krępującego uścisku i poczuła, jak się rumieni. Była na siebie zła, sądziła, że na dworze Williama już dawno zapomniała, co to jest rumieniec.

- Isabel, dotrzymasz towarzystwa Walterowi, nieprawdaż? - zaproponował król i odszedł. Spostrzegła go chwilę później, gdy trzymając rękę na ramieniu jej męża, poufale z nim o czymś rozmawiał. Walter też spojrzał w ich kierunku.

- Sir Lionel jest w bardzo dobrych stosunkach z królem - powiedział. Kpina w jego głosie była wyraźna.

- Bądź ostrożny, panie. Ja również jestem bardzo szanowana przez króla.

- Cóż znaczy szacunek takiego człowieka jak on? Czyżbyś i ty, pani...

- Jak śmiesz?! - krzyknęła, z trudem opanowując się, by go nie uderzyć. Nie powinna wyrabiać w sobie takich odruchów. Widziała, że król ich obserwuje, odwróciła się więc do Waltera plecami. On jednak podążył za nią. Stał przed nią, po czym spojrzał na króla i znowu na nią.

- Widzę, że cię obraziłem, pani - powiedział cicho.

- Jak pan śmie? - Ściszyła głos, by nikt ich nie słyszał. - Ja bym nigdy... ja nigdy... z królem? Och, jest pan podły!

- Mówiono mi to już nieraz. - Jego twarz złagodniała. - Przepraszam za to, co powiedziałem. Widzę, że myliłem się co do pani. Wiedziałem o preferencjach króla Williama, jeszcze zanim przyjechałem do Anglii, Słyszałem o sir Lionelu i Ralphie Flambardzie. Jak widzisz, słucham plotek. Sądziłem, że jesteś, pani, taka sama jak inne damy dworu chętne oferujące ciała dla korzyści swojej lub męża. Teraz wiem, że ty nie jesteś taka. Jesteś tym, czego każdy mężczyzna oczekuje, o czym marzy, czego pragnie. Ciekaw jestem, czy sir Lionel docenia skarb, jaki posiada. Raczej wątpię.

- Jesteś najbardziej niewychowanym rycerzem, jakiego znam, Mój mąż jest dla mnie bardzo dobry. Doprawdy psuje mnie prezentami, biżuterią, sukniami i rozrywką.

- Oprócz tej jednej rozrywki, której tobie rozpaczliwie potrzeba. - Uśmiech Waltera był bardzo znaczący i Isabel przypomniała sobie, co Aloise powiedziała o jego damskich podbojach we Francji i Bretanii. - Ciągle jeszcze jesteś nie rozbudzoną dziewczyną Isabel, lecz widzę iskry w twoich oczach i byłbym szczęśliwy, gdybym to ja mógł cię rozbudzić.

- Nie będziesz miał takiej możliwości, sir Walterze - odpowiedziała zaskoczona taką bezczelnością - bo nigdy więcej nie będziemy już ze sobą rozmawiać.

Uciekła od niego, prawie wpadając na Ralpa Flambarda. Stał cały czas bardzo blisko nich, ale miała nadzieję, że nie usłyszał tej nedorzecznej propozycji.

- Moja lady Isabel! - Flambard wyszczerzył zęby w nieszczerym uśmiechu. - Czy coś się stało? Pozwól mi sobie pomóc. - Podał jej rękę, ona jednak ukloniła się i zlekceważyła gest. Widziała błysk radości w jego oczach. Nienawidziła i bała się tego fałszywego

mężczyzny, który robił wszystko, by zniszczyć jej męża. Ralph Flambard nie chciał tolerować innych kochanków króla i zrobiłby wszystko, by każdego usunąć z drogi. Gdyby tylko myślał, że pomiędzy nią a sir Walterem coś jest, z pewnością wykorzystałby tę informację przeciwko Lionelowi.

Flambard położył dłoń na jej ramieniu. Isabel popatrzyła na nią. Była czysta, wypielegnowana, nie znająca żadnej pracy, a już na pewno nie przywykła do trzymania broni. Flambard był dumny ze swoich rąk. Plotki głosiły, że nacierał dłonie specjalnymi balsamami i polerował paznokcie kawałkiem jedwabiu. Dłoń, która spoczywała teraz na zielonym jedwabnym rękawie sukni Isabel, nie wyglądała na rękę mężczyzny.

- Źle wyglądasz. Czy mam cię odprowadzić do twojej komnaty?

- Nie, dziękuję, nie ma takiej potrzeby. - Isabel chciała się od niego jak najszybciej uwolnić. Za bardzo się go bała, by powiedzieć, co o nim naprawdę myśli. - To bardzo uprzejme z pana strony, ale to tylko ten upał źle na mnie działa. Potrzebuję kilku haustów świeżego powietrza, to wszystko.

- Bądź ostrożna, droga pani. Nie chcemy, aby ci się coś stało.

Isabel opuściła salę i podążyła do swojej komnaty, gdzie mogła być sama i ostudzić wrzącą w niej krew. Walter fitz Alan był głupcem, niebezpiecznym głupcem. Czyż on nie zdaje sobie sprawy, jaką krzywdę mógł wyrządzić jej i Lionelowi? A może jest tego świadom, może specjalnie tak mówił, wiedząc, że Flambard stoi blisko i wszystko słyszy? Może został przekupiony przez jednego z wrogów Lionela, może przez samego Flambarda, i chce udowodnić jej niewierność? A może Walter chciał zdobyć jeszcze jedno trofeum? Obojętnie, jaki miał powód, on oznacza tylko jedno - niebezpieczeństwo. Prawdą jest, że przetrwała zagrożenia na dworze Williama Rufusa tylko dzięki temu, że ufała i liczyła na samą siebie i na nikogo więcej, a także dlatego, że nie pozwoliła sobie na żaden romans. Jeżeli chciała ominąć jakiegokolwiek nieprzyjemności, musiała dalej postępować tak samo.

Wreszcie opanowała się i postanowiła, że nie da się złapać w żadną pułapkę ani sir Walterowi, ani żadnemu innemu mężczyźnie.

W styczniu Isabel nie była już w stanie trzymać tego w sekrecie. Wiedziała, że nie będzie to miało żadnego znaczenia dla jej małżeństwa. Lionel nie miał ochoty zmienić swojego

dotychczasowego życia, więc ta część ich związku nadal pozostawała pustynią. Jednak dziecko, w szczególności jeżeli byłby to syn, dawałoby jej inną pozycję w towarzystwie. Musiała powiedzieć o tym Lionelowi, zanim jakaś usłużna dama nie zauważyłaby jej zaokrąglonego brzucha i nie zaczęłyby plotkować. Już wcześniej trochę narzekał, że ostatnio przybrała na wadze, co źle wpływało na elegancję noszonych przez nią sukien.

- Jest tego powód, mój panie - powiedziała, gdy znowu skomentował jej kształty. - W czerwcu spodziewam się dziecka, dziedzica Adderbury.

- Dobry Boże! - Lionel stał przed nią trzymając w dłoniach łańcuszek, który zamierzał jej zapiać na szyi. Usiadł ciężko na łóżku, zaciskając w rękach złote ogniwa. - Trudno mi w to uwierzyć.

- To twoja wina, mój panie. To ty się upiłeś i mnie zmusiłeś.

- Wiem. - Lionel rzucił na łóżko łańcuszek, który był prezentem od Williama, jak gdyby parzył jego ręce. - Dziecko. Syn - mówił z niedowierzaniem.

- Czy jesteś na mnie zły?

- Nie, jakżeż mógłbym? To moje dziecko, nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Ktoś na pewno powiedziałby mi, gdybyś była niewierna. Obawiam się tylko, co powie William, kiedy się dowie

- Król - powiedziała ostro - nałoży z pewnością nowe podatki na pierworodnych synów, a kiedy już je splecisz, zapomni o tym dziecku.

- Chciałbym wierzyć, że tylko tyle. Z przyjemnością dałbym mu połowę swoich ziem, byleby tylko dziecko było bezpieczne. Ale król jest zmienny, Isabel. Robi się coraz bardziej występny i chytry, a ja nie mam już na niego wpływu. To wszystko przez Ralpa Flambarda. A tak między nami... - przerwał, widząc jej bladą twarz. - Nie, tego ci nie powiem.

Po raz pierwszy Isabel zrozumiała, że Lionel wpadł we własne sidła, stał się ofiarą własnych ambicji - królewskiego egoizmu oraz chorego związku pomiędzy nimi. Podjęła nagłą decyzję.

- Wtem, że zawsze nalegałam, aby zostać na dworze - powiedziała, chwytając jego dłonie. - Lionel, czy nie moglibyśmy opuścić tego miejsca i pojechać do Adderbury? Tutaj nie czuję się bezpiecznie, a to niedobrze dla dziecka. Nie będę się na nic skarżyć, obiecuję. Nie będę, jeżeli tylko pojedziemy i będziemy żyli spokojnie i bezpiecznie. Proszę, powiedz tak

- William nigdy się na to nie zgodzi. Potrzebuje mnie tak jak wina, którego o wiele za dużo pije codziennie. A wiesz, co by się stało, gdybyśmy wyjechali bez pozwolenia? Znalazłby jakiś powód, by nam wszystko odebrać i zakuć w kajdany. A nawet gdybyśmy dostali pozwolenie na wyjazd do Adderbury - mówił dalej Lionel - co byśmy tam robili? Gdybyśmy się kochali, Adderbury byłoby dla nas rajem, ale jesteśmy skazani na siebie przez naszych rodziców. To co jest między nami, to nie miłość i nigdy nią nie będzie. A poza tym ty wcale nie chcesz opuścić dworu; dwór jest całym twoim życiem. Szybko znudziłabyś się tym ponurym zamczyskiem, a ja... ja lubiłbym młodych, niedoświadczonych giermków. Nie mógłbym nic na to poradzić. Wcześniej czy później wybuchłby ogromny skandal. Ludzie na prowincji nie są tacy tolerancyjni jak ci na dworze. Jestem zwolennikiem spokojnego życia, ale niestety, moja droga, musimy brnąć w to dalej. Zostajemy na dworze.

- Powiesz królowi o dziecku, czy ja mam to zrobić? - Isabel połowa rękę na brzuchu, jakby chcąc ochronić dziecko. Zdziwiła się, gdy Lionel położył dłoń na jej ręce.

- Zrobię to jeszcze dzisiaj, zanim powie mu kto inny. Obrócę to w żart, by nie był bardzo rozgniewany.

Spojrzała na niego i zobaczyła głęboki żal w jego oczach. Chciała go mocno przytulić i ochronić przed światem, ale odsunął się od niej, wziął do ręki łańcuszek, który rzucił przedtem na łóżko, i zapiał jej na szyi.

- Moja pani - Król William Rufus stał naprzeciw Isabel, trzymając ręce na biodrach i patrząc na jej zaokrąglony brzuch. - A więc to prawda. Nigdy bym w to nie uwierzył. Powiedz mi, czy to na pewno jest dziecko twojego męża?

Dworzanie zachichotali i wyciągnęli szyje, by lepiej usłyszeć jej odpowiedź. Za nimi stał Ralph Flambard również ciekaw jej reakcji. Isabel ujrzała Waltera fitz Alana, który stał w dali, przesywając ją wzrokiem i zaciskając usta. Obok Waltera dostrzegła również zdenerwowanego Guya. Isabel nie chciała by poznano, że jest jej niezręcznie mówić o tych rzeczach przy ludziach. Nie chciała też upokorzyć się przed królem. Spojrzała na niego z odrobiną uniżenia, jej głos jednak brzmiał chłodno.

- To pytanie nie potrzebuje odpowiedzi, panie. Król uniósł brwi.

- Cóż za wierna małżonka! Jestem ciekaw, czy będziesz tak samo wierna w Adderbury? - Pochylił się nad nią i wycodził przez zaciśnięte zęby: - Co do tego nie ma wątpliwości, nie ma tam nikogo, kto by cię kusił, a zresztą będziesz już wkrótce za gruba, by komukolwiek się podobać, nawet twojemu adorującemu cię mężowi.

Krew odpłynęła jej z głowy. Nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała. Nie wiedziała, co było gorsze: zniewaga jej wierności czy groźba wygnania.

- Co masz na myśli, panie?

- Twój niezwłoczny wyjazd do Adderbury, pani. Zostaniesz tam tak długo, dopóki po ciebie nie pošlemy. Wyruszasz jutro rano.

- A sir Lionel, czy on również jedzie?

- Oczywiście że nie, potrzebuję go bardziej aniżeli ty. Ty już go wykorzystyłaś.

William wymownie odwrócił się od niej i udał się do sali jadalnej. Isabel zwróciła wzrok na Lionela, ale on pokiwał tylko lekko głową i podążył za królem. Lady Aloise uczepliła się ramienia swojego męża, sir Stephena, i nawet na nią nie spojrzała. Inni dworzanie również minęli ją bez słowa, jakby niełaska, w jaką popadła, była zaraźliwa.

- Cóż to za dziwny dwór, na którym karze się żonę za to, że spełnia swój małżeński obowiązek - usłyszała głos Waltera. Patrzył na nią z troską. - Chciałbym ci pomóc, pani. Czy pozwolisz mi eskortować cię do Adderbury?

- Nie, nie pozwolę. Zrobią to ludzie mojego męża.

- Isabel, tak mi przykro! - powiedział Guy pełen współczucia.

- Niepotrzebnie. Ten dwór zaczyna mnie już nużyć, chętnie pojedę gdzieś, gdzie będę mogła w spokoju urodzić dziecko. Wcale mi nie żal.

- Sądzę, że trochę ci żal - powiedział Walter.

- Na pewno ci żal - dodał Guy. - Obserwowałem cię, Isabel. Ty lubisz ten splendor, który cię otacza, huczne przyjęcia i piękne stroje. Nie sądzą, żebyś chciała stąd wyjeżdżać.

- Bądź cicho, Guy - upomniał go Walter.

- Nie wiecie, o czym mówicie - powiedziała Isabel.

- Dlaczego muszę być ukarana? - krzyczała Isabel. - Jak król mógł mi coś takiego zrobić? I to właśnie mnie?

Wokoło służące uwijały się jak w ukropie. Agnes składała bieliznę, Joan pakowała ją do koszy i skrzyń, a inni znosili je do powozów.

- William jest bardzo o ciebie zazdrosny. Myśli, że za bardzo się tobą opiekuję. Poza tym nie dalej jak wczoraj prosiłaś mnie, byśmy stąd wyjechali.

- Ale zmieniłam zdanie.

- Wiedziałem, że tak będzie. Och, Isabel, żałuję, że nie potrafiłaś temu zapobiec.

- Przypominam ci, panie, że to dziecko to nie tylko moja wina, chociaż to ja ponoszę konsekwencje.

- Tak mi przykro, że musisz wyjechać. Nie mam nikogo, z kim mogę rozmawiać tak swobodnie i komu mogę ufać.

Służący wyniósł ostatni kufer. Agnes podała Isabel podróżny płaszcz, po czym razem z Joan wyszły z pokoju, zostawiając Lionela i Isabel samych.

- Czy będzie mi wolno wrócić po urodzeniu dziecka?

- Nie wiem, Isabel. Mam tutaj listy do zarządcy posiadłości w Adderbury. Powiedziałem mojemu sekretarzowi, by napisał, że masz otrzymać wszystko, czego ci trzeba. Mają być ci tak posłuszni jak mnie.

- Dziękuję. - Isabel wzięła listy. - Czy przyjedziesz chociaż na rozwiązanie?

- Nie śmiałybym. - Potrząsnął przecząco głową. - To by tylko pogorszyło sytuację.

- To niedorzeczne! - Isabel miała łzy w oczach. - Król jest szalony i niebezpieczny. On cię zniszczy, on zniszczy wszystkich nas!

- On jest królem, a ja ślubowałam mu wierność i oddanie.

- A twój honor?

- Już za późno, by tego żałować.

I wtedy, po raz pierwszy w ciągu ich dziwnego i nieszczęśliwego małżeństwa, Lionel z Adderbury objął swoją żonę i czule przytulił. Położył głowę na jej złotych włosach i nie odsunął się, kiedy zarzuciła mu ręce na szyję. Stali tak przez parę chwil.

- Idź już.

Isabel wyszła, zostawiając go samego.

## ROZDZIAŁ 9

Syn lady Isabel urodził się dwudziestego czerwca 1092 roku. Wysłała wiadomość do męża, ale ponieważ po dwóch tygodniach nie otrzymała żadnej odpowiedzi, ochrzciła syna sama.

- Dziecko będzie miało na imię Thomas - powiedziała Isabel.

- Dobrze, chrześcijańskie imię - pochwalił ojciec Herbert.

Był to niski, krępy mężczyzna o matowobrazowych włosach i piwnych oczach. Nie był zanadto błyskotliwy, jego schludność pozostawiała zazwyczaj wiele do życzenia, a ponadto był potwornie przesądny. Jednym słowem, miał wszystkie przywary, które dyskredytowały go jako dobrego przyjaciela. Dla Isabel był jednak jedyną podporą, pochodził z jej rodzimej Bretanii, umiał trochę czytać i pisać i uwielbiał ją.

Adderbury leżało zupełnie na uboczu, daleko od głównych dróg, toteż rzadko przejeżdżali tamtędy goście. Jedynymi osobami, z którymi Isabel mogła rozmawiać, były Agnes, Joan, ojciec Herbert i Roger, zarządca. Roger był wdowcem i również ślepo uwielbiał Isabel.

Duchowny pomagał Isabel pisywać listy do Lionela, na które rzadko przychodziła odpowiedź. Ponad sześć tygodni zabrało Lionelowi, by odpisać Isabel na jej zawiadomienie o narodzinach Thomasa. Natomiast na jej prośby o powrót na dwór królewski w ogóle nie odpowiadał. Lionel nigdy nie przyjeżdżał do Adderbury. Roger załatwiał za niego wszystkie interesy i jeździł na dwór, by składać daniny panu. Isabel nigdy nie pozwolono z nim przyjechać.

Początkowo bardzo kochała małego Thomasa, uwielbiała bawić się z tym złotowłosym aniołkiem. Wyobrażała sobie wspaniały powrót na dwór, z dzieckiem na ręku, z powrotem na właściwe miejsce. Miesiące jednak mijały, a ona ciągle mieszkała w Adderbury i stawała się coraz bardziej nieprzyjemna dla chłopca, który był powodem jej wygnania.

- Na każdym innym dworze byłabym szanowana za to, że urodziłam dziedzica, spadkobiercę - żaliła się ojcu Herbertowi. - To takie niesprawiedliwe. Straciłam wszystko za to tylko, że wypełniłam swój obowiązek.

- Nie żałuj dworu. Dobrze, że jesteś daleko od tego złego miejsca. Moja pani, jakież to ja płotki słyszałem! Król Rufus jest chyba najgorszym królem, jakiego miała ta ziemia. Ciągłe pijany sodomita,



gorszy z dnia na dzień. Nawet Sasi byli lepsi od niego. To wstyd, to doprawdy wstyd i te podatki, wielkie nieba, nawet Kościół jest nimi obciążony. - Duchowny wzniósł oczy ku niebu, jakby stamtąd czekając pomocy.

- Zwykłam mieć suknie z haftowanego jedwabiu, futra, złotem wyszywane woalki miękkie jak chmurki. Lecz teraz mój mąż nie rozpieszcza mnie i zmuszona jestem ubierać się w grube, wełniane łąchmany. W zimie marznę w tym domu.

- Nieba ześlą karę na króla za to wszystko, co robi - zaintonował gniewnie ksiądz.

- A biżuteria! - Oczy Isabel zajaśniały na to wspomnienie. - Długie, ciężkie, złote łańcuchy z ametystami, rubinami, perłami. Uwielbiam perły, a ty?

- Ten pożałowania godny stan rzeczy nie może długo trwać - zapewnił ojciec Herbert.

Tymczasem król Rufus panował spokojnie. Zdawało się, że nieba patrzą w innym kierunku. Isabel pozostawała w Adderbury, bo nie miała dokąd iść i obserwowała, jak jej syn dorasta. Coraz częściej czuła irytację i zniechęcenie, kiedy na niego patrzyła. Winiła siebie, winiła jego ojca i pragnęła, by tamta noc nigdy nie miała miejsca. Thomas był chłopcem o miłej osobowości, bardzo kochał swoją matkę. Często trzymał się jej spódnicy, co jeszcze bardziej wzmagало jej niechęć do niego. Kiedy tylko mogła, odsyłała go do Agnes, a ta obdarzała go miłością, jakiej nie zaznał od matki.

Pozwolenie na powrót przyszło po pięciu i pół latach wygnania. Pierwszy najazd Williama na Walię był nieudany. Latem 1097 spróbował raz jeszcze. Po kilku krwawych bitwach i utracie wielu żołnierzy powrócił do Anglii. Tym razem zdobył trochę ziem wzdłuż dzikiej, gęsto zalesionej granicy. Nakazał budowę wielu fortec, które miały strzec tych terenów.

W nagrodę za lojalność i oddanie w czasie walk, król uczynił Lionela baronem Afoncaer. Jesienią, kiedy walki już się skończyły, posłano po Isabel. Lionel dał jej w prezencie kilka kuponów zielonego jedwabiu, z którego uszyła nową suknię na tę okazję.

- Powinieneś był przysłać mi najnowsze wzory sukien - żaliła się Isabel w pierwszy dzień po przyjeździe, gdy stali w sali jadalnej. - Popatrz na inne damy. Ja mam zupełnie niemodną sukienkę.

- Ciesz się, że w ogóle tutaj jesteś - odpowiedział zimno Lionel. - Nie narzekaj, albo znowu zostaniesz odesłana

- Znowu jesteś mi zupełnie obcy - powiedziała smutno.

Szybko zrozumiała, że ich dziwny, ale opierający się na zaufaniu układ już nie istnieje. Nie tylko charakter, ale i wygląd Lionela bardzo się zmienił. Nie był już przystojnym mężczyzną o ładnej twarzy. Zgarbił się i postarzał, miał czerwony nos i pomarszczoną twarz. Był to niewątpliwie skutek nadużywania alkoholu i hulawczego trybu życia. Teraz też trzymał w ręce kielich. Wypijaj wino tak szybko, że służący nie nadążali go napełniać. Kiedy mówił, plątał mu się język i był bardzo nieprzyjemny w stosunku do Isabel.

- Nie wydajesz się szczęśliwa, że do nas wróciłaś, lady Isabel - usłyszała spokojny głos. Ujrzała twarz, którą dobrze pamiętała.

- Sir Walter. - Przywitała się z nim ostrożnie, pamiętając, by nie trzymać za długo swojej dłoni w jego ręce. Zrobiło się jej jednak milej na sercu, gdy ujrzała jego ciepły i czuły wzrok. Już dawno nikt tak na nią nie patrzył. Tęskniła za krótkim, nieszkodliwym flirtem, by znów mogła poczuć się kobietą.

- Słyszałam, że bardzo dobrze powiodło ci się w Walii, panie.

- O tak, zdobyłem wiele wspaniałych rzeczy - przyznał, mając zapewne na myśli zdobycze w postaci złota i srebra, które zabierał bogatym walijskim rodzinom w zamian za darowanie im życia. - Ale twój mąż, pani, został hojnie nagrodzony za lojalność wobec króla. Moje gratulacje, lady Afoncaer.

- Tytuł barona to stanowczo za mało. Lionel oczekiwał więcej łaski - powiedziała i natychmiast pożałowała wypowiedzianych słów. Pozostawiła Waltera samego. On jednak nie spuszczał z niej oczu.

Isabel zobaczyła Guya i podeszła, by się z nim przywitać. Miał prawie sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, jego niebieskie oczy lśniły spod grubych, złotobrazowych brwi.

- Jak ty urosłeś! Jesteś już dorosłym mężczyzną. - Pocałowała go mocno w policzek.

- Będę pasowany na rycerza po świętach Bożego Narodzenia - powiedział z dumą. - Brian również. On też jest giermkim Waltera i moim najlepszym przyjacielem. Kilku z nas będzie pasowanych na rycerzy tego samego dnia. Mam nadzieję, że będziesz tutaj, kiedy przyjdzie czas ceremonii.

- Jeżeli król mi pozwoli, to chętnie zostanę.

- Lionela tu nie będzie. - Oczy Guya spoczęły teraz na bracie. - Martwię się o niego, Isabel. On tonie po uszy w rozpuście i żądzy bogactwa. To smutne, że stacza się tak nisko, wciąż jeszcze go kocham. Cieszę się, że wróciłaś. Wiem, że ty mu pomożesz. Kiedy tylko odbuduje Afoncaer, dołączysz do niego i zajmiesz się nim, prawda? Kiedy tu jeszcze byłaś i miałaś na niego jakiś wpływ, był mężczyzną, a teraz... - Guy przerwał, potrząsając głową.

Isabel nie dosłyszała ostatniego zdania.

- Walia? O nie! Nie zamierzam tam jechać. Nareszcie jestem na dworze i tutaj zostanę. Znajdę sposób, by przekonać o tym króla

Lionel miał jednak inne zdanie na ten temat.

- Ależ oczywiście, że ze mną pojedziesz - powiedział następnego dnia, kiedy byli sami. - Będę potrzebował dobrej gospodyni w Afoncaer i to będzie twój obowiązek. Ponadto nie zostawię cię ani Thomasa w tym gnieździe rozpusty. Wybieraj: albo Walia, albo powrót do Adderbury

Isabel spróbowała dyplomacji.

- Pozwól mi chociaż zostać na dworze do czasu, kiedy Guy będzie pasowany na rycerza. Ktoś bliski powinien być obecny na tak ważnej dla niego uroczystości. Pozwól mi zostać do połowy stycznia, proszę. - Sądziła, że chociaż tyle był jej winien. Tak długo czekała na wesołe przyjęcia, ważne uroczystości. Tyle przecierpiała przez tego małego, paskudnego Thomasa, nad którym wszyscy: służba, Guy i nawet Lionel rozplywali się z zachwytem. Isabel chciała zapomnieć o synu. Pragnęła muzyki, nowych, pięknych sukien i wesołego śmiechu. Miała dwadzieścia jeden lat i czuła się tak, jakby właśnie wyszła z więzienia. - Mogę pilnować twoich interesów tutaj, tak jak niegdyś bywało.

- Dobrze, sądzę, że mogę ci na to pozwolić. Kto wie, być może znowu mi pomożesz.

- Co mam uczynić, mój panie? Wiesz przecież, że możesz mi zaufać.

Niezupełnie była to prawda, już nie mógł jej ufać, za bardzo zranił jej uczucia. Isabel chciała teraz skoncentrować się na swoich pragnieniach i potrzebach, ale każdy sposób i wytłumaczenie było dobre, byleby dojść do celu.

- Nie ufam tutaj nikomu. A to wszystko przez Ralpa Flambarda. Mocno wkupił się w łaski króla, mówi się nawet o tym, że król chce

go uczynić biskupem Durham. A ja, ja, który byłem przy nim, zanim jeszcze został królem, zostałem odsunięty na bok, wysłała się mnie do Walii, bym tam budował fortecę!

- Słyszałam, że wokoło Afoncaer rozciągają się ziemie, a twoja rola polega na tym, byś utrzymał w ryzach panów pogranicznych; to bardzo odpowiedzialna funkcja. Będziesz służył królowi, a on z pewnością będzie ci wdzięczny. - Isabel sądziła, że tymi słowami ostudzi gniew męża, myliła się jednak.

- To sprawka Flambarda, chce, bym trzymał się z dala od dworu. Za to wszystko, co zrobiłem dla Williama przez wszystkie te lata, powinienem być dostać więcej ziem i więcej bogactw. Powinienem być też zostać lordem, a nie baronem. Ta zniewaga jest dziełem Flambarda.

Isabel przypomniała sobie rozmowę sprzed lat, gdy Lionel liczył na to, że będzie równy książętom pogranicznym. Jakżeż pogrzebano jego marzenia! Chciała jeszcze o coś zapytać, ale znowu zaczęła narzekać:

- Kiedyś byłem prawą ręką Williama, a teraz muszę czekać na pozwolenie przebywania w jego obecności. Wszyscy się ze mnie śmieją. No cóż - kontynuował - wiem, co zrobię. Pojadę do Walii, zbuduję ten cholerny zamek i zagarnę tyle ziem, ile to tylko możliwe, by je przyłączyć do tych, które już posiadam. Wyciągnę ostatni grosz i ostatnie ziarno zboża od moich poddanych, by wrócić tutaj z powrotem i zniszczyć Ralphi Flambarda. Jeszcze raz pozyskam miłość króla. Wtedy szybko zostanę lordem i zdobędę kontrolę nad Williamem.

- Mój panie, opanuj się. - Miała wrażenie, że nie zna tego zgorzkniałego, żadnego zemsty mężczyzny. Nie było w nim cienia uprzejmości, litości czy miłosierdzia. - Tak bardzo się zmieniłeś - wyszeptała.

- Musiałem, by przetrwać. I ty się tak zmienisz, jeżeli tu zostaniesz. Każdy, kto jest skazany na życie u boku Williama, przechodzi tę zmianę. Nawet młodzi. - Lionel wziął głęboki oddech i rzekł: - Powziąłem już postanowienie wobec Thomasa.

- Thomasa? - Chociaż nie lubiła syna, owiał ją jednak chłód. - Co masz zamiar uczynić z moim synem?

- Nie chcę, aby uczył się rycerstwa tutaj i musiał znosić Williama. Rozmawiałem z księciem Henrykiem. Za półtora roku, kiedy Thomas będzie miał siedem lat, Henryk weźmie go do siebie.

- Cieszę się, mój panie. W odróżnieniu od swojego starszego brata książe Henryk jest godnym szacunku mężem. U niego Thomas będzie bezpieczny. Dziękuję ci za tę troskę.

- Jest przecież moim synem, moim spadkobiercą.

- Tak. - Isabel spuściła oczy. - Książe Henryk jest dziedzicem tronu Anglii. Zapewni Thomasowi dobrą przyszłość.

- Pomyślałem o tym, droga żono. - przez chwilę była między nimi nic porozumienia, ciepła i dawnego zaufania.

W dwa dni później Lionel wyjechał do Walii, nie żegnając się z Isabel.

## ROZDZIAŁ 10

Sir Walter fitz Alan adorował Isabel z ogromną determinacją. Początkowo troskliwość, z jaką się do niej odnosił, bardzo jej schlebiała. Lubiła, kiedy czekał na nią każdego popołudnia, by towarzyszyć jej w ucztach. Siadał przy niej i pilnował, aby niczego jej nie brakowało. Był bardzo miły i nie powtarzał tych czułych, banalnych zdań, którymi ją raczył kilka lat temu. Pojawiał się wszędzie tam gdzie ona, chociaż nigdy nie zostali sam na sam. Jednak bardzo szybko zaczęto plotkować na ich temat i Isabel stała się czujna. Chciała utrzymać swoją nieskalaną reputację nie tylko ze względu na siebie, ale i na syna. Poza tym resztki lojalności wobec Lionela nie pozwalały jej na zdradę.

Damy dworu dokuczały jej tak, jak to robiły dawniej, kiedy nie miała jeszcze dziecka. Zawsze gdy opuszczała komnaty, dobiegał ją ich złośliwy śmiech. Mówiła sobie, że jest niewinna i nie mają prawa tak ją traktować. Było jej źle, tym bardziej że teraz nie miała nawet Aloise, z którą kiedyś mogła porozmawiać. Sir Stephen nalegał, by wrócili do jego posiadłości, tłumacząc tę nagłą decyzję tym, że chce umrzeć w rodzinnym domu.

Tego dnia Isabel zmęczona ciągłym udawaniem, że wszystko jest w porządku i trzymaniem się na baczności poszła do ogrodu różanego otoczonego grubymi murami, by znaleźć tam chwilę wytchnienia. Dokoła rosły krzewy róż oczekujące już pierwszego śniegu. Listopadowe niebo było ciężkie i szare. Chłodny wiatr wdzierał się pod jej pelerynę i jedwabną woalkę. Drżała z zimna. Myślała o Walterze. Bała się go, chociaż nigdy by tego nikomu nie powiedziała. Rozniecał w niej coś, co leżało gdzieś głęboko, a co nieśmiało nazwałaby pożądaniem. Czowała to zawsze, kiedy był blisko.

Usłyszała kroki za sobą. Nie musiała się odwracać, by wiedzieć, do kogo należały.

- Musisz przestać mnie śledzić. Wywołamy tym skandal.
- W tym pałacu? - Zaśmiał się. - To niemożliwe. Jest tu tyle skandali, że nikt tego nie zauważy.
- To nieprawda. Lionel ma wielu wrogów, wiem, że oni mnie szpiegują. Doniosą królowi o każdym moim potknięciu. Nie chcę zranić Lionela.
- Nie mogę uwierzyć. On powinien być ci obojętny.
- To sprawa lojalności. Nie zdradzę mojego pana i męża.

- To znaczy, że nie pozwalasz sobie ani na odrobinę uczucia, ale w pewnym momencie one zdradzą cię i twojego męża.

- Ja nie wiem, co to uczucia. Moje serce jest martwe.

- W to również nie uwierzę. - Ujął jej dłoń i zaczął całować. - Kocham cię, Isabel, tak bardzo cię kocham.

Była tak zdziwiona jego reakcją i słowami, że zamiast wyrwać dłoń z jego uścisku, pozwoliła, by ją całował. Zadrżała, gdy językiem drażnił jej nadgarstek: płomienie namiętności przeszły jej ciało. Do głowy uderzyła krew, nie mogła myśleć, tylko czuła, chociaż chwilę temu zadeklarowała, że nie jest zdolna do uczuć.

- Kocham cię. Jeszcze nigdy w życiu nie kochałem tak mocno i tak szczerze. Kocham cię od chwili, kiedy cię pierwszy raz ujrzałem. Oddam za ciebie życie i honor, jeżeli zajdzie taka potrzeba. Nic się dla mnie nie liczy, tylko ty. Uwielbiam cię.

- Nie. - Jej głos był słaby i drżący. - Nie, zaklinam cię, nie mów takich rzeczy.

- Isabel. - Rękoma ujął jej twarz i przysunął jej usta do swoich warg. Dzielił ich tylko oddech. - Isabel, przecież możemy być ostrożni. Nikt nie musi o tym wiedzieć. Pozwól mi cię uwielbiać. Kochaj mnie, proszę.

Przez chwilę balansowała na skraju przepasa, smakując strach i wolność. Bardzo chciała mu zaufać, iść z rum, dać ujście wszystkim namiętnościom, które w niej drzemały i nigdy nie zostały rozbudzone. Jednak chęć przetrwania zwyciężyła. Odsunęła się od niego.

- Nie. Musimy się rozstać - powiedziała cicho, ale stanowczo.

Spojrzał na nią zdziwiony, jakby nie usłyszał dokładnie tego, co powiedziała.

- Musisz zostawić mnie samą, przestać mnie śledzić i prowokować innych do plotek.

- O nie, Isabel, nie przestanę walczyć. Kocham cię. Kiedy cię widzę, każda część mojej duszy i ciała pragnie być z tobą. Chcę słyszeć twój głos, dotykać cię. - Przyciskał ją coraz mocniej do muru, przy którym stali. - Isabel, kochanie, błagam cię, przyjdź do mnie.

- Nie! - Isabel wzięła się w garść, była przyzwyczajona do oszustw. - Ty mnie nie kochasz, starasz się mnie uwieść, bo masz w tym jakiś ukryty cel. To podstęp.

- Bóg mi świadkiem, przysięgam, że cię kocham. Jesteś dla mnie wszystkim.

- Nie wierzę ci. Kto cię opłacił, czyżby Ralph Flambard?

- Co takiego? - Wyraz jego twarzy powinien jej uprzytomnić, że się myliła, ale była tak zaciętrzewiona, że nie zwracała na niego uwagi - O to chodzi, nieprawdaż? - nalegała, ignorując jego słowa. - Ty i ten Flambard chcecie mnie zniszczyć, a przeze mnie Lionela. Chcielibyście nas zniszczyć za pomocą miłości, którą tak fałszywie deklarujesz.

- Czy jesteś tak zaślepiona tym, co się dzieje wokół, że nie odróżniasz uczciwości od fałszu? Nie okłamuję cię. Jestem tylko żołnierzem bez tytułu i ziemi, nie mam nic, co mógłbym ci dać w zamian za twoją miłość. Każde słowo, które tu wypowiedziałem, jest szczerą prawdą.

- Nie wierzę ci - upierała się przy swoim. - Nigdy ci nie uwierzę. Jesteś szpiegiem i działasz na moją szkodę.

Nastąpiła długa cisza, można było usłyszeć powiew wiatru muskającego płatki róż. Poczowała się bezpiecznie i pewnie, myśląc, że odkryła prawdziwe zamiary Waltera. Niebezpieczeństwo minęło i znowu była sobą, była Isabel w pełni świadomą tego, co robi.

- Nie będę cię już więcej niepokoił, moja pani - powiedział. - Uszanuję twoje żądania i będę się trzymał z dala od ciebie, ale nigdy nie przestanę cię kochać. Pewnego dnia jednak, kiedy będziesz samotna i potrzebująca pomocy, a tak się na pewno stanie, pomyśl o mnie i o tym, co mogłem dla ciebie zrobić. Wtedy moja nieobecność będzie dla ciebie karą. - Powiedziawszy to, odszedł.

Isabel wzruszyła ramionami zadowolona, że się go pozbyła. Przecież był szpiegiem, jeżeli nawet nie Ralpa Flambarda, to z pewnością innego wroga Lionela, a każde jego słowo było kłamstwem.

Kończył się krótki zimowy dzień. Robiło się coraz chłodniej. Isabel zapięła dokładnie pelerynę i wracając do swojej komnaty, myślała o nowej atłasowej sukni, którą miała założyć na wieczorną biesiadę. O mało co popełniłaby dziś błąd i pozbyła się tych wspaniałych sukien, biżuterii i rozrywki. Za nic nie chciała stracić wszystkiego dla czegoś tak nierzeczywistego i nierealnego jak miłość. Lepiej żyć tak, jak żyje, o wiele lepiej.

\*

W połowie listopada król Wiliam wybrał się do Normandii i spędził tam Boże Narodzenie. Isabel zabroniono pojechać, toteż



musiała zostać w Westminsterze, które podczas nieobecności króla było smutne i spokojne; nie odbywały się żadne przyjęcia. Jednak było lepsze niż Adderbury i o wiele lepsze niż Walia.

Grudzień okazał się bardziej szczęśliwy. Walter filiz Alan ogłosił, że wyrusza na krucjatę do Ziemi Świętej, by uwolnić ją od Saracenów. Chciał zaczekać tylko do dnia, w którym jego giermkowie będą pasowani na rycerzy. Isabel nie rozmawiała z nim od czasu ich spotkania w ogrodzie różanym. Tak jak obiecał, nie zwracał na nią uwagi.

Isabel miała jednak inne zmartwienia na głowie. Wkrótce po świętach doszły ją słuchy, że Lionel pojechał do Normandii, by spotkać się z Wiliamem. Guy mówił, że pokłócili się już wcześniej i wydarzyło się coś strasznego. Coś, co dotyczyło Ralpa Flambarda

- Ja chyba zwariuję. Mów szybko, co się stało - krzyknęła

- Nie mogę. To mnie krępuje. - Guy zaczerwienił się. - Proszę, nie pytaj mnie.

- Gdzie jest teraz Lionel?

- Wyruszył z powrotem do Anglii. Jego statek prawie się rozbił na skałach, ale dopłynęli szczęśliwie do brzegu. Wraz ze swymi ludźmi udał się do Walii. Najprawdopodobniej jest w Afoncaer.

- W jakich jest stosunkach z królem po tym incydencie, o którym nie chcesz mi powiedzieć? Czy nareszcie udało mu się nas zniszczyć?

- W jej głosie była pogarda.

- Nie wiem, Isabel. - Guy wyglądał tak, jak gdyby miał się zaraz rozpłakać. - Nie mogę tego znieść. Przez ten niepotrzebny związek z królem, Lionel pohańbił nasze nazwisko. Byle wieśniak będzie się z nas śmiał. Wywołał publiczny skandal, a nie wiadomo, co jeszcze zrobi pozostawiony sam sobie w Walii. Próbowałem, ale nie umiem mu pomóc, on mnie w ogóle nie słucha. Wyjeżdżam z Anglii, Isabel, nie będę patrzył, jak mój brat stacza się coraz niżej.

- Wyjeżdżasz z Anglii?

- Pojadę z Walterem na krucjatę. Może w Ziemi świętej uda mi się wymazać wstyd z naszej rodziny.

- Zostawisz mnie samą? Co ja zrobię?

- Posłuchaj mojej rady i wracaj do Adderbury. Mieszkaj tam spokojnie z dala od Williama. Nie... - Guy uśmiechnął się smutno. - Nie, ty tego nie zrobisz, nieprawdaż? W Adderbury jest nudno. Nie

ma dla kogo przywdziewać pięknych sukien, z nikim nie można poflirtować i nikomu nie można złamać serca.

Spojrzała na niego srogo, zaciekawilo ją, co też Walter mu naopowiadał.

- Nienawidzę Adderbury - oświadczyła.

- Tam jest bezpiecznie, bezpiecznie dla Thomasa. Powinnaś o nim pomyśleć, zamiast zajmować się cały czas sobą. Jesteś egoistką. Czasami odnoszę wrażenie, że wcale go nie kochasz. Chłopiec cię uwielbia, traktuj go dobrze, a on wynagrodzi ci to miłością i oddaniem. Jeżeli źle go wychowasz, wyrośnie na następnego Lionela.

\*

Drugiego stycznia 1098 roku Guy, Brian i sześciu innych giermków zostało pasowanych na rycerzy. Isabel nie знаła żadnego z nich oprócz Guya, toteż całą uwagę skupiła na nim. Łzy napływały jej do oczu, kiedy na niego patrzyła.

- Będiesz dobrym rycerzem - powiedziała mu później, a on pocałował ją w oba policzki.

- Walter i ja wyruszamy jutro o świcie. Możemy się już więcej nie zobaczyć, a w każdym razie na pewno przez kilka lat. Nie chciałbym się z tobą żegnać w złości, Isabel. Przepraszam cię za te okrutne słowa, które wypowiedziałem wczoraj. Przebacz mi.

- Wybaczam ci. Wiem, jak bardzo martwiłeś się o Lionela. Przysłał mi list w którym zawarł pewne rozkazy. Ojciec Herbert przeczytał mi go. Nie mogłam ci o tym powiedzieć wcześniej z powodu twojego czuwania. W liście prosi, bym natychmiast udała się do Adderbury lub do Walii; wybór należy do mnie. Mam troskliwie opiekować się Thomasem, zanim nie zostanie wysłany na dwór księcia Henryka.

- Ciesz się, że Lionel wciąż troszczy się o swojego syna. Mam nadzieję, że ty również.

- Prosiłam ojca Herberta, by odpisał Lionelowi, że nie przyjadę do Walii, dopóki nie stworzy mi tam odpowiednich warunków. Pod koniec tygodnia udam się do Adderbury. Jak widzisz, słucham twojej rady.

Robiła to niechętnie, ale przynajmniej uniknęła wyjazdu do Walii. Chciała pozostać daleko od tego miejsca tak długo, jak to tylko było możliwe. Gdyby nigdy nie miała ujrzeć Walii i Afoncaer, też byłaby szczęśliwa.

CZEŚĆ 3  
MEREDITH  
Anglia i Walia, AD. 1098 - 1105

## ROZDZIAŁ 11

Mercja, AD. 1098

Nie знаła swojego ojca i nie pamiętała swojej matki. On był miejscowym władcą, Normanem o imieniu Ranaulf. Kiedyś wykorzystał swoje prawa na saksońskiej dziewczce. Gdy jej córka miała dwa latka, dziewczyna umarła w czasie zimy z chłodu i głodu. Dziewczynką zaopiekował się brat jej matki, Alfric, i jego żona.

Ciocia Branwen była uzdrowicielką, знаła wszystkie zioła w lesie i umiała przynosić ulgę cierpiącym. Branwen była cudzoziemką traktowaną podejrzliwie przez mieszkańców wioski, ale ponieważ była żoną Alfrica i chodziła regularnie do kościoła, zaczęto ją akceptować.

Dziewczynka miała na imię Meredith, imię tak dziwne dla mieszkańców wioski jak i kobieta, która je nadała.

- Tak cię nazwałam - tłumaczyła Branwen - bo twoja biedna matka nie wiedziała, jakie dać ci imię, a trzeba było cię ochrzcić, więc wybrałam dla ciebie to właśnie imię.

Meredith nie miała pojęcia, ile ma lat. Nikt nie prowadził żadnych ksiąg, w szczególności dzieci chłopskich, zresztą była wśród nich wysoka umieralność. Ciocia Branwen, oprócz swoich innych zalet, posiadała też tę jedną: umiała liczyć. Powiedziała, że dziewczynka ma już dwanaście lat i wkrótce będzie kobietą. W ciągu ostatnich kilku miesięcy jej piersi nabrały kształtów, biodra kobieco się zaokrągliły, a talia wyszczuplała. Meredith różniła się od innych dzieci. Była wysoka, miała długie, zgrabne nogi, smukłe dłonie i stopy, na plecy opadały jej piękne puszyste, kasztanowe loki. Inne dzieci, widząc jej odmienność, dokuczały jej, brodząc w błocie krótkimi, ciężkimi nogami i popychały ją swoimi grubymi łapskami.

- Nienawidzę ich, nienawidzę! - Meredith wylewała rzęsiste łzy.  
- Przecież ja im nic nie zrobiłam, dlaczego oni nie chcą mnie zostawić w spokoju?

- Zazdroszczą ci, nie należysz do nich i one to wiedzą. Ja też do niech nie pasuję, ale nic na to nie poradzimy. - Branwen odwróciła się, by zagotować wodę. - Kiedy byłam małą dziewczynką, zawsze mieliśmy mięso w garnku lub grubego, tłustego kurczaka. Rzepa, cebula, och... chłopskie jedzenie. A jeżeli wkrótce nie przestanie padać, to do końca zimy będziemy jeść chleb z żołądźmi i korę drzew. - Odwróciła się, by Meredith nie widziała jej łez.

- Nie płacz. - Dziewczynka przytuliła się do niej, szukając czułości i ciepła.

- To było dawno i daleko stąd. Dokonałam wyboru i będę z tym żyć. Ale ty... - Jej oczy spoczęły na Meredith. - Ty będziesz żyła lepiej.

- Dlaczego ja do nich nie należę? Dlaczego nazywają mnie bękartem?

- To dlatego, że mieszkańcy wsi nie znoszą lorda Ranaulfa. Normanie twierdzą, że mają prawo zabrać sobie każdą dziewczynę, która im się spodoba. Twoja matka była ładna i niewiele starsza od ciebie, gdy Ranaulf ją wykorzystał. Według nich lord okazał twojej matce łaskę.

- Czy podobał jej się mój ojciec?

- Nie sądzę. Zresztą to nie miało znaczenia. Normanowie zawsze robią to, na co mają ochotę. Postąpisz słusznie, jeżeli będziesz trzymać się od nich z daleka. Ciesz się, że lord Ranaulf rzadko odwiedza Kelsey. I, Meredith...

- Tak ciociu? - Uniosła oczy, spoglądając na Branwen.

- Jesteś nawet piękniejsza niż twoja matka. Jeżeli kiedykolwiek ktokolwiek cię dotknie, uciekaj natychmiast i przyjdź do mnie, ja cię obronię. Przysięgnij, że tak zrobisz.

- Przysięgam - odpowiedziała posłusznie. - Ciociu, czy mogę iść do wuja i pomóc mu doić krowy?

- Tak, idź. - Branwen zaczęła gotować, a jej myśli pobiegły wstecz do dnia, kiedy przybyła do Kelsey.

Wycieńczona ucieczką i obawą, że zostanie pojmana, uczepliła się nadziei, że Alfric pozwoli jej zostać. Na szczęście zgodził się na to. Opiekował się nią, gdy leżała na posłaniu z siana, które jej przygotował, zbyt wycieńczona, by wstać. Karmił ją i uspokajał, kiedy miała złe sny o Tynant i Afoncaer, Nie rozumiał ani jednego słowa, które wypowiadała w gorączce, ale wiedział i czuł, że wiele przecierpiała i musi to wypłakać, by wrócić do równowagi.

Później, gdy poczuła się lepiej, chronił ją przed ciekawskimi i plotkami wieśniaków. Czowała, że jej pragnie pomimo pogardy i podejrzeń innych. Szybko zdała sobie sprawę, że musi go poślubić albo opuścić to miejsce. W innym wypadku naraża na nieprzyjemności nie tylko siebie, ale także swojego wybawcę i jego rodzinę. Nie miała dokąd iść. Nadchodziła zima i byłoby za chłodno,

by żyć w lesie, jak to robiła w środku lata. Prawdopodobnie cała Walia była już podbita. Normanowie nie poprzestaną, nim nie będzie do nich należeć. Nie mogła też wrócić do domu. Już nie liczyło się to, że urodziła się w arystokratycznej rodzinie. Była wygnańcem, uciekinierem, a jej los zależał od Alfrica i jego uprzejmości. Cała duma zniknęła pod naporem tych myśli, jej serce jeszcze krwawiło na wspomnienie Edouarda. Gdy Alfric poprosił ją o rękę, zgodziła się poślubić saksońskiego wieśniaka. Przynajmniej nie był Normanem.

Alfric podziwiał ją. Przede wszystkim fascynowały go jej umiejętności lecznicze. Był dla niej uprzejmy, uprzejmiejszy aniżeli na to zasługiwała, mając na uwadze, jak niewiele dawała mu z siebie w podzięce za jego opiekę. Z wdzięczności za to, co dla niej zrobił, pozwalała mu używać swego ciała, ale nie mogła się zmusić, by dać mu dzieci. Kiedy jej dotykał, jego niezdarność i delikatność wywoływała w niej litość i współczucie. Jej młodzieńcza namiętność została pogrzebana.

Gdy Branwen przybyła do Kelsey, lord Ranulf był we Francji. Zarządca Ranulfa był na tyle leniwy, że nie dbał o to, czy w wiosce mieszka obca kobieta. Dał zgodę na ślub Alfrica, nie zwracając na to uwagi.

Po kilku latach Ranulf wrócił i zapytał, czy narodziło się coś z jego związku z siostrą Alfrica. Wtedy powiedziano mu o Meredith. Lord wezwał do siebie Alfrica i jego żonę. Poinformował ich, że mają nadal opiekować się jego córką, a w zamian będą zwolnieni od dodatkowej daniny. Nawet nie chciał zobaczyć Meredith. Wkrótce znowu wyjechał.

Branwen cieszyła się, że Ranulf jest taki obojętny. To oznaczało, że Meredith wciąż należała do niej i mogła się nią opiekować i uczyć ją. Jednak drażył ją pewien niepokój. Branwen miała już dwadzieścia sześć lat, była w średnim wieku i starzała się. Nie sądziła, że będzie żyć długo, tym bardziej że nie była przyzwyczajona do tak ciężkiej pracy, jaką musiała wykonywać. Dopóki jednak jeszcze była silna, musiała zabezpieczyć przyszłość Meredith. Ale jak?

Klasztor nie był odpowiedzią na to pytanie. Nieślubne dziecko lordowskie, nawet gdyby otrzymało zgodę ojca na wstąpienie do klasztoru, nie wniosłoby tam dużego posagu. Meredith byłaby skazana na czyszczenie podłóg i ścieranie kurzu. Branwen chciała dla niej czegoś lepszego.

Małżeństwo? Myśl, że Meredith miałyby wpaść w ręce jakiegoś wieśniaka napęłniała ją przerażeniem. Pomysł, by lord Ranulf wybrał jej męża, też nie był najlepszy. On nie dbał o swoje dziecko i prawdopodobnie wybrałby kogoś najmniej odpowiedniego.

Griffin miał rację. Jestem za czuła, za bardzo drobiazgowa, pomyślała Branwen. Niech go diabli! Branwen rzuciła drewnianą łyżką w palenisko. Ogień się rozproszył i małe iskry poleciały we wszystkich kierunkach. Będiesz cierpieć, bracie, za twoją zdradę, tak jak to powiedział ojciec Conan. Próbowaleś zniszczyć moje życie, oddać mnie Edouardowi, ale uciekłam, przetrwałam i chociaż niewiele mam, spróbuję pomóc Meredith, by też uciekła od takiego życia. Ona zasługuje na coś lepszego, jest czuła, delikatna i niewinna, tak jak ja byłam kiedyś.

Dzień, w którym wszystko się zmieniło, był pochmurny tak jak inne dni tej wiosny. Pola lorda Ranulfa były już zaorane i wieśniacy mogli zająć się własną ziemią. Trzy dni w tygodniu poświęcano uprawie pańskich pól. Gleba była twarda i sucha, ale ziarno należało siał teraz, bo potem nie będzie na to czasu. Meredith każdego dnia pracowała z wujem w polu. Popołudniami wracała do domu, aby coś zjeść, napić się i wziąć jedzenie dla wuja. Alfric pracował aż do zmierzchu. Garnczek kleiku z jarzyn, pół bochenka czarnego chleba i kawałek twardego sera były dobrym posiłkiem. Nie każdy tak jadł, ale Alfric był jednym z lepiej żyjących wieśniaków.

Meredith niosła żelazny, gorący garnek w jednej ręce, a w drugiej chleb i ser. Zdecydowała, że pójdzie krótszą drogą przez pole. Bardzo się spieszyła, nie chciała, by wuj był głodny.

- Ha, ha, ha! - Nagle wyrosła przed nią postać z rozpostartymi ramionami i twarzą osłoniętą gałęzią.

- Ach! - Meredith odskoczyła przestraszona. Upuściła garnek i cała zawartość wylała się na ziemię.

- Ha, ha, ha! - Postać przybliżyła się do niej. Strach zamienił się w przerażenie. Nagle mężczyzna odsłonił twarz i Meredith ujrzała dobrze jej znanego wieśniaka, który już wcześniej ją prześladował.

- Gyrth, jak mogłeś? Jedzenie dla mojego wuja! - Popchnęła chłopaka i nachyliła się, by pozbierać to, co jeszcze nadawało się do zjedzenia. Teraz Alfric będzie musiał zjeść zimne jarzyny.

- Alfric ma pełno jedzenia. On nie musi oddawać tyle zboża lordowi ile my, a to wszystko dzięki tobie, nieprawdaż „lady

Meredith"? Pewnie ci się wydaje, że jesteś lepsza od nas? Nie, moja droga, jesteś taka sama. Ja ci to udowodnię.

Silnie chwycił ją za włosy i przyciągnął do siebie. Zobaczyła błyski w jego oczach, kiedy kładł się na nią, wciskając w błotnistą ziemię. Kopała go i gryzła, gdy próbował podciągnąć do góry jej spódnicę. Zaczęła krzyczeć i włożyła mu palec w oko. Zawył z bólu i puścił ją, a wtedy wygramoliła się spod niego i zaczęła uciekać. Ciocia Branwen była za daleko, toteż Meredith zdecydowała, że pobiegnie do Alfrica.

Alfric biegł już w ich kierunku, zaniepokojony odgłosami, jakie słyszał. Nie trzeba było niczego tłumaczyć, jej podarta suknia mówiła sama za siebie. Alfric uderzył Gyrtha pięścią w głowę, ale niezbyt mocno i ten odpowiedział mu kopnięciem w brzuch. Alfric zatoczył się i upadł, nie mogąc złapać oddechu. Gyrth zaśmiał się i wymierzał już następny cios, tym razem w głowę. Alfric chwycił go za nogę i tamten, nie mogąc zachować równowagi, upadł. Alfric uniósł Gyrtha jednym silnym ruchem, drugą ręką wymierzył mu mocny cios i odrzucił go daleko od siebie. Gyrth uderzył głową w kamień i leżał nieruchomo.

- Wstawaj Gyrth - zasyczał Alfric. - Wstawaj i walcz!

- Wuju... - Meredith złapała go za ramię. - Chyba coś się stało. On nie oddycha. - Nachyliła się nad Gyrthem i dotknęła jego nadgarstka. - Nie żyje.

- Nie żyje? Nie... - Alfric pochylił się również. Spojrzał na Meredith i obojgu było już wszystko wiadome. - Chciał cię zranić, ja tylko próbowałem go powstrzymać.

Meredith chciała krzyczeć, ale opanowała się; chwyciła wuja za rękę.

- Wuju, musimy iść do domu, do cioci Branwen, ona będzie wiedziała, co robić. Chodź, proszę cię. - Alfric wstawał powoli, patrząc na Gyrtha i kiwając głową.

- Naprawdę nie chciałem tego zrobić.

- Wiem, wiem, ale chodźmy już. - Prowadziła go powoli. Płakał.

- Nigdy nie chciałem skrzywdzić Gyrtha.

- Wuju tędy. Odepchnął jej ramię.

- Muszę powiedzieć jego ojcu, co zrobiłem.

- Nie! Nie rób tego! - Wiedziała, że pomiędzy tymi rodzinami kością niezgody był fakt, że Alfric mógł zatrzymać więcej jedzenia



niż inni. Tamten mężczyzna pomyśli sobie, że Alfric zabił jego syna umyślnie.

- Zanim cokolwiek uczynisz, powinniśmy powiadomić ciocię Branwen.

Poszedł z nią niechętnie, wciąż powtarzając, że powinien powiedzieć prawdę ojcu chłopaka i księdzu, a potem zgłosić się do zarządcy Ranaulfa i powiadomić go, że jeden z wieśniaków został zabity.

- Czyś ty oszalał?! - krzyknęła Branwen. Po chwili namysłu zaproponowała inne wyjście. - Alfric, przecież wiesz, że nazwą cię mordercą.

- Pomagałem tylko Meredith. Tak mi przykro, że to się stało, tak mi przykro.

Alfric usiadł na podłodze i wtuliwszy głowę między kolana, zaczął płakać. Branwen patrzyła na niego z goryczą. Zwróciła się do Meredith:

- Czy Gyrth cię zranił?

- Nie, on mnie tylko przestraszył i przewrócił w błoto.

- Czy jesteś pewna?

- Tak. - Meredith prawie się rozplakała.

- Idź do strumienia i umyj się - rozkazała Branwen. - Włosy, ręce, wszystko.

- W tym zimnym strumieniu?

- Rób, co mówię! Natychmiast!

Kiedy Meredith wróciła, zastała wujostwo w trakcie ostrej sprzeczki.

- Musimy opuścić to miejsce - nalegała Branwen. - Znasz dobrze ojca Gyrtha, on tego nie puści płazem. Ten głupiec ogłosi cię mordercą, a inni go poprą. W najlepszym wypadku, jeżeli zarządca zignoruje to wydarzenie, ukarzą cię wysoką grzywną. Skąd weźmiesz pieniądze? Jeżeli im nie zapłacisz, wtrąca cię do lochów. Nikt stamtąd nie wychodzi. Ale najprawdopodobniej chłopci sami wymierzą ci karę. Dlaczego mnie nie słuchasz?

- Ja go zabiłem. - Patrzył na swoje ręce, jakby należały do kogo innego. - Nigdy nikogo nie zabiłem.

- Alfric! - Branwen była już zniecierpliwiona. - Musimy natychmiast wyruszyć, zanim ktoś odnajdzie Gyrtha.

- Nie mogę opuścić tego miejsca - powiedział. - Należę do Ranaulfa i do tej ziemi, przecież wiesz.

- Bzdury, normańskie bzdury! - Branwen zakipiała. - Jesteś tak samo głupi jak Gyrth, należysz tylko do siebie. Och, gdybyś tylko chciał to zrozumieć!

- Ty nie jesteś taka jak my, Branwen. Ty jesteś... - szukał odpowiedniego słowa - ty jesteś cudzoziemką.

- Jestem Walijką - powiedziała - i dziękuję Bogu, że jestem zbyt dumna, by kłaniać się przed normańskim władcą.

- Dałem ci schronienie i jedzenie.

- A ja dałam ci moje ciało i pracowałam u twego boku jak każda inna żona. A teraz chcesz mnie opuścić i oddać się w ręce normańskiego pana z powodu głupiej lojalności wobec bestii, która zaharowuje cię na śmierć. - Branwen przyciągnęła Meredith przed oblicze Alfrica. - Spójrz, twoja siostra była zgwałcona przez tego mężczyznę, oto rezultat Czy chcesz, by i ją to spotkało, gdy zobaczą ją ludzie Ranaulfa? Albo mnie? Albo może to zrobić inny chłystek tak jak Gyrth. A stanie się tak, jeżeli zostaniesz powieszony lub wtrącony do więzienia, a my zostaniemy same. Czy o nas w ogóle nie myślisz?

- Muszę spełnić mój obowiązek.

- Dobrze, w takim razie ja tu nie zostanę zupełnie bezbronna.

Alfric musiał widzieć łzy płynące po jej policzkach, ale nie starał się jej pocieszyć.

- Rób to, co uważasz za stosowne. Weź Meredith ze sobą.

- Nie zostawiłabym jej tutaj. Kocham tę dziewczynę i dobrze wiem, jak podle traktowali ją inni za to, że jest córką Ranaulfa.

- Nie chcę wiedzieć, dokąd się udajecie, na wypadek gdyby mnie torturowali.

- Wuju! - Meredith rzuciła się w objęcia Alfrica. - To wszystko moja wina, to przeze mnie! - Wybuchnęła głośnym płaczem.

- Nie, dziecko, to nie przez ciebie - powiedział. - Pójdę do ojca Gyrtha i powiem mu o tym, co się stało, a potem udam się do zamku.

- Nie zdążysz tam dojść - przepowiedziała Branwen smutnym głosem. - Nie dożyjesz nawet zmroku. Ojciec Gyrtha dopilnuje, by wioska zgotowała ci karę.

- Nie idź tam, proszę! - lamentowała Meredith, ale on wstał i podszedł do drzwi.

- Bądź posłuszna i słuchaj ciotki. - Odwrócił się i patrzył długo na żonę. - Wyruszajcie natychmiast, nie traćcie czasu. - Wyszedł i zatrzasnął drzwi.

- Nie! - Meredith chciała go powstrzymać, ale Branwen jej przeszkodziła.

- Zostań tutaj.

- Zrobił to dla mnie - nalegała dziewczyna. - Sama pójde do zarządcy i powiem mu wszystko. W końcu jestem córką lorda...

- To nie ma żadnego znaczenia. Alfric dał nam trochę czasu i my go wykorzystamy. - Branwen otarła oczy i zaczęła pakować najpotrzebniejsze rzeczy. Obie były bardzo zdenerwowane i złe, ale stanowczy ton kobiety zakończył wszelkie dyskusje. - Nie marnuj poświęcenia Alfrica, Meredith. Rób to, co mówię. Nałóż to na siebie. Należało do twojej matki. Nigdy na mnie nie pasowało, więc zachowałam to dla ciebie. Jesteś tak samo wysoka jak ona, tylko szczuplejsza, więc będzie na ciebie trochę za duże, ale to nie szkodzi.

Meredith się poddała. Ubrała się w szarą sukienkę i związała włosy. Branwen pakowała jedzenie na drogę. Wzięła też dwa koce, by miały czym się przykryć w nocy. Podeszły do drzwi.

- Tak jak myślałam - wyszeptała Branwen. - Alfric już zdążył wypowiadać się ojcu Gyrtha. Ci głupcy zgromadzili się przy studni i omawiają plan działania. Nie mamy ani chwili do stracenia. Meredith, prześlizgnij się przez drzwi i biegnij w kierunku zachodzącego słońca. Nie zatrzymuj się choćby nie wiem co! Ja cię dogonię.

- Boję się.

- Musisz przemóc strach, to nasza jedyna szansa. - Branwen wypchnęła ją za drzwi. Spojrzała na wieśniaków i zrozumiała, że nie mają już dużo czasu.

Meredith biegła ile sił w nogach, nie oglądając się za siebie. Słyszała za sobą Branwen, ale dochodziły ją także krzyki i nawoływania tych, którzy je ścigali. Były teraz na skraju pól, a przed nimi był las, który był własnością lorda i służył mu do polowań. Wieśniakom nie wolno było przekraczać tej granicy. Nie wolno im było też zbierać niczego poza suchymi gałęziami na ognisko. Meredith na własne oczy widziała, co się przytrafiło mężczyźnie, który, nie mogąc już dłużej słuchać kwilenia głodnej dziatwy, poszedł do pańskiego lasu i upolował dwie wiewiórki. Nie chciała o tym teraz myśleć. Na skraju lasu trochę się zawahała i Branwen o mało na nią

nie wpadła. Odwróciły się i zobaczyły buchające płomienie. To palił się ich dom.

- Będą nas ścigać. Znam ich, akceptowali mnie wtedy, gdy leczyłam ich rany, ale teraz, kiedy Alfric jest potępiony, chłopci nazwą mnie czarownicą, a ksiądz heretyczką. Jeżeli nas złapią, spalą i mnie, i ciebie. Ucieczka przed śmiercią przywiodła mnie tutaj i ucieczka przed śmiercią mnie stąd wygania. - Ostatnie jej słowa brzmiały jak zaklęcie.

- Dokąd idziemy? - Strach przed śmiercią zabił w Meredith resztki niepewności. Teraz już nic nie pomogłoby Alfricowi. - Dokąd, ciociu Branwen?

- Do domu. - Głos Branwen zadrżał. - Najwyższy czas, bym powróciła do domu. Nieważne, czy są tam Normanowie, czy też nie. Tak będzie najlepiej i dla ciebie, i dla mnie. Będziesz daleko od Ranaulfa. Idziemy do Afoncaer. Chodź.

Wzięła dłoń Meredith. Na horyzoncie ukazały się długie języki ognia. To płonął dom Alfrica. Rzuciły ostatnie spojrzenie w tamtym kierunku i weszły w gęsty, ciemny las.

## ROZDZIAŁ 12

Meredith wiedziała, co to jest Walia. Ciocia Branwen dużo opowiadała jej o tym zielonym, mglistym kraju, z którego uciekła wiele lat temu. Opowiadała o górach, strumykach, ciężkich, mroźnych zimach i wiosnach pełnych kwiatów. Kiedy Branwen mówiła o Walii, bardzo się wzruszała. Nie lubiła natomiast mówić o swoich przeżyciach.

- Przybyli Normanowie i uciekłam. - Kazała Meredith przysięgać, że nikomu nie powie ani słowa o tym, co od niej usłyszy.

Meredith przyzwyczała się do sekretów cioci. Od kiedy tylko pamiętała, chłoneła wszystkie sekretne informacje o tym, jak przygotowywać zioła. Gdy zaczęła chodzić, Branwen zabierała ją do lasu, by wspólnie zbierać korzenie i rośliny, z których później robiła lekarstwa. Meredith była zdolną uczennicą, szybko uczyła się, jak przygotowywać medykamenty.

Dni mijały, ich wędrówka na zachód ciągnęła się w nieskończoność, a wciąż nie było śladu tego wspaniałego kraju, o którym mówiła Branwen. Meredith coraz bardziej podziwiała ciotkę.

- Czy przebyłaś całą tę drogę sama? - zapytała pewnego wieczoru, gdy siedziały pod drzewem, żując chleb, który był już stary i twardy.

- Byłam wtedy młodsza i bałam się tego, co zostawało za mną. Szłam szybciej niż my teraz.

- Czego się bałaś?

- Powiem ci pewnego dnia, ale nie teraz, jestem bardzo zmęczona.

Branwen ułożyła się do snu i przykryła kocem; po chwili zasnęła. Meredith też poczuła się senna.

Branwen знаła dobrze kierunek, w którym podążały. Trzymały się z dala od wsi i ludzi. To nawet nie było takie trudne. Gdy tylko zauważały obcych, chowały się za skałami i czekały tak długo, aż niebezpieczeństwo minie. Ta część Anglii nie była gęsto zaludniona. Nie zdążyła się jeszcze odrodzić po najazdach Wilhelma Zdobywcy sprzed trzydziestu lat. Spotykały po drodze ruiny domostw i tam chroniły się nocami. Na polach, które kiedyś uprawiali rolnicy, rosły teraz wysokie drzewa.

Musiały być bardzo ostrożne i unikać uciekinierów lub błędnych rycerzy. Dwie samotne kobiety były narażone na niebezpieczeństwo.

Padalo. Zresztą zawsze miało się uczucie, że pada. Było mgliście i kropelki dżdżu spadały z liści na głowy. Ziemia pod stopami była grząska i morka. Meredith nie miała pojęcia, gdzie się znajdują. Wiedziała tylko, że są już w drodze dłużej, niż Branwen umiała zliczyć. Były tak zmęczone i głodne, że najchętniej zwinęłyby się w kłębki i zasnęły na długie godziny.

Z początku Meredith nie zauważyła tego mężczyzny, szła bezmyślnie i ocknęła się dopiero, gdy Branwen zatrzymała ją, chwytając za rękę. Przestraszyła się. Był to wysoki, chudy, stary mężczyzna. Stał przed nimi w długiej, szarej sukmanie, na którą opadała siwa broda. Wydawał się przywidzeniem. Oczy starca utkwione były w Branwen. Kobieta także wbiła w niego wzrok i przemówiła. Meredith nie знаła tego języka, ale domyśliła się, że to jej język ojczysty.

Mężczyzna odpowiedział głosem niskim i spokojnym, który rozwiewał strach i niepokój. Kimkolwiek był, znał język cioci i był za stary, by zrobić im krzywdę. Podniósł dłoń i zrobił zapraszający gest, po czym odwrócił się i zniknął we mgle.

- Chodź. On da nam schronienie - powiedziała Branwen.

- Kim on jest?

Nie odpowiedziała. Poprowadziła ją w kierunku, w którym poszedł mężczyzna.

- Nic nie widzę. Gdzie on jest? - protestowała Meredith.

- Otwórz oczy, jest tam.

- Zgubiłyśmy go, ciociu, to jest magiczny las.

- Nie zgubiłyśmy się. To jest Walia. Jesteśmy w domu.

Jeżeli to miała być Walia, to Meredith nie była pewna, czy warto było się tak trudzić. Deszcz padał jeszcze mocniej. Woda lała się wszędzie, ściekała z drzew i krzewów, miały ją w butach, we włosach. Meredith jeszcze nigdy nie była taka przemarznięta i przemoczona. Już nie protestowała, szła za ciotką, starając się uważać na korzenie, kamienie i gałęzie pod nogami. Jeżeli o czymkolwiek myślała, to tylko o swojej niedoli.

Były w jaskini. Zrobiło się przyjemniej, gdy ujrzały ognisko. Naturalne wycięcie w skale pozwalało uciec dymowi; rozchodził się przyjemny, ziołowy zapach. Jaskinia była duża i wygodnie urządzona.

Meredith podeszła do ognia i wyciągnęła rękę. Za sobą słyszała głosy Branwen i mężczyzny.

- Meredith, zdejmij te mokre rzeczy, dziecko.

Bez oporu zrobiła to, co jej kazano. Branwen owinęła ją w ciepły koc. Meredith grzała się przy ognisku, stary mężczyzna krzątał się przy kotle. Podał jej miskę pełną owoców i jarzyn. Zjadła wszystko, wycierając talerz chlebem. Gdy skończyła, oblizała palce, dawno już nie jadła czegoś tak dobrego.

Mężczyzna cały czas ją obserwował, ale nie przeszkadzało jej to. Przemogła już swój lęk. Jego stara twarz była łagodna, a głos miękki. Patrzyli na siebie cały czas, nie odrywając od siebie oczu. Strach, głód, zimno, bolące stopy, zmęczone mięśnie, wszystko to dawało teraz o sobie znać. Ale na szczęście przez chwilę zaczęła czuć się bezpieczna, sen morzył jej powieki, głowa zaczęła się kiwać. Meredith zasnęła.

Kiedy się obudziła, zobaczyła swoją ciotkę przebraną w sukmanę należącą do mężczyzny. Rękawy były za długie, więc podwinęła je. Do pasa przywiązany miała mały, lśniący sztylet. Była to jedyna rzecz, jaka została Branwen po ucieczce z domu w Walii. Zawsze nosiła go pod suknią jak talizman, ale teraz chciała, by był widoczny. Skończyła właśnie suszyć i układać swoje ciemne loki. Podeszła i usiadła obok Meredith. Zaczęła jeść posiłek, który podał jej mężczyzna.

- Ten człowiek to Rhys ap Daffydd - powiedziała przed następnym kęsem. - Jest moim dalekim kuzynem i kiedy byłam dziewczynką, był moim nauczycielem. To jest jego dom, pozwolił nam tu zamieszkać.

- Myślałam, że idziemy do twojego starego domu, ciociu.

Branwen spojrzała na Rhysa, zamieniła z nim kilka słów i znów zwróciła się do Meredith:

- Afoncaer i Tynant należą do Normanów, ale Rhys mówi, że nie zagładają w tę część lasu. Jest ich niewielu, nie oddalają się od fortecy, bo zbyt wielu ginie od walijskich strzał. Tu jest bezpiecznie, tu zostaniemy.

Meredith przytaknęła nazbyt zmęczona, by dalej rozmawiać. Znowu chciała spać, położyła się na sienniku i powoli odpływała w krainę snów. Jak przez mgłę dochodziły do niej słowa rozmowy.

Leżała na boku z zamkniętymi oczami. Poczwała ciepło na piersi. To było coś żywego, co wtulało się w nią coraz mocniej. Miękkie futerko dotykało jej podbródka. Obudziła się przestraszona Patrzyła

teraz w niebieskie, szeroko otwarte oczy małego, białego kota. Leżała nieruchomo. Koty nie były jej obce, były częścią każdego domostwa konieczne przy zwalczaniu gryzoni, ale ten kot nie był zwykłym kotem. W tej części Mercji, w której żyła przez lata, wierzono, że białe koty są ulubieńcami czarownic i przynoszą nieszczęście każdemu, kto ma z nimi kontakt. Ludzie w wiosce Alfrica nieraz nazywali Branwen czarownicą. Meredith zadrżała. Kot patrzył na nią z zaciekawieniem, potem zmrużył oczy, ale nie zniknął, tak jak to powinno zrobić każde diabelskie stworzenie, tylko położył głowę na przedniej łapce i zasnął. Bojąc się go wystraszyć, Meredith rozejrzała się dokoła, mając nadzieję, że zobaczy Branwen. Nikogo jednak nie było w pobliżu.

Ogień wciąż palił się jasno, rozniecając przyjemne światło i rozpromieniając srebrne punkciki w skałkach. Przez wejście do jaskini wpadały promienie słoneczne, po przeciwnej stronie rozciągała się jednak ciemność. Ciemność, dziwny kot, jaskinia, powinna umierać ze strachu, tymczasem czuła się bezpiecznie, choć sama nie wiedziała dlaczego.

Kot wstał, przeciągnął się i podszedł do wyjścia. Meredith naciągnęła na siebie mocniej koc, przyjemny zapach wydobywający się z kotła przypomniał jej, że dawno nic nie jadła.

- Obudziłaś się nareszcie. - Branwen weszła do środka. - Już środek dnia. Proszę. - Podała jej jedzenie.

- Był tu kot... biały.

- Tak. - Branwen w ogóle nie zwróciła na to uwagi. - Należy do Rhysa.

- Czy on jest czarownikiem?

- Nie. - Branwen zaczęła się szczerze śmiać. - Ja też nie jestem. Tylko głupcy i ignoranci nazywają tak ludzi, których nie znają i nie rozumieją. Gdy mieszkaliśmy w wiosce lorda Ranaulfa, byłam nienawidzona i obawiano się mnie tylko dlatego, że wiedziałam, jak uleczyć rany tych, którzy tego potrzebowali. Na ciebie też zaczęli już patrzeć nieprzychylnym wzrokiem. To dobrze, że nie musimy już tam mieszkać, chociaż przykro mi z powodu tego, co spotkało Alfrica. Nigdy mnie nie bił, chociaż większość mężczyzn bije swoje żony. Być może też się mnie bał? - zastanowiła się. - Alfric powinien był iść z nami.

- Kim jest Rhys ap Daffydd? Dlaczego żyje w lesie?



- Mówiłam ci zeszłej nocy, on jest moim kuzynem. Stracił swój dom, gdy przyszli Normanowie. Żyje w tej jaskini już wiele lat. Walijczycy są inni niż Normanowie. Może nie najlepiej pamiętają dawne zwyczaje, ale respektują tych, którzy je jeszcze kultywują. Rhys spędził swoje życie na zdobywaniu tej starej mądrości. Nasi rodacy przychodzą do Rhysa po lekarstwa, poradę lub po prostu, by posłuchać jak śpiewa lub opowiada anegdoty. Przynoszą mu podarunki, chleb, jarzyny lub odzież. Nie wydadzą go Normanom, ani też nie zdradzą nas, jeżeli jesteśmy pod jego ochroną. Zostaniemy tu. - Meredith wsłuchiwała się w miłe brzmienie tych słów. Wciąż jeszcze czuła zmęczenie i była zadowolona, gdy Branwen skinęła głową na znak potwierdzenia. - Rhys się na to zgodził. Starzeje się już, mogę mu pomóc przy pracy. Razem nauczymy cię wszystkiego, co wiemy. Chociaż nie jesteś Walijką, masz talent i jesteś w stanie się tego wszystkiego nauczyć, a kiedy pomrzemy, będziesz kontynuować nasze dzieło.

Meredith nie miała najmniejszego zamiaru podważać decyzji ciotki. Branwen była dla niej jak matka i dziewczyna ufała jej bezgranicznie. Zrobi to, co ona jej każe.

Nigdy całkowicie nie przestała się bać Rhysa, ale wkrótce polubiła jego dziwaczność. Często pozostawał długo poza jaskinią, nawet kilka dni. W tych dniach Branwen opiekowała się tymi, którzy przychodzili po pomoc. Zaakceptowali ją z początku ze względu na Rhysa, a później z podziwu dla jej umiejętności. Nikt też nie kwestionował obecności Meredith jako jej pomocnicy.

Meredith szybko i chciwie uczyła się wszystkiego. Miała dar, umiejętności uzdrawiające. Instynktownie i na podstawie swojej wiedzy umiała bezbłędnie wybrać lek na każdą dolegliwość. Jej zwinne ręce umiały nastawiać złamane kości, zszywać rany. Po kilku latach, mimo młodego wieku, była też znana jako uzdrowicielka.

Ale uzdrawianie to nie wszystko, czego się nauczyła. Dobrze orientowała się w lesie i tak jak Branwen przestała jeść mięso z szacunku i miłości, jaką darzyła istoty zamieszkujące las.

Rhys był dobrym nauczycielem, przede wszystkim dlatego, że dobrze znał wszystko, o czym mówił. Był w wielu różnych miejscach, wiele podróżował i dużo się w ciągu tych podróży nauczył. Mówił kilkoma językami. Zawsze chciał mieć ucznia, któremu mógłby tę wiedzę przekazać i teraz nareszcie znalazł kogoś takiego. Instruował

Meredith, tak jak niegdyś czynił to z Branwen, a ona chłoneła wszystko niczym gąbka.

- Ale nie ucz jej francuskiego - nalegała Branwen. - Nie chcę, by ona znała ten podły język.

- To Normanów nienawidzisz, a nie ich języka - powiedział spokojnie. - Obie będziecie potrzebowały znajomości francuskiego. Normanowie są tutaj i nie odejdą tak szybko. Łatwiej jest z nimi obcować, jeżeli zna się ich język.

Branwen poddała się i lekcje francuskiego stały się ważnym punktem dnia.

## Reynaud

Mimo zapewnień Rhysa i poczucia braku zagrożenia, jakie odczuwała Branwen, wcale nie byli tacy bezpieczni. Na rok przed przybyciem Branwen i Meredith, król William Rufus jeszcze raz usiłował zdobyć Walię i choć jego wysiłek poszedł na marne, zagarnął jednak pewne połacie ziemi. Powrócił do Anglii, ale nakazał swoim poddanym pozostać i wzmocnić swoje pozycje poprzez budowę olbrzymich fortec. Lionel z Adderbury został baronem Afoncaer i otrzymał rozkaz przemienienia starej, zniszczonej drewnianej fortecy w ogromną, odstraszącą kamienną budowlę.

Nie chcąc wydawać na ten cel pieniędzy pochodzących z innych swoich posiadłości, nałożył wysokie podatki na Walijszyków zamieszkujących jego tereny wokół Afoncaer. Przywiózł ze sobą grupę bezdomnych Saksończyków, którzy mieli osiedlić się w pobliżu zamku i być zwolnieni od podatków. To oni właśnie stwarzali najwięcej problemów tubylczej ludności. Groźba buntu zawisła nad posiadłością Lionela.

Gdy Lionel powrócił ze swej podróży do Normandii, która zresztą zakończyła się kłótnią z królem, ze złości podwoił i tak już wysokie podatki. Walijszycy nie mieli innego wyjścia, jak tylko poddać się jego woli.

Punktem kulminacyjnym okazała się jednak egzekucja jednego z bardziej znanych opozycjonistów wykonana na rozkaz Lionela.

W połowie lipca roku 1100 niewielka grupka Walijszyków zabiła wielu osiedleńców saskich, napadła na zamek, zwała nie dokończoną jeszcze frontową ścianę i wdarła się do środka. Napastnicy zamordowali lorda Lionela i jego głównego pomocnika do spraw budowy zamku.

Sprawcy, jak gdyby sami zaszokowani tym, co zrobili, ukryli się w lesie i nigdy ich nie odnaleziono. Ci, którzy mieszkali blisko Afoncaer, a nie brali udziału w buncie, czekali ze zgrozą na królewską karę. Jednak żadnych konsekwencji nie wyciągnięto. Później dowiedzieli się dlaczego.

W czwartek, drugiego sierpnia tego samego roku, William Rufus, niedobry, znienawidzony król zginął tajemniczo ugodzony strzałą podczas polowania w Nowym Lesie. Pochowano go następnego dnia. Winnego nie znaleziono. W niedzielę Henryk, w żaden sposób nie

związany ze śmiercią starszego brata, został koronowany w Westminsterze jako pierwszy król o tym imieniu.

Nikt nie wiedział, czego oczekiwać po nowym królu. Wierzono, a w każdym razie miano nadzieję, że będzie lepszy niż jego poprzednik.

Rok minął i nikt z ludzi króla nie zawitał do Afoncaer. Ludności żyło się źle i wkrótce zapomniano o buncie. Życie toczyło się swoim własnym torem. Meredith kończyła już siedemnaście lat. Oddana była swojej uzdrowicielskiej działalności, cieszyła się, że mieszka z Branwen i Rhysem.

Czasami tylko odczuwała niepoohamowaną potrzebę czegoś, czego sama nie była w stanie zdefiniować. Me miała żadnych przyjaciół w swoim wieku, przypisywała więc ten dziwny nastrój samotności, co z pewnością było prawdą. Starła, się zabić tę pustkę jeszcze większym oddaniem sztuce leczenia.

Po jakimś czasie po okolicy rozniosły się plotki, że wybrany został nowy władca tych ziem, by zakończyć odbudowę zamku i wnieść pokój i sprawiedliwość na tereny wokół Afoncaer. Walijczycy, dobrze wiedząc, co to oznacza, pochowali wszystko, czego dorobili się po śmierci Lionela.

## ROZDZIAŁ 13

Koniec lipca, AD. 1100

Isabel zareagowała chłodno na wieść o śmierci męża.

- Moja pani, musisz być dzielna. Wiem, że to nie jest tak, że... ty i on..., że ty... dużo przez niego przecierpiałaś - rzekł ojciec Herbert.

- Był moim mężem - powiedziała, wstając z krzesła. Po pustych komnatach echo niosło każdy dźwięk, nawet trzask odsuwanego krzesła brzmiał nienaturalnie głośno. - On był... Lionel...

Nie mogła nic więcej o nim powiedzieć. Przypomniała sobie pierwszy dzień, gdy go zobaczyła; był taki przystojny i pociągający. Taki, o jakim marzyła, będąc młodą dziewczyną i sądziła, że jej marzenia się spełnią. Gdyby tylko był taki jak w jej snach... Nie znalazła dla niego ani jednej łzy. Był człowiekiem obłudnym, przez schlebianie królowi i korupcję chciał osiągnąć bogactwo i lepszą pozycję. Ambicje przewyższały jego możliwości. Biedny Lionel, pomyślała, lecz ani jedna łza nie popłynęła po jej policzku.

- Został pochowany w opactwie Walii, tak? Ojciec Herbert skinął głową w odpowiedzi.

- Opactwo Liangwilym, godzinę lub dwie od Afoncaer. Wiadomość podaje, że tam zabrano jego ciało. Moja pani, nie dziwię się, że nie pamiętasz, co powiedział nasz pan. Ta niespodziewana śmierć i szok...

- Och, dobrze pamiętam, ojczu. William chce, bym wróciła na dwór, nieprawdaż? Nie daje mi nawet czasu na żałobę. On chce Adderbury i Afoncaer też. Według ustanowionych przez niego praw wszystko teraz należy do niego. Co się teraz ze mną stanie?

- Pojadę z tobą pani - ochoczo podchwycił ksiądz. - Nie zostawię cię samej.

- Będę rada z twojego towarzystwa. Czy mógłbyś powiedzieć Joan, aby natychmiast do mnie przysłała? Chcę dać jej wskazówki co do pakowania. - Chciała się go pozbyć choćby na chwilę. Miał dobre intencje, ale jego ciągle gadanie doprowadzało ją do szału. Chciała przez chwilę pomyśleć.

Szkoda, że Guya tutaj nie ma. Naciera teraz na bramy Jeruzalem, a ona skazana jest na łaskę króla, który jej nienawidzi. Dzięki Bogu, że Lionel wysłał Thomasa na dwór księcia Henryka. Mija już rok, kiedy tam pojechał. Prawie za nim nie tęskniła. Przynajmniej miała mniej obowiązków. Wiedziała, że ma prawo do trzeciej części

posiadłości Lionela. Czy William będzie chciał natychmiast wydać ją za mąż za jednego ze swych bliskich przyjaciół, zabierając dużą część jej posagu i żądając opłaty małżeńskiej od jej nowego męża? Robił tak wcześniej innym kobietom, które dobrze знаła. William odpłaci jej za tę odrobinę wpływu, jaki miała na Lionela, za tę odrobinę uwagi, jaką mąż jej poświęcał. Na pewno znajdzie dla niej najmniej przystojnego i najmniej znaczącego męża. Będzie to na pewno ktoś okrutny, stary lub chory, a król będzie nalegał, by oboje opuścili dwór i udali się do jakiejś fortecy daleko od ludzi i przyjemności. William będzie szczęśliwy, gdy uda mu się zrealizować swój plan. Nie pozostawało nic innego, jak jechać mu na spotkanie i posłuchać, co dla niej przygotował.

Pojawiła się Joan i Isabel zaczęła wyliczać na palcach suknie, które chciałyby wziąć ze sobą.

Wyruszyła z Adderbury w środę, jadąc tak wolno jak to tylko możliwe. Chciała jak najbardziej odwlec moment spotkania z Williamem. Miała nadzieję, że podróż zajmie jej cztery dni i przybędzie na miejsce późnym wieczorem tak, by król nie spotkał jej aż do rana, a ona mogła wypocząć. Jako wytłumaczenie tej zwłoki poda ból i żal po stracie męża.

Dowódca ich grupy wyjechał naprzód, by znaleźć odpowiednie miejsca na nocleg. Teraz widziała, jak galopem przybliżyła się w ich kierunku.

- Jedzie za szybko, coś musiało się wydarzyć - zawyrokował duchowny, przytrzymując swojego muła.

Isabel milczała. Gdy żołnierz zbliżył się, widziała na jego twarzy podniecenie i zaskoczenie, ale nie strach.

- Moja pani! - krzyczał jeździec z daleka. - Król nie żyje!

Przybliżył się i relacjonował okoliczności jego tajemniczej śmierci. Isabel słyszała szepty w zastępie żołnierzy. Widziała, jak zbierają się w grupki, by przedyskutować tę niesamowitą nowinę. Sama jednak była zbyt sparaliżowana, by cokolwiek powiedzieć, toteż wpatrywała się tylko w żołnierza, który przyniósł tę wiadomość.

- To znak - zaintonował ojciec Herbert. - Znak z nieba. Zła moc zniknęła raz na zawsze z powierzchni ziemi. - Przeżegnał się, mówiąc te słowa.

- Bądź cicho - upomniała go Isabel - Pozwól posłuchać, co jeszcze ma nam ten rycerz do powiedzenia. Kapitanie, gdzie jest

książę Henryk? Czy jest bezpieczny? - Była zaniepokojona losem Henryka i swojego syna.

- Mówią w mieście, że Henryk pojechał do Londynu, gdzie ma zostać koronowany, Oxford szykuje się do świętowania tego wydarzenia. Nie zarezerwowałem tam noclegu, bo spieszyłem, by ci o tym powiedzieć. Co dalej robić, pani? Decyzja należy do ciebie.

Isabel była przez chwilę jakby nieobecna, w zamyśleniu obserwowała szyję swojego konia. Już ich nie ma. I William, i Lionel odeszli, a ona była wolna. No, może niezupełnie wolna, prawa ustanowione przez Williama będą obowiązywały, dopóki następny król ich nie zmieni, a może być tak, że je zaakceptuje. Oby królem został Henryk, a nie jego kłótniwy brat Robert, oby nie było walki o tron.

- Czy baronowie poprą Henryka? - zapytała, dopiero po chwili zdając sobie sprawę, że kapitan nie będzie tego wiedział,

- Ludzie go poprą. Pewien człowiek mówił mi, że tłum zebrał się w Winchesterze i zagroził, że zburzy pałac i powiesi każdego, kto będzie przeciwny Henrykowi. Baronowie nie mieli wyjścia, musieli wybrać Henryka.

- I mówisz, że pojechał do Londynu?

- Tak, moja pani. Co zamierzasz zrobić? Czy wracamy do Adderbury? -

- Nie. - Isabel podjęła decyzję z sercem przepelnionym nadzieją. Henryk będzie lepszym królem niż William, to było pewne. - Jedziemy do Londynu, chcę rozmawiać z naszym nowym władcą.

Był to szczęśliwy dzień dla Londynu. Ludzie chodzili i świętowali na ulicach wybór nowego króla, popijając tego. Isabel i jej kompania jechali - wolno przez zatłoczone ulice. Wysłała jednego żołnierza, by zarezerwował dla nich pokoje. Zatrzymali się w gospodzie, która była czysta i schludna, a co najważniejsze znajdowała się blisko domu króla w Westminsterze.

Następnego dnia wcześniej rano Isabel wysłała ojca Herberta do domu królewskiego. Nie miał może polotu, ale jego duchowna szata z pewnością zagwarantuje powodzenie i Isabel otrzyma zgodę na spotkanie z królem. Dwa dni z rzędu odsyłany był od drzwi, dopiero na trzeci dzień przyniósł wiadomość, że król przyjmie Isabel w najbliższą niedzielę po mszy świętej. Natychmiast zaczęła myśleć o tym, w co się ubrać na taką okazję.

Czekając na niedzielę, złożyła wizytę lady Aloise. Jej mąż, sir Stephen z Dol, umarł dwa lata temu, doczekawszy sędziwego wieku. Wkrótce lady Aloise wyszła za mąż za sir Valaire'a, normńskiego rycerza. Dokładnie w dziewięć miesięcy po ślubie urodziła się córka. Aloise znała wszystkie najnowsze plotki, w szczególności na dwa tematy, które były najciekawsze.

- Ralph Flambard został aresztowany. Jest pierwszym więźniem, który będzie przetrzymywany w White Tower. Sądzę, że ta wiadomość cię ucieszyła, nigdy go nie lubiłaś, nieprawdaż?

- Nienawidziłam go - przyznała Isabel. - Mam nadzieję, że będą trzymali go skutego w łańcuchy przez resztę życia. Czy słyszałaś coś o zaręczynach króla?

- Są już uzgodnione. Henryk zamierza poślubić córkę króla Szkocji. Jej matka jest byłą angielską księżniczką, pochodzi ze starej saskiej rodziny. Wprost nie mogę w to uwierzyć.

- Mówią, że jest piękna - powiedziała Isabel, która z wielkim zaciekawieniem słuchała plotek. - Słyszałam, że zgodziła się zmienić imię z Edith na bardziej normńskie, chyba Matylda.

- To niczego nie zmienia. Każdy i tak będzie ją ignorował. Nazywają ją świętoszka Godiva. Henryk mógł dokonać lepszego wyboru. Mógł mieć każdą księżniczkę Europy, każdą hrabiankę. Dlaczego nie wybrał Normanki?

Isabel nie zareagowała. Nagle zobaczyła szansę odzyskania pewnego statusu na dworze królewskim. Z pewnością decyzja co do jej powtórnego małżeństwa zapadnie podczas niedzielnego spotkania. Jednak nie chciała jeszcze wychodzić za mąż, jeszcze nie. Za pierwszym razem nie miała wyboru, teraz chciała rozejrzeć się dokoła i przyjrzyć się potencjalnym kandydatom. Miała nadzieję, że jej drugie małżeństwo będzie doskonałe i wymaże pamięć o poprzednim. Przede wszystkim chciała pozostać na dworze królewskim. Już więcej żadnego wygnania. Chociaż rozmawiała z Aloise, jej umysł badał wszystkie możliwe rozwiązania. O tak, Aloise miała rację, wielu będzie się starało być niegrzecznym i nieprzyjemnym dla królowej. Isabel jednak przejrzała prawdziwy cel tego ślubu, pokój ze Szkocją i... powiązanie dwóch narodów. Henryk, kiedy jeszcze był księciem, mawiał często, że należy łączyć się z innymi ludami, by tworzyć pokój i jeden naród. Jego małżeństwo miało być pierwszym krokiem w tym kierunku. Będzie więc patrzył łaskawym okiem na tych, którzy



będą dobrze traktować jego żonę. Isabel zostanie pierwszą, najlepszą i najbliższą przyjaciółką królowej.

\*

- Panie. - Isabel skłoniła się nisko przed królem. Podał jej rękę, pomagając powstać, a ona obdarzyła go jednym ze swoich najwspanialszych uśmiechów. - Jakaż to radość witać cię jako króla.

Isabel była bardzo wysoka, ale król był od niej wyższy. Patrzył na nią z góry przenikliwym wzrokiem; miała wrażenie, że przejrzał jej myśli na wylot. Złożył jej kondolencje z powodu śmierci męża.

- Tak, to naprawdę okropne. Ci okrutni Walijscy!

- Jeszcze popamiętają to, co zrobili - Henryk uśmiechnął się.

Przeszył ją dreszcz na myśl, co stanie się z Walijszycami, których przecież nie wszystkich nienawdziła.

- Rozumiesz, mam nadzieję, że własność Lionela należy teraz do królestwa, a ty jesteś pod moją opieką.

- Tak, mój panie, a Thomas?

- On również będzie pod moją opieką i cieszy mnie to, bo lubię tego chłopca.

Isabel poczuła ulgę, że Thomas jest bezpieczny. Jeżeli król lubi Thomasa, to może będzie łaskawy dla jego matki.

- Posłałem list do Guya - powiedział król.

- Do Guya?

- Chcę, by wrócił do Anglii.

- Och! - Isabel nie spodziewała się tego.

- A jeżeli chodzi o twoje powtórne zamążpójście... masz jako wiano trzecią część posiadłości Lionela. Zastanowię się jeszcze, jakiego męża ci znaleźć. Teraz jestem bardzo zajęty.

- Panie, nie chciałabym od razu wychodzić za męża, nie tak szybko.

- Ależ oczywiście, że wyjdiesz, a im szybciej, tym lepiej. Wszystkie kobiety chcą być mężatkami. Chyba że chcesz wstąpić do klasztoru. Czy o to ci chodzi? Nigdy bym tego o tobie nie pomyślał, ale nigdy nie wiadomo, komu pisane jest powołanie; czasami zdarza się to nagie. Dobrze, zaaranżuję to dla ciebie, jeśli chcesz. Jaki klasztor?

Isabel nie wierzyła własnym uszom, chciało się jej płakać na samą myśl, że mogłaby być zamknięta w klasztorze. Upadła przed królem na kolana.

- Panie, boję się powiedzieć ci, czego najbardziej chcę. Boję się, że mnie wypędzisz.

Król nie odpowiedział. Isabel spojrzała na niego. Przypomniała sobie, że ma on dwadzieścioro nieślubnych dzieci i wie, jak postępować z kobietami.

- Isabel - powiedział. - Wstań i powiedz mi, czego chcesz, a może będę mógł spełnić twoje życzenie.

- Najbardziej chciałabym - mówiła wstając - pozostać na dworze. Przez jakiś czas nie chciałabym wychodzić za mąż i byłabym bardzo zaszczycona, gdybym mogła być obecna podczas powitania twojej żony.

- A więc o to chodzi, pochwalasz mój wybór. Jesteś niezwykła.

- Nigdy nie było cienia skazy na moim honorze, mój panie.

- Wiem o tym dobrze. - Spojrzał na nią badawczo. Odniosła wrażenie, że doskonale wie, dokąd ona zmierza.

- Szacowna wdowa to chyba wymarzone towarzystwo dla królowej. Poza tym mogłabym częściej widywać Thomasa - dodała uroczyście.

Henryk zaczął się śmiać.

- Jesteś pierwsza i najsprytniejsza. Na nieszczęście nie jesteś ostatnią Normanką, która próbuje wzmocnić pozycję swoją czy męża, schlebiając mojej żonie. Ona będzie tutaj obca, prawdopodobnie będzie tęsknić za domem. Bardzo zależy mi na tym, by dobrze się tu czuła. Czy będziesz ją szanować i dobrze traktować?

- Będę całym sercem. Sama byłam kiedyś w podobnej sytuacji.

- Tak - Król jeszcze raz spojrział wnikliwie na Isabel. Być może zauważył w niej przerost ambicji i zainteresowanie tylko własną osobą. - Tak, to dobry pomysł. Będę mógł mieć cię na oku. Nie będziemy się śpieszyć ze znalezieniem męża dla ciebie, a obowiązki wobec królowej będą absorbowały cię całkowicie.

- Dziękuję, panie. - Prawdziwe, nie udawane łzy popłynęły po jej policzku; łzy radości.

- Nie zobaczymy się do powrotu Guya. Zegnaj.

## ROZDZIAŁ 14

Winchester, Wielkanoc, AD. 1103

Guy z Adderbury powrócił do Anglii po pięcioletnim pobycie w Ziemi Świętej. Oddawał właśnie cześć królowi Henrykowi.

- Możesz powstać. - Henryk objął młodego żołnierza po dopełnieniu formalnego powitania. Odesłał potem wszystkich dworzan oprócz jednego księdza, by porozmawiać z Guyem bez świadków.

- Dobrze jest widzieć cię znowu, Guy, ale niestety przyjechałeś tu po to, by natychmiast wyjeżdżać.

- Spełnię każdy twój rozkaz, panie.

- Wiem i mam dla ciebie bardzo poważne zadanie. Potrzebuję silnego i zaufanego człowieka, który pilnowałby walijskiej granicy, podczas gdy będę w Normandii, starając się przywrócić do porządku mojego brata, księcia Roberta. On znowu usiłuje przywłaszczyć sobie tron Anglii.

- Przecież na granicy walijskiej są baronowie graniczni i oni powinni pilnować porządku.

- Och! Lord Shrewsbury powędrował aż do Normandii, by przyłączyć się do moich przeciwników.

- Słyszałem, panie, że skonfiskowałaś jego ziemie, gdy wyjechał - napomknął Guy, myśląc o tym, jak chytrze postąpił król, zgarniając taki skarb dla korony.

- Taak, teraz lordowie Chester i Hereford rządzą się sami, stają się coraz silniejsi. To dobrze, oni są po mojej stronie. Jestem przygotowany - ciągnął król - by nadać ci wszystkie tytuły i ziemie należące do twojego brata oraz byś sprawował władzę nad jego rodziną.

- Dzięki, panie, ale sądziłem, że Thomas jest prawowitym spadkobiercą

- Thomas jest jeszcze za młody. Jedenaście lat to stanowczo za mało, by rozporządzać takimi ziemiami w tak trudnych czasach. Możesz zapewnić mu jakieś tytuły i nadać je, kiedy będzie starszy.

Guy czuł, że rozporządzenia króla nie są dla Thomasa sprawiedliwe. To prawda, że według praw ustanowionych przez Williama Rufusa wszystkie ziemie Lionela należały teraz do korony i król mógł zrobić z nimi, co chciał, ale Guy wolałby być wraz ze swym

bratankiem współwłaścicielem tych dóbr. Zmienił jednak temat rozmowy.

- Panie, sądzę że chcesz mi jeszcze coś powiedzieć o walijskich posiadłościach Lionela.

- Tak. Pozwól, że ci przedstawię: to jest Reynaud. - Król zwrócił się do mężczyzny, który cały czas był obecny w komnacie. - Korzystałem już z porad tego człowieka i twierdzę, że można mieć do niego całkowite zaufanie.

Reynaud przybliżył się. Był to wysoki, bardzo szczupły mężczyzna o szarych włosach i załzawionych oczach. Sutanna luźno zwisała na jego kościstych ramionach. Miał około trzydziestu pięciu lat. Błada twarz nie odróżniała się prawie od jasno wymalowanych ścian.

- Ty i Reynaud pojedziecie do Afoncaer - powiedział król. - Reynaud będzie twoim architektem, inżynierem i, jeżeli będziesz sobie tego życzył, również sekretarzem. Chcę, byś dokończył dzieło twojego brata i odbudował Afoncaer, ale bądź mądrzejszy i nie dopuść, by tamtejsi ludzie zbuntowali się przeciwko tobie. Proszę cię, Guy, nie stosuj przemocy. Wiem, że czasami jest to konieczne, ale staraj się nie dopuścić do przelewu krwi. Nie chcę, by marnowało się życie ludzkie. Muszę mieć po swojej stronie dobrego obrońcę na wypadek, gdyby lordowie graniczni powstali przeciwko mnie, a to jest możliwe.

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy.

Król chciał już zakończyć tę rozmowę, ale Guy podniósł jeszcze jeden temat, który leżał mu na sercu.

- Czy mogę mieć jeszcze jedną prośbę?

- Jaka?

- Chciałbym wziąć ze sobą mojego bratanka Thomasa.

- Thomasa? - Henryk myślał przez chwilę zaskoczony. - No dobrze, weź go, nie ma chyba rycerza, który mógłby go lepiej wyszkolić. Będę za nim tęsknił, ale chyba tak będzie lepiej. Nie masz jednak żony, kto nauczy go dobrych manier? Kto nauczy go, jak służyć kobietom?

- On już dużo nauczył się przez te cztery lata pobytu u ciebie, panie. Królowi spodobała się ta odpowiedź.

- Powinieneś mieć żonę, Guy. Będziesz potrzebował dziedzica.

- Jak sędzę, Afoncaer nie jest teraz w najlepszym stanie i żadna elegancka dama nie chciałaby tam mieszkać. Po odbudowie zamku pomyślę o tym.

- Może ożeniłbyś się z jakąś dziewczyną z dobrej saskiej rodziny? - Król był bardzo zadowolony ze swojej żony. - Zajmowałaby się twoimi posiadłościami w Anglii, kiedy byłbyś w Walii.

- Wierzę, że mój brat zostawił odpowiedzialnych zarządców w każdej z tych posiadłości.

Guyowi nie na rękę była ta rozmowa. Normañscy rycerze nie aprobowali małżeństwa króla z przedstawicielką podbitego narodu. Żaden dumny Norman nie zrobiłby czegoś takiego, chyba że pod przymusem. Stara saska arystokracja nie dysponowała ani ziemią, ani tytułami. Henryk wydawał się rozumieć jego obawy.

- Nie będę nalegał, skoro jesteś taki niechętny. Ale pomyśl o tym. Twoim obowiązkiem jako barona jest spłodzić następcę.

Guy nie odpowiedział.

- Możesz odejść, Guy. Wyruszaj do Walii tak szybko, jak tylko ci się to uda i przysyłaj mi przez Reynauda szczegółowe raporty.

Gdy Guy wyszedł, król odwrócił się do duchownego i Uniósł brwi, czekając jego wypowiedzi.

- Uczciwy rycerz, choć trochę uparty.

- Zgadza się. - Henryk pokiwał głową, ciesząc się, że jego opinia została potwierdzona przez uczonego księdza. - Wraz z raportami Guya wysyłaj też swoje własne spostrzeżenia; chcę mieć jasny obraz tego, co tam się dzieje. Poprzez zaniedbanie mój brat stracił sporo ziem, które zdobył nasz ojciec. Ja nie chcę utracić już nic.

- Rozumiem, panie. - Reynaud zawahał się. Chciał poruszyć pewien drażliwy temat. Zaczaj nieśmiało: - Panie, jest pewien problem. Chodzi o lady Isabel.

- Boże święty! - Henryk rozpostarł ręce w geście irytacji. - Przeklinam dzień, w którym zgodziłem się, by została damą mojej żony. Co znowu zrobiła?

- Prosiła mnie, bym porozmawiał z tobą w jej imieniu... prosi o więcej pieniędzy, panie.

- Więcej? Wyznaczyliśmy jej i tak dużą część, to powinno jej wystarczać.

- Isabel twierdzi, że Lionel zmarnował cały jej posag, a pieniądze, które otrzymuje, nie wystarczają na jej wydatki.

- Nie wystarczają? Cóż, u diabła, ona robi z tymi pieniędzmi? Nie, nie mów. - Henryk machnął ręką. - Wiem, widziałem jej suknie i klejnoty, na to idą wszystkie jej pieniądze.

- Bądźmy wyrozumiali, mój panie. Jej małżeństwo z Lionelem nie było najszcześniejsze. Oboje wiemy, jaki był Lionel. Nie dziwi mnie więc, że szuka teraz pocieszenia w uciechach i przyjemnościach. Chociaż sądzę, że powinna mieć męża i zadowalać się tym, co ma, Przynajmniej nie ma kochanków, to dobrze o niej świadczy. Przemawia przez nią ekstrawagancja, choć wiem, że to niedobrze. - Głos Reynauda załamał się pod spojrzeniem króla.

- Lady Isabel - powiedział ostro Henryk - już wkrótce sprowadzi na siebie bankructwo i skandal, jeżeli nie podejmiemy odpowiednich kroków. Bezmyślne postępowanie tej kobiety obraża królową. Matylda też o tym ze mną rozmawiała. Byłem świadomy tego problemu, zanim o tym wspomniałeś, Reynaud. Cóż mamy z nią uczynić? Nie możemy wysłać jej do klasztoru. Będzie z nią tam jeszcze więcej problemów niż tu, a ona umie wymyślać najróżniejsze usprawiedliwienia dla swojego zachowania. Czasami zastanawiam się, z czego ona się spowiada? Tak się dzieje, kiedy pozwala się żyć kobietom bez męża.

- Zupełnie się z tobą zgadzam. Jej trzeba silnego, mądrego mężczyzny.

- Silnego męża albo... - Henryk zaczął się śmiać - opieki mądrego szwagra.

- Och, panie - zaprotestował duchowny, domyślając się, co zamierza król. - Jej obecność jeszcze bardziej odwlecze jego decyzję o małżeństwie.

- Guy potrzebuje kobiety, która poprowadziłaby mu dom.

- Poprowadziła? Ona go zrukuje, jest przyzwyczajona do zbytków. Sir Lionel zachęcał ją do ekstrawagancji. Jej kaprysom nie da się tak łatwo sprostać.

- Tym lepiej wysłać ją daleko, by nie kusiło jej życie na dworze. A ty, Reynaud, obserwuj ją, ograniczaj jej przyjemności.

- Ja? Ja... mój panie, mam radzić sobie z tą... kobietą?

- Bądźmy wyrozumiali, nieprawdaż, Reynaud? - wykpiwał słowa duchownego. - Wszystko zależy od ciebie. Ufam ci. Miej nad nią

pieczę. Lady Isabel nie wytrzyma długo w Walii bez uroków Londynu, na pewno zacznie dla zabawy knuć intrygi. Zdawaj mi relację z tych wydarzeń, będziemy się dobrze bawić.

- Tak, panie - odpowiedział Reynaud, niezbyt zadowolony z tego pomysłu.

- Do Walii? Ja?! Nigdy! - Isabel miotła gromy, gdy się o tym dowiedziała od Guya. - Królowa mnie potrzebuje, jestem jedną z jej dam dworu, Guy. Nie możesz tak po prostu zabrać mnie stąd i oderwać od obowiązków wobec królowej, nawet jeżeli to ty jesteś teraz moim opiekunem. Królowa i król sprzeciwią się twojej decyzji, oboje są moimi dobrymi przyjaciółmi.

- To właśnie król Henryk wyraził życzenie, byś jechała ze mną. Będziesz zajmowała się domowymi sprawami.

- Reynaud może mnie zastąpić jako szambelan. Nie potrzebujesz mnie.

- Reynaud ma ważniejsze obowiązki niż dogłądanie spraw domowych. Zresztą król życzy sobie, żebyś jechała

- Nigdzie nie pojedę. - Isabel odwróciła głowę. - W Walii zamarnę na śmierć. Tam słońce nigdy nie świeci. Powiedziałam Lionelowi, a teraz mówię tobie, że nie pojedę do Afoncaer, dopóki nie będzie tak eleganckie i komfortowe jak dwór królewski. Jestem za delikatna, by żyć w tak niedogodnych warunkach. To zniszczyłoby moje zdrowie.

- To jest rozkaz królewski, Isabel, i musisz być posłuszna, czy tego chcesz, czy nie.

Patrząc na nią, Guy zrozumiał, dlaczego Lionel nie lubił kobiet. Piękna i delikatna panna młoda przeistoczyła się w okropną egoistkę. A teraz, co gorsze, to on miał ją na karku. Żałował, że nie jest w Ziemi świętej, wolałby być daleko od Anglii, niż być skazany na Isabel.

- To wszystko tylko plotki - wrzała Isabel. - Moi przeciwnicy naopowiadali królowi niestworzonych rzeczy. Są z pewnością zazdrośni, że królowa jest moją dobrą przyjaciółką. Pójdę do niej. Powiem jej o wszystkim, ona na pewno będzie nalegać, żebym została na dworze.

- W imię Boga, Isabel, uspokój się! - wybuchnął Guy. - Ty nie chcesz jechać, a ja wcale nie palę się, żeby cię tam zabierać. Thomas też będzie niezadowolony, że musi służyć tylko swojej matce, ale nie mamy innego wyjścia.

- Thomas też jedzie? Mój syn w moim domu! Zupełnie jakby nie można było znaleźć odpowiedniego miejsca, gdzie mógłby się wszystkiego nauczyć i to po czterech latach spędzonych na dworze królewskim. Co ludzie pomyślą? Poza tym jest już taki duży, że mnie postarza! Coś ty narobił, Guy? A może to Lionel zrobił coś, o czym ja nie wiem?! Dlaczego ja i mój syn musimy cierpieć za złe postępowanie twoje i Lionela. - Isabel płakała. - Co mam teraz zrobić? Chciał jej odpowiedzieć, że wygnanie zawdzięcza sama sobie, ale ostatecznie jej płacz zamknął mu usta. Kto wie, jak bardzo cierpiała w czasie małżeństwa z jego bratem? Guy nie chciał osądzać wdowy po swoim bracie. Gdy Isabel uspokoiła się trochę, powiedział:

- Będiesz dobrze traktowana, tak jakbyś była moją siostrą. Możesz mieć, co chcesz, by czuć się szczęśliwa w Afoncaer. Oczywiście wszystko w granicach zdrowego rozsądku - dodał, przypominając sobie powód jej wygnania.

- Nic mnie nie uszczęśliwi w tym podłym miejscu. - Isabel była już spokojniejsza. - Mogę mieć wszystko? Ciepłe ubrania?

- Oczywiście - zaśmiał się, widząc ją już w lepszym nastroju.

- Guy, jesteś najlepszym z braci. Jakież ty jesteś uprzejmy! Będę potrzebowała nowych futer i atlasowej sukni, ciemnoczerwonej jak sądzę... Kilku wełnianych tunik, rękawiczek, peleryny z kapturem i butów, dużo butów. Słyszałam, że ziemia w Walii jest bardzo grząska.

Guy słuchał z niesmakiem. Nawet nie wspomniała o tym, czego Thomas może potrzebować, nie wspomniała też o niczym, co przydałoby się przy prowadzeniu gospodarstwa. Ani jednego pytania, jakich należy wziąć służących lub jak urządzić komnaty. Wszystko dla własnej przyjemności. I to była kobieta, która miała zająć się jego domem.

Dobry Boże, pomyślał. Przysięgam, że nigdy się nie ożenię. Będę wiemy królowi Będę żył i umrę jako kawaler.



## ROZDZIAŁ 15

Czerwiec, A.D 1103

Meredith przykucnęła przy najbliższym krzaku i drżącymi palcami rozchyliła liście.

Rycerz nie był sam. Żaden Norman, jeśli miał głowę na karku, nie podróżowałby tutaj w pojedynkę. Wielu śmiałków można było znaleźć z poderżniętymi gardłami. Nawet baronowie graniczni niewiele mogli na to poradzić. Mordercy tajemniczo znikali, kryjąc się w dzikich lasach za walijską granicą.

Ten jednak był mądry, bo jechał w zbroi. Giermek prowadził za sobą konia objuczonego bronią. Za tym koniem szedł jeszcze jeden ciężki wierzchowiec służący do walki.

Ale wszystko to było dla niej nieważne. Znowu spojrzała na rycerza. Był teraz niedaleko. Patrzył w jej kierunku, ale nie dostrzegł jej. Był to sir Guy z Adderbury, tyle o nim wiedziała. Domyśliła się, że szuka Afoncaer, które teraz należało do niego. Musi przejechać jeszcze kawałek w stronę rzeki, by ujrzeć zamek. Stamtąd, kiedy mgła nie była za gęsta, można było zobaczyć Afoncaer, dumną i samotną, na wpół zniszczoną rzeczną fortecę.

Nagle stała się piękna rzecz. Gdy rycerz przybliżył się, promyk słońca rozświetlił mgłę. Jego zbroja pokryta kroplami deszczu błyszczała. Twarz miał zwróconą ku jaśniejącym promieniom. Uśmiechał się, witając słońce. Gdy zobaczyła ten uśmiech, poczuła mocniejsze bicie serca i pomyślała, że chciałaby być z tym' mężczyzną do końca życia. W jej świadomość wryły się jego rysy: mocna, ogolona broda, długi, prosty nos, błyszczące, niebieskie oczy, złote włosy. Zauważyła małą, białą bliznę na lewym policzku. Powiedział coś do giermka. Promień słońca zniknął i znowu zaczęło padać.

Meredith nagle zdała sobie sprawę, że pod wrażeniem urody rycerza zupełnie zapomniała o ostrożności i stała wyprostowana naprzeciw niego. Rycerz spał konia i chwycił miecz. Giermek również dobył broni. Najprawdopodobniej sądzili, że ona jest tylko jedną z wielu i że to pułapka.

Było tylko jedno miejsce, gdzie mogła się skryć. Uniosła trochę spódnicę, by łatwiej było jej biec i rzuciła się na złamanie karku po śliskiej trawie. Chusta spadła jej z głowy i ciemnoczerwone, długie loki spadały jej na oczy. Słyszała za sobą krzyki i tupot kopyt. Weszła

do lodowatego strumyka i przeszła na drugą stronę. Teraz biegła w kierunku lasu, chcąc dostać się na maleńką dróżkę, o której wiedziała, że żaden koń nią nie przejedzie. Szła krętymi drożynami, które dobrze знаła, a na których pogubiliby się żołnierze. Usłyszała szczekanie psów i znowu pobięła szybciej. Doszła do następnego strumienia i poddała się nurtowi, płynęła tak długo, aż odgłos szczekania oddalił się bezpiecznie. Dopłynęła do miejsca, gdzie strumień wpadał do rzeki. Wyszła z wody i usiadła na kamieniu, masując zziębnięte nogi. Cały czas jednak miała przed oczami twarz rycerza o złotych włosach. - To jest bohater - wyszeptała. - Ciocia Branwen ma rację mówiąc, że legendy ciągle żyją, bohaterowie tych legend też, a ja właśnie widziałam jednego z nich.

## ROZDZIAŁ 16

- Zgubili ją w lesie, panie. Była sama. Panie? - Giermek spojrzał na Guya, który wydawał się nieobecny, cały czas wpatrzony w miejsce, gdzie zniknęła dziewczyna.

- Tak, słyszę cię, Geoffrey. Nigdy nie zapominaj, że nawet jedna dziewczka może być szpiegiem. Mieliliśmy szczęście. Tym razem to nie zasadzka. - Guy cały czas myślał o dziewczynie z czerwonymi lokami i zgrabnymi, długimi nogami. - Geoffrey, chcę byś się dowiedział, kto to był. Musimy być ostrożni. Chcę wiedzieć, czego tu szukała. Kiedy ją znajdziesz, przyprowadź ją do mnie.

Przerwał mu znajomy dźwięk. Za nim był powóz, w którym jechała Isabel. Obok powozu jechali Reynaud i Thomas na rumakach, oraz ojciec Herbert na ośle. Duchowny nalegał, by towarzyszyć Isabel w Walii, mówiąc, że jest jej spowiednikiem. Osioł jadący na ośle, pomyślał Guy, i w dodatku brudny osioł. Jako przykładowy Norman Guy zwykł myć się często, czego ojciec Herbert nigdy nie robił.

Uśmiech na twarzy Geoffreya zdradził Guyowi, że ten pomyślał to samo. Jednak Guyowi nie było do śmiechu.

- Powiedz lady Isabel, żeby się nie denerwowała. Niebezpieczeństwo za nami. Wkrótce dojedziemy do Afoncaer. - Wolał, żeby to giermek zaniósł Isabel tę wiadomość, w końcu należało to do jego powinności, a on sam miał już dosyć narzekań bratowej.

Mimo pozornego pogodzenia się z losem Isabel tak bardzo przedłużała moment wyjazdu z dworu, że spóźnieni byli o sześć tygodni. Cierpliwość Guya ostatecznie się wyczerpała. Pewnego wieczoru wszedł do jej pokoju i oświadczył, że wyruszają za dwa dni o świcie, obojętnie czy jest gotowa, czy nie. Nie wzruszyły go tym razem wybuchy złości przeplatane rzewnymi łzami. Skończyła się cierpliwość i teraz trzeba było pokazać, kto jest panem, a kto musi słuchać. Podczas podróży do Walii Isabel albo płakała, albo zatapiała się w kompletnej ciszy.

Widok zamku był przerażający. Podczas rebelii, w wyniku której zginął Lionel, główna brama i część muru zostały zupełnie zniszczone; nigdy ich nie odbudowano. Guy i jego kompania dotarli do innego wejścia.

Po królewskim nakazie odbudowy zamku Guy wysłał do Afoncaer ludzi, którzy mieli przygotować pomieszczenia mieszkalne.

Oczom przybyłych ukazał się nowy drewniany hall, stajnia i kilka komnat. Kapitan mianowany przez Guya jako odpowiedzialny za budowę wyszedł im na spotkanie.

- Dobry Boże, John, jest gorzej niż sobie wyobrażałem - powiedział Guy.

- Panie, posprzątaaliśmy już wszystko i jesteśmy gotowi do odbudowywania muru. Czy architekt przyjechał z tobą?

- Tak, przybył z nami Reynaud. To specjalista dobrze zorientowany w tej materii. Przedstawię was sobie. - Guy odwrócił się, by poszukać wzrokiem duchownego. W tym samym momencie wpadła na niego rozwścieczona i rozhisteryzowana Isabel. Mocno chwyciła go za ramię i krzyknęła:

- Jak śmiałeś mi to zrobić?! Nie będę tu mieszkać, to dziura, w której nie ma żadnych wygod!

- John, to jest lady Isabel, wdowa po Lionelu - powiedział Guy, by kapitan nie pomyślał, że ta krzycząca i płacząca spazmatycznie kobieta jest jego małżonką.

- Pani. - John uklonił się przed nią. - Nie mieliśmy pojęcia, że przyjedzie również kobieta. W istocie nie ma tu jeszcze pomieszczenia dla kobiet, ale jest już przeznaczone na to miejsce. Zaraz wszystkiego dopilnuję.

- Dziękuję - odrzekła Isabel. - Jak to dobrze, że jest tutaj chociaż jedna osoba, która rozumie, co należy się kobiecie szlachetnego urodzenia. - Spojrzała wymownie na Guya, by upewnić się, że jej wypowiedź została dobrze zrozumiana.

- Spodziewam się również pani - kontynuował John - że masz specjalne życzenia co do komnat dla kobiet, kuchni, pralni, łaźni, a może i ogrodu. Jestem otwarty na wszelkie uwagi ze strony tak pięknej kobiety. Jestem też ciekawy twego zdania na temat lokalizacji kapliczki. Jakież to szczęście, że mamy możliwość wysłuchać rady damy.

- To prawda, mam kilka propozycji. - Isabel dotknęła jego ręki i pozwoliła poprowadzić się do głównego hallu. Za nią szedł Thomas i ojciec Herbert. Reynaud natomiast przyłączył się do Guya.

- Ten człowiek minął się z powołaniem. - Guy wskazał na kapitana. - Powinien był trafić do kościoła. Z łatwością zostałby księdzem, a potem nawet papieżem.

Urwany śmiech ze strony zawsze tak poważnego Reynauda zdziwił go.

- Jeżeli choć w połowie umie sobie radzić ze swoimi ludźmi tak jak z lady Isabel, to powinniśmy być zadowoleni - powiedział Reynaud flegmatycznie. - Słyszałem, że Walińczycy nie godzą się na rządy Normanów i buntują się przeciw nim, tak jak zrobili to za czasów Lionela,

- Powstrzymamy wszelkie próby buntu, Reynaud. Zaczniemy od fortyfikacji. Ty, John i ja spotkamy się dziś wieczorem, by omówić plan działania. Do tego czasu rozejrzyj się dokoła. Musisz się we wszystkim dobrze orientować, zanim przystąpisz do pracy.

- Panie, jestem w pełni świadomy moich obowiązków. - W głosie Reynauda była nuta rozgoryczenia.

- Może jestem w gorącej wodzie kapany. Nie chciałem cię obrazić. W odróżnieniu od innych baronów ja lubię tych, co umieją czytać i pisać; nawet ich podziwiam. Próbowałem nauczyć się tej sztuki, ale nie byłem w stanie. Umiem tylko napisać swoje imię, wiem więc, jak ciężko jest zdobywać wiedzę. Potrzebuję cię Reynaud, byś spisywał wszystko, co dotyczy tego zamku. A ty potrzebujesz mnie, bym cię ochraniał. Nie kłóćmy się więc.

- Ja też tak uważam, panie - powiedział Reynaud i podążył za Guyem do drewnianego hallu.

- Ciociu Branwen. - Meredith objęła ją. - Stała się niezwykła rzecz. Widziałam rycerza, był wspaniały. Miał złote włosy, a słońce je rozpromieniało. Nie umiem wyrazić, jaki był piękny.

- Żaden Norman nie jest ładny. - Branwen uwolniła się z jej uścisku. - Ale każdy Norman może sprowadzić kłopoty. Teraz, kiedy znowu tu są, ludzie, którzy mieszkają w Afoncaer, będą źle traktowani. Powinniśmy stąd odejść, ale nie możemy; Rhys jest chory.

- Co się stało? Powiedz mi, ciociu. - Meredith zauważyła, że Branwen przygotowuje gorzko pachnący wywar. - Gdzie jest Rhys?

- Jestem tutaj, jeszcze mogę chodzić.

Starzec wychodził właśnie z podziemnej pieczary, w której trzymał specjalne medykamenty. Meredith też знаła to miejsce, czasem pomagała mu w układaniu ich na odpowiednich miejscach. Rhys podał Branwen mały flakonik, a ona wlała trzy krople płynu do wywaru. Nad garnkiem uniosła się chmura pary.

- Co ty takiego robisz? Nigdy przedtem nie widziałam tej mikstury.

- Teraz będziesz często ją widywać - zapewnił Rhys - i nauczysz się ją przyrządzać. To ma złagodzić ból wokół mojego serca. Jestem już bardzo stary, Meredith, i żadna mikstura już mi nie pomoże, umrę za kilka lat, - Usiadł na kamieniu i rozcierał palce lewej ręki. Jego kot tulił się do niego, jak gdyby ofiarując swoją pomoc. Rhys był blady i miał sine usta.

Mówił prawdę i nikt w to nie wątpił. Już wtedy, gdy Branwen i Meredith zawitały do jego jaskini, był sędziwym starcem. Zachował jednak świeży umysł i mimo swoich siedemdziesięciu lat zawsze opowiadał ciekawe historie. Nauczyła się go szanować, a potem kochać; jego wiek nie miał dla niej żadnego znaczenia.

Cień wątpliwości zagościł w umyśle Meredith: czy rycerz, którego widziała, rzeczywiście jest taki wspaniały? Nowy władca Afoncaer może okazać się bardzo okrutny i życie w jaskini nie będzie już tak bezpieczne. Mimo wszystko nie mogła jednak zapomnieć jego wyglądu. Dręczyły ją jego niebieskie oczy, tył w nich smutek, tego była pewna. Miał gęste brwi i bardzo zmysłowo wykrojone usta. Człowiek z takimi ustami nie może być zły.

Kiedy uzmysłowiła sobie, że mógł ją zabić, jadąc ku niej z mieczem w ręce, jej serce zadrżało. Ale... te oczy, te usta... Chciała jeszcze raz go ujrzeć. Wiedziała, że powinna trzymać się z daleka od Afoncaer. Nerozsądnie było pokazywać się w miejscach, gdzie byli Normanowie. Powoli mijały dwa tygodnie, podczas których Meredith walczyła ze swoim pragnieniem. Nie oddalała się od jaskini i pomagała Branwen opiekować się Rhysem. Bacznie słuchała plotek rozprowadzanych przez tych, którzy przychodzili po pomoc.

Normanowie nie tracili czasu na powoływanie ludzi do pomocy. Część załogi twierdzy zabrała się do odbudowy murów, druga część pracowała przy pogłębianiu i poszerzaniu fosy. Władca Afoncaer dbał o to, by żaden z pracowników nie był głodny i zatroszczył się też, by wszyscy mieli buty: niespotykany gest ze strony Normana Musiała to być jakaś pułapka, każdy bowiem wiedział, że Normanom nie wolno ufać.

Plotka głosiła, że władca Afoncaer chce dowiedzieć się, kim jest kasztanowłosa dziewczyna, którą widział w lesie.

- Jedynie ty masz kasztanowe włosy - powiedziała kobieta, która opowiedziała o tym Meredith. - Bądź mądra i nie pokazuj mu się. Wyobrażam sobie, czego ten brutal może od ciebie chcieć.

- Ona ma rację - powiedziała Branwen po wyjściu kobiety. - Nikt nie wie lepiej ode mnie, jak brutalnie traktują Normanowie kobiety z podbitych narodów.

- Jak oni cię traktowali, ciociu Branwen? Powiedz, co oni ci zrobili?

- Kiedyś byłam szlachetnie urodzoną i... Przypomnij sobie swoją matkę i lepiej omijaj ten zamek.

Meredith nie odpowiedziała. Nie mogła przyrzec, że tam nie pójdzie i nie mogła też przyznać się, że codziennie przed zaśnięciem widzi twarz rycerza o niebieskich oczach i złotych włosach.

\*

- Mówią, że ona leczy chorych i zna się na ziołach, panie - zdawał relację Geoffrey. - Mieszka w lesie, w jaskini wraz z innymi uzdrowicielami, kobietą i starym mężczyzną, który może być czarownikiem.

Guy zaśmiał się głośno.

- Czarownikiem, mój drogi giemku, jest każdy, kto wie więcej od ciebie. - Guy obserwował, jak Reynaud zacisnął usta, gdy ojciec Herbert przeżegnał się, słysząc słowo „czarownik”. Guy wiedział, że Reynaud myśli podobnie jak on. Chciał jednak to sprawdzić. - Cóż ty na to mój architekcie? Czy powinienem zaatakować tych ludzi żyjących w lesie?

Reynaud chciał coś powiedzieć, gdy odezwał się ojciec Herbert.

- To może być o wiele poważniejsze, niż się tobie wydaje, panie - upomniał duchowny. - Wielu Walijszyków, choć nieśmiało przyznaje się do chrześcijaństwa, ciągle jest wiernych starym prawom i obrządkom. Kościół w całej swej mądrości zabronił jakichkolwiek praktyk uzdrowicielskich opartych na starych metodach. Zwykle praktykują to kobiety, a przecież nauka i wiedza są przymiotem mężczyzn.

- Być może - zauważył Reynaud - one po prostu ćwiczą wiedzę o uzdrawianiu, którą powinny posiadać wszystkie kobiety, by dbać o swoje rodziny. Te niewiasty służą swoją wiedzą sąsiadom.

- Gdyby tak było, to jeszcze nie byłoby źle - zgodził się ojciec Herbert - ale z tego, co donosi Geoffrey, wynika, że praktykują tak jak

lekarze, którymi powinni być mężczyźni. Żadna porządna chrześcijanka nie robiłaby czegoś takiego, nie przekraczałaby granicy swego domu. Jest to obraza płci żeńskiej i afront w stosunku do chrześcijańskich lekarzy, mężczyzn.

- Położne są akceptowane - zauważył Guy - a kobiety w służbie Boga bardzo często są pielęgniarkami i opiekują się rannymi. Słyszałem o pewnym klasztorze w Niemczech, którego siła uzdrowicielska jest cudowna.

- Ale o to właśnie chodzi, panie - podniósł głos ojciec Herbert. - Kobiety, o których mówisz, są chrześcijankami funkcjonującymi w strukturach Kościoła i zgodnie z jego prawami. Osoby, o których mówi Geoffrey, są najprawdopodobniej wiedźmami. - Zawiesił na chwilę głos i wrzasnął: - A kto wie, może i heretyczkami?!

- Jeżeli o mnie chodzi, to uważam, że wszyscy Walijczycy są szaleni - powiedział Geoffrey. - Wiecie, co powiedział mi jeden z nich, gdy z nim rozmawiałem? Powiedział, że jeżeli chce się wybudować naprawdę mocną budowlę, trzeba najpierw poświęcić w ofierze jakieś zwierzę i spalić je w północno - wschodnim rogu budowli. Powiedział, że lord Lionel tego nie zrobił i dlatego ten zamek nie wytrzymał ataku Walijczyków.

- To interesujące - zauważył Reynaud i zapisał coś w swojej księdze.

- Nieba litościwe, miejcie nas w swojej opiece! Jesteśmy w prawdziwie barbarzyńskim miejscu! - zawołał ojciec Herbert, po czym ponownie się przeżegnał; zrobił to również Geoffrey.

Guy dobrze znał siłę takich zabobonów. Wyobrażał sobie tych mężczyzn nacierających na zamek pełnych wiary w wygraną tylko dlatego, że pod budowlą zabrakło spalonego zwierzęcia.

- Musimy zniszczyć tych ludzi - odezwał się ojciec Herbert. - Panie, nie możesz pozwolić im na praktykowanie tych diabelskich sztuczek.

- Przecież nie wiemy, czy oni robią coś złego - zaprotestował Reynaud. - To są tylko plotki.

- Zgadza się z tobą, Reynaud - ostro powiedział Guy. - Przybyliśmy tu, by budować zamek, a nie by zabijać tutejszych uzdrowicieli. Te kobiety nie sprawiły nam jak do tej pory żadnych kłopotów, prace nad zamkiem posuwają się w dobrym tempie i nic im nie zagraża. Jeżeli zaś z jakiegoś powodu zniszczymy miejscową



kulturę, sami na siebie sprowadzimy kłopoty, a to na pewno opóźni budowę i rozgniewa króla Henryka. Jego gniew z kolei spadnie na nas. Ojciec Herbercie, czy tego właśnie chcesz?

- Nie, mój panie, niemniej jednak coś powinniśmy zrobić. Może pójdę i sam z nimi porozmawiam? Geoffrey, gdzie jest ta jaskinia?

- Tego się nie dowiedziałem. Musi być bardzo dobrze ukryta. Próbowałem znaleźć ją na własną rękę, ale się zgubiłem. Ten las jest gęsty i wszystkie drzewa wyglądają tak samo. Gdyby nie to, że dotarłem do strumienia i poszedłem wzdłuż niego, ciągle jeszcze bym błądził.

- To czary - wyszeptał ojciec Herbert, ale Guy nie miał ochoty na dalsze dyskusje z nim.

Kiedy duchowny i giermek wyszli, Reynaud przemówił:

- Stare zwyczaje są jeszcze obecne w wielu częściach Walii i nie wszystkie są czarami. W wielu jest wiedza, która nawet nam mogłaby się przydać, gdybyśmy ją znali. Niektóre z lekarstw używanych przez tych uzdrowicieli są niesamowicie skuteczne.

- Myślałem, że jesteś tylko architektem. - Guy spojrzał na duchownego. Zastanowiło go, jak mało wie o tym człowieku.

- Mam też inne zainteresowania. Sądzę, że król Henryk zgodzi się z tobą, że należy tych ludzi zostawić w spokoju. Ojciec Herbert nie zdobył dużej wiedzy i jest ograniczony. Narobiłby wiele złego, gdyby pozwoliło mu się działać według jego zasad.

- Zrobi to, co mu każę - powiedział zimno Guy. - Będzie trzymał się z dala od lasu, dopilnuję tego. Nic nie przeszkodzi w budowie Afoncaer. Najważniejszy jest zamek. Tylko on się liczy.

## ROZDZIAŁ 17

Nie było sensu już dłużej zwlekać. Próbowwała przez tyle tygodni dać sobie z tym radę, ale to była beznadziejna walka. Musiała znowu zobaczyć tego rycerza. Chciała tylko na niego spojrzeć. Meredith związała włosy i zakryła je długim lnianym szalem. Dzień był chłodny i pochmurny, zarzuciła więc wełnianą chustę na ramiona i wzięła koszyk. Udała się na poszukiwanie ziół. Ani Rhys, ani Branwen nic nie podejrzewali, codziennie o tej porze wychodziła, więc nie było w tym nic szczególnego. Nowością jedynie był ból żołądka spowodowany strachem na wspomnienie tego, co o Normanach powiedziała Branwen.

Powoli szła przez gęste zarośla. Musiała tylko dojść do strumienia, przejść go w miejscu, gdzie leżały drobne kamyczki i iść jeszcze kawałek do zamku. Już prawie dotarła do strumienia, gdy usłyszała krzyk, a po nim trzask łamanych gałęzi i odgłos upadku. Meredith zatrzymała się, nie wiedząc czy uciekać, czy sprawdzić co to takiego.

- Pomocy! - Był to krzyk dziecka. - Czy ktoś mnie słyszy? Proszę, niech mi ktoś pomoże!

Meredith, słysząc język francuski, domyśliła się, że musi to być normańskie dziecko, z pewnością z Afoncaer. Pospieszyła na pomoc.

- Gdzie jesteś? - zawołała. - Nie widzę cię.

- Tutaj. Ześliznąłem się z tego pagórka. Leżę pod gałęziami.

Nareszcie zobaczyła miejsce, gdzie leżał chłopiec Pagórek był stromy i śliski z powodu ostatnich deszczy. Ujrzała połamane gałęzie i pochylone krzaki, których chłopiec się czepiał, by złagodzić upadek. Coś się poruszyło w stercie zielonych liści leżących pod krzakiem.

- Utknąłem - odezwał się. - Nie mogę się ruszyć.

Gdzieś sponad pagórka Meredith usłyszała jakieś głosy i znowu zastanawiała się, czy to nie pułapka.

- Proszę - naglił głos chłopca. - Nie mogę wyjąć nogi.

Meredith odłożyła koszyk i doczołgała się do miejsca uwięzienia chłopca. Odgarnęła liście i zobaczyła jego twarz. Znieruchomiała - Był to chłopiec dziesięcio - lub jedenastoletni o niebieskich oczach i złotych włosach, łudzaco podobny do władcy Afoncaer.

- Gdybyś dała radę podnieść tę największą gałąź, to chyba zdołałbym wyciągnąć nogę - powiedział.

- Co takiego? - Meredith nic nie zrozumiała; wciąż wpatrywała się w twarz chłopca.

- Gałąź, moja pani, o ta. - Mała rączka wysunęła się z liści i wskazała przeszkodę. - O tam.

- Tak. Tak, już to robię.

Meredith oparła jedną nogę o skałę, potem chwyciła obiema rękami gałąź i pociągnęła do siebie. Gdy zaczęła ciągnąć, cała masa liści posypała się im na głowy. Meredith upadła. Starła się podnieść, ale ręce ześliznęły się i znowu leżała twarzą w liściach. Usłyszała dziecinny chichot Odwróciła głowę i ujrzała uśmiechniętą twarz chłopczyka.

- Twój nos jest zielony, a policzki brązowe - powiedział.

Roześmiała się. Nareszcie uwolnił nogę i wspinał się teraz po błotnistym pagórku, nurzając się w liściach.

- Czy mogę pomóc ci wstać, moja pani? - Wyciągnął rękę, ale pośliznął się na błocie i upadł. Bezsilność znowu pobudziła ich do śmiechu. Chłopcu nareszcie udało się wstać i jeszcze raz podał rękę Meredith. Właśnie klękała, gdy głos, który słyszała wcześniej, zabrzmiał tuż przy niej.

Niespodziewanie wyskoczył zza krzaków ogromny pies i rzucił się na nią. Ujrzała wywieszony czerwony język i ogromne zęby. Krzyknęła, zasłaniając twarz ramieniem, a pies zanurzył kły w obszernym rękawie jej sukni, lekko zahaczając ramię.

- Puść Clovis! Uspokój się! - Chłopiec bił psa gałęzią. Ten zwolnił chwyt. - Siadaj, Clovis! Siadaj! - krzyknął jeszcze raz.

Meredith chciała uciekać i pies rzucił się na nią znowu, wbijając kły w jej szal i zdzierając go z ramion. Zaczęła krzyczeć ze strachu. Zobaczyła chłopca z gałęzią w ręce, a potem psa leżącego na ziemi. Tak bardzo trzęsała się ze strachu, że nie mogła utrzymać się na nogach. Oparła się o drzewo.

- Proszę, pani, gdybyś tak dała mi swój pas, mógłbym go związać, zanim się znowu obudzi.

- Mój pas?

- Albo szal. Czy pozwolisz, że podrę go na kawałki?

- Tak, nic nie szkodzi, jest i tak zniszczony. - Podała mu chustę, a sama usiadła pod drzewem roztrzęsiona.

Chłopiec w tym czasie darł szal, związywał razem kawałki, aż powstała długa lina. Owinął jeden koniec wokół szyi psa, a drugi przywiązał do drzewa.

- To powinno go powstrzymać. Powiem opiekunowi psów, że ktoś ma po niego przyjść. Nie wiem, jakim cudem udało mu się uciec z budy.

Chłopiec podszedł do Meredith i usiadł obok niej.

- Tak bardzo mi przykro z powodu tego, co się stało. Mówiłem mu całą drogę, żeby poszedł do domu, ale on mnie nie słucha. Clovis jest groźnym psem, nauczono go, jak należy atakować. Sądzę, że wydawało mu się, iż ty i ja walczyliśmy ze sobą, więc rzucił mi się na pomoc. Czy mocno cię ugryzł? Och, twoje ramię krwawi.

Meredith spojrzała na ranę, jaką zadał jej pies, a potem znowu na chłopca. Był bogato ubrany w ciemnoniebieską, wełnianą tunikę sięgającą kolan, niebieskie, wełniane pończochy i jeden tylko but z delikatnej skórki. Cały był brudny od błota i liści.

- Spójrz na swoją nogę, twoja pończocha jest podarta - wyszeptała.

- To nic. W tym miejscu noga zakleszczyła się pomiędzy skałą a gałęzią. Chyba leżałbym tam bez końca, gdyby nie ty.

- Na pewno nie bez końca, ktoś wybrałby się na poszukiwania.

- Uratowałaś mi życie - oświadczył uroczyście

- A ty uratowałeś mnie - powiedziała, patrząc na psa. - Kim jesteś?

- Jestem Thomas fitz Lionel, syn nieżyjącego lorda Lionela, barona Afoncaer i bratanek lorda Guya, obecnego barona. Czy mogę zapytać, kim ty jesteś, moja pani?

- Meredith - odpowiedziała. - Nikt nigdy nie nazywał mnie panią.

- Jestem paziem, a paziowie powinni czcić kobiety i zawsze być dla nich grzeczni. Nauczyłem się tego na dworze króla Henryka.

- Dlaczego jesteś paziem?

- To część mojej nauki. Kiedy będę miał czternaście lat, zostanę giermkim, a kiedy skończę dwadzieścia jeden, pasują mnie na rycerza. Chciałbym być giermkim mojego wuja, ale on już ma jednego, Geoffreya. Czy znasz mojego wuja, Guya?

- Widziałam go raz. Jesteś bardzo do niego podobny.

- Mam nadzieję. On jest najlepszym rycerzem, jakiego poznałem. Powinnaś zrobić coś, by zatamować krew. Twój rękaw jest już cały mokry. - Thomas patrzył na jej ramię ze zmarszczonymi brwiami.

Meredith miała ochotę powiedzieć, że Normanowie lubią widok krwi, ale opanowała się. Szybko wstała, przytrzymując się drzewa, nogi nie drżały jej już tak mocno jak przedtem. Thomas pomógł jej utrzymać równowagę.

- Pójdę do domu, by opatrzyć ranę - powiedziała trochę rozczarowana, że jej plan się nie powiódł. - Thomasie, może poszedłbyś ze mną? Mogłabym opatrzyć i twoje zadraśnięcia.

- Byłbym zaszczycony. - Uczynił śmieszny, bardzo oficjalny ukłon. - Niewiasty zawsze pielęgnują rany swoich rycerzy po bitwie.

- Lepiej najpierw znajdź drugi but.

Thomas zanurkował w kopczyk z liści, po czym wynurzył się z butem w dłoni. Usiadł na ziemi, założył but i przechylił głowę w jej kierunku.

- Ty mieszkasz w lesie, nieprawdaż? Jesteś pewnie jedną z tych, o których mówili Geoffrey i ojciec Herbert. - Gdy skończył wiązać but, wstał i zapytał: - Idziemy, pani?

Gdy Meredith prowadziła go do jaskini, cały czas nie mogła wyzbyć się obawy, czy dobrze czyni, biorąc go tam. W końcu był Normanem, z drugiej zaś strony był jeszcze dzieckiem, na dodatek skaleczonym i przecież uratował jej życie. Może uda się jakoś na niego wpłynąć, by nic nikomu nie powiedział o jaskini i jej mieszkańcach. Jest inteligentny i ciekawy, może spodoba mu się taki sekret?

Branwen spotkała ich przy wejściu do jaskini.

- Wydarzył się mały wypadek - powiedziała Meredith. - To jest Thomas z Afoncaer.

- Norman. - Branwen spojrzała na dziewczynę rozgniewanym wzrokiem, ignorując chłopca.

- On uratował mi życie.

Twarz kobiety nieco złagodniała. Weszli do jaskini.

- Jest ranny. Podejź do mnie, chłopcze - powiedziała, Branwen.

Oczy Thomasa rozszerzyły się, gdy zobaczył Rhysa wchodzącego do jaskini. Meredith zrozumiała jego obawy, przeżyła to samo uczucie, gdy po raz pierwszy zobaczyła mędrca. Między nogami

starca plątał się biały kot. Meredith zauważyła, że chłopiec wstrzymał oddech na jego widok.

- Czy ty jesteś czarownikiem? - zapytał.

- Jestem uzdrowicielem, młody człowieku. Usiądź tutaj i pozwól Meredith zająć się twoimi ranami. Widzę, że walczyłeś.

Meredith oczyściła i opatrzyła rany Thomasa. Później Branwen nasmarowała jej rany maścią z liści mięty, najlepszym lekarstwem na ukąszenie psa. W tym czasie Rhys wypytywał Thomasa o szczegóły ich przygody.

- Dzielnie się zachowałeś, młody człowieku, ale nie powinieneś przychodzić do lasu sam. To niebezpieczne dla normańskiego pana.

- Nie jestem panem, jestem tylko paziem - zauważył chłopiec - i nie byłem sam, cały czas szedł ze mną Clovis.

Do Thomasa podszedł kot i zaczął go obwąchiwać. Chłopiec podrapał go za uszami.

- Ten kot nazywa się Gwyn - powiedział Rhys śmiejąc się. - W moim rodzimym języku oznacza to biały. Nikomu nie pozwala się pieścić, jesteś wyjątkiem, młodzieńcze.

Thomas siedział cichutko, dotykając delikatnego futerka kota.

- Nie podoba mi się w zamku - powiedział po chwili. - Kocham wuja Guya, a moja mama jest taka piękna, że mógłbym patrzeć na nią godzinami. Jednak oni są stale zajęci, a ja tęsknię za moimi przyjaciółmi. W Afoncaer nie ma innych paziów, nie ma nikogo w moim wieku.

Nie należy się dziwić, że jest taki dorosły i taki dziecinny jednocześnie, pomyślała Meredith. Znała to uczucie. Jej też brakowało przyjaciół w jej wieku i starała dopasowywać się do starszych.

- Powinieneś przyjść tu znowu za dzień lub dwa, bym mogła zmienić bandaż. Użyłam maści z liści agrestu, zagoi się tak, że nie zostanie nawet blizna, pod warunkiem, że opatrunek będzie utrzymany w czystości. Będę też musiała nałożyć więcej maści na ranę.

Chłopiec bardzo się ucieszył.

- Mogę was jeszcze kiedyś odwiedzić?

- Thomasie - powiedział Rhys. - Chcę, abyś zrozumiał, że nie jesteśmy czarownikami, a ta jaskinia jest miejscem spokojnym i bezpiecznym. Nie chcę tutaj żadnej przemocy lub walki. Nie wolno ci nikomu powiedzieć, gdzie znajduje się nasza grotka.

- Nie wyjawię niczego, nawet gdybym był torturowany, obiecuję, Rhys, a trzeba ci wiedzieć, że rycerz zawsze dotrzymuje swoich obietnic. Jeszcze nie jestem rycerzem, ale pewnego dnia będę - zakończył stanowczo.

- Chyba że będziesz ślizgał się po pagórkach - zauważyła sucho Branwen, podając mu zacerowaną pończochę.

- Ja się nie ślizgałem, ja się pośliznąłem i upadłem. Dziękuję, lady Branwen. - Odwrócił się i nałożył pończochy. - Sądzę, że muszę iść teraz do domu. - Nie zabrzmiało to entuzjastycznie.

- Pokażę ci drogę - zaoferowała się Meredith.

- Do widzenia, Rhys, do widzenia, lady Branwen. - Thomas uklonił się każdemu z osobna i pogłaskał kota, po czym wyszedł z jaskini.

\*

W hallu było za dużo dorosłych i to kępowało Thomasa. Guy widział, że chłopiec czuje się nie najlepiej, stojąc przed nimi wszystkimi. Isabel była za niego odpowiedzialna i to ona zadawała pytania.

- Gdzie byłeś? - pytała już trzeci raz. - Chcę usłyszeć odpowiedź, Thomasie. Jesteś niemiłosiernie brudny. Nie wyglądasz jak prawdziwy paź.

- Niemiłosiernie obdarty - wtórował Herbert, stojąc tuż obok Isabel. - Nigdy nie powinieneś pokazywać się matce w takim stanie.

Thomas spojrział na niego; jego duma została zraniona..

- Przepraszam mamó. Ja... Ja miałem mały wypadek. Upadłem.

- Doprawdy? - Uniosła brwi. - A któż to zacerował twoją pończochę?

- Ja ją podarłem.

- To wiem, ale jakim cudem jest naprawiona?

- Cudem? Żadnym cudem, mamó. Spotkałem taką miłą panią, która opatrzyła moje kolano i zacerowała pończochę.

Było oczywiste, że Thomas coś ukrywa. Podczas tego przesłuchania Reynaud cały czas zapisywał coś w swoich księgach, jednak teraz podniósł głowę i słuchał Thomasa z zaciekawieniem.

- Jaka pani? - pytała dalej Isabel.

- Walijska pani - odpowiedział Thomas. Na jego twarzy widać było przerażenie.

- Walijka? - wycedził Herbert. - A to ciekawe?! Jesteś Normanem, arystokratą. Pamiętaj, że nie wolno ci ufać tym barbarzyńcom,

- Ale to miła pani! - Thomas zaczął płakać. - Posmarowała moje kolano maścią z liści agrestu i od razu przestało boleć i krwawić, potem je zabandażowała.

- Czarownicy - wyszeptał ojciec Herbert i przeżegnał się natychmiast. - To ludzie z lasu. Ostrzegalem cię, mój panie. Takie rzeczy są sprzeczne z prawem. Wilhelm Zdobywca wyraźnie powiedział, że jakiegokolwiek odstępstwo od prawdziwej wiary Rzymu jest niedozwolone. Ta kobieta jest czarownicą. Trzeba natychmiast coś z tym zrobić. To twój obowiązek, panie. - Zaczerpnął więcej powietrza, by powiedzieć coś jeszcze, ale Thomas go uprzedził.

- Ona nie jest czarownicą! Nie jest! - zaklinał. - Ona jest po prostu miłą panią, to wszystko.

- Doprawdy, Thomasie?! - krzyknęła Isabel. - Gdyby była tutaj inna lady, wiedziałabym o tym.

- Przestańcie natychmiast opowiadać te brednie - wtrącił ostro Guy. - Przecież widzicie, że chłopcu nic nie jest. Kimkolwiek ona jest, może żoną jakiegoś wieśniaka, opatrzyła jego rany i wysłała do domu. Czyż nie tak, chłopcze?

- Tak, wujku.

- Powiedz dokładnie, gdzie się to wydarzyło? - nalegała Isabel.

- W lesie - odpowiedział bez chwili namysłu.

- A widzisz, panie! - ojciec Herbert spojrzał triumfująco. - A gdzie w lesie, Thomasie?

- Ja... ja nie pamiętam dokładnie. - Thomas wyglądał tak, jakby przyłapano go na gorącym uczynku. Utkwił błagalny wzrok w Guyu; ten przyszedł mu z pomocą.

- Dostyc już tego, ojcie Herbercie. Zostawcie chłopca samego. Sądzę, że chciałbyś się wykapać i coś zjeść, nieprawdaż Thom?

Thomas przytaknął, nie mogąc wydobyć z siebie ani słowa, ale Guy widział wdzięczność w jego oczach za to, że zwrócił się do niego jak do dorosłego.

- Zaopiekuj się nim, Isabel - powiedział Guy. - Jesteś jego matką - dodał uszczypliwie.

- Naturalnie, chodź, Thomasie. Powiem Agnes, by przygotowała ci kąpiel.



- Ja też zaraz przyjdę, lady Isabel - skwapliwie dodał ojciec Herbert. - Myślę, że Thomas powinien powtórzyć dzisiaj katechizm, by się upewnić, że żadna szkoda nie została wyrządzona jego duszy. Nigdy za wiele ostrożności w takim dzikim kraju jak ten,

- Biedny chłopiec - wyszeptał Guy, obserwując jak Thomas i jego matka opuszczali komnatę.

- Mój panie, to może być bardzo poważne - kontynuował ojciec Herbert. - Możliwe, że ci ludzie z lasu będą starali się napełnić duszę Thomasa złem. Najpierw będą chcieli się z nim zaprzyjaźnić, a potem...

- Na miłość boską, człowieku, opamiętaj się! Nie ma w tym nic złego. Czy ty nigdy nie byłeś chłopcem?

- Bez wątpienia byłem, ale nie widzę żadnego związku...

- Czyż nigdy nie wybrałeś się sam na wędrowkę, nie wpadłeś w tarapaty i nie miałeś ochoty nie mówić o tym dorosłym?

- Nie, mój panie, nie sędzę, aby mi się coś takiego przytrafiło.

- No to mi cię bardzo żal. Zostaw tego chłopca w spokoju.

- Ależ, mój panie, to czarownicy! Oni łamią prawo.

- Powiedziałem ci już wcześniej i powtarzam raz jeszcze: nie mamy żadnych dowodów, że ktokolwiek jest czarownikiem. To wszystko jest wytworem twojej wyobraźni. Budowa idzie nawet lepiej, niż się tego spodziewaliśmy, nie chcę mieć żadnych problemów. Zrozumiałeś? - Guy położył ręce na stole i nachylił się w kierunku księdza, patrząc mu głęboko w oczy.

- Tak, mój panie. - Duchowny nie należał do tych, którzy walczyliby o swoje poglądy.

- To co się wydarzyło, to tylko chłopięca zabawa i zapomnij o tym.

Ojciec Herbert wyszedł z hallu, udając się do komnat kobiet. Guy natomiast odwrócił się do Reynauda, który cały czas przysłuchiwał się rozmowie. Teraz dopiero przemówił:

- Geoffrey zużył dużo piwa, by pozyskać od wieśniaków te bardzo ważne informacje, mój panie. Wydaje mi się, że ludzie tutaj kogoś ukrywają.

- I co z tego, Reynaud? Jakie jest twoje zdanie?

- Myślę tak jak i ty panie, że ojciec Herbert robi za dużo zamieszania wokół tej sprawy. Jednak nie mogę ukrywać, że ciekawi mnie, kto zacerował pończochę Thomasowi.

- To - Guy spojrzał na duchownego, którego zaczynał coraz bardziej lubić - jest rzecz, której zamierzam jak najszybciej się dowiedzieć.

## ROZDZIAŁ 18

Guy obserwował swojego bratanka bardzo uważnie. Następnego dnia przyłapał go, gdy wychodził poza mury zamku. Thomas najpierw ukrył się za pracownikami, by nie być zauważonym przez Reynauda i później niepostrzeżenie wymknął się przez otwartą bramę.

- Geoffrey! - Guy wyciągnął rękę, by wziąć wodze konia, którego trzymał giermek. - Zostań tutaj. Chcę odbyć małą przejażdżkę.

Wsiadł na konia i podążył za Thomasem. Przemierzył pola, nie zwracając najmniejszej uwagi na wieśniaków pracujących w polu i skierował się w stronę lasu, gdzie mignęła mu postać Thomasa. Musiał zjechać z drogi prowadzącej do zamku i wjechać w głąb lasu. Z początku zgubił ślad chłopca, lecz po chwili znowu ujrzał go między drzewami. Guy zmuszony był zsiąść z konia i przywiązać go do drzewa. Dalej ruszył pieszo. Opiekun psów powiedział mu dokładnie, gdzie Thomas przywiązał Clovisa.

Okazało się, że chłopiec zmierza właśnie w tym kierunku. Musiał iść szybciej, cały czas obserwując Thomasa. W ogóle nie patrzył pod nogi i o mało wpadłby do tego samego dołu, do którego zsunął się Thomas. Zauważył zniszczone krzewy i połamane gałęzie. Zagwizdał cichutko, widząc jak głęboka jest wyrwa.

- Dobrze żeś nie połamał obu nóg, Tom, mój zuchu - powiedział głośno.

Szedł dalej za Thomasem zupełnie nieświadomym, że jest śledzony.

Thomas pojawił się już następnego dnia. Meredith nie spodziewała się, że zobaczy go znowu, sądząc, że po tamtym wydarzeniu nie będzie mu wolno wędrować samemu po lesie.

- Lady Meredith, kolano wcale już mnie nie boli, ale myślałem, że będzie lepiej, jeżeli na nie spojrzysz, żeby się upewnić. Czy Rhys też jest? - Thomas spoglądał ponad jej ramieniem w głąb jaskini. Roześmiał się, zobaczywszy Gwyna, który przybiegł do niego, by się przywitać.

- Rhys i Branwen poszli do chorego, który nie jest w stanie przyjść do nas o własnych siłach, ale wkrótce wrócą.

- Czy zajmiesz się teraz moim kolaniem? - Thomas spojrział na nią wyczekująco.

Uśmiechnęła się promiennie.

- Ależ oczywiście. Usiądź tutaj.

Podczas gdy Meredith zajmowała się jego kolanem, Thomas rozglądał się dokoła i głaskał delikatnie koto.

- Bardzo lubię to miejsce - powiedział. - Czuję się tutaj bezpiecznie. Czy wchodzisz tam kiedykolwiek? - Wskazał wejście do ciemnej, wewnętrznej komnaty.

- Czasami. - Skończyła bandażować kolano i usiadła obok niego.

- Czy jest duża? - Cały czas patrzył w tamtym kierunku.

- Ogromna.

- Czy można się w niej zagubić?

- Jeżeli nie zna się drogi.

- Czy ty jesteś wiedźmą?

- Co takiego?

- No, czy jesteś czarownicą?

- Przecież Rhys już ci powiedział, że jesteśmy uzdrowicielami.

- Ojciec Herbert mówi, że jesteście czarownikami i że postępujecie wbrew prawom normańskim.

Meredith wstała, zanadto zła, by przejmować się treścią jego słów.

- Thomas, obiecałeś, że nie powiesz nikomu ani słowa o nas, ani o tym, gdzie mieszkamy. Złamałeś przysięgę. Normański rycerz! Kłamca! Branwen miała rację, nie powinnam była cię tu przyprowadzać. Zdradziłeś nas!

Kot nie przyzwyczajony do podniesionego tonu pobiegł schronić się do jaskini.

- Nie! - krzyknął Thomas. - Nie zdradziłem was, mówię prawdę. Moja mama zauważyła, że mam zacerowaną pończochę, a ja próbowałem im powiedzieć, że to żona jakiegoś wieśniaka mi pomogła. Ja nic nie powiedziałem, nic nie powiedziałem!

- Zaufałam tobie!

- Chłopiec mówi prawdę.

Na dźwięk tego spokojnego głosu Meredith zdrętwiała. Stał przed nią Guy z Afoncaer. Nie był w zbroi, ale u jego boku widniał miecz, a u pasa miał myśliwski sztylet Krótka błękitna tunika pasowała do jego niebieskich oczu. Poczowała się nieswojo, czując na sobie jego wzrok; wiedziała, że się rumieni.

- Ja... ja... jak znalazłeś to miejsce?

- Śledziłem Thomasa, naturalnie. Jestem dobrym myśliwym, rzadko gubię trop.

- Wujku, powiedz jej, że nie złamałem danej przysięgi - prosił żarliwie Thomas.

- Właśnie to zrobiłem, Tom.

- Dlaczego miałabym wam uwierzyć? Meredith drżała z przerażenia. Normanowie wiedzą już, gdzie jest ich kryjówka. Wolała nie myśleć, co się teraz z nimi stanie. Jednocześnie czuła radość. Nigdy dotąd żaden mężczyzna nie zrobił na niej takiego wrażenia. Jej ciało przeszywał dziwny, niepokojący dreszcz. Czymże było to uczucie, które wzbudzał w niej ten normański władca? Bez względu na wszystko chciała go dotknąć, poczuć jego ciało, skórę, każdy mięsień. Już prawie uniosła rękę, by to zrobić, gdy przypomniała sobie, że był jej wrogiem. Opuściła głowę z rezygnacją

- Błagam! - powiedziała, myśląc przede wszystkim o Rhysie i Branwen. - Nie robimy nikomu nic złego. Nic od ciebie nie bierzemy, panie.

- Nawet wtedy, gdy uprawiacie kłusownictwo na moim terenie?

- My nie jemy mięsa. Żywimy się korzeniami, orzeszkami i owocami leśnymi. Mleko, ser i jarzyny przynoszą nam ludzie, którym pomogliśmy wyzdrowieć dzięki naszym umiejętnościom leczniczym.

- Bydło, z którego ci wieśniacy przynoszą wam mleko i ser, należy do mnie. Las i wszystko, co się w nim znajduje należy do mnie, nawet ty.

- Ja do nikogo nie należę. Rhys, Branwen i ja jesteśmy wolnymi ludźmi.

- W takim razie jesteście jedynymi wolnymi ludźmi w Bretanii. Każdy inny należy do kogoś lub czegoś. - Podeszedł do niej. Chciała uciec i schować się, tak jak to uczynił Gwyn, ale nie mogła się poruszyć.

- Ty, panie, jesteś wolny - powiedziała.

- Ja należę do króla Henryka, którego rozkazów muszę słuchać.

- Walijczycy są wolni.

- Ach tak, Walijczycy - uśmiechnął się.

- Nigdy ich nie podbijecie - powiedziała dumnie.

- To się okaże.

Zrobił jeszcze jeden krok i był teraz tak blisko, że prawie się dotykali. Spojrzała na niego urzeczona jego urodą. Blizna na lewym

policzku dodawała mu uroku. Zastanawiała się, jakie byłoby to uczucie dotknąć i przesunąć palcami po jego twarzy, odgarnąć złote włosy z jego czoła, objąć dłońmi jego głowę.

- Jak cię nazywają?

- Meredith.

- To walijskie imię. Ale nie wyglądasz na Walijkę.

- Nie. - Nigdy by mu nie powiedziała, kim jest. Za bardzo się tego wstydziła.

- Meredith, czy przyznajesz się do hołdowania starym obyczajom? - Jego głos nie był wyzwaniem, brzmiał łagodnie i przyjacielsko.

- My tylko uzdrawiamy cierpiących, nikogo nie krzywdzimy, nikomu nie sprawiamy bólu; wprost przeciwnie, przynosimy ulgę.

- To, co robicie, jest wbrew prawom ustanowionym przez Wilhelma Zdobywcę. Mieszkając tutaj, naruszacie granicę moich posiadłości. - Głos pozostawał cały czas taki sam, łagodny.

- W takim razie opuścimy to miejsce. - Meredith nie wiedziała, w jaki sposób przekonana Branwen i Rhysa, by stąd odeszli, ale czuła, że to jedyne wyjście.

- Nie wolno wam opuścić moich ziem bez mojej zgody. Takie są prawa. - Mimo jego łagodnego głosu, wzbierał w niej gniew.

- Nic dla mnie nie znaczą wasze normańskie prawa!

- Tak, to wydaje się oczywiste, skoro łamiecie je wszystkie.

- Wujku Guyu. - Meredith była tak bardzo zaabsorbowana rozmową, że zupełnie zapomniała o Thomasie. Drgnęła, usłyszawszy dziecinny głos. - Lady Meredith zrobiła mi przysługę, w rzeczywistości uratowała mi życie. Czy nie mógłbyś w zamian za to pozwolić jej i jej towarzyszom mieszkać tutaj tak długo, jak zechcą?

- Lady Meredith? Oddała przysługę? - Guy patrzył na swojego bratanka z zadziwieniem.

- To sprawa rycerskiego honoru - dodał chłopiec.

- Boże Świąty, chłopcze, kto nappełnił twoją głowę tymi bzdurami?

- To nie są bzdury, wujku Guyu. Nauczyłem się tego na dworze króla Henryka. Przysięgi rycerza nie mogą być złamane. Śluby dane przez... Rycerz czci wszystkie damy i walczy tylko po stronie dobra i sprawiedliwości.

- Doprawdy? A więc jak przypuszczasz, kim są ci, którzy walczą po drugiej stronie?

Ujrawszy zdziwienie na twarzy Thomasa, Guy przerwał. Przypomnił sobie, że on też był taki niewinny i naiwny, kiedy był w jego wieku. Nie, to nie on powie chłopcu o tym, że śluby rycerskie są bardzo często łamane, że cześć oddaje się tylko niektórym kobietom, tym szlachetnie urodzonym, pozostawiając resztę z nich na łasce brutalnych mężczyzn,

- Wujku, gdybyś tylko zechciał, mógłbyś okazać łaskę lady Meredith i jej towarzyszom. - Dolna warga Thomasa drżała.

Guy nie chciał skrzywdzić tego chłopca, a jednak musiał, chyba że... Spojrzał na Meredith. Stała wyprostowana, zbyt dumna, by prosić o łaskę dla siebie i swoich bliskich. Boże, jakże piękna była, piękniejsza od najpiękniejszej damy dworu. Ciemnoczerwone, długie loki okalały jej głowę, uwydatniając regularność rysów. Oczy miała szarosrebrne, sukienka podkreślała szczupłą figurę. Sięgała mu do ramion. Była tak piękna i delikatna, że Guy zastanawiał się, czy to możliwe, by była córką jakiegoś chłopca. Chciał nawet zapytać, kim był jej ojciec, ale nie zrobił tego. Kątem oka zobaczył łepok białego kota wychylający się z ciemnej jaskini. Zwierzątko usiadło i patrzyło na Guya.

- Wujku Guyu. - Thomas ciągnął go za rękaw. - Co ci się stało? Dlaczego nic nie mówisz?

- Nic mi się nie stało, pa prostu myślę.

Guy spojrzał znów na Meredith. Nie mógł oderwać od niej wzroku, ale był również świadomy obecności kota, białego kota. Wiedział, że w tej części Bretanii wierzono, że koty mogą przynosić złe czary. I chociaż Guy nie wierzył w takie zabobony, ciekawiło go, czy dziewczyna podzielała jego poglądy.

- Meredith, rozkazuję ci, byś powiedziała mi dokładnie, co ty i twoi towarzysze tutaj robicie.

Odpowiedź przyszła nie od niej, lecz zza jego pleców.

- Nie robimy niczego, co mogłoby komukolwiek szkodzić - powiedział Rhys. - Co tutaj robisz młodzieńcze? Kim jesteś i jakim prawem nas przesłuchujesz?

Pierwszym odruchem Guya było przeżegnać się kilkakrotnie, domyślił się jednak, że w tym starym człowieku nie było niczego złego. Nie zauważył też zła w kobiecie, która stała przy jego boku,

trzymając jedną rękę na małym sztylcie. Guy przyłożył rękę do piersi, po czym uklonił się i przedstawił. Zauważył strach w oczach Thomasa, chłopiec obawiał się, że reakcja Guya może być taka sama jak ojca Herberta.

- Mamy trochę piwa. Chętnie je z tobą wypijemy, panie - zaproponował starzec.

Guy przystał na propozycję. Meredith podała mu kielich. Usiedli i patrzyli na siebie. Rhys położył rękę na ramieniu Thomasa, a Gwyn wdrapał się na kolana chłopca. Rhys wspominał swoją wędrówkę do Ziemi świętej, przywołując tym wspomnienia Guya z jego podróży. Guy pokiwał głową, po czym spojrział w kielich, zastanawiając się, czy czegoś nie dosypano do jego trunku, ale wypił zawartość. Rhys chrząknął, obaj wiedzieli, o czym myśli każdy z nich.

- Chciałbym wiedzieć, kim jesteście i skąd pochodzicie - zapytał ponownie Guy.

Rhys opowiedział historię, którą Meredith słyszała już wiele razy, o pierwszym najeździe Normanów na Walię. Na zakończenie opowieści dodał:

- Jesteśmy uzdrowicielami.

- Ale przypuszczam, że nie chrześcijanami.

- Nie, nie jestem chrześcijaninem, wyznaję wiarę moich przodków.

- Znałem Saracenów i Żydów, którzy byli lepsi niż chrześcijanie.

- Saracenów? A więc byłeś w Ziemi Świętej? - Guy przytaknął. - Ale nie masz na tunice krzyża z krucjaty - zauważył Rhys.

- Nie chcę go. Wdziałem rzeczy czynione przez krzyżowców na rozkaz moich zwierzchników, które pozostawiły niemiłe wspomnienia. Nie wierzę, by nasz Bóg chciał, abyśmy traktowali ludzi, nawet nie chrześcijan, tak okrutnie. Krwawe zbrodnie, terror, jaki stosowaliśmy wobec kobiet i dzieci był dla mnie nie do zniesienia. Brzydziłem się korupcją i chciwością i obłudą naszych dowódców. Toteż rozkaz króla Henryką, bym powrócił do Anglii, okazał się dla mnie wybawieniem. - Przerwał zaskoczony tym, ile powiedział nieznajomemu. - Jesteś niezwykłym mężczyzną, Rhys. Nie wiem, co spowodowało, że ci tyle powiedziałem. Zazwyczaj nie rozmawiam tak otwarcie z nieznajomymi, rzadko rozmawiam tak nawet z przyjaciółmi.



Meredith słuchając i obserwując Guya, domyśliła się teraz, dlaczego w jego oczach było tyle smutku. To nie był zwykły Norman, zimny, okrutny, nieczuły na ból, to był mężczyzna wart jej miłości. Rhys również dostrzegł te cechy Guya, potwierdziły to jego słowa.

- Jesteś najbardziej niezwykłym Normanem, jakiego widziałem.

Guyowi sprawiło to przyjemność. Zapomniał o nieprzyjemnych wspomnieniach z Jeruzalem. Spojrzał na Meredith i Branwen.

- Jak to się stało, że te kobiety mieszkają z tobą?

- Niech mówią same za siebie. Branwen, co na to odpowiesz?

- Mój mąż zmarł. Nawet nie wiem, gdzie mieszkałam, wiem tylko, że musiałyśmy uciekać z naszego domu i wędrowałyśmy tak długo, aż przypadkiem spotkałyśmy Rhysa. Dał nam schronienie i pozwolił zostać.

Meredith zastanawiała się, czy Guy w to uwierzy.

- A ty? - spojrzał na Meredith.

- Meredith była dzieckiem niewiele wtedy starszym od Thomasa - pospieszyła z odpowiedzią Branwen. - Prawdopodobnie nie pamięta wiele z tamtych lat.

- Niech sama powie - zdecydował Rhys.

- Nie mam nic do dodania oprócz tego, że pragnę pomagać chorym i nic nie jest w stanie mnie powstrzymać. Będę to robić aż do śmierci. Nie obchodzi mnie, czy łamię jakieś prawa. Nikt inny oprócz nas nie może pomóc mieszkającym tutaj ludziom.

- Jest przecież lekarz w Afoncaer.

- Żaden Norman nie zrobi wiele, by pomóc Walińczykowi. Musimy dbać sami o siebie. Przysięgam, że jeżeli spróbujesz mnie powstrzymać, będziesz miał problemy.

- Czy ty mi grozisz, Branwen?

- Słyszałeś, Normanie.

Oczy Guya zwięzły się na dźwięk jej słów. Nastąpiła krótka cisza.

- Branwen, przystaję na to, co mówisz. Powiedz swoim rodakom, że dopóki nie stwarzają żadnych problemów przy budowie zamku i na czas przynoszą zboże i mięso, nie będę zabraniał waszych praktyk. Czy słyszałaś jakieś narzekania?

- Nie, oni mówią, że jesteś, panie, bardzo sprawiedliwy - przyznała Branwen - że wymagasz tylko dwóch dni pracy w zamku i dwóch uprawiania twojego zboża w tygodniu, tak że każdy ma czas na

pracę na własnym polu. Tyle tylko, że nikomu nie podoba się to, że budujesz tu zamek.

- Wierzę w to, ale musicie zrozumieć, że wypełniam rozkazy króla Henryka. Jeżeli mnie pokonacie, do Afoncaer przybędzie inny pan, by kontynuować moje dzieło i tak aż do skutku. A każdy następny będzie gorszy niż jego poprzednik. To też powiedz swoim rodakom.

- Powiem, a co będzie z nami?

- Mieszkacie na moim terenie, ale uratowaliście mojego bratanka. W dowód wdzięczności pozwalam wam tutaj mieszkać i skoro mówicie, że nie jecie mięsa, pozwalam wam jeść i używać wszelkich roślin. Thomas i ja przysięgamy, że nie wyjawimy miejsca waszego ukrycia. Macie na to słowo Thomasa - dodał z wielką powagą - a rycerz nigdy nie łamie raz danej przysięgi. Wy natomiast nie będziecie zabijać zwierząt z mojego lasu i będziecie trzymać się z dala od moich terenów łowieckich. Gdybym kiedykolwiek potrzebował waszych umiejętności uzdrawiających, to poproszę, byście natychmiast przybyli.

- Na to wszystko się zgadzam. Branwen? Meredith? - spytał Rhys.

- Zgoda - powiedziała Branwen z szacunkiem w głosie.

- Tak - wyszeptała Meredith.

- No cóż, Thomasie. - Guy wstał. - Powinniśmy już iść.

- Czy mogę jeszcze tu przyjść? - zapytał chłopiec Rhysa.

- Tak, jeżeli będziesz uważniejszy i nikt nie będzie cię śledził.

Ktoś inny może nie być taki wyrozumiały jak twój wuj.

- Będę ostrożny - obiecał. - Do widzenia lady Branwen, do widzenia lady Meredith.

Guy zauważył, że Branwen ukloniła się tak, jakby była przyzwyczajona do dworskiej kurtuazji. Przeniósł wzrok na Meredith, która głaskała Thomasa po głowie i upominała, by nie zabrudził kolana i starał się nie upaść przez dzień lub dwa.

Miała słodki uśmiech.

Gdy spojrzała na Guya, coś drgnęło w jego sercu. Kobieta ze starej baśni, żyjąca w jaskini z porzuconą księżniczką, magicznym kotem i starym czarodziejem. Guy mógłby przysiąc, że w jaskini śpi ogromny smok, ich obrońca. Zaśmiał się do swoich myśli i odszedł, czując się tak niewinny i młody jak Thomas.

## ROZDZIAŁ 19

Sir Guy fitz Lionel nie mógł zasnąć. Gdy zamykał oczy, widział Meredith. Poza faktem, że była piękna miał jednak wrażenie, że jest czarownicą. Z jakiego innego powodu jej wizerunek tak bardzo go męczył?

Ze swojej długiej nieobecności wytłumaczył się jedynie Isabel. On był panem tego zamku. Nie musiał się przed nikim usprawiedliwiać. Zaspokoił ciekawość Isabel, mówiąc jej, że wziął Thomasa na przejażdżkę, by pokazać mu swoje ziemie. Widziała ich razem jadących konno, nie mogła więc podać w wątpliwość jego słów. Na Bardziej wyrafinowane pytania Reynauda Guy starał się nie odpowiadać.

Bardzo chciał zasnąć. Leżał na cienkim sienniku na podłodze w wielkim hallu wraz z innymi mężczyznami. Nie przeszkadzało mu twarde posłanie. Spał już w gorszych warunkach, nieraz przypadło mu leżeć na gołej ziemi. Był też przyzwyczajony do spania wraz z innymi ludźmi.

Tak, to ta rudowłosa dziewczyna sprawiała, że nie mógł zasnąć. Rozeźlony odwrócił się na drugi bok.

Chciał jakoś przewyciężyć te myśli, zaczynał już nawet myśleć tak jak - ojciec Herbert. Nie, ona nie jest czarownicą. W tej jaskini nie było zła. Żadnego zła.

Od dawna już nie miał kobiety. To było to. Nie chciał mieć nic do czynienia z tymi, które przywiozła ze sobą jego szwagierka. Były albo za stare, albo zrzędzące, a kobiety, które widział we wsi, nie były warte nawet jednego spojrzenia. Wyobrażał sobie, jak przyjemnie byłoby wziąć Meredith w ramiona, przytulić i pocałować. Gdyby tylko chciał, mógłby uczynić z niej swoją kochankę. Inni władcy normañscy tak robili i nikt nie uważał, żeby było w tym coś złego. Takie było ich prawo. Meredith była jednak tylko wiejską dziewczką i żadne inne rozwiązanie nie wchodziło w grę, nigdy nie mogłaby zostać jego żoną. Gdyby natomiast kazał jej mieszkać w Afoncaer i byłby z nią, nie mógłby spojrzeć w oczy Branwen i Rhysowi. Co o swoim ukochanym wujku pomyślałby Thomas, gdyby wziął jego przyjaciółkę do łóżka. No i sama Meredith. Wiedział, że jest dumną kobietą. Nie był pewien, czy byłaby z nim dobrowolnie, czy też musiałby ją zmuszać. Nigdy nie był z kobietą, która go nie chciała, nie umiałby zmusić kobiety do uległości.

Władać zamkiem było niezwykle trudno. Miał wiele problemów i nie potrafił ich wszystkich rozwiązać. Był samotny i pragnął spokoju. Ach, gdyby tak mógł leżeć w ramionach Meredith, rozkoszować się spokojem i miłością!

Niech to licho! Potrzebne mu towarzystwo, a nie kobieta. Jedynym człowiekiem, z którym chciał rozmawiać, był Reynaud. Ale on był duchownym, człowiekiem ksiązek, a nie rycerzem. Guy potrzebował mężczyzn swojego pokroju i wiedział nawet, kogo chciałby zobaczyć, a może nawet zatrzymać w zamku na dłużej.

Następnego dnia wysłano do króla Henryka raport o postępach w budowie. Przy pomocy Reynauda Guy napisał także prywatny list do króla. Sądził, że Walter fitz Alan z przyjemnością przyjmie jego zaproszenie; mógłby też przyjechać Brian Collen. Urządzi się huczne przyjęcie z okazji ich ponownego spotkania.

Do czasu kiedy przyjadą jego przyjaciele, Guy postanowił nie myśleć o płomiennowłosej dziewczynie.

Starał się zrozumieć precyzyjnie opracowane plany dotyczące budowy zamku, ale podniesiony ton jego szwagierki uniemożliwił koncentrację.

- Z tym trzeba coś zrobić. Kiedykolwiek chcę, by Thomas coś dla mnie zrobił, nie mogę go znaleźć. Dokąd on chodzi?

- Oprócz służenia tobie ma wiele różnych obowiązków, Isabel. Uczy się posługiwać bronią, walczyć mieczem i kopią. Ponadto szkoli się w zapasach i jeździe konnej. Są setki rzeczy, których przysły rycerz musi się nauczyć. Spędza mnóstwo czasu z Geoffreyem i kapitanem Johnem. Kobiety nie rozumieją takich rzeczy.

Isabel odeszła, a Guy powrócił do planów. Doskonale zdawał sobie sprawę, gdzie chłopiec zniknął każdego dnia przez ostatnie kilka tygodni. Świadomie zezwalał na to, wiedząc, jak Thomas przeżył rozłąkę z dworem i jak bardzo samotny tu się czuje. Jednak nie może zaniedbywać obowiązków wobec matki. Guy musiał z nim porozmawiać.

- Nie mogę nic na to poradzić, wujku Guyu. Chcę odwiedzać jaskinię tak często jak to tylko możliwe. Lubię rozmawiać z Rhysem. On zna wspaniałe historie, a Meredith jest taka zabawna.

Guy widział, że musi coś z tym zrobić. Obawiał się, że pewnego dnia ojciec Herbert będzie śledził chłopca i wytropi miejsce jego zabaw, a wtedy nie wiadomo czym się to może skończyć.

Zaczekał, aż Thomas zacznie lekcję walki i powędrował do jaskini. Zanim dotarł na miejsce, spotka! Meredith. Z początku wcale jej nie poznał. Jej przepiękne włosy przykryte były długim lnianym szalem. Klęczała na ziemi i wykopywała korzenie, które wrzucała do koszyka. Myślał, że to jakaś stara wieśniaczka i chciał powiedzieć, że powinna stąd iść, podniosła jednak głowę i zobaczył jej niewinną twarz i srebrnoszare oczy.

- To ty - powiedział, nie mogąc znaleźć żadnych innych słów, jakby był nieokrzesanym jeszcze paziem.

- Guy, mój panie.

Był ostatnią osobą, którą spodziewała się zobaczyć. Chciała schować swoje zabłocone ręce za plecami i pomyślała, że ta stara sukienka, której używała tylko do tej brudnej roboty jest za krótka. Żałowała, że nie ma na sobie tej nowej, którą Branwen niedawno jej uszyła.

- Idę właśnie do jaskini zobaczyć się z Rhysem, ale skoro cię spotkałem, porozmawiam z tobą. Co z tym zrobisz? - spytał, wskazując korzenie.

- Najpierw ususzę, a potem zmielę. Rhys używa tego proszku do przygotowywania lekarstw; działają kojąco, uśmierzają ból. Ale najpierw będą musiały zmyć z nich błoto.

Gdy chciała wstać, pochylił się nad nią i podtrzymał jej łokieć, by pomóc jej utrzymać równowagę. Poczowała ciepło i siłę jego ręki; krew zaczęła w niej pulsować. Guy podniósł koszyk.

- W strumieniu? - zapytał. Przytaknęła i poszli do strumienia. Usiadł na brzegu i obserwował, jak myła korzenie. Gdy skończyła, umyła ręce i wytarła w sukienkę, czując na sobie jego wzrok.

- Dlaczego chciałeś się widzieć z Rhysem?

- Rhysem? - Jej słowa wyrwały go z zamyślenia. - A tak, chodzi o Thomasa. Zaniebuje swoje obowiązki, a jego matka zaniepokojona jest jego częstą nieobecnością. Podejrzewam, że chłopiec nieustannie składa wam wizyty. On bardzo cię lubi i chyba wiem dlaczego.

Meredith spuściła oczy, nie mogąc wytrzymać jego spojrzenia. Siedziała, przebierając palcami. Znowu działa się z nią to co zawsze, gdy go widziała. Serce biło jej tak mocno, że bała się, iż można je usłyszeć; prawie nie mogła oddychać.

- Przecież to ty jesteś opiekunem Thomasa. Dlaczego nie rozkażesz mu, by tu nie przychodził, a jeżeli będzie nieposłuszny, dlaczego go nie ukarzesz?

Meredith przypuszczała, że tak postąpiłby każdy Norman. Lecz zdawała sobie sprawę, że ten człowiek jest inny aniżeli ci, o których opowiadała jej Branwen. Chciała usłyszeć jego odpowiedź. Nie odezwał się jednak od razu. Podciągnął kolana i objął je rękami, na których oparł głowę. Obserwował strumień. Meredith zrozumiała, że walczy z jakimś problemem, z jakąś myślą. Zrobiła tak, jak ją uczył Rhys. Siedziała cichutko, czekając, by się odezwał.

- Kiedy byłem jeszcze chłopcem, miałem starszego brata - powiedział w końcu.

- Lorda Lionela - dodała. Przytaknął, ciągle patrząc w wodę.

- Lionel był wielką nadzieją naszych rodziców, ich środkiem na poprawienie swojej pozycji w społeczeństwie. Całą swoją uwagę skupili na nim, chociaż go nie kochali. Zmuszali go na różne sposoby, by wypełniał ich rozkazy, jeżeli było trzeba, bili go. Ja byłem w lepszej sytuacji. Byłem tylko młodszym bratem i chociaż wiedziałem, że nie wolno mi zhańbić imienia naszej rodziny, miałem więcej swobody i mogłem śnić swoje sny. Znałaś mojego brata?

- Nie. Podczas rządów sir Lionela trzymaliśmy się z dala od Afoncaer. Nigdy go nie widziałam.

- Gdy Lionel miał tyle lat co Thomas, był też taki niewinny jak on. Ambicje moich rodziców, a potem i jego własne, zamieniły go w chciwego i zawistnego człowieka. Matka Thomasa jest tak samo ambitna jak moi rodzice. Gdyby Lionel żył i oboje się nim opiekowali, bardzo szybko zaczęliby posługiwać się nim, tak samo jak kiedyś posługiwano się Lionelem. Szczęśliwy jestem, że tak się nie stało. Jestem teraz jego opiekunem i chcę, by mógł poznawać świat własnymi oczami. Chcę, by sam badał wszystkie ścieżki, ale jego samotne spacerunki są jednak zbyt częste. Jego matka narzeka, a ci, którzy są przeciwko starym obrzędom, wtórują jej. Ci właśnie byliby najbardziej zainteresowani tym, dokąd Thomas chodzi i z kim się spotyka. A to zainteresowanie byłoby niebezpieczne przede wszystkim dla was i, co dla mnie ważne, niebezpieczne dla Thomasa.

- Czego więc chcesz? Czy jedno z nas ma powiedzieć Thomasowi, by nie odwiedzał jaskini, abyś ty nie musiał tego zrobić?

- Nie chodzi o to, by nie odwiedzał. Proszę, byście powiedzieli mu, aby nie przychodził tak często. Wierzę, że od ciebie czy Rhysa przyjmie to lepiej aniżeli ode mnie. Nie chcę go zranić rozkazami. Przecierpiał ostatnio bardzo dużo: śmierć swego ojca, tęsknota za przyjaciółmi na dworze, obojętność matki. - To ostatnie powiedział bardzo cicho.

- Bardzo go kochasz.

- Tak, bardzo. - Spojrzał na nią, burząc spokój, jaki przez chwilę zdołała osiągnąć. - On jest wszystkim, co mam. Chcę, by był bezpieczny.

Serce zabiło jej mocniej, gdy ujrzała ból na jego twarzy, cierpienie spowodowane haniebnym życiem brata, jego przedwczesną śmiercią i strachem, by jego bratankowi nie przydarzyło się coś podobnego.

- Powiem Rhysowi, o co mnie prosiłeś - obiecała.

- Dziękuję. - Dotknął jej podbródka. - Jaka ty jesteś piękna, jaka piękna!

Nie zdążyła zaprotestować. Przysunął się do niej i jego usta dotknęły jej ust. Ich twarze były blisko. Wyzwalał w niej tak silne uczucie podniecenia, że traciła oddech. Zamknęła oczy, kiedy ją całował, przytulał i przyciskał mocno do siebie. W Meredith krew pulsowała tak mocno, iż zdawało jej się, że ziemia się zapada. Pocałunek trwał długo. Otworzyła oczy. Żałowała, że to już koniec. Widziała w jego oczach płomień. Ułożył ją delikatnie na trawie i zbliżył swoje usta do jej ust. Nie miała pojęcia, co się potem stanie, ale chciała tego pocałunku. Przygarnął ją do siebie. Nagle usłyszeli głos:

- Wujku Guyu, co ty tutaj robisz?

- Rozmawiam z Meredith. - Odwrócił się od niej i spojrzał na bratanka. - Myślałem, że uczysz się władać bronią.

- Właśnie skończyłem. Idę zobaczyć się z Rhysem. Guy wstał i spojrzał błagalnie na Meredith. Podążyła mu z pomocą.

- Rhysa nie ma dzisiaj w domu, Thomasie. Czy nie powinieneś spędzać trochę więcej czasu z twoją mamą aniżeli z nami?

- Ona nigdy nie spędza ze mną czasu, tylko zleca mi zadania do wykonania - powiedział głosem tak smutnym, że Meredith chciało się płakać. - Cóż, wujku Guyu, pójdę z tobą do domu.

Gdy odeszli, Meredith wzięła koszyk i poszła do jaskini, gdzie czekał na nią Rhys. Radość, jaką sprawiły jej pocałunki Guya zniknęła pod wpływem kłamstwa, jakim musiała obdarować Thomasa.

\*

Thomas nie pokazał się przez blisko trzy tygodnie. Gdy się pojawił, widać było, że coś go trapi.

- To Agnes, służąca mojej mamy - odpowiedział zapytany, co się stało. - Myśleliśmy, że to tylko przeziębienie, ale czuła się coraz gorzej, aż wczoraj umarła. Chciałem przyjść do Rhysa po jakieś lekarstwo, ale, mama nie spuszczała ze mnie oka, a wuj był tak zajęty z panem Reynaudem, że nie mogłem poprosić go o pozwolenie i teraz biedna Agnes nie żyje.

Meredith mocno przytuliła Thomasa. Z początku poczuł się urażony, że zwątpiono w jego męską wytrzymałość na ból i cierpienie, ale ostatecznie emocje wzięły górę i on również objął Meredith. Spod jego złotej główki widziała uśmiech Rhysa.

- Agnes była dla mnie taka dobra - powiedział chłopiec, gdy się uspokoił. - Żałuję, że nie mogłem jej pomóc. Wuj mówi, że umarła też dlatego, że była już bardzo stara.

- Twój wuj ma rację - rzekł Rhys łagodnie. - Przychodzi taki czas, gdy nawet najlepsze lekarstwa nie pomogą i trzeba umrzeć. Dla starych nie jest to nawet tak straszne, jak się młodym wydaje. - Rhys usiadł, masując lewą pierś. Meredith wiedziała, że odczuwał silny ból, a swoje słowa kierował tak do Thomasa, jak i do niej. - Wspominaj swoją przyjaciółkę z miłością - dodał.

- Tak - powiedział Thomas. - Moja mama ma bardzo zły humor. Po śmierci Agnes nie ma swojej osobistej służącej. Mówi, że inne kobiety są niezręczne i nie umieją dobrze usługiwać. Chciałem jej pomóc, ale powiedziała mi, że jestem głupim dzieckiem i mam odejść. Może gdy zostanę giermkim, będę wiedział, co zrobić, by pomóc kobiecie.

Branwen, która przez cały czas milczała, podała mu miseczkę wczesnych jabłek, sera i brązowego chleba.

- Pierwsze jabłuszka są zawsze najśłodsze, nieprawdaż, Thomasie? - Dotknęła jego włosów, gdy sięgał po największe jabłko.

Zgodził się z nią i jadł jabłko, zakrywając ręką ser, na który miał ochotę Gwyn. Gdy już o zmroku opuszczał jaskinię, był w o wiele lepszym humorze.



- Dziękuję ci, ciociu - powiedziała Meredith. - Sądzę, że jemu potrzeba było trochę czułości.

- Ten chłopiec potrzebuje matki - powiedziała ostro Branwen.

Następnego dnia pojawił się Guy. Branwen nie było, zastał tylko Meredith i Rhysa, którzy przygotowywali maści. Po przywitaniu Guy powiedział głucho:

- Potrzebuję waszej pomocy.

- Czy coś złego stało się Thomasowi? - Meredith zamarło serce.

- Thomas ma się bardzo dobrze, to jego matka mnie niepokoi. Jej służąca umarła i Isabel twierdzi, że nie może sobie dać bez niej rady. Jest bardzo nieszczęśliwa.

Nie dodał, że on też przez Isabel jest nieszczęśliwy po stracie biednej dobrej Agnes. Chciał, by Meredith przystała na jego propozycję. Wolał jej nie mówić, jak okropna stała się Isabel od śmierci Agnes. Wziął głęboki oddech i powiedział:

- Isabel wysłała list do przyjaciółki na dworze, by ta wybrała dla niej służącą, która wie, jak troszczyć się o wysoko urodzone kobiety, ale zanim ta przybędzie do Afoncaer, miną tygodnie lub nawet miesiące. Pomyślałem, że w tym czasie Meredith mogłaby zająć jej miejsce.

- Ja?! - W Meredith narastał gniew. - Ja jestem uzdrowicielką, a nie służącą! Nie wiem, jak się służy damom, a nawet gdybym wiedziała, za nic w świecie nie pójdę do Afoncaer.

- Proszę. - Guy chwycił ją za rękę. - To byłaby pomoc dla mnie i dla Thomasa.

Meredith dobrze zdawała sobie sprawę, że władca Afoncaer, i to normański władca, nigdy o nic nie prosi, a ten tutaj błagał o jej pomoc. Robił to też trochę podstępnie, wspominając Thomasa i mówiąc że jego życie będzie weselsze, jeżeli lady Isabel będzie szczęśliwa. Irytacja Meredith powoli zniknęła.

- To tylko na krótki czas, do dnia kiedy przybędzie nowa służąca. Nie musisz nikomu mówić, kim jesteś i gdzie dotąd mieszkałaś. Wymyślimy coś, co zadowoli ciekawość Isabel dotyczącą cudzoziemki mówiącej tak dobrze po francusku.

- Ja nie mogę - powiedziała łamiącym się głosem.

- Meredith, to dobry pomysł - odezwał się Rhys.

- Chyba nie chcesz, abym się zgodziła? Branwen będzie wściekła

- Nie możesz mieszkać w tej jaskini do końca życia.

- Oczywiście, że mogę. Ty i Branwen też tu mieszkanie.

- Ja jestem stary, a Branwen tyle już doświadczyła w życiu, że jest szczęśliwa, iż może się tu schronić. Ty jesteś młoda i już czas, byś nas opuściła.

Guy, zadowolony z tej nieoczekiwanej pomocy, raz jeszcze uściśnął dłoń Meredith.

- Widzisz, Rhys się ze mną zgadza, powinnaś zgodzić się i ty.

- Nie! - Wyrwała rękę i schowała za plecami pewna, że gdyby jej nie dotykał, mogłaby myśleć o wiele jaśniej. Pokusa, by się zgodzić i być z nim każdego dnia, była nie do odrzucenia. Starła się jednak ją zwalczyć. - Moje miejsce jest tutaj, u boku Rhysa i Branwen.

- Skąd możesz to wiedzieć? - powiedział Rhys. - Najpierw powinnaś poznać inne miejsca i innych ludzi, a potem stwierdzić, gdzie przynależysz.

- Ale ty mnie potrzebujesz - powiedziała do Rhysa z nutką desperacji w głosie - bym zbierała korzenie, zioła i rośliny.

- Sądzę, że Branwen też da sobie radę.

- Dlaczego tak mówisz? - Łzy popłynęły jej po policzku, nie chciała opuszczać bezpiecznej przystani, jaką była jaskinia. Jednocześnie też chciała być z Guyem. O tak, bardzo tego pragnęła - Dlaczego chcesz mnie odesłać?

- Dla twojego dobra.

- Ja chcę być zielarką,

- Jesteś nią i znowu będziesz, ale teraz spróbuj czegoś innego. Zrób to tak samo jak chłopiec, który opuszcza dom, by zostać paziem, by nauczyć się służyć innym cierpliwie i z godnością, zrób to dla swojej przyszłości. - Rhys zwrócił się teraz do Guya - Ufam, że dopilnujesz, by Meredith była dobrze traktowana i by nie stała się jej żadna krzywda. By nikt jej nie skrzywdził - powtórzył z mocą. Meredith zrozumiała, co Rhys miał na myśli.

- Daję ci moje słowo - powiedział Guy. - Meredith będzie bezpieczna w Afoncaer, może nawet bezpieczniejsza niż tutaj i na pewno będzie jej cieplej tej zimy.

- Ja nie chcę iść. - Po raz ostatni spróbowała zaprotestować.

- Nikt ci nie rozkazuje, wybór należy do ciebie. Nastąpiła chwila ciszy, podczas której Rhys patrzył głęboko w jej oczy. Czowała, że chce ją nakłonić do zgody. Meredith wiedziała, że Rhys czasami umiał bardzo dobrze przewidzieć pewne rzeczy. To nie miało nic wspólnego

z magią to było doświadczenie, które pomagało mu wyciągać odpowiednie wnioski. Branwen też to umiała, chociaż w mniejszym stopniu. Meredith uznała tę cechę jako właściwą ich walijskiej krwi. Gdy zapytała kiedyś o to, Rhys odpowiedział jej, że to umiejętność dostrzegania rzeczy, których inni ludzie nie widzą. Teraz poczuła, że Rhys przewiduje, iż jej obecność w Afoncaer jest konieczna. Wiedziała, że taka decyzja zmieni jej życie. Była to przerażająca myśl, ale zrobi to, czego chce Rhys. Zresztą było to też jej najskrytsze marzenie.

- Dobrze - powiedziała.

- Przyjdź do Afoncaer jutro w południe i zapytaj strażnika o mnie - powiedział Guy. - Nie musisz mieć niczego ze sobą. Dopilnuję, byś dostała wszystko na miejscu.

Gdy wyszedł, Meredith odwróciła się do Rhysa.

- Boję się.

- Czy pamiętasz, jak bardzo byłaś przerażona, kiedy pierwszy raz pozwoliłem ci mieszać balsamy? Myślałaś, że popełnisz jakąś pomyłkę, ale jednak spróbowałaś. Nic się nie stało, a następnym razem było już łatwiej. Teraz jest już niewiele mikstur, których nie umiałabyś przygotować.

- Popełniam błędy.

- Każdy je popełnia.

- Ale to jest coś innego.

- Zobaczysz, że wtedy, kiedy się boisz, twoje serce podpowiada ci, co robić. Strach to coś, co trzeba pokonać i przeciwdziałać mu, aż nie ustąpi. Jeżeli uciekasz od wszystkiego, czego się boisz, nigdy się nie odnajdziesz i staniesz się tchórzem.

- Nie chcę cię opuszczać, Rhys.

- Będę tu, gdy wrócisz. Jeszcze trochę pożyję i będziemy mieli czas, bym cię nauczył tego wszystkiego, czego jeszcze nie wiesz. Wtedy będziesz jeszcze lepszą uzdrowicielką.

Meredith poczuła się uspokojona. Zaczęła myśleć o swoim przyszłym życiu na zamku. Pomyślała, że teraz będzie mogła codziennie widywać Thomasa i... Guya. On był jednak nie dla niej i z tego też zdawała sobie sprawę. Jednak sam fakt, że będzie blisko niego, że będzie słyszeć jego głos, widzieć jego uśmiech, nappełniał ją radością.

Branwen nie była zachwycona tą decyzją.

- Jak mogłeś to zrobić? - napadła na Rhysa. - Meredith zasługuje na coś lepszego, niż być służącą jakiejś normańskiej suki.

- Normanowie pozostaną tutaj długo i musimy nauczyć się z nimi żyć. Sądzę, że to doskonała okazja dla Meredith. Zaufaj mi, Branwen.

- Myślę, że postradałeś zmysły. Meredith nie powinna mieć nic do czynienia z Normanami, a w szczególności z lady Isabel. Posłuchaj tylko Thomasa, a dowiesz się, co to za bestia.

- Właśnie obiecałam lordowi Guyowi, że pójdę. Nie mogę złamać danego słowa - powiedziała cicho Meredith.

- Już nigdy nie wrócisz, oni ci na to nie pozwolą. Lord Guy zdecyduje, że jesteś jego własnością. Takim jak on wydaje się, że wszystko należy do nich.

- Lord Guy powiedział, że będę mogła wrócić, kiedy tylko przyjedzie moja następczyni. To tylko na krótko, ciociu Branwen.

- Jeżeli nie pozwoli jej wrócić, rzucę na niego klątwę - powiedział Rhys.

- Och, Rhys, przecież mówiłeś mi miliony razy, że nie jesteś czarownikiem. Nie możesz rzucić klątwy.

- Ale lord Guy nie jest tego pewien, nieprawdaż?

- Oboje jesteście szaleni - powiedziała Branwen. Następnego dnia, gdy Meredith odchodziła, Branwen pocałowała ją kilka razy i mocno przytuliła.

- Kocham cię - powiedziała. - Jeżeli zrobią ci krzywdę, to poślij po mnie lub przyjdź sama.

- Na pewno tak zrobię, ciociu.

Rhys również mocno ją uściskał. Gdy położyła głowę na jego ramieniu, długa, biała broda łaskotała jej nos i policzek tak jak kiedyś, gdy była jeszcze małą dziewczynką. Znowu poczuła się bezpiecznie i bez troski. Potem pocałował ją w oba policzki, obrócił się i poszedł do jaskini.

## ROZDZIAŁ 20

Minęły już prawie cztery miesiące, od kiedy Guy objął rządy nad Afoncaer. Zamek w tym czasie bardzo się zmienił, zewnętrzne i wewnętrzne mury rozrastały się szybko. Budowa bramy głównej zbliżała się do końca. W złotym, jesiennym słońcu Afoncaer prezentowało się okazale i niedostępnie.

Meredith przybyła wczesnym popołudniem, bramy muru zewnętrznego były otwarte, nad fosą opuszczono drewniany most. Strażnik, z którym rozmawiała, skierował ją do mniejszej bramy w murze wewnętrznym, który otaczał zamek.

- Idź na prawo tą drogą. Oczekują ciebie, życzę szczęścia.

- Dziękuję - odpowiedziała zaskoczona tak miłym przywitaniem ze strony Normana.

- Ze względu na to co cię tam czeka, potrzebujesz dużo szczęścia - powiedział strażnik z wyrozumiałością.

Meredith była zaskoczona. Czyżby jej nowa pani była aż taką jędzą, że nawet zwykły żołnierz był tego świadomy? Przekraczając tramę, walczyła z bólem żołądka. W prostokącie pomiędzy murami zewnętrznymi a wewnętrznymi zarysowywały się początki miasta. Wytyczono już ulice i stało nawet kilka domów dla tych pracowników, którzy mieli tu zostać po ukończeniu prac. Thomas powiedział jej, że stolarze i kamieniarze w zamian za pracę dostali ziemie i zostaną w Afoncaer na stałe. Nawet po skończeniu budowy zaniku zawsze znajdzie się dla nich jakieś zajęcie. Zauważyła, że wielu z nich przywiozło tu swoje rodziny, wokół domów rozciągały się ogródki, a w nich bawiły się dzieci. Nie opodal była kuźnia, piekarnia i pracownia szewca. Domy były wygodne, duże, nie takie jak ten, w którym Meredith spędziła dzieciństwo.

Mijała wioskę, starając się ignorować spojrzenia ciekawych kobiet, które stały przy studni i nabierały wodę. Była zadowolona, że zakryła włosy, przynajmniej kobiety nie kpiły z jej niezwykłych, czerwonych loków.

Przemierzyła drewniany mostek ponad suchym rowem. Strażnik przy drugiej bramie wskazał na duży drewniany budynek po lewej stronie.

- To jest wielki hall - powiedział. - Lord Guy i lady Isabel są w środku.

Gdy szła w tym kierunku, widziała kamieniarzy pracujących na najwyższym wzniesieniu. Budowali wieżę, która będzie strzegła drogi z Anglii do Walii. Po prawej stronie Meredith dostrzegła mury dochodzące do rzeki, a po lewej ciągnące się aż do strumyka. Czuła się uwięziona między tymi murami i wodą. Zastanawiała się, czy uda jej się w nocy zasnąć.

Chciała wrócić do swojej zielonej wolności, do lasu. Odwróciła się i miała zamiar biec do wyjścia, gdy przypomniały jej się słowa Rhysa: stawiaj czoło rzeczom, których się boisz. Poszła w kierunku wielkiego hallu.

Drzwi były otwarte, w środku panował mrok. Gdy weszła, zobaczyła Guya. Rozmawiał ze szczupłym, wysokim mężczyzną w sutannie. Duchowny odwrócił się i spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- Oto i jesteś. - Guy uśmiechnął się do niej, rozpromieniając ponury pokój. - Reynaud, to jest Meredith, nowa służąca Isabel.

- Doprawdy? - Zmierzył ją zimnym spojrzeniem.

- Chodź, Meredith, przedstawię cię twojej pani. - Guy chwycił ją za rękę i poprowadził w kierunku drzwi.

- Czy nie mógłby tego zrobić jeden ze służących? - chłodno zapytał Reynaud.

- Sądzę, że lepiej będzie, jeżeli to zrobię sam. Wzrok duchownego odprowadzał ją aż do drzwi.

Szli teraz korytarzem w kierunku pokojów dla kobiet. Drzwi były otwarte, pozwalając promieniom słonecznym oświetlić wnętrze komnaty.

Lady Isabel była rzeczywiście tak piękna, jak mówił Thomas; była zjawiskiem na tym dzikim odludziu. Była wysoka i dobrze zbudowana. Długie jasne włosy delikatnie przewiązane chustką i spięte na czubku złotą klamrą sięgały jej pasa. Jej cera, chociaż Isabel miała już dwadzieścia siedem lat, była różana. Miała na sobie jedwabną sukienkę harmonizującą z kolorem jej oczu. Pas okalający biodra zdobiły klejnoty.

- To jest moja nowa służąca? - Spojrzała z góry na Meredith. Była od niej dużo wyższa. - Czy nie masz czegoś ładniejszego niż ta szara suknia?

- Nie mam - odpowiedziała Meredith, w głębi serca żałując, że nie jest teraz w jaskini z Rhysem i Branwen. Nigdy przedtem nie myślała o swoim wyglądzie. Ważne było dla niej to, co robi, a nie to,

jak wygląda. Patrząc na siebie i na lady Isabel, czuła się bardzo nieprzyjemnie. Przystępowała z nogi na nogę, nie wiedząc jak ma się zachować.

- Sądzę, że powinnaś zająć się ubiorem dla Meredith - odezwał się Guy.

- Ależ oczywiście - powiedziała Isabel z sarkazmem w głosie. - Mam wszelkie ku temu możliwości, widząc te szafy pełne strojów, jakie mi przygotowałaś. - Wskazała szafy i szyderczo się uśmiechnęła.

- Obiecałem Meredith, że się nią zaopiekujesz i mam nadzieję, że tak będzie. - Wypowiedziawszy te słowa, opuścił pokój.

- Czy służyłaś już kiedyś? - zapytała Isabel.

- Nie, ale nauczę się, jak to robić. - Widząc zdziwione spojrzenie Isabel, dodała: - Szybko się uczę, moja pani, a ponieważ nigdy tego nie robiłam, będziesz mogła nauczyć mnie, jak najlepiej tobie dogadzać.

- Jesteś mądra, to dobrze. Przynajmniej dobrze mówisz po francusku, chociaż gdzie się tego nauczyłaś na tym pustkowiu, to też zagadka. No cóż, nie mam innego wyboru. Zostaniesz tak długo, dopóki nie przyjedzie odpowiednia służąca. Joan. - Odwróciła się do siwej kobiety, która stała obok niej. - Znajdź jej coś do ubrania, coś przyzwoitego.

Za kilka minut Meredith ubrana była w zieloną, wełnianą sukienkę, troszeczkę za krótką i za szeroką w pasie. Sukienka przeznaczona była początkowo dla służącej Edith, która musiała teraz poczekać, aż Joan uszyje jej nową.

- Tak mi przykro, że zabieram jej suknię - powiedziała Meredith, mając nadzieję, że Edith nie będzie jej miała tego za złe.

- Nic się nie stało, ona woli niebieską. Zobaczysz, w ogóle się nie zmartwi. Przewiąż się paskiem - mówiła Joan - ale zupełnie nie wiem, co zrobić z twoimi włosami.

- Przewiążę je tym. - Meredith pokazała lniany szal.

- Dobry pomysł - odezwała się Isabel. - To straszny kolor. Dla damy odpowiednie są jasne włosy, jak moje, lub kruczoczarne, jeżeli ma się odpowiednią karnację. Ale te czerwone, i do tego kręcone? Zawsze noś je zasłonięte, by nie obrażały niczyich oczu.

Gdy Meredith przedstawiano innym służącym, Edith i Margaret, pojawił się Thomas.

- Lady Meredith! - wykrzyknął. - Jak pięknie wyglądasz w nowej sukience!

Edith i Margaret szturchały się rozbawione, a Isabel nie mogła ukryć zdziwienia.

- Lady? Ja Jestem tutaj jedyną lady. To jest służąca i będziesz się do niej zwracał po imieniu. A tak właściwie to skąd znasz tę dziewczynę?

Meredith zobaczyła przerażoną twarzyczkę Thomasa, który zupełnie nie wiedział, co ma powiedzieć. Pospieszyła mu z pomocą.

- Spotkaliśmy się raz albo dwa razy, gdy pan Thomas chodził oglądać ziemie lorda Guya. - To nie kłamstwo, tylko wybieg, powiedziała sobie. Doznała ulgi, gdy Isabel posłała Thomasa po coś i zaczęła jej tłumaczyć, jak ma wypełniać swoje obowiązki.

Podczas gdy zamek był światem mężczyzn i lord Guy był w nim panem, pokoje kobiece należały do lady Isabel. Meredith miała za zadanie budzenie Isabel wczesnym rankiem i ubieranie jej przy pomocy Joan. Edith i Margaret zajmowały się doglądaniem gotowania i zarządzaniem gospodarstwem pod dyktando Isabel. Joan, doskonała szwaczka, opiekowała się ubiorami Isabel i innych domowników. Bezustannie szła nowe rzeczy dla swojej pani, osobiście też doglądała, by wszystkie części garderoby były w nienagannym porządku. Ponieważ Joan była najstarsza i najdłużej służyła lady Isabel, była też za wszystko odpowiedzialna, gdy pani z jakichś przyczyn nie mogła się niczym zajmować.

Każdego ranka Meredith przynosiła ciepłą wodę, by Isabel mogła zażyć ciepłej kąpieli, a następnie czesała jej włosy, pomagała nałożyć sukienkę i buty oraz trzymała lusterko, gdy jej pani pudrowała twarz. Zakończywszy ranną toaletę, która trwała bardzo długo, Isabel w towarzystwie innych pań szła do kapliczki, by wysłuchać mszy odprawianej przez ojca Herberta. Meredith tego właśnie nie lubiła najbardziej. Przypominało jej to czasy, gdy mieszkała z Branwen i Alfricem i razem chodzili do kościoła. Jedyną pocieszającą rzeczą było to, że mogła wtedy widywać Guya i Thomasa.

Zanim tu przybyła, miała nadzieję, że będzie widywać go często, tymczasem on był bardzo zapracowany i otoczony mężczyznami, a ona zajęta była u boku lady Isabel. Czasami rozmawiali podczas codziennych wspólnych posiłków. Wtedy też czuła na sobie jego wzrok. Z Thomasem widywała się częściej, a to dlatego, że jako paż



ciągle spełniał rozkazy mamy i biegał, wykonując różne polecenia. Meredith obserwowała połączenie zaniedbania i zaborczości w zachowaniu Isabel wobec Thomasa. On z kolei desperacko starał się ją zadowolić, co zresztą rzadko mu się udawało.

- Moja pani, gdybyś postępowała uprzejmiej z Thomasem, byłby szczęśliwszy - powiedziała pewnego dnia. Zaraz pożałowała, że nie ugryzła się w język, ale cierpiała bardzo, widząc jak to uczuciowe dziecko jest traktowane.

- Nie mów mi, jak mam postępować z moim synem. Doskonale wiem, co robię. Nikt nie może spodziewać się szczęścia na ziemi, a w szczególności nie w takim miejscu jak Afoncaer. Moim jedynym pocieszeniem jest myśl, że czas stracony tu będzie się liczyć w czyścicu - odpowiedziała. - Z pewnością w moim przyszłym życiu zostanę wynagrodzona za cierpienia, których tu doznaję.

Meredith nie mogła nadziwić się, jak uwaga o złym traktowaniu syna mogła zrodzić narzekania na życie. Nie mogła zrozumieć, dlaczego Isabel czuje się nieszczęśliwa. Dla Meredith Afoncaer było rajem. Miała nową, ciepłą sukienkę, ładną bieliznę i koc, którym przykrywała się każdej nocy. Tego lata był duży urodzaj, toteż nie brakowało jedzenia. Ona i Joan bardzo się ze sobą zaprzyjaźniły. Jedyną zgryzotą była jej pani. Isabel traktowała Meredith arogancko i wyniośle.

- Nie umiesz haftować ani szyć? - Patrzyła na nią lekceważącym wzrokiem. - Nigdzie nie zagrzejesz miejsca jako służąca, chyba że się nauczysz. Joan, naucz tę ignorantkę szyć, najlepiej zacznij od zaraz.

- Umiem pozszywać to co porwane, by mogło dalej służyć - odpowiedziała buńczucznie Meredith - natomiast nie widzę potrzeby ozdobnego wyszywania. - Wyszywanie, o jakim myślała Isabel, było dla zielarki bezużyteczne.

- Nie bądź zuchwałą! - Isabel spojrzała groźnie z uniesioną ręką. Przez chwilę patrzyły na siebie w milczeniu. Ciszę przerwała Joan.

- Sądzę, że Meredith mogłaby zacząć od rękawów twojego nowego płaszcza, pani. Będę ją uczyć stopniowo. Aby dobrze coś wykonywać, trzeba mieć wrodzone zdolności.

- Jeżeli starasz się powiedzieć, że Meredith jest za głupia, by się tego nauczyć, to masz rację - oświadczyła Isabel.

Meredith już chciała coś powiedzieć, ale poczuła na swoim ramieniu rękę Joan.

- Jeżeli nie chcesz być odesłana w niełasce lub ukarana, to lepiej pilnuj swojego języka - usłyszała później od Joan. - Lady Isabel woli skromne i posłuszne służące. Myśl sobie, co chcesz, to twoje prawo, ale nie wypowiadaj tych myśli głośno.

- Nigdy się tego nie nauczę. Tam, gdzie mieszkałam dotychczas, mogłam mówić, co chciałam i byłam szanowana.

- A więc miałaś więcej szczęścia niż inni. Kobiety w Afoncaer muszą być posłuszne lady Isabel. Tylko lord Guy może sprzeciwić się jej decyzjom.

Każdego dnia po mszy jedzono lekki posiłek składający się z chleba i piwa. Potem każdy szedł do swoich zajęć. Główny posiłek dnia spożywano późnym popołudniem i wtedy podawano gotowane lub pieczone mięso z jarzynami, ryby, chleb i ser. Lady Isabel doglądała, by wszystko było jak należy. Dania zimne podawano wieczorem. Głównym jednak zainteresowaniem Isabel cieszyło się dekorowanie przyszłych komnat rodzinnych. Spędzała długie godziny na rozmowach z Guyem i Reynaudem.

- Chciałabym, by ściany i sufity były wymalowane według najmodniejszych wzorów. Reynaud, napiszesz list do malarzy królewskich w Winchesterze i poprosisz, by przysłali wzory i próbki farb. Chciałabym ciemny granat na ściany, a wzór złoto - zielony.

- Tak, pani.

- I haftowane gobeliny. Napisałeś już chyba o gobelinach? Tutaj jest tak ponuro. Trzeba czegoś, co ożywiłoby te ściany.

- Napiszę list, moja pani. Ale to są bardzo drogie luksusy. Chcesz komplet złotych kielichów, złoty i srebrny krzyż do kaplicy, sześć drewnianych, rzeźbionych krzesel do wielkiego hallu, trzy ogromne drewniane, rzeźbione stoły? Większość z tych rzeczy mogłaby być zrobiona tutaj na miejscu za połowę ceny. Nie wiem, czy jest mądrym posunięciem zamawiać to wszystko w Londynie.

- Guya stać na to. Och, Reynaud, gdy będziesz pisał następny raport do króla, dołącz list ode mnie do królowej Matyldy. Poproś w nim o błękitny jedwab na nową suknię. Potrzebuję nowej sukni, koniecznie.

- Następna suknia, moja pani? - zaprotestował Reynaud. - Twoja szafa ugina się od nadmiaru sukien.

- W żadnym wypadku. Mężczyźni nie znają się na tych sprawach, nieprawdaż, Meredith? - Zanim Meredith zdążyła

odpowiedzieć, Isabel mówiła dalej: - Kiedy przyjadą goście Guya, będą tutaj huczne przyjęcia. Źle by o mnie świadczyło, gdybym przyjmowała ich w starych sukniach. Nie chciałabym ich obrazić moim wyglądem. - Spojrzała na swoją suknię z czerwonej wełny, haftowaną przy szyi i rękawach.

Meredith wiedziała, że jest to nowa sukienka, którą jej pani ma po raz pierwszy na sobie.

Gdy Isabel wyszła, Reynaud wznosił oczy do nieba, jakby tam szukał pomocy. Meredith poruszyła się niespokojnie. Przez krótką chwilę, gdy ich spojrzenia się spotkały, zobaczyła w jego oczach cień współczucia.

To dziwny człowiek, myślała Meredith, wiecznie zajęty pisaniem i czytaniem. Robi mnóstwo dziwnych rzeczy. Jest architektem i inżynierem, zajmuje się księgowością Guya i pisuje listy. Wiedziała, że Guy bardzo go szanuje. Reynaud serdecznie odnosił się do Thomasa. Wiedziała też, że ojciec Herbert go nie lubi. Wszystko to sprawiało, że czuła do Reynauda sympatię.

Pewnego dnia, gdy ojciec Herbert wygłosił jedną ze swoich tyrad przeciwko Walijczykom i uzdrowicielom, którzy, jak wierzył, mieszkali w lesie, musiała mocno zacisnąć wargi, by czegoś nie powiedzieć. Wiedziała, że Reynaud zauważył jej złość i jej lęk. Gdy Guy uciszył niesfornego duchownego mocnymi słowami, Reynaud podszedł do Meredith.

- Ten mężczyzna jest głupim, zabobonnym ignorantem - powiedział. - Sir Guy wie o tym i nie zwraca na niego najmniejszej uwagi. Każdy, kto jest trochę od niego mądrzejszy, wie, że czarownice nie przedstawiają niebezpieczeństwa dla dobrego chrześcijanina. Należy tylko podnieść krzyż lub się przeżegnać albo zmówić pacierz, a czarownica będzie nieszkodliwa.

- On nie wie, co mówi, nic nie rozumie. - W porę powstrzymała się od powiedzenia, że ludzie, o których mówi ojciec Herbert, są nieszkodliwymi zielarzami.

- W miejscu takim jak Walia - powiedział rozważnie - lepiej jest nie zagłębiać się w wierzenia ludzi, lecz zaakceptować je. Lud tutejszy uwierzy w Boga jedyne, jeśli da się mu czas i dobry przykład, a nie będzie się zmuszać do wiary groźbą lub nakazem. My, Normanowie, jesteśmy tu nieliczni i nie powinniśmy używać siły, bo ryzyko buntu wtedy się zwiększa. Tak się już raz zdarzyło za czasów

lorda Lionela i Norma nowie przegrali tę bitwę. Jesteśmy za daleko od króla, by w razie kłopotów oczekiwać jego pomocy, co zresztą w rzeczywistości czyni Guya niezależnym władcą. Robi to, co uważa za stosowne i jest życzliwy Walijczykom. Nie obawiaj się Meredith. Ojciec Herbert nie ma żadnego wpływu na Guya i to jest ważne.

- Wydaje się bardzo zły.

- Sir Guy da sobie z nim radę. Nie musisz się martwić o swoich przyjaciół.

Odszedł, zostawiając ją w niepewności. Zastanawiała się, co Reynaud wie o jej dotychczasowym życiu. Wiedziała, że Geoffrey próbował pozyskać informację na temat ludzi mieszkających w lesie. Powiedziała o tym Guyowi.

- To było, jeszcze zanim cię poznałem. Bałem się zasadzki, myślałem, że w lesie czai się armia wojska gotowa zaatakować zamek.

- A teraz?

- Teraz Geoffrey jest zanadto zajęty innymi obowiązkami, by interesować się plotkami. Nie bój się, Meredith, dopóki ja tu jestem panem, Branwen i Rhysowi nic nie grozi.

Meredith nie darzyła Geoffreya sympatią przede wszystkim za to szpiegowanie. Pewnego dnia jednak, gdy Geoffrey spadł z konia i złamał prawą nogę, lody zostały przełamane.

- To dzieło Boga - zawyrokował ojciec Herbert. - Znak niebios. Przeceniłeś swoje możliwości, Geoffrey, za bardzo chciałeś zostać rycerzem. Ta noga z pewnością źle się zrośnie. Nie będziesz już więcej mógł jeździć konno, najlepiej oddaj się teraz posłudze boskiej. Ofiaruj się Bogu z ufnością i odwagą, a twoje cierpienie niech będzie odkupieniem twoich win.

Meredith chciała krzyknąć, by się uciszył. Czyż był on zupełnie nieczuły na cierpienie tego chłopca? Meredith stała blisko Isabel, gdy ta badała jego nogę.

- Obawiam się, że ojciec Herbert ma rację - powiedziała Isabel. Geoffrey krzyknął z bólu i żalości. Meredith zrobiło się go bardzo żal.

- Nogę należy odciąć, by zakażenie nie przedostało się dalej - dodała.

- Nie umiem nic innego poradzić, gdy w grę wchodzi tak poważne złamanie. Przykro mi, Geoffrey. Joan, poślij po lekarza.

Meredith widziała łzy w oczach giermka i smutek w oczach Guya, który przyglądał się oględzinom. Guy spojrział na nią i iskierka

nadziei zajaśniała w jego oku. Chyba nie wyjawি, że jest uzdrowicielką? Chyba dotrzyma sekretu i danego słowa? Czuła jednak, że Guy błaga o pomoc. Wysunęła się do przodu.

- Moja pani, znam się trochę na tych sprawach, wiem jak postępować z takimi ranami. Czy pozwolisz mi zająć się Geoffreyem?

- Ty? - wykrzyknęła zdziwiona Isabel. - A cóż ty umiesz takiego, czego ja bym nie potrafiła?

- Pozwól jej spróbować, Isabel - niewinnie po - wiedział Guy. - Masz tyle obowiązków, niech Meredith cię odciąży, niech się nim zajmie.

- Może masz rację. Niech Meredith się tym zajmie, chociaż jest pewne, że Geoffrey straci tę nogę, niezależnie od tego, kto by się nim zajmował. Oddaję ci go, Meredith, dobrze się nim opiekuj - rzekła Isabel i odeszła w kierunku pokojów kobiecych.

- Meredith, Powiedz, co mam zrobić, by ci pomóc? - zaofiarowała się Joan.

- Będę potrzebować wina, gorącej wody, czystych bawełnianych ściereczek i tyle żywokostu, ile uda ci się znaleźć.

- Żywokost? Słyszałam o tym lekarstwie. - Pokiwała głową. - Przyniosę wszystko.

Zniknęła, by wypełnić polecenie. Meredith uklękła przy giernku i zaczęła badać złamaną nogę. Geoffrey zeszywniał, gdy poczuł jej dotyk, lecz później zrozumiał, że delikatne ręce dziewczyny nie przysporzą mu więcej bólu. Obejrzała złamanie i przysiadła na piętach rozmyślając. Jak bardzo przydałyby się jej medykamenty Rhysa. Potrzebowała wierzbówki, cykuty i jabłek osłodzonych miodem, którymi mogłaby nakarmić go, by zasnął, kiedy ona będzie nastawiać nogę.

- Geoffrey, wiem, że mogę wyleczyć twoją nogę, ale przez chwilę poczujesz wielki ból i będziesz miał potem wysoką gorączkę. Czy jesteś na to gotowy?

- Czy będę mógł znowu jeździć konno? - Spojrzał na nią błagalnym wzrokiem.

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy. Wykrwawiłeś się mocno, ale nie jest tak źle. Poza tym kość nie przeszła przez skórę, a to dobry znak.

- Rób wszystko, co uważasz za stosowne. Jeżeli jest nadzieja, że będę mógł znowu jeździć, zniosę każdy ból.

Meredith oczyściła ranę winem. Guy usiadł na podłodze i trzymał głowę i ramiona Geoffreya. Między zęby włożyli mu lniane ściereczki i z pomocą Joan oraz jednego z żołnierzy Guya rozciągali jego nogę, aż kości wskoczyły na swoje miejsce. Chłopiec krzyknął tylko raz. Meredith włożyła jego nogę pomiędzy dwa długie kawałki drewna i umieściła na niej żywokost. Joan podgrzała wino, a Meredith dodała szaławii z domowych zapasów, by złagodzić ból i zmniejszyć gorączkę, która miała nadejść. Geoffrey wypił też trochę rumianku, by łatwiej było mu zasnąć. Guy usiadł przy nim i opowiadał mu o przyjemnych rzeczach, aż chłopak zasnął.

- Dobra robota - odezwał się Reynaud.

- Czy pan cały czas się przyglądał? - Meredith kończyła właśnie zwijać resztki lnianych szmatek, które mogły przydać się później. Nie lubiła niczego marnować.

- Przyglądałem się z podziwem - odpowiedział. - Masz wielkie zdolności w rękach, doprawdy godne szacunku. Jak taka młoda osoba jak ty mogła się tyle nauczyć?

Meredith wzruszyła ramionami, jak gdyby jej umiejętności wzięły się znikąd. Guy przerwał im i dziewczyna nie musiała już niczego więcej wyjaśniać.

- Zasnął. Geoffrey wiele dla mnie znaczy, Meredith. On jest nie tylko moim giermkim, ale także najbardziej lojalnym poddanym. Dziękuję ci za pomoc, jakiej mu udzieliłaś. - Uniósł jej dłoń do ust i pocałował,

Reynaud dyskretnie wycofał się, zostawiając ich samych w mrocznym hallu.

Stoły były już nakryte do wieczornego posiłku. Wszyscy, którzy już wykonali swoje prace, kręcili się tu i tam. Ojciec Herbert mamrotał jeszcze, że sprzeciwiono się woli Boga, ale w końcu poszedł do kaplicy. Edith i Margaret przynosiły właśnie półmiski z jedzeniem. Przez cały ten czas Guy nie wypuszczał ręki Meredith.

- Mój panie, wszyscy na nas patrzą - wyszeptała.

- Nie pozwolę im o tobie plotkować. Niech widzą, że jestem ci wdzięczny i że zyskałaś moją aprobatę.

Zajął swoje miejsce przy stole, a Meredith udała się do lady Isabel, by pomóc jej w przygotowaniu się do posiłku.

Miała jego przyjaźń i wdzięczność i nie śmiałyby nawet prosić o więcej.

Geoffrey szybko zdrowiał, był młody i w doskonałej formie fizycznej. Po kilku dniach chodził już, opierając się na kuli, którą zrobił mu jeden ze stolarzy, a po dwóch tygodniach wiadomo już było, że noga zupełnie wyzdrowieje i będzie mógł jeździć konno.

- Nigdy nie zapomnę, co dla mnie zrobiłaś - powiedział, gdy bandażowała jego nogę. - Tak bardzo chcę być nadal giermkim Guya.

- On też jest szczęśliwy, że wracasz do zdrowia i będziesz mu służył. Będzie się cieszył nawet pomimo tych kul - droczyła się z nim. - Słyszałam, że nie jest zadowolony z chłopca, który zajął twoje miejsce.

- Taki rycerz jak on powinien mieć więcej niż jednego giermka, chociaż ja będę mu wierny do końca życia. Wątpię, by kiedykolwiek było mnie stać na dwa konie i zbroję, bym mógł być pasowany na rycerza. Ale jeżeli taka jest wola boska, pozostanę giermkim i zrobię wszystko, by jak najlepiej służyć Guyowi.

- Może będziesz pasowany na polu bitwy - powiedziała i zatrwożyła się na dźwięk tych słów. Wojna oznaczała śmierć. Gdyby Geoffrey miał brać udział w bitwach to nie sam, ale razem ze swym panem. Bardzo się obawiała, że Guy mógłby zginąć podczas walki.

- Przynajmniej mam najlepszego z panów.

- Jesteś szczęśliwy. - Żałowała, że nie może powiedzieć tego samego o swojej pani.

Po incydencie z Geoffreyem Isabel była bardzo zazdrosna o Meredith. Inni służący i żołnierze Guya traktowali dziewczynę z dużym szacunkiem. Zaczęła wynajdywać coraz to nieprzyjemniejsze zadania dla Meredith. Obciążała ją tyłoma obowiązkami, że Meredith w ogóle nie miała czasu dla siebie. Tylko wieczorami, gdy Isabel zajęta była rozmową z Joan, udawało się jej odpocząć.

Pewnego wieczoru, gdy kamieniarze skończyli już swoją pracę, wspięła się po nie dokończonych spiralnych schodach prowadzących na sam szczyt nowo zbudowanej wieży. Znalazła tam kopczyk kamieni przygotowany na następny dzień, gdy kamieniarze powrócą do pracy. Była też drewniana skrzynia z narzędziami szczelnie zamknięta, by do wnętrza nie dostała się wilgoć. Jeszcze trzy schodki i ujrzała rzekę i drzewa. Przed nią rozciągał się widok na zamek i otaczające go ziemie. Gdzieś daleko w tym lesie mieszkali Branwen i Rhys. Siedzieli pewnie teraz przy ognisku i jedli wieczerzę, a może

nawet rozmawiali o niej. Poczowała ukłucie serca. Tęskniła za nimi, łzy popłynęły jej po policzku.

- Nie, nie będę płakać - wyszeptała. Odwróciła się tyłem do lasu. Ponad nią rozciągało

się różowozłote niebo na zachodzie przechodzące w ciemny granat. Wysoko w górze jaśniała samotna gwiazda. Miejsce, w którym stała, będzie kiedyś pokojem Guya, najbardziej odosobnionym miejscem w całym zamku. Przygotowano już otwory na okna. Widok, który właśnie podziwiała, Guy będzie oglądał codziennie.

Było już późno, więc zdecydowała wracać. Podciągnęła spódnicę, ręką szukała oparcia i starała się znaleźć pierwszy stopień. Szła bardzo wolno, aby nie upaść. Nagle usłyszała głos dochodzący z dołu.

- Kto tam? - krzyknęła i zeszła dwa stopnie niżej. Jakiś mężczyzna klęczał na ziemi i oglądał ułożenie kamieni. W jednej ręce trzymał pochodnię, a drugą sprawdzał gładkość kamiennej posadzki. Światło było tak słabe, że nie poznała go aż do momentu, gdy stanął naprzeciw niej. Nie był zaskoczony jej widokiem.

- Czy coś się stało? - zapytała.

- Nie, wszystko jest w najlepszym porządku, ale pierwszą zasadą przetrwania jest sprawdzenie tego, co inni dla ciebie robią, nawet jeżeli im ufasz. Dzisiaj robiono prace wykończeniowe. Czujesz jeszcze zapach zaprawy murarskiej? - Odłożył pochodnię i spojrzał na nią. - Podobał ci się mój pokój? Widziałem, że w nim byłaś.

- Godny normńskiego barona. Duży i położony na uboczu.

- Czasami samotność jest konieczna. - Meredith czuła, że się rumieni pod jego wzrokiem, ale nie odsunęła się, gdy podszedł bliżej. - Czy jesteś tutaj szczęśliwa, Meredith? Isabel nie jest chyba dla ciebie nieuprzejma?

- Lady Isabel jest na pewno inna niż wszyscy ludzie, jakich dotąd spotkałam.

- Jestem tego pewien.

Pochodnia zajarzyła się, oświetlając mocniej pokój. Widziała teraz wyraźnie jego piękną twarz i siłą powstrzymywała się, by go nie dotknąć. Chciała poczuć jego ciało i upewnić się, że jest realny, że to nie sen. On najwyraźniej czuł to samo, bo delikatnie musnął dłonią jej policzek.

- Z dnia na dzień stajesz się coraz piękniejsza. - Odwiązał szal, przykrywający jej włosy.



- Nie, proszę, nie rób tego. - Chciała zakryć tę obraźliwą czerwień swoich włosów.

Chwytał jej ręce i silnie, choć nie brutalnie, poprowadził je tak, że w końcu go objęła. On też ją objął, poczuła jego usta na swoich policzkach, czole, podbródku, a potem na szyi. Powinna go powstrzymać, jednak pocałunki sprawiały jej przyjemność. Całował jej usta, przytulając ją coraz silniej. Był silny i czuły. Gdy jego język dotknął jej warg, instynktownie otworzyła usta, witając go z niewinną zaborczością. Ziemia wirowała dokoła niej, czuła się jak we śnie.

Gdy próbował odpiąć spinki z jej włosów, zareagowała ostro.

- Nie! - Teraz ona chwyciła jego ręce i odepchnęła go.

- Meredith, chcę tylko zobaczyć twoje włosy, dlaczego chowasz je przede mną?

- Ponieważ niektórzy uważają że czerwień jest kolorem czarownic. Ciocia Branwen zawsze zakrywała moje włosy, by ludzie nie kojarzyli naszej pracy z czarami. A lady Isabel powiedziała mi, że jedyny kolor włosów, jaki przystoi kobiecie to blond, tak jak jej, lub czerń, lecz żaden inny - mówiąc to, związywała włosy.

- Ach, Isabel, ona myśli tylko o sobie. - Znowu ją przytulił. Chciała się uwolnić z jego uścisku, lecz był silniejszy od niej.

- Nie powinnaś się wstydzić swoich włosów, powinnaś być z nich dumna, są piękne. I nie zważaj na to, co mówi moja bratowa.

- To nie takie łatwe, jest przecież moją panią. - Popatrzyła na niego, a on pocałował ją mocno, wzburzając w niej krew. Nagle odsunął się od niej.

- Nie, tak nie można. Obiecałem Rhysowi, że nikt cię nie zrani w Afoncaer i dotrzymam słowa.

- Ale nie zraniłeś mnie - powiedziała.

- Lecz zranie, jeżeli dłużej będę cię tak obejmował. - Spojrzeli sobie głęboko w oczy i odsunęli od siebie.

- Idź już lepiej Meredith. Pobiegnę szybko do komnat dla kobiet.

## ROZDZIAŁ 21

Walter fitz Alan i Brian z Collen mieli przybyć do Afoncaer w połowie jesieni, ale zła pogoda sprawiła, że ich przyjazd przesunął się aż do grudnia. Wszyscy, nie wyłączając lady Isabel, podzielali zdenerwowanie i podniecenie z tego powodu. Po zakończeniu żniw mało było uciech w Afoncaer. Zimowe noce były długie, chłodne i nudne. Każda zmiana była mile widziana, a w szczególności taka, która przynosiła nowe twarze na to pustkowie.

- To nieważne, że się spóźnią, ważne, że są bezpieczni. Przybędą na czas Bożego Narodzenia - powiedział Guy po przeczytaniu wiadomości od Waltera.

- Chciałbym, by przyjechali tutaj bezpośrednio z dworu królewskiego, tak by mogli eskortować moją nową służącą; jestem już zmęczona czekaniem na nią.

- Masz przecież Meredith. Bądź cierpliwa.

- Meredith nie ma wystarczających umiejętności, a ponadto jest zbyt dumna i niezależna, by być dobrą służącą.

Meredith czuła, że robi się jej ciepło. Było jej trudno zachować spokój, gdy Isabel ją krytykowała. Chciała odpowiedzieć ostro na zaczepkę, ale uśmiech Guya złagodził sytuację.

Nadszedł dzień przyjazdu gości. Meredith stała tuż obok swej pani. Była bardzo zmęczona ubieraniem Isabel. Przymierzyły dziesiątki sukien, zanim pani dokonała ostatecznego wyboru. Cała podłoga pokoju Isabel usłana była butami, sukniami, chustami, klamrami i innymi ozdobami.

- Zostaw to. - Joan wyrywała Meredith parę butów z rąk i rzuciła z powrotem na podłogę. - Uporządkujemy to później. Chodź, zobaczymy powitanie gości.

- Dlaczego ona jest taka zdenerwowana? - zapytała Meredith.

- Wkrótce sama się przekonasz - obiecała Joan. Goście właśnie wchodzili.

- Mój drogi przyjacielu! - krzyknął Walter fitz Alan, pokazując zęby w szerokim uśmiechu. Podbiegł do Guya i uściskał go. - Nigdy bym nie pomyślał, że wysłano cię aż tak daleko, co za dzicz! Sądziłem, że zamarznę, zanim cię odnajdę.

Walter nie spodobał się Meredith. Nawet nie wiedziała dlaczego. Odwrócił wzrok od Guya i spojrzał na Isabel. Ta westchnęła głośno, a on wykrzyknął:

- Nie do wiary, słońko jaśniejące w tym mrocznym kraju, lady Isabel. Nawet nie śmiałem przypuszczać, że będziesz tu, pani.

Trzymał jej dłoń i głęboko spoglądał w oczy.

- Sir Walterze, doskonale pan wygląda. - Jej głos drżał, załamywał się. Meredith domyśliła się powodu wcześniejszego zdenerwowania swej pani.

- Nie zapomniałaś mnie po tylu latach? - zapytał, wciąż trzymając jej rękę.

- Nie, nie zapomniałam. - Policzki Isabel były purpurowe. Uwolniła dłoń z uścisku sir Waltera i rozejrzała się dokoła, szukając pretekstu do zmiany tematu. - Guy, nie poznałam jeszcze twojego drugiego przyjaciela.

- To jest Brian. Byliśmy giermkami Waltera i pasowano nas tego samego dnia.

Przywitanie Guya z drugim rycerzem było o wiele spokojniejsze i jakby życzliwsze. Tak w każdym razie wydawało się Meredith. Brian był niskim szatynem o jasnej cerze. Był o kilka lat starszy od Guya, na twarzy miał kilka blizn, pamiątek po stoczonych walkach.

- Cieszę się, że mogę cię nareszcie poznać, lady Isabel. Na dworze nie miałem nigdy szczęścia. Mało znaczący giermek nie cieszył się twoim zainteresowaniem - powiedział i pocałował jej rękę. Szybko puścił jej dłoń i skierował swoje spojrzenie na Meredith. - Pani - powiedział, kłaniając się, choć musiał zauważyć, że nie jest panią.

- To tylko służąca - ostro zareagowała Isabel.

- Ale jaka piękna - zareplikował Brian.

- O tak, naprawdę - zgodził się Walter. - Walia ma swoje sekrety, jak widzę.

- Wejdzmy dalej - zaproponował Guy. - Wkrótce rozpocznie się uczta, jestem pewien, że najpierw wolelibyście zażyć kąpieli. To była długa i męcząca podróż.

- Zostaniesz ze mną, Meredith, będziesz mi potrzebna przy przygotowaniu stołu, a Joan zajmie się kąpielą panów. Weź ze sobą Thomasa, Joan.

Meredith poczuła ulgę, że nie musi pomagać dwóm obcym mężczyznom przy kąpeli, chociaż wiedziała, że taki jest zwyczaj. Była wdzięczna Isabel za tę decyzję, choć jej pani zrobiła to raczej z zazdrości. Meredith polubiła Briana, ale Walter napawał ją strachem,

było w jego oczach coś nieodgadnionego, coś, co przerażało nie tylko ją, ale i jej panią.

Dzień ten ogłoszono Świętem z okazji przyjazdu gości i wszystkich zaproszono na ucztę. W wielkim hallu było ciasno. Zaproszono kamieniarzy, stolarzy, wszystkich żołnierzy Guya, a nawet kilku wieśniaków chłopców opiekujących się końmi. Stoły ustawione były w kształt litery U. Guy zajął miejsce centralne wraz z Isabel i swoimi gośćmi, którzy byli już odświeżeni po kąpieli i przebrani. Isabel jako jedyna lady i pani domu siedziała po prawej ręce Guya. Dalej posadzono Waltera, a po lewej ręce Guya siedział Brian.

Thomas, jako że był paziem, musiał najpierw dopilnować porządku przy przynoszeniu potraw, zanim pozwolono mu usiąść do stołu. Dotyczyło to również Meredith. Pierwszy półmisek podano Guyowi i jego gościom.

Wraz z gośćmi przyjechała grupa akrobatów i śpiewaków, którzy swoją obecnością i występami umilali ucztę.

Meredith przyniosła ostatni półmisek i stanęła za krzesłem swojej pani na wypadek, gdyby ta czegoś potrzebowała. To było dobre miejsce. Mogła patrzeć na Guya, nie będąc podejrzaną, że zwraca na niego za dużo uwagi. Siedział po jej prawej stronie i rozmawiał z Brianem. Meredith nie słyszała, o czym rozmawiają, ale samo patrzenie na niego sprawiało jej przyjemność. Guy nie był ubrany w spodnie i tunikę jak zwykle. Miał na sobie długi płaszcz wyszywany złotymi nitkami i złoty łańcuch na szyi. Jego złote włosy jaśniały w świetle świec.

Był tak blisko, że gdyby wyciągnęła doń, mogłaby go dotknąć. Miała w pamięci jego pocałunki, dotyk jego ciepłych ust. Od spotkania w wieży starał się ją omijać, choć nie do końca konsekwentnie.

Nie, nie wolno jej rozmyślać o tym. Zaczęła dla odmiany myśleć o lady Isabel. Napełniła kielich swojej pani, a potem kielich Waltera. Stała teraz pomiędzy ich krzesłami, by nie patrzeć na Guya. Trubadur śpiewał właśnie cichą, smutną pieśń i można było usłyszeć, o czym rozmawiają biesiadnicy. Do Meredith dochodziły głosy Isabel i Waltera. Z początku wcale nie chciała tego słuchać, ale gdy wymienili imię Guya, wyostrzyła słuch.

- Guy jest szczęśliwy - mówił Walter. - Król Henryk jest z niego bardzo zadowolony, wydaje się, że Lionel umarł w najbardziej odpowiednim momencie. Chciałbym, by mnie król zauważył, obdarował takimi posiadłościami i...

- Guy zapracował sobie na to swoją lojalnością wobec Henryka, jeszcze zanim ten został królem.

- Tak, tak, znam tę historię, moja pani. Nie zapominaj, że Guy jest moim przyjacielem. Postąpił słusznie, uciekając stąd, gdy wybuchł skandal z Lionelem. Nie ma to jak podróż do Ziemi Świętej, to oczyszcza ze wszystkich win. Guy jest nieprzyzwoicie uczciwy, nie sądzisz? Nie ma nawet nieślubnych dzieci - powiedział nieświadomy rumieńców, jakie wystąpiły na twarzy Isabel. - Żadnych bękartów, nic z tych rzeczy. Nawet w Bizancjum, które znane jest z rozpusty, Guy prowadził życie uczciwe. Jeżeli się mylę, to musiał być bardzo dyskretny.

- Przecież to była krucjata. Jego myśli krążyły wokół spraw pozaziemskich - z dumą przyznała Isabel.

- Ja również tam byłem. Podczas gdy Guy chciał zbratać się z niebem, ja próbowałem zapomnieć o twoich niebieskich oczach. Niestety nawet uroki Bizancjum nie zdołały wymazać cię z mojej pamięci.

- Nie powinieneś mówić takich rzeczy - zaprotestowała.

- Dlaczego nie? Przecież nie jesteś już mężatką, jesteś cudowną, kuszącą wdową, uwolnioną od znieawidzonego męża i możesz słuchać komplementów bez żadnych obaw. Jakież to szczęście, że Guy wziął cię ze sobą do Walii.

- Niechętnie tu przyjechałam, nienawidzę tego miejsca.

- Daję głowę jednak, że znalazłaś sposób, by naciągać szwagra na wszystkie swoje zachcianki.

- Ja nie mam żadnych zachcianek. Pomagam tylko Guyowi. Potrzebuje kogoś, kto pomoże mu gustownie i ze smakiem urządzić dom. Jest teraz bogatym baronem, a nie zwykłym rycerzem i powinien mieszkać tak, jak baron na to zasługuje.

- I ty mu w tym pomagasz? Założę się, że zbankrutuje z taką pomocą, ale Guy zawsze był dobroduszny i uległy. Czy za twoje suknie również płaci? - Delikatnie dotknął rękawa jej jedwabnej sukienki.

- Nie mam zamiaru wyglądać jak wieśniaczka - odpowiedziała ostro. - Poza tymi strojami nie mam tu żadnych uciech.

- Nie? Biedna lady Isabel! - Walter uśmiechnął się do niej. - Och, moja pani, gdybym tylko był bogatym baronem jak Guy, prosiłbym króla o twoją rękę. Dałbym ci wszystko co najpiękniejsze i najdroższe, bo jesteś tego warta. Ze mną nie nudziłabyś się, moja pani, przede wszystkim nie nudziłabyś się nocą.

Isabel oddychała głęboko i nie odzywała się.

- Czyż nie chciałabyś być panią zamku takiego jak Afoncaer, czy to by cię nie zadowoliło?

- To zadowoliliby każdego. - Zarumieniła się. - Ale mam bardzo skromny posag, a ty jako młodszy brat potrzebujesz bogatej żony dziedziczki.

- Nie mogę cię więc widywać i kochać?

- Nie można temu zaradzić. Zresztą Guy nigdy nie pozwoliłby mi poślubić biednego rycerza, nawet gdybym tego bardzo chciała, a ja wcale nie chcę.

- Czy poślubiłabyś mnie, gdybym był bogaty?

- Nie powinieneś rozpatrywać takich spraw ze mną. Jeżeli chcesz poprosić o moją rękę, musisz porozmawiać z Guyem.

- W mojej obecnej sytuacji odmówiłby mi, a to zakończyłoby naszą znajomość. Potem zmuszono by mnie do opuszczenia Afoncaer. Gdyby tak się stało, już nigdy bym cię nie zobaczył. Pytam cię raz jeszcze, czy poślubisz mnie, jeżeli zostanę lordem?

Ich spojrzenia spotkały się. Położył rękę na jej dłoni, przysunęli się do siebie.

- Zrobię dla ciebie wszystko - wyszeptał. - Wszystko.

Sprzątano już ze stołów i robiono porządek. Ci, którzy nie sypiali w wielkim hallu, poszli do domów. Meredith pomogła lady Isabel zdjąć garderobę i położyć się do łóżka. Potem poszła do kuchni, by pomóc w porządkach.

- Z Adderbury przyjedzie więcej służby - powiedziała Joan, gdy myły półmiski i kielichy. - Powinni być tu wkrótce, wtedy ty i ja nie będziemy musiały wykonywać tych prac. Przyjechało nas tu niewielu, nie było miejsca dla wszystkich, a żołnierze są ważniejsi od służby. Jednak dzięki panu Reynaudowi za tydzień lub dwa będzie dość miejsca dla wszystkich.

- To dziwny człowiek, nieprawdaż? Jednak zdaje się bardzo uprzejmy i wyrozumiały.

- On czyta dużo ksiąg. Ludzie, którzy umieją czytać i pisać są nieco inni niż reszta.

Meredith chciała powiedzieć, że ona też umie trochę czytać i pisać, ale stwierdziła, że lepiej tego nie mówić. Lubiła Joan, była jej bardzo bliska i nie chciała wyjawiać czegoś, co mogłoby je od siebie oddalić. Jak dotąd udawało jej się nie odkryć przed nikim swojego pochodzenia. Guy obmyślił historię, że Meredith jest córką saskiego chłopca.

Praca w kuchni nareszcie się skończyła. Joan usiadła przy kominku, by porozmawiać z zaprzyjaźnioną kucharką, a Meredith udała się do komnat kobiecych. Zimne grudniowe powietrze chłodziło jej rozgrzane pracą policzki. Oczarowana była ogromem nieba i niezliczoną liczbą gwiazd, które jaśniały ponad jej głową. Mieszkając w lesie pomiędzy drzewami, rzadko miała okazję, widzieć niebo w całej jego okazałości.

Meredith przystanąła, wdychając rześkie powietrze, które wypełniało jej płuca. Rozłożyła ręce, jakby chciała objąć całe niebo i podziwiała jego piękno. Okręciła się wokół kilka razy. W pewnym momencie ktoś chwycił ją za rękę. Nie wystraszyła się. Głos, który usłyszała, był znajomy.

- Meredith? Co robisz tutaj sama o północy?

- Przyglądam się gwiazdom. Myślałam, że wszyscy już śpią.

- Bo oprócz nas wszyscy śpią, właśnie się o tym upewniłem. - Guy podniósł głowę i popatrzył na gwiazdy. - Są piękne, nieprawdaż? Saraceni nadali im imiona.

- Jak to możliwe? Ich jest tak wiele! - Trzymał jej rękę i pieścił palce. Czowała ciepło jego ciała. Serce biło mocniej podniecone jego obecnością i pięknem urzekającej nocy.

- Gwiazd jest więcej, niż można to sobie wyobrazić. Nie widzimy ich wszystkich, wiele schowało się za horyzontem. Trzeba by podróżować daleko na południe, by je zobaczyć.

- Na koniec świata?

- Na koniec świata i z powrotem, bo Saraceni twierdzą, że świat jest okrągły. - Zaśmiał się cichutko, a ona spojrzała na niego.

Prawie go nie widziała, jego twarz zwrócona teraz ku niej była przykryta cieniem. Objął ją, jego usta były chłodne jak chłód

odległych gwiazd ponad nimi. Dotyk ich ciał wyzwał w nich coś niekontrolowanego, działało się to zawsze, gdy byli blisko siebie. Meredith nie wiedziała, co to takiego, czuła że topnieje, że chce być bliżej i bliżej niego, aż staną się jednym. Podświadomie jej ręce powędrowały pod jego płaszcz, szukając ciepła jego ciała. Przyciągała go blisko do siebie, jego ręce obejmowały ją mocno jak liny, nie mogła złapać tchu. Całował jej usta delikatnie i czekał na odpowiedź, a ta nadchodziła natychmiast. Reagowała na każdy jego ruch spontanicznie i niewinnie. Stała na palcach, ale była tak bardzo podniecona, że prawie straciła równowagę. Położyła głowę na jego piersi i nie otwierała oczu, rozkoszując się wspomnieniem namiętnego pocałunku. Oddychał ciężko, słyszała bicie jego serca. Walczyli z żądzą połączenia swoich ciał. Po chwili jednak delikatnie odsunął ją od siebie.

- Nie - zaprotestowała, chcąc przysunąć się do niego bliżej.

- Obiecałem Rhysowi, że nic złego ci się nie stanie. To prawda, że bardzo żałuję danej obietnicy, ale mój honor nie pozwala mi złamać danego słowa.

- Co może być złego w tym... - przerwała. Chciała zapytać, co może być złego w tym, że go kocha i pragnie? Ale знаła odpowiedź. On był arystokratą, a ona sierotą, służącą, niczym więcej. Ochraniał ją i była mu za to wdzięczna. Branwen mówiła, że normańscy baronowie zawsze robią to, co chcą. Ten był inny, a jego kontrola nad uczuciami sprawiała, że kochała go coraz bardziej. Pocałował czule jej dłoń.

- Zostaw mnie. Proszę, Meredith, błagam, odejdz.

Wycisnęła płomienny pocałunek na jego rękę i odeszła. Położyła się na sienniku w komnacie i nie mogła zasnąć - palona żądzą posiadania go. Czuła ciągle jego ciało, jego ręce... Jęknęła głośno. Edith i Joan śpiące nie opodal, poruszyły się. Meredith leżała teraz cichutko i spokojnie, nie chciała ich obudzić.

Kochała go całym sercem i duszą, od pierwszej chwili, gdy go ujrzała. Ta miłość nie miała przyszłości i ona o tym dobrze wiedziała. Płakała cichutko, nie mogąc zasnąć aż do rana.



## ROZDZIAŁ 22

W odruchu szczodrości lady Isabel, przeglądając swoją garderobę, podarowała mnóstwo swoich sukien służącym.

- Nałóż to na ucztę świąteczną - powiedziała, dając Meredith sukienkę z miękkiego, błękitnego jedwabiu. Dala jej jeszcze więcej sukien. - Te daj Margaret i Edith. Joan, zdaje się, że żadna z moich sukien nie będzie na ciebie pasowała, ale dostaniesz ten szal i pamiętam, że dostałaś duży kawałek materiału ostatniego lata.

- Tak, pani i uszyłam z tego suknię, o jakiej zawsze marziałam. Pokaż to, Meredith. O tak, zrobimy z tego śliczną sukienkę dla ciebie.

Meredith przejrzała się w lustrze. Wyglądała pięknie. Bała się, że Isabel odbierze jej tę sukienkę, jeżeli stwierdzi, że jej służąca wygląda za ładnie. Meredith podobało się uczucie, jakim napełniało ją noszenie takich rzeczy. Miała też siateczkę na włosy. Była z cienkiej, żółtej nitki. Joan zacerowała ją w miejscach, gdzie była poprzerrywana i teraz upierała się, by Meredith ją założyła.

- Nie. Będę miała włosy przykryte. - Wzięła do ręki szal, ale Joan wyrwała jej go.

- Ten codzienny lniany szal nie pasuje do jedwabnej sukni. W święta każdy ubiera się w najładniejsze rzeczy i ty też powinnaś.

- Ale lady Isabel będzie narzekać, że nie mam przykrytych włosów.

- Jeżeli powie coś na temat twojego wyglądu, to ukłoń się i podziękuj za jej szczodrość. - Joan mrugnęła do Meredith i uśmiechnęła się.

- Jesteś za uczciwa, Meredith. Musisz nauczyć się paru wybiegów. Chodź i pomóż mi, albo spóźnimy się na mszę i obie będziemy miały kłopoty.

Zawiązała włosy Meredith siateczką. Rzeczywiście wyglądało to pięknie. Siateczka przytrzymywała włosy, by nie spadały na ramiona, a jednocześnie ukazywała ich kolor. Meredith jeszcze nigdy w życiu nie czuła się tak elegancko.

Gdy po mszy weszła do wielkiego hallu, Geoffrey pierwszy pochwalił jej wygląd. Potem podziwiał ją Thomas i strażnik, znajomy Geoffreya, który dodatkowo wielbił ją za pomoc, jakiej udzieliła Geoffreyowi, gdy miał złamaną nogę. Gdy podeszła do swojej pani, jej zdenerwowanie trochę minęło.

Isabel stała tyłem, dając ostatnie instrukcje Joan. Obok niej stali Walter i Brian oraz Reynaud. Brian uniósł brwi na widok Meredith. Walter również nie ukrywał zdumienia. Na końcu zjawiał się Guy. Spojrzał na nią z takim zachwytem, że Meredith zapomniała o całym świecie. Nie usłyszała tego, co mówiła do niej Isabel. Dla niej istniał tylko Guy. Uniósł jej dłoń i pocałował.

- Jaka jesteś piękna i wytworna - wyszeptał tak cicho, że tylko ona mogła go słyszeć.

Stała przed nim onieśmielona i zmieszana.

- A cóż to takiego? - powiedziała Isabel zdziwiona, ale nie zazdrosna.

Zza jej pleców Meredith dostrzegła mrugającą Joan, która w ten sposób przypominała jej, że powinna podziękować swojej pani. Meredith odwróciła się od Guya i ukloniła się Isabel.

- Moja pani - powiedziała słodko. - To sukienka i siatka na włosy, które byłaś łaskawa ofiarować mi na Boże Narodzenie. Nigdy przedtem nie miałam czegoś tak pięknego. Bardzo ci za to dziękuję, pani.

- Isabel! Zrobiłaś to dla Meredith? To ładnie z twojej strony. Lady Isabel.

- Zrobiła jeszcze więcej, wszystkim służącym podarowała nowe stroje.

- Lady Isabel jest bardzo łaskawa - powiedział ojciec Herbert, wysuwając się z cienia i zajmując miejsce obok Isabel. - Najwspanialsza, najlepsza i najwyrozumialsza z niewiast.

- Kto teraz zapelni szafy sukniami jeszcze piękniejszymi i droższymi niż tamte? - bąknął Guy.

Na szczęście Isabel nie usłyszała tej zjadliwej uwagi, ani chrząknięcia Reynauda. Słuchała teraz komplementów Waltera i zapomniała o Meredith.

Meredith nie musiała nosić już półmisków, mogła usiąść przy stole i być obsługiwana, gdyż nareszcie dołączyli służący z innych posiadłości Guya. Siedziała pomiędzy Geoffreyem i Thomasem. Rozmowa z Geoffreyem sprawiała jej wiele przyjemności. Był to bardzo miły wieczór, aż do chwili, gdy Isabel poprosiła Meredith, by przyniosła jej szal z pokojów kobiecych.

Wszyscy już zjedli i chodzili teraz rozproszeni po całym hallu rozmawiając. Meredith zdała sobie sprawę, że Walter idzie za nią, ale

nie zwracała na to uwagi. Dopiero w momencie, gdy przekroczyła próg pokoju dla kobiet, odwróciła się.

- To są kobiece komnaty, pan nie powinien tu przebywać - powiedziała.

Wzięła szal Isabel i skierowała się ku drzwiom.

- Ale to jest jedyne miejsce, gdzie mogę znaleźć cię bez żadnego towarzystwa. - Stał pomiędzy nią a drzwiami. - Jesteś przepiękna, Meredith.

- Muszę to zanieść lady Isabel. - Przygarnęła szal do piersi, jakby chciała się przed czymś obronić.

- Aż do tego wieczoru nie zdawałem sobie sprawy, jak piękna - Walter mówił tak, nie zważając na jej protesty. Podniósł rękę, by dotknąć jej szyi. - Cóż to, czy nie ofiarujesz mi choć części uczuć, jakimi darzysz Guya?

- Myślałam - powiedziała zaszokowana i trochę przestraszona - że ty, panie, darzysz uczuciem lady Isabel. Jeżeli prawdziwie ją uwielbiasz, to jak możesz patrzeć na inne kobiety?

- Ponieważ jestem mężczyzną. Te komplementy i publiczne adorowanie to tylko gra. Każdy wie, że to nic nie znaczy.

- Myślę, że kłamiesz, sir Walterze. Widziałam, jak patrzysz na lady Isabel. Dla ciebie to coś więcej niż gra, to coś poważnego.

- Jesteś bardzo spostrzegawcza, Meredith. Może masz rację, ale dopóki Isabel mnie nie zaakceptuje, potrzebuję kogoś, kto zaspokoiłby moje potrzeby. Ty powinnaś być tą osobą, ty mi odpowiadasz.

- Pozwól mi przejść. Lady Isabel czeka na mnie.

- Będę ci wdzięczny Meredith i wynagrodzę to tobie. - Chwył jej rękę, przyciągnął do siebie. - Och, jak bardzo potrzebuję kobiety! Tutaj, na tym łóżku...

- To łóżko lady Isabel, jak mógłbyś? - Chciał ją pocałować, bronila się. Tylko Guy miał do tego prawo. Tylko Guy. - Wstydz się sir Walterze, wstydz.

- Chcę ciebie, pragnę! - Prawie rzucił się na nią, poczuła twardość jego członka. Była tym zdegustowana.

- Obrzydzasz mi siebie - powiedziała, odpychając jego ręce rozpinające guziki przy jej sukni. Wyrwała się i chciała biec do sali bankietowej, gdy wpadła na Reynauda. Złapał ją i spojrzal na Waltera.

- Co robisz tutaj, sir Walterze? Wiesz chyba, że mężczyznom nie wolno tu wchodzić, jedynie za pozwoleniem lady Isabel.

Walter nie odpowiedział, wodził oczyma od Meredith do Reynauda.

- Czyżbyś ty też jej pragnął? Widziałem, jak na nią patrzysz - powiedział po chwili.

- Ja ślubowałem czystość i ślubu dotrzymuję - odpowiedział Reynaud tonem, który nie pozostawiał żadnych wątpliwości. - Meredith jest pod opieką Guya, a on przyrzekł jej opiekunowi, że podczas pobytu w Afoncaer nie stanie się jej żadna krzywda. Jesteś przyjacielem i gościem Guya, więc nie powinieneś dopuścić do złamania danego przyrzeczenia. Nie dotykaj Meredith już nigdy więcej.

- Ty marny klecho, śmiesz mówić do mnie takim tonem? - W oczach Waltera był gniew, podszedł bliżej do Reynauda. Na szczęście nie miał przy sobie miecza.

- Czy doprawdy chcesz kłótni z sir Guyem? - łagodnie zapytał Reynaud. - Chyba nie zależy ci, by się dowiedział, że dotykałeś Meredith i... jest chyba jeszcze ktoś, kto nie powinien się o tym incydencie dowiedzieć, nieprawdaż?

- Nie mam zamiaru obrazić gospodarza. - Walter odsunął się i ukłonił im obojgu. - Nie zdawałem sobie sprawy, że jesteś pod specjalną opieką Guya. To się nigdy więcej nie powtórzy. Jest tutaj wiele innych kobiet, które mogą mnie rozweselić.

- Upewnij się tylko czy ta, którą sobie wybierzesz, jest wolna i chętna - doradził Reynaud.

Walter opuścił pokój, nie patrząc na nich.

- Reynaud, jestem ci taka wdzięczna, że przyszedłeś. Bałam się, że jeżeli zacznę krzyczeć, to sir Guy przybiegnie i wtedy walka byłaby nieunikniona. Normanowie zawsze... - nie dokończyła zawstydzona.

- Zawsze walczą z byle jakiego powodu? Ile walk widziałas w Afoncaer, od kiedy tu jesteś? - zaśmiał się. - Sir Guy jest mądrzejszy, niż ci się wydaje. Sam chętnie utarłbym nosa Walterowi za to, co zrobił. Ale nie wolno nam zapominać, że był mocno pijany. To święta, dni spokoju i pokoju między ludźmi. Cieszymy się, że zakończyło się wszystko bez przemocy i że ty jesteś nietknięta

- Tylko trochę przestraszona - zapewniła, położyła dłoń na jego rękawie. - Dziękuję ci, Reynaud. - Przez chwilę panowała cisza.

- Nie mówmy o tym nikomu. Nie ma potrzeby mnożyć problemów. Jestem pewien, że sir Walter nie będzie cię już niepokoił.

- Zgadzasz się z tobą - pospiesznie dodała. - Nie lubiłam go od samego początku, gdy tu przyjechał. Jest w nim coś takiego... nie umiem tego wyrazić, ale czuję to. On jakby coś zamierzał, coś chciał zrobić.

- Ten człowiek nie jest godny zaufania. To, co cię nurtuje, to jego fałszywość i żądza, której nie umie powstrzymać.

Meredith spojrzała na niego i oboje wiedzieli, o czym myślą.

- Nie wymieniamy jej imienia - powiedział.

A więc ktoś jeszcze oprócz niej i Joan zauważył zauroczenie Waltera lady Isabel, zauroczenie, które nie miało nic wspólnego z dobrymi, rycerskimi manierami. Coś podpowiadało jej, że Reynaudowi można zaufać.

- Lepiej wróćmy już do sali, zanim zaczną nas szukać.

Poszła pierwsza. Walter siedział obok Isabel, trzymał jedną rękę na oparciu jej krzesła i był zajęty rozmową. Nawet nie spojrzał na Meredith, gdy podawała Isabel szal.

Po świętach Bożego Narodzenia Branwen przyszła do zamku. Była wychudzona i przemarznięta. Jej oczy straciły kolor i były podkrążone. Miała na sobie wełniany szal, spod którego wychodziły pasemka włosów.

- Musisz być przemarznięta po tej wędrówce - powiedziała zmartwionym głosem Meredith. - Podejź do kuchennego ogniska, ogrzej się.

- Nie. - Branwen pociągnęła ją za rękaw i wycofała się w ciemniejsze miejsce, by nikt ich nie usłyszał. - Rhys jest ciężko chory i mamy mało jedzenia.

- Przecież ludzie, którymi się opiekujecie, dają wam jedzenie. Od kiedy przybyliśmy do Walii, nie prosiliśmy o nic! - krzyknęła Meredith.

- Nie jest już tak jak kiedyś. Coraz więcej ludzi opuszcza domostwa i osiedla się blisko zamku lorda Guya. Chcą uprawiać tutejsze pola lub pracować w zamku. Słuchają kazań ojca Herberta i wierzą mu. Zapominają już o starych tradycjach.

- Tak mi przykro. Nie wiedziałam.

- Rhys miał rację, że cię tu wysłał. Przynajmniej ty nie odczuwasz głodu i zimna. Meredith, czy mogłabyś dać mi trochę

chleba? Ja mogę jeść to, co znajdę w lesie, ale Rhys potrzebuje czegoś pożywniejszego. - Branwen prawie się rozplakała. Meredith wiedziała, że dla kobiety tak dumnej jak jej ciotka, błaganie o chleb to poniżenie. Nigdy nie zrobiłaby tego dla siebie, myślała przede wszystkim o Rhysie.

- Pójdę do kuchni, poczekaj chwilę. - Wróciła za chwilę z koszykiem pełnym jedzenia. W zamku zawsze trzymano jedzenie dla żebraków, którzy przychodzili pod bramy. - Przyniosłam trochę chleba, sera i masła Rhys to lubi. Idę z tobą, Branwen. Lady Isabel jest na polowaniu z sir Guyem, więc mam chwilę wolną.

- Nie, musisz zostać tutaj. Rhys byłby zły, gdyby wiedział, że tu przyszedłam.

Wzięła koszyk. Wtem zauważyły zbliżającego się Briana. Meredith chciała zasłonić ciotkę. Wiedziała, że Guy nie miałby nic przeciwko temu, że dała jedzenie swoim przyjaciołom, ale lady Isabel zadawałaby za dużo pytań i prawda mogłaby wyjść na jaw. Meredith za nic w świecie nie chciała, by Branwen i Rhysowi stała się krzywda.

- Dzień dobry, Meredith - powiedział Brian i spojrzał na Branwen. Jego twarz wykrzywiła się w uśmiechu. - Nigdy nie widziałem tej kobiety w Afoncaer.

- Branwen nie mieszka w Afoncaer - powiedziała, starając się zakryć kosz z jedzeniem. - To moja przyjaciółka.

- Rozumiem. Branwen, Walijka?

Patrzył na nią. Była tego samego wzrostu co on i chyba cztery lub pięć lat od niego starsza. Branwen zarumieniła się pod jego spojrzeniem, nagle wyglądała jakby młodziej i ładniej.

- Ja jestem w połowie Walijszczykiem - powiedział. - Moją matkę schwytano podczas najazdu na Deheubarth. Mój ojciec był normańskim rycerzem

- Czy ożenił się z nią? - spytała Branwen.

- Nie, ale dbał o mnie i pilnował, bym był wychowany jako Norman. Miał wystarczająco dużo pieniędzy, bym został rycerzem. Jednak - nie spuszczał z niej wzroku - jest we mnie coś, co nie do końca jest normańskie.

Branwen poruszyła się, odsłaniając koszyk.

- Co jest w tym koszyku? - zapytał Brian.

- Jedzenie. - Meredith zdecydowała się mu zaufać. - Nie jest kradzione, dostałam od kucharki. To tylko resztki dla przyjaciela,

który jest chory. Proszę, nie mów o tym nikomu. Lady Isabel... ona... ona jest..

- Trudna? - odpowiedział. - Dobrze, nie zdradzę sekretu. Dokąd idziesz, Branwen? Mój koń zgubił podkowę i musiałem wrócić z polowania. Jest teraz u kowala, a ja przyjechałem, by osiodłać innego. Gdybyś chciała, mógłbym cię wziąć i nie musiałabyś iść w nieprzyjemną pogodę. Dołączę do polowania później.

- To nie jest konieczne. - Odsunęła się daleko, jakby nagle zaczęła się go bać. - To niedaleko. Do widzenia, Meredith. - Uciekła, zanim Meredith zdążyła ją zatrzymać.

- Jak myślisz, co sprawiło, że uciekła? Czy to moja wina? - zapytał.

- Ciocia Branwen nie jest przyzwyczajona do obcych.

- Ciocia Branwen? A czy to twój wuj jest chory?

- Moja ciocia jest wdową.

- Jest piękna. Tak jak i ty. Ciekawa z was para. Gdzie ona mieszka?

- Daleko stąd.

- Ona twierdziła co innego.

- Proszę cię, nie zadawaj więcej pytań.

- Aż tyle sekretów? - Spojrzał na drogę, którą poszła Branwen. - No tak, ona jest Walijką, to wiele wyjaśnia.

\*

W dzień po niesporach Walter fitz Alan i Brian Collen zgodzili się zostać w Afoncaer jako rycerze lorda Guya. Klęczeli przed nim w skromnej drewnianej kapliczce i oddawali mu swoje usługi, akceptując go jako swojego suwerena. Przysięgali mu wierność i lojalność do śmierci.

Meredith była wzruszona tą ceremonią i urzeczona dostojeństwem Guya. Patrzył na swoich klęczących przyjaciół z miłością. Był ubrany w tunikę koloru wina, która pięknie harmonizowała ze złotym odcieniem jego włosów. Meredith pomyślała, że jest chyba najprzystojniejszym i najszlachetniejszym mężczyzną na ziemi

- Nie będzie z tego niczego dobrego - wyszeptała Isabel, gdy Guy podnosił z klęczek pierwszego z nich, Waltera.

- Władca Afoncaer potrzebuje rycerzy, by mu służyli, nieprawdaż? - zapytała Meredith.

- Tak, ale nie tych dwóch. - Isabel spojrzała na swoją służącą. - A co ty wiesz o tych sprawach?

- Nic, moja pani. - Meredith pokornie spuściła oczy, wiedząc że w ten sposób ułagodzi panią.

Isabel opuściła kaplicę, szeleszcząc jedwabną suknią.

Meredith wolałaby, żeby Walter nie mieszkał w Afoncaer, bardzo go nie lubiła, chociaż od pamiętnego incydentu nie napastował jej więcej. Nie była w stanie zgłębić prawdziwych uczuć Isabel wobec Waltera. Isabel dobrze bawiła się tym, że adorował ją bezustannie i flirtowała z nim otwarcie, ale wszystko zawsze działo się publicznie. Nigdy nie widywali się samotnie. Tego można było być pewnym. Isabel spędzała czas ze swoimi służącymi, z ojcem Herbertem lub jako gospodyni siedziała i rozmawiała z gośćmi w wielkim hallu. Meredith pomyślała, że Isabel po prostu bawiła się Walterem, a on, jakiegokolwiek były jego uczucia, godził się na tę grę. Zastanawiało ją tylko, jak długo to będzie trwało.

Po kilku dniach od ślubów składanych przez Waltera i Briana, Guy odwiedził bratową.

- Isabel, musimy porozmawiać.

Z rękami na biodrach patrzył, jak wyszywała obrus na ołtarz w kaplicy.

Różnokolorowe nitki, których używała, były bardzo poplątane i zadaniem Meredith było je rozplątać. Siedziała z pochyloną głową nad stołem, gdzie rozłożony był kawałek płótna. Po wyciągnięciu każdej nitki z supelka rozciągała ją pomiędzy palcami i odkładała na płótno według odcieni. Nie męczyło ją to zajęcie. Lubiła patrzeć na jarzące się kolorami niteczki. Była mocno pochylona, udając, że nie zauważa obecności Guya, choć był tak blisko, że mogła go dotknąć. Wyobraziła sobie, co jej złośliwa pani powiedziałaby, gdyby to uczyniła.

- Jeżeli chcesz rozmawiać o Thomasie, to warto, byś wiedział, że ostatnio rzadko go widuję - powiedziała Isabel, przekłuwając igłę przez lniany materiał. - Spędza mnóstwo czasu z Geoffreyem i tym nieokrzesanym Brianem. Jak sam mówi, uczy się posługiwać bronią i jeździć konno. Mój syn nie ma dla mnie czasu.

- Nie chcę rozmawiać o Thomasie.

- W takim razie o co chodzi? Chyba nie masz powodów, by narzekać na sposób, w jaki kieruję twoim domem?



- Och, mam powody, i to niemało. Ostrzegałem cię wiele razy, ale ty mnie nie słuchasz. - Guy wymachiwał jej przed nosem jakimiś papierami.

Isabel ukłuła się w palec i kropla krwi poplamiała robótkę.

- Zobacz, co zrobiłeś! Jak możesz mówić do mnie tak okrutnie? - Oczy Isabel napęły się łzami. Rzuciła serwetę na stół i ssła ukłuty palec.

- Nawet nie próbuj płakać. To mnie już nie wzrusza! - krzyczał Guy. - Kokietowałaś Reynauda, by pisał dla ciebie listy i zamawiał drogie meble, gobeliny i Bóg jeden wie co jeszcze!

- Czy to wszystko, z czym tu przyszedłeś? Myślałam, że to coś poważnego. Przecież musisz mieszkać wytwornie, Guy, by zadziwiać tych, co cię odwiedzają. Być może król z królową przybędą do nas pewnego dnia, oni są moimi przyjaciółmi, jak wiesz. - Guy chrząknął i piękna twarz Isabel zeszywniała. - Jeżeli ty nie wiesz, co jest dla ciebie odpowiednie, to ja wiem z pewnością.

- Ten list - Guy znowu wymachiwał kartką - jest dowodem, że nasze wydatki są większe niż samego króla!

- Ty tego nie możesz wiedzieć, przecież nie umiesz czytać.

- Reynaud przeczytał mi wszystko - zasyczał Guy.

- Skąd wiesz, czy możesz mu ufać? Ten mężczyzna to głupiec, który nie lubi niczego, co uprzyjemnia życie.

- Wykorzystałaś go, by zamówił rzeczy, które ciebie zadowolą, nie uzgadniając tego ze mną. Przecież obiecałaś, że będziesz skromniejsza. Na szczęście Reynaud był na tyle lojalny, że mi o wszystkim powiedział. Na rany Chrystusa, Isabel, czy ty chcesz mnie zrujnować?!

Isabel wstała. Jej gniew był nie mniejszy.

- Jeżeli nie pochwalasz wysiłku, jaki wkładam, by urządzić ten dom, będę szczęśliwa, jeżeli pozwolisz mi opuścić Afoncaer natychmiast. Pojadę gdzie indziej, być może wyjdę za mąż.

- Ty, za mąż? - wybuchnął śmiechem. - Nawet, gdybym był cesarzem rzymskim, nie znalazłbym ci męża, moja droga. Za dobrze cię wszyscy znają jeszcze z czasów, gdy byłaś żoną mojego brata. Płacząca, wymagająca, żadna pieniędzy i sławy. Kobiety! Żałosne kreatury! - Znowu wymachiwał kartkami. - Nic więcej. Żadnych krzeseł, żadnych gobelinów, zrozumiałaś?

Rzucił papiery na stół, przy którym pracowała Meredith, obrócił się na pięcie i wyszedł. Trzasnął drzwiami tak silnie, że zadrżała cała komnata. Meredith wzięła kartki do ręki, ale Isabel je wyrwała.

- Na co się gapisz, idiotko? Och, gdybym była mężczyzną, to bym się z nim policzyła. Gdybym tylko miała miecz!

- Uspokój się, moja pani. - Meredith widziała już swoją panią zdenerwowaną, ale nigdy aż tak. - Proszę, usiądź, napij się trochę wina.

- Jak mogę się uspokoić? On mnie obraził i to przy służącej. Jak śmiał? Zapłaci mi za to. Znajdę sposób, by go zniszczyć, choćby mi to zajęło resztę życia. - Isabel chwiała się na nogach miotana spazmami.

Meredith żałowała, że w pobliżu nie było żadnej innej kobiety, która mogłaby jej pomóc ułagodzić Isabel. Joan była w pralni, a inne pomagały w przygotowaniu posiłku popołudniowego. Meredith naląła kielich wina i podeszła do Isabel.

- Proszę, moja pani, wypij to.

Isabel odwróciła się gwałtownie i potraciła rękę, w której Meredith trzymała naczynie. Cała jego zawartość wylała się na stół, na którym leżały nitki i wyszywany przez Isabel obrus. Wszystko było poplamione.

Meredith podniosła ręce do ust i krzyknęła z rozpacz. Usunąć plamy z obrusa było nie sposób i praca, nad którą Isabel siedziała już od miesięcy była stracona. Wszystkie nitki były teraz czerwone.

- Zobacz, coś zrobiła! - krzyknęła Isabel.

- Ja? To ty mnie potraciłaś. Dlaczego nie możesz być ostrożniejsza?

- Ty zuchwała, bezczelna dziewucho!

Isabel podniosła rękę i uderzyła Meredith w twarz. Meredith upadłaby, gdyby nie podtrzymała ją para małych rak.

- Mamo, co robisz? - Twarz Thomasa była blada z przerażenia. - Nie bij Meredith.

- Jest moją służącą i mogę z nią robić, co mi się podoba. A w ogóle to nie powinno cię tu być, jesteś już dorosły. Idź do stajni, do mężczyzn.

Isabel oddychała ciężko, ale nie płakała. Najwyraźniej łyzy były jej metodą na dorosłych mężczyzn.

- Reynaud wysłał mnie, bym sprawdził, co to za hałasy. Słysząc cię aż w wielkim hallu - wyjaśnił, cały czas obejmując Meredith.

- Reynaud, ta zmija! - Spojrzała na bałagan na stole. - Meredith, uporządkuj to wszystko i zniknij mi z oczu na resztę dnia. Później zdecyduję, jak cię ukarać.

Meredith wzięła głęboki oddech i z dumą w głosie rzekła:

- Sama to sprzątnij. Ty to zrobiłaś.

Isabel zaniemówiła.

Meredith wybiegła z pokoju i udała się do nie dokończonych jeszcze wieży. Szybko wspinała się po schodach do komnaty na najwyższym piętrze. Chciała być daleko stąd, jak najdalej. Było jej zimno, tylko policzek palił ją niemiłosiernie. Nie mogła już dłużej znieść tyranii Isabel.

- Meredith? - Guy stał w wejściu do swej przyszłej komnaty. Nawet nie słyszała, jak wchodził po schodach. - Thomas powiedział mi, co się stało. Wiedziałem, że tu cię znajdę. - Położył dłoń na jej brodzie i obrócił jej twarz ku sobie, by zobaczyć policzek, w który uderzyła ją Isabel. - To jędza. Tak bardzo chciałbym się jej pozbyć i nigdy więcej nie widzieć. Gdyby tylko król nie rozkazał mi jej tu trzymać, dawno bym ją odesłał. Jest ci zimno?

Usiadł obok Meredith, tuląc ją i okrywając połami płaszcza. Delikatnie głaskał jej włosy. Na chwilę się uspokoiła, czuła się bezpieczna w jego ramionach, ale musiała mu to powiedzieć.

- Muszę opuścić Afoncaer, mój panie.

- Nie. - Uścisnął ją jeszcze mocniej. - Nie pozwolę ci odejść.

- Nie mogę tu zostać, nie po dzisiejszym dniu. - Wysunęła się z jego objęcia. - Ja jestem zielarką, a nie służącą. Z radością będę pomagać tym, którzy mojej pomocy potrzebują. Natomiast nie mogę znieść służenia lady Isabel. Ona twierdzi, że jestem zbyt dumna, by być dobrą służącą i ma rację. Nigdy nie powinnam była się na to zgodzić.

- Meredith. - Wziął jej twarz w dłonie. - Nie odchodź.

- Muszę. - Chciała obrócić to w żart, by zmniejszyć ból rozstania.

- Przecież ty nie dbasz o kobiety, to żalosne kreatury.

- Ale nie ty, ty nie jesteś żalosną kreaturą. - Nie chciał jej puścić, przysuwał się bliżej, chcąc ją pocałować. Serce znowu zaczęło jej łomotać. - Takiej jak ty nie znałem jeszcze dotąd. Jesteś słodka, miła, dobra i dumna.

- Tak, mój panie, jestem za dumna jak na wieśniaczkę. Za dumna, by tu zostać. Nie pozostaje mi nic innego, jak powrócić do

Branwen i Rhysa. - Wiedziała, że jeżeli jeszcze chwilę będą tak siedzieć, nie oprą się pokusie, a wtedy nie będzie umiała stąd odejść. Zmusiła się, by wstać. Chłód nie był już taki przeszywający.

- Odejdę natychmiast, zanim się zupełnie ściemni.

- Co mam zrobić, byś została? - Po chwili dodał: - Mogę cię do tego zmusić.

Wiedziała, że mówił prawdę. Według prawa normańskiego była jego własnością.

- A zrobisz to, mój panie?

Wstał powoli i patrzył na nią. Był bardzo zmartwiony. Potrząsał głową.

- Nie - powiedział.

Myślała, że jej serce pęknie z rozpaczy. Podeszła do schodów niezdolna wypowiedzieć jakiegokolwiek słowa. Teraz zrobiło jej się bardzo zimno, trzęsa się rozpaczliwie. Z każdym stopniem było gorzej, każdy stopień oddalał ją od niego.

- Potrzebny ci będzie płaszcz, Meredith. Idź do bramy. Przyślę do ciebie Thomasa.

Słyszała za sobą jego kroki. Szła powoli spiralnymi . schodami, nie mogąc się odwrócić. Nie zniosłaby widoku Guya, który z każdym krokiem oddalał się od niej coraz bardziej.

## ROZDZIAŁ 23

Thomas nalegał, by ją odprowadzić.

- Jest teraz dokoła więcej ludzi niż wtedy, gdy opuszczałaś jaskinię. Stacjonują tam żołnierze Waltera i Briana, nie jest tak łatwo wśliznąć się do lasu, a ja nie chciałbym, by ktoś cię zatrzymał. Pójdę z tobą i będę cię ochraniał, lady Meredith.

Meredith nie mogła się nie uśmiechnąć. Przy Isabel Thomas zwracał się do niej po imieniu, ale teraz znowu była wolna i dla niego ponownie stała się lady Meredith. Uważał się za jej rycerza i protektora.

Thomas przyniósł nie tylko jej płaszcz, ale także ubrania i kilka innych drobiazgów, które do niej należały. Był też koszyk z pożywieniem i dwiema butelkami wina. Pamiętając ostatnią wizytę Branwen i jej prośby o jedzenie, Meredith nie zaprotestowała, ani też nie zapytała, czy był to pomysł Thomasa, czy Guya. Podejrzewała, że to Joan przygotowała wszystkie te rzeczy.

Było wczesne popołudnie, ale słońce grzało słabo i było zimno. Dotarła z Thomasem na miejsce.

- Podejdźcie do ogniska - zaprosił ich Rhys. Był mizerny, blady i wychudzony

- Proszę, lady Branwen. - Thomas dał jej koszyk z jedzeniem. Branwen nie zawahała się go przyjąć. Pomiedzy nią a Thomasem dała się zauważyć taka więź, że Meredith była pewna, iż chłopiec odwiedzał jaskinię regularnie. Thomas usiadł blisko Rhysa, a między nich wcisnął się żądny pieszczoł Gwyn.

- Czy przybyła nowa służąca lady Isabel? Czy to dlatego wróciłaś? - zapytała Branwen.

Meredith odwróciła się od ogniska i Branwen zobaczyła jej zaczerwieniony policzek.

- Kto to zrobił?

- Proszę cię, później - powiedziała ledwie słyszalnym głosem.

Branwen pokiwała głową ze zrozumieniem. Thomas został tylko chwilę, by się ogrzać.

- Tak wczesnie robi się ciemno - powiedział. - Postaram się przyjść jutro albo pojutrze. - Wziął pusty już koszyczek i poszedł.

- Teraz powiedz mi, który to Norman odważył się ciebie uderzyć?

Meredith wszystko wyjaśniła.

- Właśnie tego się spodziewałam - stwierdziła Branwen. - Nie powinnaś była się zgodzić, by mieszkać w zamku. Ostrzegłam cię przed Normanami.

- Teraz jestem w domu. - Usiadła tam, gdzie przed chwilą siedział Thomas i położyła głowę na ramieniu Rhysa. - Naucz mnie wszystkiego, co wiesz, Rhys. Jestem uzdrowicielką, nie jestem służącą.

\*

Meredith schowała wszystkie sukienki oraz drobiazgi z Afoncaer i ubrała się w szarą, znoszoną suknię. Całe dni spędzała z Rhysem, starając się chłonać wszystko, co mówił o starych sposobach leczenia. Mieli dużo czasu na naukę, mało kto zaglądał do jaskini. Afoncaer szybko stało się centrum zainteresowania ludzi mieszkających na ziemiach lorda Guya, nawet dla tych, którzy twierdzili, że nienawidzą Normanów. Wieśniacy, chłopcy i rzemieślnicy przeprowadzali się w pobliże zamku, wiedząc że lord Guy jest sprawiedliwy i dobry.

- To długo nie potrwa - mówiła Branwen. - Przypuszczają, że są bezpieczni pod opieką barona Guya, ale nie myślą, co z nimi będzie, jeżeli on pójdzie na wojnę, albo zostanie zaatakowany przez jakiegoś zazdrosnego barona za to, że jego władza rośnie. Gdy okaże się, jak mało pożytku jest z szewca czy fryzjera, wtedy przyjdą do nas po pomoc. Dobrze, że jesteś z nami, Meredith, twoje miejsce jest tutaj.

Meredith jednak nie czuła się tu tak jak dawniej. Jaskinia, która wydawała się kiedyś ciepła, przytulna i bezpieczna, była w gruncie rzeczy małą, obskurną dziuplą bez żadnych wygód. Dziewczyna zdawała sobie sprawę, że to nie jaskinia się zmieniła, tylko ona. W pamięci miała luksusy w Afoncaer, piękne meble, ładne naczynia i zastawy stołowe, wytworne stroje. Nauczyła się nawet jeść mięso, ale tego nie wyjawiała ani Branwen, ani Rhysowi. A przede wszystkim tęskniła za władcą Afoncaer, baronem Guyem. Myśl o nim budziła dreszcze, które przesywały jej ciało. To nie dreszcze, to płomień paliły ją wewnątrz. Tęskniła za rozmową z nim, za jego spojrzeniem. Wiedziała o nim tylko tyle, ile mówił jej Thomas podczas rzadkich wizyt

- Nie mam już tyle wolnego czasu, ile miałem kiedyś. Geoffrey i Brian każą mi jeździć lub uczyć mnie walczyć, a Walter zawsze wynajduje mi jakieś zadanie do wykonania. Nie lubię Waltera. Na dodatek ćwiczymy nowe, młode sokoły, a wuj Guy powiedział, że

będzie więcej polował i ja muszę mu towarzyszyć. Urządza się też w lesie przyjęcia w trakcie polowań, musicie być z Branwen bardzo ostrożne. Wuj Guy nie pozwoli nikomu tutaj dotrzeć, on dotrzymuje danego słowa, ale należy być ostrożnym. Dobrze że Rhys rzadziej opuszcza jaskinię, choć żał mi go, że jest chory.

- Poczuj się lepiej, gdy nadejdzie wiosna. Cieplesza pogoda jest łatwiejsza do zniesienia aniżeli te mrozy.

Mówiła to, nie będąc pewna, czy Rhys dożyje tej wiosny; czuł się coraz gorzej. Jej było łatwiej zauważyć zmianę w jego wyglądzie, bo nie widziała go ponad cztery miesiące - stał się taki słaby. Chciała jednak wykorzystać jeszcze te dni, które im zostały.

- Jak będziesz się tak szybko uczyć, to prześcigniesz mnie w umiejętnościach. Ty już wiesz więcej niż ja, gdy miałem twoje lata. Pamiętaj, nigdy nie zmarnuj swojego powołania.

- Nigdy nie przestanę leczyć, obojętnie, jakie miałyby to konsekwencje - obiecała.

Powtarzała sobie chyba setny już raz, że musi przestać myśleć o Guyu. Nie widziała go, od kiedy opuściła Afoncaer. Była zupełnie rozdarta, jedna jej część chciała go zobaczyć, a druga podpowiadała, że to nierozsądne. I chociaż odpychała od siebie myśli o nim, to jednak każdego wieczoru przed zaśnięciem jego twarz ukazywała jej się przed oczami.

Rhys wydobrał, kiedy nastaly cieplejsze dni. Nabral kolorow i jakby latwiej mu sie chodzilo. Branwen twierdzila, ze to jej lekarstwo tak podzialalo i ze Rhys wyzdrowieje zupełnie, Meredith watpila w to, ale entuzjastycznie namawiala Rhysa, by wychodzil z jaskini i staral sie spacerowac o wlasnych silach. Pewnego wieczoru, siedzac przed jaskinia, ujrzeli zmierzajacego w ich kierunku Thomasa.

- Idę, by was odwiedzić - powiedział. - Rhys, wyglądasz o wiele lepiej.

- Chodź, usiądź tu blisko - poprosił starzec. - Nie widzieliśmy cię chyba przez tydzień. - Nagle jego twarz spoważniała, wzrok się wyostrzył. Za plecami Thomasa ukazał się jakiś mężczyzna.

- Brian - krzyknął Thomas - śledziłeś mnie!

- Tak, chłopcze. Ta część lasu jest niebezpieczna, jak mówi ojciec Herbert. Mieszkają tu czarownicy, a ty przychodzisz w te strony dość często.

- Nie masz prawa mnie śledzić - ostro odpowiedział chłopiec.

- Nie? - Odsunął go od siebie i trzymając miecz w ręce, spojrzał na resztę gromadki. - Kim są ci ludzie, jeżeli w ogóle nimi są. Chyba nie chcecie zrobić krzywdy temu małemu lordowi, ja... Meredith? Co ty tutaj robisz?

- Mieszkam tutaj, Brianie - powiedziała cicho. - Thomasowi nic nie grozi, odłóż miecz.

- A on? - wskazał na Rhysa. Rhys wstał i rozłożył ręce.

- Witamy cię serdecznie, ale odłóż miecz.

Brian stał nieruchomo, patrząc na starca z ogromnym szacunkiem. Schował miecz i uklęknął przed Rhysem, a ten położył ręce na jego głowie.

- Rhys nie jest czarownikiem! - krzyczał Thomas.

- Wiem - odpowiedział rycerz i uśmiechnął się do starca. - A więc to tutaj przychodzisz tak często.

- Nie powinienesz być mnie śledzić. Nie wolno ci nikomu zdradzić tego miejsca, to tajemnica.

- Rozumiem, bracie, rozumiem.

- Norman! - Branwen nadeszła niespodziewanie. - Czy przyszedłeś tu po Meredith?

- Nie, nie, ciociu Branwen. - Dziewczyna podbiegła do niej i objęła ją.

Gdy Brian podszedł bliżej, Branwen zaczęła drżeć.

- Ja ciebie znam - powiedział Brian. - Tak, widziałem cię pewnego wieczoru w zamku z Meredith. Teraz rozumiem, dlaczego nie chciałaś mi powiedzieć, gdzie mieszkasz i po prostu uciekłaś.

- To jest Brian, ciociu, z pewnością go pamiętasz, jest jednym z rycerzy lorda Guya.

- Cóż uczynisz, sir Brianie, czy zabijesz nas wszystkich? - zapytała Branwen.

Meredith była zaskoczona tak ostrą reakcją ciotki.

- Nie chcę was skrzywdzić, lady. Sądziłem, że Thomas jest w niebezpieczeństwie, nigdy nie przypuszczałem, że zaprowadzi mnie do tak poważanego mędrca. - Odwrócił się do Rhysa. - Teraz wiem, skąd Thomas zna te wszystkie opowieści, jakimi częstuje mnie i Geoffreya. Zna je od ciebie.

- Dużo rozmawiamy, a Branwen i Meredith są moimi zdolnymi uczennicami.



- Rozumiem. - Spojrzał na koszyk pełen ziół przewieszony przez ramię Branwen. - Rozumiem, to stąd te nadzwyczajne zdolności Meredith. Gdzie mieszkanie?

Rhys pokazał ręką jaskinię, Wstał i szedł ku niej, gdy nagle potknął się. Zachwiał się i stanął, masując lewą stronę klatki piersiowej. Brian go podtrzymał.

- Nic mi nie jest. Wszystko w porządku, ból trwał tylko krótką chwilę - zapewniał starzec.

- Zostaw go. - Branwen spojrzała spod oka na Briana. - Same mamy sobie radę. Nie potrzebujemy cię.

- Spokojnie, Branwen - pomrukiwał Rhys. - Usiądę tutaj, dopóki mój oddech się nie wyrówna, a za chwilę ty i ten uprzejmy rycerz pomożecie mi dojść do jaskini.

- I pozwolimy, żeby się dowiedział, gdzie mieszkamy?! Nigdy!

- Ciociu Branwen, zasmucasz tylko Rhysa. Brian i tak już wie, gdzie mieszkamy. Daj mi koszyk, zioła się wysypują. Thomas i ja pójdziemy przodem i przygotowujemy Rhysowi lekarstwo. - Meredith chwyciła Thomasa za rękę i poszli.

- Odejdź - powiedziała Branwen do Briana. Czowała łzy napływające jej do oczu. To obawa o Rhysa powodowała ten płacz. Chciała, by Brian przestał patrzeć na nią tak, jakby chciał czytać w jej myślach. Uśmiechał się do niej i co dziwniejsze wcale nie było to nieprzyjemne.

- Branwen, jestem twoim przyjacielem. Wiem, kim jest Rhys. Moja matka opowiadała mi dużo na temat swoich rodaków, na tyle dużo, bym cię rozumiał. Szanuję Rhysa za jego mądrość i wiedzę. Nigdy nie zdradzę ani jego, ani ciebie - .

- Uwierz mu, Branwen. - Głos Rhysa był głosem jej podświadomości. - Zaufaj mu.

- Ale jesteś w połowie Normanem. - Ostatni raz spróbowała zaprzeczyć, ale instynktownie czuła, że może zaufać temu mężczyźnie.

- To przeszkadzało też mojej matce - odpowiedział, wciąż śmiejąc się. - Nie chciałbym być taki przepołowiony, ale najważniejsze, że jestem sobą.

- I nikomu nie powiesz, gdzie mieszkamy? - Chciała to wyraźnie usłyszeć z jego ust.

- Nie, moja pani, przecież obiecałem.

- A więc zostań i pomóż mi odprowadzić Rhysa do jaskini, będę ci wdzięczna.

- A ja będę wdzięczny wam obojgu, jeżeli przestaniecie mówić o mnie jak o worku starych kości. - Rhys wstał z zadziwiającą energią.

- Widzę, że lepiej się czujesz - zauważył Brian.

Za plecami Rhysa on i Branwen spojrzeli na siebie porozumiewawczo i uśmiechnęli się do siebie. Podali jednak Rhysowi ramiona, skorzystał z ich pomocy. Całą drogę Branwen myślała o dłoni Briana, trzymającej jej dłoń, gdy nieśli starca.

\*

- Czy z Rhysem wszystko w porządku? - zaniepokoił się Thomas w drodze do jaskini. Tłumaczył się Meredith: - Ja naprawdę nie chciałem go przestraszyć, przychodząc tak nieoczekiwanie. Sądzę, że wizyta Briana też go zdenerwowała, tak mi przykro.

- To nie twoja wina - zapewniła, objęła chłopca i delikatnie szturchnęła, by go pocieszyć. - To zdarza się teraz coraz częściej, Rhys się starzeje, Thomasie, i nie czuje się dobrze.

- Czy on wkrótce umrze?

Ich oczy spotkały się. Meredith przytaknęła, nie chciała okłamywać Thomasa, sam zresztą widział, w jakim Rhys jest stanie. Thomas nie odezwał się już, w milczeniu pomógł Meredith rozłożyć siennik dla starca. Meredith zaczęła przygotowywać lekarstwo. W progu jaskini pojawili się Branwen i Brian podtrzymujący Rhysa. Położyli go na sienniku, po czym Meredith podała mu naczynie z ziołami. Brian podszedł w tym czasie do Branwen i poprosił o rozmowę. Ku wielkiemu zdziwieniu Meredith oboje wyszli, trzymając się za ręce. Z wrażenia Meredith o mało nie wylała lekarstwa. Rhys chrząknął i powiedział:

- Nie potrzebuję tej mikstury, ale wypiję, chyba mi nie zaszkodzi.

- Już nic cię nie boli?

- Przecież nic mnie nie bolało. - Znowu chrząknął. - Twoja ciotka jest dla mnie jak córka - wyjaśnił, zanim zdążyła zadać jakiegokolwiek pytanie - a dla ciebie jak matka. Przez całe lata mało uwagi poświęcała sobie, będąc zajęta tobą, a teraz mną. Nie była urodzona do ciężkiej pracy, ale znosiła trud; życia z odwagą i poświęceniem. Niech teraz nadejdzie dla niej chwila radości, będzie ona krótka, ale i długa zarazem.

- Rhys, co ty mówisz? - Meredith uklękła obok niego. - Brian i ciotka Branwen?

- Brian to dobry rycerz - przerwał Thomas. - Dlaczegoż by lady Branwen nie mogła mieć rycerza, który by jej służył?

- No właśnie! Dlaczego? - uśmiechnął się Rhys.

Meredith pomyślała, że była tak zaślepiona własnym uczuciem do Guya, że nie zauważyła nawet iż jej ciotka też przeżywa miłosną rozterkę. Przypomniała sobie, jak bardzo Branwen rumieniła się w ten dzień, kiedy przysłała do zamku po chleb. Gdy Branwen i Brian wrócili do jaskini, byli już w dobrych humorach. Brian zapewniał, że odwiedzi jaskinię, by się dowiedzieć, jak czuje się Rhys. Gdy całował rękę Branwen, ta zarumieniła się i spuściła oczy.

Nikogo nie zdziwiła wizyta Briana już na drugi dzień. Przyszedł z koszem pełnym jedzenia i kocami dla Rhysa.

W miarę jak upływało lato, jego wizyty stały się coraz częstsze.

- Czy będą się o ciebie niepokoić, jeżeli nie będzie cię długo w Afoncaer? - zapytała Branwen, gdy siedzieli razem na brzegu rzeki. Właśnie nazbierała leśnych owoców, które suszyła na zimę.

- Nie jestem aż tak ważny, by ktokolwiek zauważył moją nieobecność. - Brian przysunął się do niej tek, że dotykali się ramionami.

- Tęsknię za tobą - wyszeptała.

Nie rozumiała, co się z nią dzieje, sądziła, że odkąd opuściła Afoncaer, uczucia nie mają dla niej znaczenia. Zresztą bycie z Alfricem nie dostarczało jej tyle podniecy, ile sama obecność Briana. W napięciu oczekiwała tego, o czym wiedziała, że nieuchronnie nastąpi. Minęło już wiele miesięcy i teraz oboje czuli, że chcą poznać swoje ciała równie dobrze jak dusze. Jeżeli nawet nie dzisiaj, to na pewno ich zbliżenie wkrótce nastąpi.

Brian ucałował jej dłoń. Całował palce, powoli każdy po kolei, potem i całował jej ramię. Branwen była zupełnie sparaliżowana podnieceniem, jakie czuła. Powoli zaczął ściągać z niej sukienkę. Drżała i czuła mocne bicie serca, ale chciała, by ta chwila trwała. Przytulił ją mocno, zsunęli się z kamienia, na którym siedzieli, na miękką, świeżą trawę. Silna i dumna Branwen była teraz skromną, delikatną i bezbronną istotą. Znalazł jej usta i zaczęli się całować.

Nie był taki delikatny jak Alfric. Był zaborczy i bardzo męski, wiedział, czego chce i nie bał się o to prosić. Leżeli teraz oboje

zupełnie nadzy. Miotają nimi pożądanie. Branwen czekała z ogromną niecierpliwością na spełnienie.

Ona była lodem skutym mrozami, a on słońcem, które roztopiało każdą cząstkę tego lodu. Spojrzeli sobie w oczy i wiedzieli, że są sobie przeznaczeni. Gdy już było po wszystkim, leżeli nadzy na trawie, zupełnie nie wstydząc się siebie. Zjadali maliny, które wcześniej nazbierali. A gdy jej usta czerwone były od soku, on scałowywał z nich słodki sok. Nigdy wcześniej nie czuli się tak szczęśliwi.

\*

Branwen stała się łagodniejsza i spokojniejsza. Na jej twarzy częściej gościł uśmiech, wyglądała o kilka lat młodziej. Meredith, patrząc na jej szczęście, żałowała swojej miłości, która była tak beznadziejna. Minęły już miesiące, odkąd nie widziała Guya. Słyszała od Thomasa i Briana, że pracuje w pocie czoła, by jak najszybciej ukończyć budowę zamku.

- Chce zakończyć budowę w tym sezonie - powiedział Brian. - To jest niewykonalne, ale Guy się uparł.

Dzięki opowiadaniom Briana i Thomasa, znała wiele szczegółów z życia zamku, jednak nie widywała nikogo poza nimi dwoma. Guy nigdy nie pojawił się w jaskini. Zastanawiała się, czy o niej zapomniał. Starła się wypytać obu przyjaciół, czy Guy ma jakieś plany poślubienia kogoś. I odczuła ulgę, gdy usłyszała, że nic o tym w Afoncaer nie słyhać. Czasami myślała, że już nigdy więcej go nie zobaczy, ale los, trochę przy pomocy lady Isabel, chciał inaczej.

## ROZDZIAŁ 24

Połowa czerwca, AD. 1105 .

Kłótnia trwała już prawie godzinę. Gdy Guy wpadł jak burza do komnat kobiecych, wszystkie służące Isabel, łącznie z Alice, jej osobistą służącą, która nareszcie przybyła do Afoncaer, opuściły w pośpiechu pokój; zostawiając ich samych.

Stała naprzeciw niego zła i jak zwykle nieświadoma zarzutów.

- Ostrzegalem cię tyle razy, ale ty odmawiasz słuchania mnie i robisz to, na co masz ochotę. Od dzisiaj nie wolno ci wysyłać żadnych listów z Afoncaer. Poinformowałem już o tym Reynauda, który osobiście będzie sprawdzał listy zabierane z Afoncaer przez kuriera.

- Mam być więźniem? - powiedziała przez zaciśnięte zęby.

- Nie, nie więźniem, ale nie zamówisz już nic kosztownego ani dla siebie, ani dla zamku. Nie potrzeba już świec woskowych ani żadnych sukien dla lady Isabel.

- Nie znoszę łożowych świec, woskowe dają o wiele lepsze światło. Nie obchodzi mnie więc, czy są drogie, czy nie. Właśnie Reynaud, który tyle czyta i pisze po nocach, powinien to docenić, a nie skarżyć się tobie. A jeżeli chodzi o mnie, to chcę być modnie ubrana. Czy chcesz, bym wyglądała jak wieśniaczka? - zapytała niewinnie.

- Masz szafę pełną sukien, które zadowolilyby cesarzową. Spójrz na to! - Zaczął wyrzucać jej rzeczy na podłogę. Ona, nie mniej rozwścieczona, zbierała wszystko i wpychała z powrotem do szaf. - Nie masz już nawet miejsca na te wszystkie zbytki. Musieliśmy postawić dodatkowe szafy w wielkim hallu, ale ty cały czas zamawiasz więcej i więcej.

- Przestań! Podarłeś mój najlepszy niebieski jedwab. Spójrz na ten bałagan. Guy, tyle razy próbowałam dostosować się do tego, co mi mówiłeś. Ostatniej zimy zostałam tu, gdy ty pojechałeś na dwór, aby tam spędzić święta Bożego Narodzenia i nie narzekałam. Dbałam o twój dom, urządzalam przyjęcia i pomagałam Reynaudowi i kapitanowi Johnowi w zagospodarowaniu nowych budynków, ale...

- Pomagałam? - Guy zaśmiał się głośno. Isabel mówiła dalej nie zrażona ironią w jego głosie:

- Cokolwiek bym zrobiła, ty jesteś niezadowolony. Wyślę jeszcze jedną wiadomość, tym razem do królowej, ona ciągle jest moją przyjaciółką. Kiedy się dowie, jak okrutnie mnie traktujesz,

porozmawia z królem, a on rozkaże odesłać mnie z powrotem na dwór, tam gdzie moje miejsce. Wyjadę z Afoncaer i nigdy nie wrócę - zakończyła.

- Czy ty nie masz za grosz rozumu? Czy ty naprawdę nic nie rozumiesz, Isabel? Nie powiedziałem ci tego od razu, bo nie chciałem sprawiać ci bólu, a wiedziałem jak dumna jesteś ze znajomości z królową. Wiedz jednak, że królowa osobiście udała się do króla i poprosiła go, by cię wyrzucił z dworu. Królowa Matylda nie mogła znieść twojej ekstrawagancji, rozrzutności i lekkomyślności. Właśnie dlatego król Henryk rozkazał mi przywieźć cię do Afoncaer. Nikt nie chce cię widzieć na dworze i dlatego cię nie zapraszają.

- To kłamstwo. Królowa jest moją przyjaciółką, jest, na pewno jest... - powtarzała z dziecinną zawziętością.

- Była, zanim sama nie zniszczyłaś tej przyjaźni nierozsądnym zachowaniem. Byłem w stosunku do ciebie zbyt łagodny, ale teraz moja cierpliwość się skończyła. Powtarzam, nie wolno ci wysyłać żadnych listów, żadnych wiadomości z Afoncaer. Twoje służące też mają pozostać w Afoncaer, nigdzie nie wolno im wyjeżdżać. - Isabel stała z uniesionym czołem, ale nic nie powiedziała, nie uroniła nawet jednej łzy. Guy wiedział, że tym razem upokorzenie było bardzo silne. Zrobiło mu się nawet jej żal i powiedział już miłszym głosem: - Już czas na nieszpory, czy pójdziesz ze mną, Isabel? - Wyciągnął rękę, ale odwróciła się do niego plecami. - Cokolwiek teraz myślisz, wiedz, że mam na względzie twoje dobro. Czy nie możemy zapomnieć o różnicach, jakie nas dzielą i być przyjaciółmi?

- Nie, nie możemy. Zabrałeś mi wszelkie przyjemności. Trzymasz mnie tutaj wbrew mej woli, a teraz jeszcze mówisz mi, że królowa nie jest moją przyjaciółką. Nic mi nie pozostawiłeś, Guy, nic. Znajdę sposób, by odwdzięczyć się tobie za moje cierpienie.

- Nic nie możesz zrobić. Jestem twoim opiekunem, nie masz innego wyjścia, jak podporządkować się mojej woli. Idziesz do kaplicy?

- Jeszcze nie, potrzebuję chwili, by dojść do siebie. Przyjdę później.

Była bardzo spokojna, aż za spokojna. Oczekiwał potoku łez, krzyku, wybuchów złości, spazmów, może nawet kilku stłuczonych talerzy. Ten spokój niepokoił go. Nigdy nie można przewidzieć, jak zachowają się kobiety, oprócz jednej... Meredith. Meredith zawsze

była uśmiechnięta i miła. Nie, nie wolno mu o niej myśleć. Odeszła z Afoncaer i z jego życia.

Gdy był daleko od Afoncaer miał kilka kobiet, ale pozostawiały w nim uczucie pustki i zepsucia. Gdy król Henryk jeszcze raz podjął temat jego małżeństwa, Guy zbył go wykrętami o bardzo ciężkiej pracy w Walii i zbyt wielu obowiązkach. Henryk nazwał to wybiegiem, ale Guy wiedział jedno: nie chce mieć żony.

Gdy Guy opuścił komnaty kobiece, Isabel chodziła nerwowo tam i z powrotem. Kopnęła poduszkę, która leżała na podłodze.

- Niech go diabli! - krzyknęła i jednym ruchem ręki zrzuciła filiżanki stojące na stole. Przyniosło jej to ulgę.

Chciała, by Afoncaer było przyjemniejszym miejscem, urządzonej elegancko i ze smakiem, ale Guy nie doceniał jej wysiłków. Nigdy nie usłyszała od niego ani jednego słowa podziękowania, a teraz jeszcze zakazy, obrażanie, groźby.

- Zapłaci za to - wyszeptała. - Nie może mnie tutaj trzymać jak więźnia. Nie mogę nawet mieć nowej sukni na następne przyjęcie! Poradzę sobie z nim, ale jak? Kto może mi pomóc?

Był taki ktoś. Tym kimś był sir Walter fitz Alan. Był przecież na pół oszalały z miłości do niej. Co prawda nie dała mu żadnych nadziei, ale nie przestawał jej adorować. Przecież sam kiedyś powiedział, że zrobiłby dla niej wszystko. W jej głowie zrodził się pewien plan. Walter będzie miał duże i ważne zadanie, ale Thomas będzie postacią kluczową. Guy kochał chłopca i porzuciłby wszystko dla jego ratowania. Wykorzysta ich, a kiedy osiągnie cel, ona i Walter będą władać Afoncaer, a Guy i Thomas będą zmuszeni opuścić zamek. Nigdy nie odważy się wrócić, bo król obwini go za to, co się stanie. Thomas będzie cały i zdrowy, ale daleko od niej i w ten sposób pozbędzie się przynajmniej tego dowodu jej słabości i nigdy więcej nie będzie musiała oglądać swojego syna. Później, kiedy już będzie bogata, porzuci Walię i powróci na dwór królewski, gdzie jest jej miejsce. Będzie nosiła tytuł lady Afoncaer, choć zamieszka na dworze. Była pewna, że może też polegać na ojcu Herbercie. Duchowny zażarcie sprzeciwiał się łagodnemu stosunkowi Guya do Walińczyków. Również otwarcie przyznawał, że nie lubi Reynauda, który miał inne zdanie na temat ludzi mieszkających w lesie. Najważniejszym zadaniem było teraz sprowokowanie sytuacji, w której ona i Walter zostaną sami. Pozwoli mu trochę zakosztować

tego, co, jak mu obieca, dostanie po ślubie. Najpierw jednak będzie musiał zrobić to, czego od niego zażąda. Ku jej zdziwieniu czuła miłe podniecenie na myśl o droczeniu się z Walterem i doprowadzeniu go do takiego stanu, że zgodzi się na wszystko, o co ona poprosi. Nigdy nie miała władzy nad żadnym mężczyzną i uważała, że będzie to przyjemne uczucie. Plan, który umyśliła, wprowadził ją w lepszy humor i z już rozchmurzoną twarzą poszła do kaplicy na nieszpory.

Isabel ostatecznie zdecydowała, gdzie spotka się z Walterem, ale musiała przeczekać dwa długie dni, aż przestanie padać. Na trzeci dzień niebo pojaśniało i zrobiło się przyjemnie. Jak zawsze w drodze powrotnej z porannej mszy Walter siedł obok niej.

- Tak bardzo chciałabym przejechać się konno. Dzisiaj jest taki piękny dzień - powiedziała na tyle cicho, by nikt inny nie mógł jej usłyszeć.

- Byłbym szczęśliwy, gdybym mógł ci towarzyszyć, pani - zaoferował się, co przewidziała.

- Zapewne masz jakieś obowiązki - powiedziała, obdarowując go jednym z najśłodszych uśmiechów.

- Nic, czego nie mógłbym odłożyć na później. Chcę służyć tobie, pani - odpowiedział i mrugnął, dając do zrozumienia, że wie, iż ona specjalnie tak się z nim droczy.

- Więc pojedziesz ze mną - postanowiła. - Ach, Walterze, czuję się tutaj jak więzień, zewsząd otaczają mnie mury i ciągle zakazy i nakazy. Chcę przez moment poczuć się wolna, jeżdżąc na łonie natury tak długo, aż mi się to znudzi.

- Moja pani. - Zdziwienie na twarzy Waltera było dość wyraźne. - Zupełnie nie wiem, co planujesz, ale cokolwiek to jest, wiedz, że uczynię wszystko, by cię uszczęśliwić. Kiedy wyruszamy?

- Jak tylko zjemy śniadanie - powiedziała zadowolona, że jej plan spełnia się tak łatwo.

Joan i Alice protestowały, usłyszawszy, że Isabel chce jechać sama na przejażdżkę, ale zamknęła im usta dość skutecznie i zadała ciężkie prace do wykonania, które zajęły im dużo czasu. Nie miały nawet chwili czasu, aby iść do Guya i zameldować mu o jej zamiarach.

W godzinę po rozmowie przed kaplicą, Walter i Isabel galopowali beztrąsko drogą. Isabel chciała oddalić się od zamku, by w odległym miejscu wtajemniczyć Waltera w swoje przedsięwzięcie.



Wstrzymali konie, dając im trochę wytchnienia.

- Czy lepiej się teraz czujesz? - zapytał śmiejąc się.

- Tak, trochę, ale jestem bardzo spragniona. Pomóż mi zejść, Walterze. Tu między tymi drzewami musi być strumień, znajdziemy go.

Widziała po jego minie, iż domyśla się, że ona coś knuje, ale robił to, co kazała.

Znaleźli strumień i polankę ukrytą tak, że nikt nie mógł ich zobaczyć, Isabel umoczyła dłonie w strumieniu i piła wodę. Walter natomiast zanurzył twarz i pił bezpośrednio ze strumienia

- Co za piękne miejsce - powiedziała, bawiąc się swoim rękawem.

Walter otarł twarz i zapytał:

- Dlaczego tu jesteśmy?

- Byłam spragniona, a ty nie?

- Owszem. - Wyciągnął do niej rękę i chciał ją przygarnąć, ale wysunęła się z jego uścisku. - Isabel, dlaczego jesteś bez serca, dlaczego bawisz się mną tak bezlitośnie i grasz na moich uczuciach,\* wiedząc jak bardzo mi na tobie zależy.

- Ja bezlitosna? Bez serca? Może byłam, ale już nie. Guy postępuje ze mną okrutnie. - Spojrzała na niego niewinnie.

- Guy. - Machnął ręką, jakby dawał do zrozumienia, że nie chce o nim rozmawiać.

- Jestem taka samotna, Walterze. - Głęboko patrzyła mu w oczy i tym razem pozwoliła się objąć. Zaczaj ją całować. Isabel nigdy przedtem nie była całowana przez mężczyznę, który tak dokładnie wiedział, co robi. Początkowo sądziła, że nie będzie nic odczuwać i zamierzała udawać. Tymczasem to, co robił, wcale nie było nieprzyjemne. Nagle przestraszyła się. Wszystko posuwa się za daleko. Odepchnęła go.

- Nie, nie Walterze, pozwól mi pomyśleć.

- Pomyślałaś chyba, zanim mnie tu przywiodłaś. - Zdjął swój płaszcz i ukląkł, prosząc by zrobiła to samo. - Usiądź, proszę.

- Nie wiem, czy powinnam.

Zastanawiała się, co zrobi, jeżeli znowu zacznie ją tak namiętnie całować? Już prawie zapomniała, po co go tu przyprowadziła.

- Isabel, usiądź.

Usiadła obok niego. Był bardzo blisko, ale tego przecież chciała, musiał być blisko, jeżeli chciała go oczarować. Uśmiechnęła się.

Wziął to za zachętę i zaczął ją znowu całować. Wymagało to wielkiego wysiłku - nie poddać się zupełnie, bo Walter stawał się coraz bardziej podniecony. Już nie siedzieli, leżeli teraz, a ona nie protestowała. Było przyjemnie móc go przytulać, jednak gdy położył się na niej i czuła go nawet przez sukienkę, znowu poczuła się nieswojo. To było zbyt przyjemne. Bezwiednie przysuwała się do niego coraz bliżej.

- Walterze, nie, przestań. Proszę! - Nie mogła złapać oddechu. Tego nie planowała. Muszą natychmiast skończyć, przedstawi mu swój plan, jeżeli go jeszcze w ogóle pamięta. - Proszę cię, Walterze.

- Isabel, kochanie, moja miłości. Po tych wszystkich latach oczekiwania, nareszcie, nareszcie jesteś moja. Czy wiesz, jak bardzo cię pragnę, jak długo modliłem się, byś była moja? Jesteś wszystkim co najpiękniejsze, co najcudowniejsze!

- Walter przestań... poczekaj... ty nie rozumiesz... ja tylko...

Bardzo trudno było go teraz powstrzymać. Podciągnął do góry jej suknię i pieszcząc jej uda, powoli zbliżał rękę do łona.

- Mój słodki, mały, piękny kwiatuszku. Sprawiasz, że jestem taki szczęśliwy. Isabel, moja najdroższa, moja najśłodsza...

Krzyknęła, gdy jego palec dotarł do tego miejsca, wprawiając ją w ekstazę. Teraz ona zaczęła zdzierać z niego ubranie, podciągała jego tunikę, odpinała spodnie i przyciągała go do siebie desperacko. Potrzebowała go jak jeszcze nikogo dotąd.

Był w niej, wypełniając ją rozkoszą; wykrzykiwała jego imię. Trzymał ją tak długo w objęciach, aż nie odzyskała pełnej świadomości.

- Nie chciałam, by to się stało - powiedziała.

- Oczywiście, że chciałaś. Po cóż innego przyprowadziłabyś mnie w ten gęsty las? A teraz, moja kochana, moja jedyna, będzie się to zdarzać częściej.

Dopiero po dłuższej chwili przedstawiła mu swój plan. Była zaskoczona, że podchwycił go błyskawicznie, dodając nawet kilka sprytnych szczegółów. Obawiała się, że gdy uzyska już od niej to, czego pragnął, przestanie się nią interesować i nie będzie chciał brać udziału w intrydze. Żądał jedynie, by powiedziała mu, że kocha go tak bardzo jak on ją. Nie było to zbyt trudne, a szczególnie gdy dotykała jego mocnego, męskiego ciała. Przypieczętowali plan, jeszcze raz rozkoszując się swoimi ciałami.

\*

Chłodny spokój Isabel był dla Guya ulgą. Miał nadzieję, że zrozumiała jego intencje i uczy się, jak żyć skromniej. Postanowił, że będzie dla niej cierpliwszy, może nawet pozwoli jej coś sobie sprawić, by poprawić jej humor.

Walter fitz Alan poprosił o zgodę na wyjazd do Chester w ważnych sprawach rodzinnych. Guy wysłał go wraz z sześcioma żołnierzami dla ochrony i zajął się sprawami dotyczącymi budowy Afoncaer.

- Czy nie uważasz, że to dziwne? - zapytał Brian. - Po cóż on jedzie do Chester, jeżeli cała jego rodzina to brat, a ten mieszka w Bretanii?

Był już wieczór i wszyscy szykowali się do snu. Guy podał piwo; Tylko Reynaud, Brian i Guy siedzieli jeszcze przy stole i rozmawiali.

- Nie myślałem za dużo o wyjeździe Waltera. Jakiż byłby inny powód wyjazdu do Chester?

- Obawiam się, że chodzi o coś innego. - Brian napełnił kielich, - Guy, zawsze byliśmy przyjaciółmi, lubiliśmy Waltera, jeszcze gdy byliśmy jego giermkami Ty znasz go lepiej niż ja, w końcu byliście razem na wyprawie krzyżowej. Czy masz do niego pełne zaufanie?

- Przecież mi przysięgał. - Oburzył się Guy. - Jest bardzo ambitny i lubi luksusy. Nie odbyliśmy całej drogi do Ziemi świętej razem. Walter został w Bizancjum, a ja poszedłem dalej, do Jeruzalem; potem otrzymałem list od króla Henryka, że mam wracać. Udałem się na Sycylię, by stamtąd popłynąć statkiem do Anglii. Waltera zobaczyłem ponownie w Londynie.

- Dlaczego został w Bizancjum? - zapytał Brian.

- Chciał ożenić się z jakąś Greczynką. Mówił jednak, że zarzucił ten plan, bo tęsknił za ojczyzną.

- Najprawdopodobniej usłyszał, że Lionel nie żyje - dopowiedział Brian.

- Cóż to ma do rzeczy? - zastanowił się Guy. - Ach tak, Isabel. On pragnął jej już wcześniej. To było siedem lat temu.

- I ciągle jej pragnie. Popatrz tylko, jak on na nią patrzy. Sądzę, że Isabel była jednym z powodów, dla których Walter tak ochoczo zgodził się, przyjmując twoje zaproszenie i zostać twoim rycerzem. W dniu, gdy przybyliśmy, udawał, że jest zaskoczony jej obecnością tutaj; tak naprawdę wiedział o tym już wcześniej.

- Może masz rację. Walter jest zdolny do takich romantycznych posunięć, ale nie Isabel. Jeżeli jeszcze kiedykolwiek zdecyduje się na małżeństwo, to wybierze rycerza bogatego i z tytułami. Ona nie odda swej ręki biednemu, nic nie znaczącemu mężczyźnie. W każdym razie nie zauważyłem, by była poważnie zainteresowana Walterem.

- Walter fitz Alan nie jest zwykłym rycerzem, mój panie, i powinienes o tym pamiętać. Słyszałem, że właśnie w tej chwili w Chester przebywa hrabia Chester - powiedział milczący dotąd Reynaud.

- W Chester? A dlaczegoż by nie? Przecież to jego zamek.

- Mój panie. - Teraz Brian zabrał głos. - Wszyscy w Afoncaer wiedzą, że pomiędzy tobą a lady Isabel, zaszła kłótnia i że nałożyłeś na nią pewne zakazy. Nie uwierzę, że ona zapomni o takiej zniewadze, nie starając się ciebie jakoś za to ukarać.

- Często rozmawiała z Walterem sam na sam - dorzucił Reynaud - i na ogół wtedy, gdy ty o tym nie wiedziałeś.

- Co wy sugerujecie? - zaśmiał się Guy. - Czy myślicie, że Walter przewozi właśnie wiadomość od lady Isabel dla hrabiego Chester? „Drogi hrabio! Mój szwagier źle mnie traktuje, zabrania mi kupować nowe stroje. Proszę cię, przyślij mi kupon delikatnego, błękitnego jedwabiu, a jeżeli masz kilku zbędnych żołnierzy to przyślij ich do mnie, by mogli mnie bronić przed moim szwagrem". Walter z pewnością powiedziałby mi o tak niedorzecznej wiadomości i nie jechałby do Chester.

- Być może Walter wiezie inną o wiele poważniejszą wiadomość - stwierdził Reynaud,

- Chyba w zeszłym tygodniu przestrzegałeś Thomasa, że rycerze nie zawsze dotrzymują składanych ślubów - dodał Brian.

- Czy macie jakieś dowody? - Guy starał się być opanowany, choć żołądek miał zupełnie ściśnięty.

Pamiętał ostrzeżenia Isabel o tym, że się zemści, ale nie brał ich poważnie. Różne myśli krążyły teraz po jego głowie. Hrabia Chester był bardzo silny, to między innymi przeciwko niemu budowano twierdzę w Afoncaer. Ponadto wiedział, że hrabiemu Chester nie jest na rękę to, że to Guy jest władcą Afoncaer. Król Henryk z kolei był teraz w Normandii, za daleko, by w razie potrzeby pomóc Guyowi. Twierdza była jeszcze za słaba, by odbić atak takiego nieprzyjaciela jak Chester. Następną myśl wypowiedział głośno:

- Co takiego mógłby Walter powiedzieć hrabiemu Chester, aby sprowadzić na nas jego gniew?

- Nie mam pojęcia - powiedział Brian. - - Nie mamy żadnych dowodów, to tylko przeczucia. Walter ostatnio zachowuje się dziwnie i to mnie do niego uprzedza.

- Zupełnie zgadzam się z Brianem. Twoja uczciwość, mój panie, zaślepia cię i nie zauważasz wad u innych. Wszyscy musimy mieć się na baczności, coś wisi w powietrzu, a to powietrze nadciąga z Chester.

\*

W połowie lipca Walter powrócił i wydawał się nie zmieniony. Pewnego dnia Guy zobaczył go z Isabel stojących samotnie w kącie wielkiego hallu i rozmawiających o czymś zapamiętale. Walter podszedł do niego.

- Mój panie, czy mógłbym z tobą porozmawiać? - Szczerzył zęby w uśmiechu. - Zdaje się, że mam poważny problem i muszę się z niego wypowiedzieć.

- W takim razie dlaczego nie idziesz do ojca Herberta?

- Ponieważ ta spowiedź, drogi przyjacielu, dotyczy rzeczy ziemskich, mojej rodziny.

- Czy tego problemu rodzinnego, w sprawie którego pojechałeś do Chester?

- W rzeczy samej, mój panie. Czy moglibyśmy iść gdzieś, gdzie nikt by nas nie usłyszał? To, jak większość spowiedzi, jest sprawa poufna.

- Dobrze. - Usiedli na kamieniach na podwórku zamku. - Powiedz mi, Walterze, o co chodzi?

- Pragnę poślubić lady Isabel.

- Obawiam się, że to niemożliwe. Nie masz żadnych ziem, żadnego tytułu. Nie mogę jej tobie oddać, wiedząc, że będzie żyła w ubóstwie, zresztą ona sama nigdy by się na takie małżeństwo nie zgodziła - Walter chciał przerwać, ale Guy mu nie pozwolił. - Gdybym nawet miał jakiś majątek, który bym mógł tobie dać, to i tak nie wystarczy na to, byś utrzymał Isabel. Niestety, muszę ci odmówić.

- Nie rozumiesz - powiedział. - Mam pewne plany i być może dostanę nawet spore połacie ziemi i tytuł.

- Nie wiedziałem, że twój starszy brat ma wkrótce umrzeć - sucho zauważył Guy.

- Nie, to nie Baldwin, on ma się dobrze. Nie mam szansy dziedziczenia po nim czegokolwiek. To hrabia Chester obiecał mi ziemię.

- Doprawdy? - zainteresował się Guy. - W zamian za co, czy można spytać?

- Jesteśmy przyjaciółmi, nieprawdaż Guy?

- Zawsze w to wierzyłem.

- Więc pozwól mi rozwiązać moją przysięgę wobec ciebie, bym mógł służyć hrabiemu Chester. On uczyni mnie swoim wasalem i ofiaruje ziemię w Tynant. Zostanę ponadto lordem Tynant. Isabel powiedziała, że będzie bardzo szczęśliwa.

- Zdziwiłbym się, widząc Isabel szczęśliwą, nawet gdyby miała otrzymać koronę Anglii. Nie miałeś jednak prawa rozmawiać z nią na ten temat, zanim nie skonsultowałeś się ze mną.

- Kocham ją a ona kocha mnie.

- W takim razie oboje jesteście głupcami, miłość to dobre dla wieśniaków, ale nie dla szlachetnie urodzonych. Taka namiętność będzie przeszkadzać w poważnych obowiązkach. Powinieneś wybrać sobie żonę, która będzie w stanie poprowadzić twój dom, kiedy ty będziesz na wojnie, żonę, która będzie odpowiedzialna, łagodna i urodzi ci synów. Mam nadzieję, że wiesz, jaka Isabel jest lekkomyślna, rozrzutna i dumna. Powinieneś również wiedzieć, że to królowa nalegała, by ją usunąć z dworu.

- Nie obchodzi mnie to wszystko. Najważniejsze jest to, że się kochamy. Będziemy ze sobą szczęśliwi w Tynant.

- Myślę - powiedział cicho Guy - że jesteś szalony.

- Ponieważ ty jesteś niezdolny do kochania kogokolwiek, sądzisz, że wszyscy muszą być tacy jak ty. My chcemy się pobrać, Guy. Błagam cię o rozwiązanie przysięgi i zgodę na ślub.

- Pomyślę o tym. Dam ci odpowiedź za dzień lub dwa.

- Niech będzie pozytywna, dla dobra naszej przyjaźni.

- A co zrobisz, drogi przyjacielu, jeżeli powiem nie? - Walter milczał i spuścił wzrok. - Czyżbyś już ślubował wierność hrabiemu Chester? - zapytał spokojnie Guy.

- Na mój honor, panie, nie!

- Na twój i mój honor nie powinieneś więcej rozmawiać z Isabel, zanim nie usłyszysz mojej odpowiedzi.

- Ja ją kocham - oświadczył raz jeszcze.

- Chyba za dużo czasu spędziłeś na dworze w Tuluzie. Tam mówi się dużo o takich romantycznych nonsensach. Kobiety dają jedwabne szaliki rycerzom, którzy idą walczyć. Tutaj mamy ważniejsze sprawy na głowie: Walińczycy, którzy w każdej chwili mogą się przeciw nam zbuntować, lub chociażby lordowie graniczni, którzy chcieliby być silniejsi niż król. Miej się na baczności, Walterze. Dotąd byłeś moim przyjacielem. Nie chciałbym, byś zaplątał się w sieci hrabiego Chester.

- Jedyna sieć, w którą już się wplątałem, to sieć lady Isabel.

- Biedny Walterze! - Guy wstał. Pokiwał głową. - Kto okaże się bardziej niebezpieczny: Isabel czy Chester? Tak czy owak myślę, że dużo stracisz, zanim się ockniesz.

## ROZDZIAŁ 25

Guy przyzwyczajony był do podejmowania decyzji na własną rękę, ale tym razem musiał porozmawiać z Brianem i Reynaudem, którzy uświadomili mu możliwość zdrady. Reynaud był co prawda człowiekiem książek, ale udowodnił przez dwa lata współpracy, że jego rady są bardzo cenne.

Siedzieli w prawie już ukończonej komnacie Guya, bo tylko tu mogli mieć pewność, że nikt im nie przeszkodzi. Za kilka dni miano już wymalować ściany i wnieść łóżko robione przez miejscowych stolarzy. Guy wiedział, że będzie mu brakowało kompanów z wielkiego hallu, gdzie dotychczas spał, ale taki był obowiązek władcy: musiał mieć własny pokój.

Reynaud też miał dostać pokój, nieco mniejszy, ale równie wygodny. Przede wszystkim ważne było to, że Reynaud będzie miał w nim spokój i ciszę potrzebną do pracy. Reynaud sugerował, że pokój ten powinno się zamienić na bibliotekę, kiedy prace nad Afoncaer już się skończą, a on wyjedzie. Będzie w niej można trzymać plany twierdzy i księgi rachunkowe oraz historię zamku, którą on sam spisywał.

- Zostawisz papiery i księgi mnie, tak jakby to były dzieci dane mi na wychowanie - rzekł Guy.

- Ukochane dzieci wysłane do drogiego przyjaciela, który zaopiekuje się nimi tak, jakby były jego własne - odpowiedział. - Wiesz, że ślubowałem czystość, więc księgi to wszystko, co po mnie pozostanie. Chcę, by były z tobą.

Guy zgodził się na tę propozycję i zaczął mówić o tym, co ich rzeczywiście sprowadziło do tego pokoju. Opowiedział im swoją rozmowę z Walterem.

- A więc teraz wiemy, w jakim celu Walter pojechał do Chester - stwierdził Brian. - To oczywiste, że lady Isabel, powiedziała mu, że wyjdzie za niego tylko wtedy, jeżeli będzie miał jakieś dobra.

- Ciekawi mnie, czy tylko to - szepnął Reynaud. - Mnie także - odpowiedział Guy. - Walterowi nigdy na niczym innym nie zależało, tylko na tym, by być moim rycerzem.

- Chce mieć posiadłości, bo wie, że w ten sposób zdobędzie Isabel. On oszalał na jej punkcie. Obserwuję ich, gdy są razem. Ona natomiast traktowała go z przymrużeniem oka, bawiła się nim aż do dnia tej pamiętnej kłótni z tobą - zauważył Brian. - Teraz zachowuje



się jak zakochana panienka, rumieni się za każdym razem, gdy on na nią spojrzy. Czy zgodzisz się na to małżeństwo? To mogłaby być dla ciebie korzyść, mieć przyjaciela W obozie hrabiego Chester.

- Jeżeli sir Walter jest przyjacielem - odpowiedział Reynaud.

Guy myślał nad tym. Sam zastanawiał się, czy Walter jest jeszcze lojalny wobec niego. Z drugiej zaś strony pozbyłby się wreszcie tej wiecznie niezadowolonej Isabel. Ojciec Herbert też na pewno by z nią pojechał. Nareszcie skończyłyby się rozmowy o dzikich ludziach mieszkających w lesie. W zasadzie wszystko mogłoby być jak najlepiej, jednak coś go nurtowało i nie dawało spokoju. To rozwiązanie wydawało się za łatwe, za proste. Nieraz bywał na polu bitwy i miał tyle doświadczenia, by wiedzieć, że w takich łatwych rozwiązaniach czai się pułapka. Jednak jeżeli odmówi, jakie będzie dalej życie w Afoncaer? Wiedział, że często stosowano przemoc wobec kobiet ale bicie nie było w jego zwyczaju. Również nie miał sumienia zamykać Isabel w odosobnieniu, tak jak by to uczynił każdy inny, by pozbyć się takiego kłopotu jak ona.

- Guy? Czy jesteś jeszcze z nami? - przerwał jego rozmyślania Brian. - I co myślisz o małżeństwie Waltera z Isabel?

- Sądzę - na chwilę wstrzymał oddech - że nadszedł czas na wesele w Afoncaer.

W dwa dni później Isabel zapewniła Guya, że chce wyjść za Waltera i ojciec Herbert oficjalnie ich zaręczył. Ślub i wesele miały się odbyć pierwszego września, Isabel pochłonięta była przygotowaniem. Guy pozwolił jej napisać do Chester, by przysłano stamtąd atlas na jej ślubną sukienkę. Była rozpromieniona.

Właściwie Guy nie miał powodu, by się martwić. Walter zapewniał, że chce nadal pozostać jego przyjacielem. Hrabia Chester dołączył do wojsk królewskich, by walczyć w Normandii. Wszystko układało się pomyślnie, jednak cały czas drażyło go dziwne uczucie niepewności.

Zima była bardzo ciężka dla Rhysa. Tego roku nawet przyjście wiosny nie poprawiło jego samopoczucia. Już po kilku krokach męczył się bardzo i musiał siadać, by złapać oddech. Ból w sercu go nie opuszczał. Lekarstwa przygotowywane przez Branwen przestały działać. Razem z Meredith rzadko opuszczały jaskinię, chcąc być z nim jak najdłużej.

Thomas z Brianem przychodzili prawie codziennie. Tego dnia jednak Thomas przyszedł sam, usiadł obok Rhysa, którego Meredith poła ziołami. Branwen odpakowywała koszyczek z jedzeniem.

- Czujesz się lepiej, nieprawdaż, Rhys? - zapytał Thomas, trzymając dłoń na jego ramieniu.

- Jutro, Thomasie, pójdziemy razem nad strumień i opowiem ci historię o Giffyddzie ap Llywelyn, który walczył przeciwko Haroldowi Saskiemu na długo przed przyjściem Normanów. Byliśmy wtedy wielkim narodem.

- I jeszcze będziemy - dodała Branwen.

- Ależ, ciociu - droczyła się Meredith. - Myślałam, że zawarłaś pokój z Normanami.

- Brian jest tylko w połowie Normanem - powiedział Thomas i zaśmiał się, widząc rumieniec na twarzy Branwen. Nagle zamilkł, słysząc jakiś hałas przed jaskinią.

- Brian, czy to ty? - krzyknął.

Nie było żadnej odpowiedzi. Usłyszeli szelest odsuwanych liści i w wejściu do jaskini stanął wysoki mężczyzna.

- Walter? - Głos Thomasa był pełen strachu.

- A więc to tutaj przychodzisz, gdy wymigujesz się od obowiązków. Kim są ci ludzie? - Walter spojrzał groźnie. - Zapominasz się, Thomasie. Ty, syn lorda, spotykasz się z takimi ludźmi. To nie do wiary.

- Oni są moimi przyjaciółmi - dumnie odpowiedział chłopiec.

- Przyjaciółmi? Gdyby twoja matka wiedziała, jakich masz przyjaciół, na pewno solidnie by cię ukarała.

- Proszę, nie mów jej, Walterze!

Walter nic nie odpowiedział. Rozejrzał się dokoła.

- Meredith, czy to ty? Pamiętam cię z Afoncaer, ciekawiło mnie, dokąd odeszłaś. Czyżby mój pan znudził się tobą i odesłał cię? - Podszedł do niej bliżej; odsunęła się.

- Nie - wyszeptała przestraszona. - Guy nigdy by...

- Guy? A więc nie mój pan albo lord? - zaśmiał się szyderczo. - A więc mój przyjaciel nareszcie zgrzeszył? Przynajmniej wybrał sobie do łóżka ładną ładacznice.

- Nie, nie wybrał. - Straciła panowanie nad sobą, słysząc tę obelgę. - Porzuciłam Afoncaer przez twoją ukochaną Isabel.

- Isabel? - Jego twarz pociemniała. - Co takiego Isabel zrobiła? Co takiego?

- Nie waż się jej dotknąć. - Branwen wystąpiła w obronie Meredith. Mały sztylet zawsze zatknięty za pasek jaśniał teraz w jej dłoni. - Zostaw ją w spokoju.

- Odważysz się mnie powstrzymać? - szydził. - Taką zabawką? - Spojrzał na sztylet.

Rhys wstał i choć podpierał się laską, jego głos zabrzmiał jak grom:

- Jeżeli ona tego nie uczyni, to ja na pewno. Nie jesteś tu mile widziany. Wyjdź stąd natychmiast!

Walter cofnął się, po czym wyjął swój miecz i wymierzył go w Rhysa.

- Ty zuchwały starcze, skończę z tobą, i to szybko.

- Odłóż miecz - zagrział Rhys, podniósł rękę i palcem wskazał wyjście. - Zostaw nas! Odejdź!

Walter jednak podniósł miecz i rzucił się naprzód. Thomas krzyknął coś i chwycił ramię Waltera, Branwen złapała jego drugą rękę, zamierzając się nań swoim sztyletem. Wtedy pojawił się w jaskini Brian. Obiema rękami objął Waltera, by go powstrzymać. Branwen zamierzyła się raz jeszcze. Na szczęście Thomas przytrzymał jej rękę.

Rhys osunął się na podłogę. Trzymał się za klatkę piersiową, obok leżała jego laska.

- Rhys! - Meredith wydała z siebie żalosny krzyk. Uklękła obok niego, kładąc mu głowę na piersi. Przez chwilę patrzył na nią szarymi oczami, po czym je zamknął. Wyzionął ducha. Wszystko wokół niej runęło, cały świat stracił barwy i stał się przezroczysty, pozbawiony sensu. - Nie, Rhys!

Thomas klęczał nad ciałem przyjaciela. Łzy spływały po jego policzkach, ale nie zrobił nic, by je obetrzeć; nie wstydził się tych łez.

- Walterze - wycedził Brian przez zaciśnięte zęby. - Odejdź stąd natychmiast, albo przysięgam, że cię zabiję.

- Meredith... czy on... - Branwen nie mogła dokończyć zdania, stała w bezruchu.

Meredith skinęła głową, nie mogąc wydobyć z siebie słowa.

- To był stary człowiek. Wydaje się, że żył już dość długo - rzekł Walter.

- Ty go zabiłeś! - krzyknął Thomas. Podbiegł do niego i bił go pięściami gdzie popadło. - Zabiłeś mojego przyjaciela, nienawidzę cię, nienawidzę!

- Przyjaciela? - Walter chwycił chłopca za nadgarstki. - Ten człowiek nie mógł być twoim przyjacielem, pamiętaj, kim jesteś, Thomasie.

- Thomas ma rację. - Branwen odwróciła się. - Ty zabiłeś Rhysa.

- Umarł ze strachu - powiedział Walter. - Przecież wcale go nie dotknąłem. On po prostu nie mógł znieść widoku mojego miecza.

- Przysięgam - powiedziała dumnie Branwen - że wy, Normanowie, zapłacicie mi za to, choćby miało mnie to drogo kosztować. Zemszczę się.

- Miej się na baczności, kobieto. Prawo przewiduje karę dla tego, kto grozi lub znieważa Normana, jeszcze jedna pogróżka, a ty też będziesz martwa.

- Walter! - Głos Briana był pełen pasji. - Idź stąd.

- Z przyjemnością, a ty zostań ze swoimi, Walińczyku, najwyraźniej wolisz ich. Wezmę tylko ze sobą mojego przyszłego pasierba.

- Nie! - Thomas bronił się rozpaczliwie. - Ty jesteś obłąkany, nie pójde z tobą, chcę zostać z moimi przyjaciółmi!

- Thomasie! - Meredith wstała i podeszła do chłopca. - Idź do Afoncaer z sir Walterem, powiedz koniecznie lordowi Guyowi o śmierci Rhysa, on z pewnością chciałby o tym wiedzieć. Zrób to dla nas, Thomasie, zanieś tę wiadomość, a potem oddaj się pod specjalną opiekę wuja Guya. - Włożyła cały wysiłek, by powiedzieć to spokojnie; pragnęła, by Thomas się uspokoił.

- Proszę, puść go, chyba rozumiesz, że jest smutny - zwróciła się do Waltera

Ulżyło jej, gdy ten puścił chłopca i wyszedł z jaskini. Thomas rzucił się w ramiona Meredith i wybuchnął rzewnym płaczem. Tuliła go mocno i pieściła jego włosy, całowała w czoło.

- Idź! Wracaj do Afoncaer, już nic więcej nie, możesz zrobić dla Rhysa.

- Gdy umarła służąca mojej mamy, Agnes, Rhys powiedział mi, bym wspominał ją z wielką miłością i tak będę wspominał też Rhysa.

- Spojrzał raz jeszcze w kierunku leżącego starca i wyszedł.

- Czy ta normańska bestia nic mu nie robi? - zapytała Branwen.

- Nic - zapewnił Brian. - Walter związany jest przysięgą z Guyem aż do dnia swego ślubu, a Thomas to dziecko jego przysięłej żony. Jest bezpieczny.

- Musimy pochować Rhysa - powiedziała Meredith.

- Czy posłać po księdza? - zatroszczył się Brian i dopiero po chwili się zreflektował. - Nie, oczywiście, że nie, przecież nie był chrześcijaninem. Sami to zrobimy i to natychmiast, jest bardzo upalnie.

- Dziękujemy ci za pomoc.

Branwen położyła głowę na jego ramieniu i starała się przyjść do siebie. Jako jedyna krewna zmarłego zajęła się pogrzebem. Nie było to trudne. W tym opanowanym przez Normanów kraju odprawiano już pogrzebów, jakie należały się takiemu mędrcom jak Rhys. Przy pomocy znajomego Branwen powiadomiono kogo należało o śmierci. Kilka osób przyszło pochylić głowy nad grobem. Rhysa położono w dole wykopanym przez Briana. Branwen wypowiedziała kilka słów, które jeszcze po walijsku pamiętała. Walnie zakończono ceremonię, gdy pojawił się Guy.

- Thomas mi powiedział. - Rozpostarł ramiona i Meredith wtuliła się w nie. Pozwoliła mu się obejmować tak, jak przed chwilą obejmowała Thomasa. - Thomas powiedział, że Walter jest odpowiedzialny za... - powiedział Guy do Briana ponad głową Meredith.

Brian opowiedział mu całe zajście.

- Żałuję, że wyraziłem zgodę na to małżeństwo, ale dałem słowo i przybiłem pieczęć na liście potwierdzającym do hrabiego Chester. Ślub odbędzie się w następnym tygodniu.

- Ciągle jednak stoję na stanowisku, że w tych konszachtach z hrabią Chester czai się coś niedobrego - mruknął Brian.

- Możesz mieć rację, ale omówimy to później. Meredith i Branwen, co teraz zrobicie? Pamiętajcie, że możecie przenieść się do Afoncaer, przywitamy was w zamku serdecznie.

- Tu jest nasz dom - odpowiedziała Branwen. - Jeżeli dotrzymasz obietnicy, jaką nam kiedyś dałeś i nie pozwolisz normańskim żołnierzom penetrować tej okolicy, będziemy bezpieczne. Żałuję, że Walter nas znalazł.

- Zakazałem mu poruszać się po całym lesie. Czy to samo ma odnosić się do Briana?

- Nie strój sobie żartów nad grobem, panie. Brian jest inny.
- Czyżby? - Błady uśmiech zagościł na twarzy Guya - Czy chcesz, bym i ja trzymał się z dala od jaskini?
- Meredith byłaby szczęśliwsza, gdybyś nigdy się tu nie pojawił - odpowiedziała rozeźlona - i Rhys żyłby teraz.
- Ciociu, nie mów tak. Obie wiemy, że Rhys był już bardzo stary i bardzo chory. To, co się dzisiaj stało, jest winą Waltera, jeżeli w ogóle można mówić o czyjejs winie. Jednak, lordzie Guyu, sądzę, że będzie rozsądniej, jeżeli będziemy trzymać się tej umowy i nie będziemy się widywać.

Nie chciała, by ich spojrzenia się spotkały. Tak bardzo chciała go mieć przy sobie. Wstydziła się uczucia radości, jakie ją ogarnęło, gdy ujrzała go nad grobem Rhysa. Powinna panować nad swoimi emocjami, w końcu minęło już półtora roku, od czasu gdy ostatni raz go widziała. Gdy Brian i Guy wyszli z jaskini, zaczęła płakać. Sama nie wiedziała, czy płacze z powodu utraty Rhysa, czy nad swoją nieszczęśliwą miłością.

CZEŚĆ 4  
THOMAS  
Walia, AD. 1105

## ROZDZIAŁ 26

Sierpień, AD .1105

- Guy, proszę, pozwól Thomasowi jechać ze mną i Walterem do Tynant - błagała Isabel. - Tylko na krótko, by złożył nam wizytę. Przecież możesz mu podarować dwa tygodnie. Przez ostatnie dwa dni był bardzo smutny. Nie chce powiedzieć ani słowa, co go tak dręczy, ale podejrzewam, że jest to związane z moim przyszłym małżeństwem.

Guy znał powód smutku Thomasa, ale nie zamierzał go wyjawiać bratowej.

- Jesteś bardzo zainteresowana swoim synem. Dziwi mnie to, sądziłem, że będziesz tak przejęta własnymi planami, że zupełnie o nim zapomnisz. Czy naprawdę chcesz, by syn z twojego poprzedniego małżeństwa był z tobą w twoim nowym domu?

- Nie jestem aż tak obojętna na los Thomasa, jak sobie wyobrażasz - zachnęła się. - Widzę jego przygnębienie. Czuje ogromną niechęć do Waltera. Myślę, że to zrozumiałe, być może on nie chce, bym w ogóle wychodziła ponownie za mąż. Przypuszczam, poczułby się lepiej, gdyby mógł zobaczyć, jaka jestem szczęśliwa w nowym miejscu. Walter twierdzi, że dom, który mu ofiarował hrabia Chester, jest ładny, mile urządzony i wygodny. Pozwolimy Thomasowi powrócić do Afoncaer, gdy już przekona się, że jestem szczęśliwa.

Guy przemyślał propozycję Isabel i stwierdził, że zasadniczo nie ma nic przeciwko niej. Isabel w ostatnich dniach była nad wyraz uprzejma i wesoła. Myliła się jednak co do powodu smutku syna, on w dalszym ciągu przeżywał śmierć Rhysa. Może zainteresowanie Isabel ukoji jego cierpienie? Poza tym miał nadzieję, że zmiana otoczenia dobrze na niego wpłynie.

Starał się też pamiętać, by zbytnio nie ustępować bratowej, wiedząc, że staje się wtedy jeszcze bardziej uciążliwa. Postanowił zażądać od niej czegoś w zamian, by nie poczuła się zbyt swobodnie.

- Zawrzemy pewien układ - powiedział. - Zauważyłem, że twoje służące, Alice i Joan, nie lubią się. Pozwól, by Joan została w Afoncaer, gdy ty wyjedziesz. Potrzebny mi będzie ktoś, kto zarządzi domowymi sprawami. Joan da sobie z tym wszystkim radę, inne kobiety ją szanują. Zgadzasz się?



- Najzupełniej. Alice jest o wiele przydatniejsza i dobrze zna najnowszą modę obowiązującą na dworze. Niech Joan zostanie w Afoncaer - powiedziała beztrąsko, tak jakby długoletnie oddanie Joan nic dla niej nie znaczyło.

- Wspaniale. W takim razie zgadzam się, by Thomas pojechał z tobą, ale tylko na dwa tygodnie. Później znowu będę go potrzebował.

- Och, Guy! - Isabel objęła go. - Dziękuję ci, jesteś dla mnie taki dobry. Wiem, że byłam dla ciebie udreką, ale nawet nie zdajesz sobie sprawy, jaka byłam tu nieszczęśliwa.

- Chyba trochę sobie zdaję sprawę - powiedział zaskoczony taką zmianą w zachowaniu bratowej.

Uśmiechnęła się do niego słodko. Pomyślał, że to chyba perspektywa opuszczenia Afoncaer, a nie miłość do Waltera tak ją podnieca. Obojętne co to było, ważne że opuszcza ten zamek. Guy wiedział, że z Joan da sobie radę. Nadal sądził, że nie potrzebuje żony. Każda arystokratka będzie źle się czuła w tej odległej twierdzy i swoim nieszczęściem unieszczęśliwi jego. Woli mieszkać tu sam.

W dzień ślubu było chłodno, mokro i wietrznie. Rankiem podążyli do nowo wybudowanej murowanej świątyni. Przeczytano i podpisano kontrakt małżeński, a ojciec Herbert odprawił mszę. Później w wielkim hallu przywitał ich tłum mieszkańców z okolicy i zaczęła się huczna zabawa.

Chociaż Isabel pobrudziła sukienkę w walijskim błocie, nic nie było w stanie zaćmić jej dobrego humoru. Siedziała pomiędzy Guyem a Walterem i co jakiś czas spoglądała na złotą obrączkę. Wesele było wyśmienite, potrawy przepyszne. Thomas jak umiał najlepiej służył matce i ojczymowi.

Walter pochylił się nad Isabel i szepnął jej coś do ucha. Zarumieniła się i drżącą ręką odstawiła kielich. Guy domyślił się, o czym szeptali. Pożądanie, jakie w nich tkwiło, było teraz już oczywiste. Poczł się nieswojo. Meredith cały czas gościła w jego marzeniach, chociaż starał się o niej nie myśleć. Tęsknił do niej bardzo, aż za bardzo. Z pewnością to atmosfera weselnego dnia pogłębiała jeszcze uczucie tęsknoty i miłości. Nie mógł zapomnieć chwili, gdy nad grobem Rhysa rzuciła mu się w ramiona; było to tak, jakby odzyskał pewną część samego siebie. Cały czas czuł jej delikatne ciało wtulające się w jego ramiona. Czł zapach jej włosów i dotyk jej skóry. Nie był wcale lepszy od Waltera czy Isabel.

Kontrolował swoją namiętność, ale prawda była taka, że potrzebował Meredith jak żadnej innej kobiety dotychczas. To było coś więcej niż zwykłe fizyczne pożądanie. Inni lordowie po prostu brali sobie te dziewczki, które im się podobały i kochali się z nimi, nie zważając na to, co one czują i czego chcą. On nie chciał tak postępować. Nie wyobrażał sobie miłości z inną kobietą. Dla niego istniała tylko Meredith. Z rozmyślań wyrwał go głos Thomasa.

- Wujku Guyu, mama mówi, że musimy wyruszać teraz, jeżeli chcemy dotrzeć do Tynant przed zmierzchem. - Widać było, że nie jest zadowolony.

- To tylko dwa tygodnie, Thomasie. Będziesz z powrotem, zanim się obejrzyysz.

Przeszkodziła im Isabel. Chciała podziękować szwagrowi za jego troskę, wyrozumiałość i zgodę na poślubienie Waltera. Później wsiedli do powozu i zniknęli za bramami Afoncaer, zmierzając do Tynant. Przez mgłę i deszcz Guy widział twarz Thomasa zwróconą w kierunku zamku. Pomachał ręką do chłopca i wrócił do wielkiego hallu. Brian podał mu kielich z winem.

- Będziemy potrzebować więcej żołnierzy - powiedział Brian. - Walter wziął tych dwunastu, którzy tu z nim przyjechali.

- Zgadzam się. - Rozmowa na męskie tematy, jakimi niewątpliwie są sprawy wojenne, dobrze działała na Guya. - Będziesz musiał wyćwiczyć paru miejscowych ludzi, Brian. Przez jakiś czas Chester nam nie zagrozi, jest przyjacielsko nastawiony, ale musimy być czujni.

- Rozpocznę ćwiczenia jutro. Miejmy nadzieję, że Chester pozostanie w Normandii do czasu, aż ich wyszkolimy. Czy pasujesz Geoffreya na rycerza?

- Wkrótce - przytaknął. - Jest już wystarczająco dorosły i jestem pewien, że pozostanie dalej w mojej służbie. Będę więc potrzebował jednego lub dwóch nowych giermków. Posłałem po paru żołnierzy do moich posiadłości w Adderbury i poprosiłem tamtejszego zarządcę, by zaproponował mi odpowiednich kandydatów.

Meredith! Meredith, co teraz robisz?

Brian zadał mu jeszcze jedno czy dwa pytania i Guy odegnał od siebie myśli o dziewczynie. Ona nie była dla niego. Musiał być silny. Musiał wybić ją sobie z głowy i myśleć o męskich, żołnierskich sprawach.

\*

W Tynant Isabel zwolniła Alice z jej obowiązków i położyła się spać. Gdy czekała na przyjscie Waltera, rozmyślała o swojej nocy poślubnej sprzed piętnastu lat. Była wtedy bardzo podniecona i naiwnie niewinna. Po tych wszystkich latach nie zdobyła jednak większego doświadczenia w sprawach miłosnych. Popołudnie z Walterem w lesie poza przyjemnością fizyczną nie pozostawiło żadnych zmian. Walter nalegał, by częściej spędzali w ten sposób czas, ale Isabel bała się, że jeżeli odda mu się całkowicie, jej misternie opracowany plan zawiedzie. Woląa trzymać Waltera w niepewności.

Tymczasem on pojawił się w drzwiach. Miał na' sobie długi, czerwony płaszcz i Isabel na chwilę wróciła myślami do tamtej nocy; Lionel też miał na sobie czerwony płaszcz. Przestraszyła się, ale trwało to krótko. Walter zbliżył się do niej i pochylił się. Spojrzał na nią czule i pogładził jej włosy. Tak, on ją kochał, co do tego nie było żadnych wątpliwości. Poczula podniecenie, gdy zdjął płaszcz i położył się obok niej. Miał piękne, smukłe ciało, dobrze umięśnione. Isabel zdławiła chęć przytulenia go i objęcia ramionami. Niech zrobi to pierwszy, pomyślała.

- Nareszcie - wyszeptał głosem głębokim z podniecenia. - Jesteś moja i tylko moja. Nic nas nie dzieli, żadne ubrania, żadne protesty, strach. Jesteśmy tylko my, Isabel, moje kochanie.

Poruszyła się, wyciągnęła wygodnie, czując przyjemny ból w dole brzucha. Walter wyjdzie jej na spotkanie, on ją zaspokoi. Rozpostarła ramiona, przytulił się do niej. Kochali się z ogromną czułością i pasją, taką, o jakiej kiedyś marzyła. Walter wprowadzał ją w tajniki miłości, o których nawet nie sądziła, że istnieją. Czynił z niej prawdziwą kobietę. Podążała za nim najpierw trochę niepewnie, ciągle kontrolując swoje ruchy, a potem coraz odważniej i chętniej.

Gdy zasnął, rozmyślała o tych wszystkich straconych latach, których już nie da się nadrobić. Otarła łzy; które napływały jej do oczu. Może to i lepiej, że nie znała takiej miłości, kiedy była jeszcze żoną Lionela, na pewno nie wytrzymałaby długo w samotności. To było takie przyjemne i pasjonujące!

Teraz miała męża, który robi dla niej wszystko. Wykorzysta to więc i odda się mocy pożądania.

Chciwie sięgnęła po jego rękę i obudziła go. Położyła się na nim; znowu się kochali, zapominając o planie podbicia Afoncaer.

## ROZDZIAŁ 27

Stało się to w dniu, w którym Thomas po dwóch tygodniach pobytu w Tynant, miał powrócić do Afoncaer. Wiadomość od Waltera dotarła do Guya.

- No cóż tam? - niecierpliwił się, gdy Reynaud czytał cicho wiadomość. - Czy Thomas jest chory albo ranny? Reynaud, na miłość boską, powiedz, dlaczego nie przyjechał wraz z kurierem?!

- Pozwól mu przeczytać, Guy, a potem ci powie - uspokajał Brian. Za moment sam zapomniał o udzielonej radzie i krzyknął: - Dalejże, człowieku, przecież umiesz czytać szybciej. Co się stało? Dlaczego tak zbladłeś?

- Panie, nie spodoba ci się to. - Reynaud spojrział z przerażeniem.

- Nieważne czy mi się spodoba, czy nie. Powiedz, czy z Thomasem wszystko w porządku?

- W liście jest napisane, że jak dotąd wszystko z nim w porządku.

- Jak dotąd? Co to, u licha, ma znaczyć?

- Sir Walter pisze, że trzyma Thomasa jako zakładnika - czytał list niepewnie, jakby nie wierząc własnym oczom. - Nalega, byś poddał Afoncaer natychmiast albo twój bratanek zginie. „Wszystkie twoje posiadłości w Walii i twoich ludzi”, tak jest w liście.

- Jak on śmie? - Twarz Briana poczerwieniała ze złości. - Jeżeli choć tknie Thomasa, zabiję go! Przysięgam, że to zrobię.

- Ja również, sir Brianie - zaofiarował się Geoffrey. - Los Thomasa nie jest mi obojętny i sprzeciwiam się takiej zniewadze wobec mojego pana.

- Uciszcie się obaj i pozwólcie mi przez chwilę pomyśleć. - Guy starał się opanować. Całą złość kierował przeciwko sobie, przeciwko swojej głupocie. Był głupcem, ufając Walterowi, a przede wszystkim nie powinien był ufać tej żmii, Isabel, i jej fałszywej trosce o syna. To wszystko musiało być z góry ukartowane. Isabel nie wybaczyła mu zakazów, jakie na nią nałożył. To była jej zemsta. Ale jak może matka, nawet tak podła jak Isabel, wykorzystać w ten sposób swoje dziecko? Znał odpowiedź na to pytanie. Ten przypadek nie był odosobniony. Jego rodzice także wykorzystali ojca Thomasa dla własnych politycznych zamiarów i celów.

Kilka lat temu syn pewnego rycerza został porwany przez swego wuja, młodszego brata swego ojca, i wzięty jako zakładnik. Gdy rycerz odmówił oddania zamku i przygotowywał się do obrony,

porywacz użył chłopca - zakładnika jako amunicji do jednej ze swoich katapult. Dziecko wylądowało u stóp ojca rozerwane na strzępy. Wypadek ten długo był tematem rozmów na dworze. Walter doskonale wiedział, że Guy pamięta to wydarzenie.

Guy nie mógł jasno myśleć, walcząc z uczuciem lęku i niepokoju o los Thomasa.

- Walter wie, że otrzymałem Afoncaer od króla Henryka i nie mogę go oddać nikomu bez jego pozwolenia. Czyżby to był plan Waltera, zażądać ode mnie rzeczy, której nie mogę spełnić? Czemu ma to służyć? Powiedziałaś kiedyś Reynaud, że Walter nie jest zwykłym rycerzem. Powiedz mi, co sądzisz o jego podstępie?

- Jest jeszcze coś, mój panie - Reynaud spojrzał na list. - Sir Walter twierdzi, że ma poparcie hrabiego Chester. Teraz znamy prawdziwy powód, dla którego oddał się pod jego rozkazy. Nie tylko dom i ziemie przyciągnęły go do nowego pana.

- Tak. - Guy zaczynał rozumieć podstęp. - Chester jest tak silny, że może odebrać mi Afoncaer, kiedy tylko zechce, nie bojąc się króla. Henrykowi powie, że było to konieczne, by utrzymać pokój na walijskiej granicy, a ja nie potrafiłem sobie z tym poradzić. Chester zdobędzie zamek i odda go Walterowi jako swemu wasalowi. Walter jest tak zakochany w Isabel, że nie zawaha się zdradzić starego przyjaciela, by tylko zdobyć jej serce i aprobatę.

- Hrabie Chester udało się znaleźć sposób, by cię zhańbić. Jest zły, że tu przebywasz, weźmie twój zamek bez walki i zdobędzie uznanie króla za utrzymanie porządku na granicy - powiedział Reynaud.

- A Isabel będzie panią Afoncaer, żoną bogatego i utytułowanego rycerza i być może nareszcie pozwolą jej wrócić na dwór królewski - dodał Guy.

- Może lady Isabel nic o tym wszystkim nie wie? - rzekł Geoffrey.

- Trudno mi w to uwierzyć - stwierdził Guy, - Za bardzo nalegała, by wziąć Thomasa. Domyślałem się, że kiedy wyjdzie za mąż, zupełnie przestanie zależeć jej na synu, ale uwierzyłem w jej troskę. Jeżeli jeszcze raz spotkam Isabel, ukarzę ją srogo; siebie też powinienem ukarać. Mnie należy za to winić. Nie powinienem był pozwolić Thomasowi jechać.

- Za późno teraz na takie myśli - zauważył Reynaud.

- Wyrodna matka, która pozwoli umrzeć swojemu synowi w taki sposób - powiedział Brian,

- Nie, nie umrzeć, oni oboje wiedzą, że nie dopuszczę do tego. Dopóki nie mam własnego syna, Thomas jest moim dziedzicem, a co ważniejsze, oboje wiedzą, jak bardzo go kocham. Wierzą, że zapomnę o honorze i obowiązkach wobec króla i zgodzę się na ich żądania.

- Zwołajmy armię i zaatakujmy Waltera - zasugerował Brian. - Uwolnimy Thomasa. Walter mieszka w domu, nie w zamku.

- Powołanie armii zajmie dużo czasu - odezwał się Reynaud. - Poza tym w momencie, gdy nasza armia znajdzie się pod bramami jego domu, on może zabić Thomasa.

- Co więc mamy zrobić? - Brian spojrzął na wszystkich. - Jakie masz propozycje, Guy? Znasz Waltera lepiej niż my.

- Obawiam się, że decyzja należy do ciebie, mój panie. Król jest za daleko, by mógł ci pomóc - przypomniał Reynaud.

- To prawda, ale mimo wszystko powinien się o tym dowiedzieć. - Guy zaczynał myśleć konstruktywnie. - Reynaud, napiszesz list do króla, w którym opiszesz naszą sytuację. Załącz też kopię listu Waltera, w szczególności część, w której pisze o zaangażowaniu hrabiego Chester w ten incydent. Niechaj Henryk się dowie, co robią jego poddani za jego plecami. Listy wyślij naszym najszybszym kurierem.

- Zanim list dotrze do króla, miną tygodnie, a zanim nadejdzie odpowiedź, miną następne.

- Wiem, ale mimo to wyślij. Następnie, Reynaud, pojedziesz do Waltera i postarasz się wynegocjować uwolnienie Thomasa.

- Do twoich usług, panie, ale moja nieobecność w Afoncaer pozostawi cię bez osoby, która umie czytać i pisać. Jeżeli będę musiał ci wysłać wiadomość, to co zrobisz?

- Branwen umie czytać - odezwał się Brian.

- Kim jest Branwen? - zapytał Reynaud.

- Kobieta, której można ufać - odpowiedział Guy. - Idź do niej i powiedz, co się stało...

- Ta kobieta - przerwał Reynaud - to jedna z uzdrowicieli mieszkających w lesie?

- No i co z tego? - zaniepokoił się Brian. - Nie chcę nic słyszeć o czarownicach, Reynaud.

- I też nie usłyszysz, nie jestem ojcem Herbertem. To co mnie teraz najbardziej interesuje to los Afoncaer i Thomasa. Nie mam nic przeciwko temu, by ta Branwen nam pomogła.

- Cieszę się - powiedział Brian. Resztę dnia Reynaud spędził na pisaniu listów. Pierwszy z nich był do króla Henryka, tak jak mówił Guy. Drugi do zarządcy w Adderbury z prośbą o żołnierzy. Trzeci był do Waltera.

- Napisałem - powiedział później Guyowi - żeby mnie oczekiwał jutro. Chcę omówić z nim jego żądania.

- Mówisz to tak, jakby Guy chciał im oddać zamek bez walki - zauważył Brian.

- Moim głównym zadaniem jest ochrona Thomasa - powiedział Guy. - Tak długo, dopóki Walter sądzi, że to zrobię, Thomas jest bezpieczny. Cokolwiek zrobisz, Reynaud, nie daj Walterowi szansy do zerwania układów. Zawsze możesz powiedzieć, że musisz wrócić do Afoncaer, by skonsultować się ze mną.

- Rozumiem, panie, będę również nalegał, by zobaczyć Thomasa. Chcę się upewnić, że jest dobrze traktowany. Będę ci przysyłał regularne raporty.

Reynaud wyruszył następnego dnia w asyście żołnierzy.

- Bardzo niedobrze, że Walter wie, jak mało mamy tu żołnierzy - stwierdził Guy i zwrócił się do Briana. - Zna również słabe punkty naszego zamku.

- Jeżeli Reynaudowi uda się przeciągnąć trochę układy, nadejdą posiłki z Adderbury. Pójdę teraz do jaskini, powiem o wszystkim Meredith i Branwen.

Wieczorem tego samego dnia Meredith, Branwen i Brian znaleźli się w zamku.

- Pozostaniemy tutaj tak długo, dopóki nie wróci Thomas - powiedziała Meredith.

W oczach Guya był wielki smutek i żal. Gdy ją zobaczył, jego nastrój wyraźnie się poprawił. W komnatach kobiecych spotkały Joan. Już po kilku chwilach Branwen zaprzyjaźniła się ze służącą.

Wieczorem po posiłku Brian i Branwen rozmawiali w kącie wielkiego hallu. Joan spoglądała na nich z sympatią.

- Twoja ciocia to bardzo rozważna kobieta, lubię ją i sądzę, że Brian też ją lubi. To dobrze, ona jest taka samotna. Mówiąc o

samotności, czy nie zaniósłabyś dzbanka piwa sir Guyowi? Poszedł do swojej komnaty.

Wrześniowy wieczór był bardzo piękny. Deszcz przestał padać, było ciepło. Przed komnatą Guya Meredith spotkała wychodzącego stamtąd Geoffreya, Ukłonił jej się w milczeniu i odszedł do swoich obowiązków. Zamknęła cichutko drzwi i postawiła dzbanek na stole. Guy stał nieruchomo przy kominku wpatrzony w ogień. Przypuszczała, że w ogóle jej nie zauważył. Rozejrzała się po pokoju. Gdy tu była ostatnim razem, wyglądało to zupełnie inaczej. Gołe, zimne mury, tymczasowy dach...

Teraz był to przestronny, wygodny pokój godny swego właściciela. Dużą część komnaty zajmowało ogromne, rzeźbione łoże, nad którym wisiały czerwone firanki. Krzesło stojące obok kominka było najprawdopodobniej zrobione przez tego samego stolarza, gdyż miało podobne rzeźbienia.

- Podoba ci się? - Guy odwrócił się.

- Tak, to piękny pokój. - Spojrzała na niego i znowu ujrzała smutek na jego twarzy. Wyciągnęła do niego rękę; objął ją. - To oczekiwanie musi cię męczyć, chciałabym ci pomóc.

- Pomagasz mi swoją obecnością. Cieszę się, że jesteście tutaj obie z Branwen, ale masz rację, to oczekiwanie męczy. Przyzwyczajony jestem do ruchu, do walki, ta bezczynność mnie wykańcza. Mój instynkt każe mi zaatakować, ale nie mogę, ze względu na Thomasa. Muszę cierpliwie czekać na Reynauda. - Puścił ją i odwrócił się do kominka.

Podeszła do niego, objęła go w pasie i położyła głowę na jego ramieniu. Zawahał się przez chwilę, potem przytulił ją mocno i pocałował w czoło. To było miejsce, do którego należała, jego ramiona były jej schronieniem. Wiedziała, że on też jej potrzebuje. Chciała ulżyć mu w cierpieniu, odzegnać smutek, jaki go dręczył, choćby na krótką chwilę. Popatrzyła na niego, wpatrywał się w płomień, jakby chciał wyczytać z nich przyszłość. Stała na palcach i pocałowała go w policzek. Przycisnął ją mocniej do siebie; pocałowała go w usta. Odpowiedział żarliwie długim pocałunkiem. Kochała go tak bardzo, że była zdecydowana zrobić dla niego wszystko.

- Meredith - szeptał jej imię, całował policzki, usta, rękę. Chciał zdjąć jej przepaskę z włosów, lecz zaprotestowała. - Pozwól mi



spojrzeć na twoje włosy. Chcę widzieć, jak błyszczą w świetle płomieni jak miedź. Są za piękne, by je chować.

Powoli uniosła ręce i odpięła dwie zapinki przytrzymujące przepaskę i ciągle patrząc mu w oczy, zdjęła lniany szal.

- Możesz na nie patrzeć, panie, i dotknąć ich. Gładził jej długie loki i znowu zaczął ją całować.

- Zostaw mnie, idź, proszę - błagał drżącym głosem.

- Nie, Guyu. - Po raz pierwszy zwróciła się do niego w ten sposób. Przez tę krótką noc będą sobie równi, Guy i Meredith. - Zostanę dzisiaj z tobą.

- Nie chcę cię skrzywdzić ani przynieść ci wstydu.

- Nic takiego się nie stanie, jesteś na to za dobry. - Widziała, jak walczy ze sobą, niby chciał ją odepchnąć, a pragnął jeszcze jednego pocałunku. Zwarła ręce na jego szyi i uśmiechnęła się. - Zostanę - powiedziała i podała mu usta. Nie protestował już więcej.

Była przy nim blisko, nie mogąc oddychać. Całował jej twarz, włosy, uszy, szyję. Jęczała cichutko z rozkoszy, jaką przeżywało jej ciało. Cieszyła się, że wzbudzała w nim tyle namiętności. Byli skoncentrowani tylko na sobie, nic się teraz dla nich nie liczyło.

Podniósł ją i zaniósł do łóżka. Po chwili leżeli obok siebie nadszy, nie wiedząc nawet, jak to się stało. Jego złote włosy lśniły w świetle płomieni. Należeli do siebie, było to jak połączenie dwóch części jednej całości. Ból, który z początku ją przeszył, był niczym w porównaniu z rozkoszą jaką przeżywała Guy był jej sercem, jej oddechem, był częścią jej istoty. Czuł to samo. Był dla niej czuły i delikatny. Jeszcze jeden ruch, jeszcze jeden pocałunek i znowu leżeli obok siebie, szczęśliwi i spokojni.

Nie mieli ochoty mówić, nie potrzebowali słów. Byli blisko siebie, położyła mu głowę na ramieniu i pieściła jego włosy.

- Jesteś taka cudowna - wyszeptał. - Pachniesz lawendą. - Pocałowała go delikatnie. - Ach, Meredith! - powiedział. - Nie chciałem, by to się stało, ale potrzebowalem cię, och, jak bardzo cię potrzebowalem!

- Nic nie mów - uspokajała go, - Nie zrobiłaś niczego wbrew mojej woli, to ja cię sprowokowałam i jestem szczęśliwa. - To była prawda, nie żałowała tego, co się stało.

- Nie będziesz musiała się wstydzić. - Chciała mu przerwać, ale jej nie pozwolił. - To złe dla nas czasy, Meredith, dopóki Thomas nie

wróci. Jeżeli poczne się dziecko, a ja zginę w walce z Walterem, nie będzie miał się kto tobą zaopiekować. Nie, nie odwracaj się, moja kochana, słuchaj. Nie możemy tak dalej postępować.

Wyrwała się z jego objęć i krzyknęła:

- Nic ci się nie może stać! Nie zniosłabym tego!

- Gdy żołnierz wyrusza na bitwę, zawsze istnieje takie niebezpieczeństwo. Tak jest z mężczyznami.

- Nienawidzę Waltera fitz Alana - oświadczyła z ogromną powagą. - Zabrał Thomasa, a teraz próbuje zabrać ciebie.

- Zrobię wszystko, by temu zapobiec, ale musimy sobie przyrzec, że między nami już do niczego więcej nie dojdzie. Kiedyś przyrzekłem Rhysowi, że nikt cię nie zrani.

- Ale to było dwa lata temu, gdy byłam służącą Isabel. To przyrzeczenie straciło moc, gdy opuściłam Afoncaer i teraz się nie liczy.

Patrzył na nią z uwielbieniem. Tak, traktował ją jak partnera i to było ważne, nie rozkazywał jej. To był dowód na to, że nie jest mu obojętna.

- Zastanowimy się nad tym, moja... Meredith., - Był poważny, wpatrywał się w nią swymi niebieskimi oczami.

- Czy możemy chociaż dzisiaj zostać razem? - poprosiła. Widząc jego wahanie, szybko dodała: - To już i tek środek nocy. Czy chcesz, bym narobiła hałasu, wracając do mojej komnaty i obudziła wszystkich? Czasami jestem bardzo niezdarna.

- Moja słodka Meredith! - zaśmiał się i przytulił ją mocno. - Ale tylko dzisiejsza noc, nalegam.

- Dobrze, mój panie.

## ROZDZIAŁ 28

- Joan mówiła mi, że nie spałaś w komnacie kobiecej tej nocy - odezwała się Branwen, widząc spieszącą gdzieś Meredith.

- Nie. - Czuła jak się rumieni, nie wiedziała, co powiedzieć. Prawdopodobnie Joan powiedziała Branwen, że posłała ją z dzbankiem do Guya, a ona nie wróciła. Nie wstydziła się jednak, zresztą przyszło jej coś do głowy. - A gdzie ty byłaś w nocy, skoro sama nic nie widziałaś, tylko Joan musiała ci powiedzieć?

Branwen nie odpowiedziała, spuściła tylko oczy i zaśmiała się. Po chwili uśmiechnęły się obie i mrugnęły porozumiewawczo.

W wejściu do wielkiego hallu pokazał się Brian. Przybliżył się do nich. Branwen zarumieniła się, podeszła do jednego ze stołów, i zaczęła kroić chleb. Stał obok niej tak blisko, że prawie się dotykali. Biła od nich wielka radość. Widząc ich, nie można było mieć żadnych wątpliwości, że się kochają.

Ogólna atmosfera w Afoncaer nie była jednak taka radosna. Listy, który przychodziły od Reynauda, nie były pomyślne, mówił w nich, że należy uzbroić się w cierpliwość, bo układy ciągle trwają.

- Podejrzewam, że ojciec Herbert czyta listy Reynauda, zanim opuszczą one Tynant, dlatego są takie lakoniczne - powiedział Brian. - W innym przypadku przekazałby nam więcej informacji; nawet nie wspomniał o Thomasie.

- Musimy zdać się na mądrość Reynauda. Zrobi wszystko, co w jego mocy - odpowiedział Guy.

Dni oczekiwania wlokły się długo. W dniu, w którym nerwy wszystkich były już napięte do ostateczności, wrócił Reynaud.

- Walter nie chce układów - powiedział, siadając na ławie przy kominku. Był blady i miał podkrążone oczy. Meredith pobiegła, by przynieść mu coś do jedzenia. - Przepraszam, że z moich listów nic nie wynikało, ale wolałem poczekać, aż będę mógł z tobą porozmawiać. Próbowałem każdej drogi perswazji, jaką znam. Walter bawił się ze mną, mówiąc, że przemyśli propozycje, po czym stwierdzał, że się nie zgadza. Sądzę, że robił tak, by wykończyć cię długim oczekiwaniem. Nie zmienił zdania, życie Thomasa za zamek w Afoncaer.

- Z pewnością - odezwała się Meredith - lady Isabel użyje swego wpływu na Waltera, by nie uczynił krzywdy jej synowi.

Reynaud spojrział na nią, potem na Branwen.

- Tak myślałem, że wrócisz do Afoncaer, Meredith - powiedział.

- Nie mogłam nie przybyć, gdy Thomas jest w takim niebezpieczeństwie - powiedziała, po czym zarumieniła się mocno. - Czy lady Isabel nie ochroni Thomasa? - Zadała to samo pytanie. Owiał ją chłód, gdy usłyszała śmiech Reynauda.

- To był plan lady Isabel. Ona za wszelką cenę chce, by Walter został baronem, a ona lady Afoncaer.

- Nawet za cenę życia swego syna? - spytał Guy głosem, w którym brzmiał ból.

- Lady Isabel wierzy, że nie uczynisz nic, co mogłoby zranić Thomasa - powiedział Reynaud. - Jest szczęśliwa, że cierpisz i ma nadzieję, że oddasz Afoncaer właśnie ze względu na Thomasa.

- Nie mogę, Bóg mi świadkiem, nie mogę. - Jego głos urwał się i widać było, że znowu walczy ze sobą, że walczy z bezsilnością, jaka go ogarnęła. Odwrócił się do wszystkich plecami i skierował w kierunku wyjścia. - Idę do kaplicy - powiedział.

- Czy mam iść z tobą, mój panie? - zapytał Reynaud.

- Nie, przyjacielu, wypocznij po podróży. Meredith chciała pobiec za nim, ale Branwen ją powstrzymała.

- Wydaje mi się - powiedziała Branwen - że jedynym wyjściem z tej sytuacji jest sekretne usunięcie Thomasa spod opieki jego matki i ojczyma.

- Kobieto, jeżeli znasz sposób, by to uczynić, nie zawaham się nazwać cię cudotwórczynią - odpowiedział Reynaud i spojrzał na nią.

- Widzę po twojej twarzy, że masz jakiś pomysł, opowiedz go nam.

Branwen rozejrzała się dokoła, upewniając się, że nikt ich nie usłyszy.

- Mam nie tyle pomysł, ile pewne informacje - powiedziała. - Opowiem wam pewną historię, ale pod warunkiem, że nikomu jej nie zdradzicie. Wiem, że mogę ufać Meredith i Brianowi. Dajesz słowo, Reynaud?

- Masz moje słowo.

- Mój dziadek władał starą walijską twierdzą, która stała na tym miejscu, nim przyszli Normanowie. Zawsze ich nienawidziłam. Wymordowali moją rodzinę. Z ich powodu musiałam uciekać z Afoncaer i ukrywać się w Anglii, żyjąc jak wieśniaczka, w obawie o życie. Meredith jest córką Normana, owocem jego jednostronnego pożądanego. To jeszcze jeden powód, dla którego nienawidzę

Normanów. Jej ojciec w ogóle się nią nie interesował. Później jednak przekonałam się, że nie wszyscy Normanowie to mordercy i gwałciciele. Thomas był pierwszy. Jest taki uprzejmy i ma dobre serce. Ty, panie Reynaud, też masz dla nas zawsze dobre słowo i nie gardzisz nami, a nawet próbowałaś nauczyć się kilku słów po walijsku. Również Brian, to znaczy sir Brian - zarumieniła się - Brian...

- Ale co to wszystko ma wspólnego z uratowaniem Thomasa? - niecierpliwił się Reynaud.

- Walter fitz Alan, ten sam, który odpowiedzialny jest za śmierć mojego kuzyna Rhysa, a który przetrzymuje Thomasa w Tynant..

- Mówże, kobieto - ponaglał.

- Znam Tynant bardzo dobrze. Gdy byłam dzieckiem, mieszkałam tam ponad rok i bawiłam się z moimi kuzynami.

- Ten dom jest teraz zmieniony. Do starej części dodano nową, na wzór normański. Jestem budowniczym i podziwiałem, jak doskonale rozpracowano mury obronne. Jeżeli myślisz o wtargnięciu na jego teren i zabraniu Thomasa, to obawiam się, że jest to niemożliwe. Poza tym bramy są dobrze strzeżone.

- Jest sekretne przejście do piwnicznych spiżarni - powiedziała nareszcie.

- Co takiego? - Reynaud wyprostował się.

- Czy to prawda? - wykrzyknął Brian. - Branwen, dlaczego nie powiedziałaś tego wcześniej?

- Bo miałam nadzieję, że Reynaudowi uda się przywieźć Thomasa. Jednak po tym co dzisiaj usłyszałam, wiem, że Walter dobrowolnie go nie uwolni. Zrobię wszystko, by uratować tego młodzieńca i ukarać Waltera.

- To cudownie! - Brian obmyślał już plan odbicia chłopca. - Przez to przejście przeprowadzimy uzbrojonych ludzi, którzy wyciągną Thomasa, a Waltera i tę jędzę, jego żonę, przywieziemy do Afoncaer zakutych w łańcuchy. Idę do kaplicy, by powiedzieć o wszystkim Guyowi.

Ruszył ku wyjściu, gdy usłyszał głos Reynauda:

- Poczekaj jeszcze chwilę. Jesteś w gorącej wodzie kąpany. Jeżeli Walter odkryje ciebie i twoich ludzi, to pierwszą rzeczą, jaką zrobi, będzie zabicie Thomasa. Musimy pomyśleć nad innym rozwiązaniem, bardziej podstępym.

Brian zatrzymał się.

- Masz rację. - Podeszedł z powrotem do kominka. - Jak inaczej możemy wykorzystać informacje Branwen?

Meredith siedziała spokojnie, podczas gdy jej ciotka mówiła. Wiedziała, że wszystko co Branwen powiedziała o sobie, było prawdą. W głowie Meredith rodził się plan. Ona i Branwen zawsze dobrze ze sobą współpracowały. Należało tylko przekonać Reynauda, Briana i Guya o słuszności jej pomysłu.

- Pojawienie się jakichkolwiek żołnierzy wzbudzi z pewnością podejrzenia, ale służące nikogo nie zdziwią, nawet jeżeli będą w spiżarni. Lady Isabel musiała sprowadzić wiele służących i pewnie nie wszystkie jeszcze zna. Dwie więcej nie wzbudzą podejrzeń. - Spojrzała na Branwen, ta przytaknęła i obie wiedziały już, że to najlepszy pomysł.

- Tak - powiedziała. - Chętnie z tobą pójdę.

- O nie - zaprotestował Brian, który też już zrozumiał plan. - To nie jest zadanie dla kobiet, tylko dla mężczyzn. Nie pozwolę żadnej z was ryzykować, zresztą Guy też nigdy się na to nie zgodzi.

- Nie powiemy sir Guyowi - odezwał się Reynaud. - W rzeczywistości podstawą tego przedsięwzięcia jest jego nieświadomość. Tylko nas czworo będzie wiedziało, co zamierzamy, nikt więcej. Jeżeli dobrze rozumiem, Meredith i Branwen przez sekretne przejście wejdą na teren domu Waltera, udając służące. Odnajdą Thomasa i uwolnią go, po czym opuszczą dom tą samą drogą

- A Walter ich odnajdzie i zabije całą trójkę. He zgadzam się! - krzyknął Brian.

- Nie, jeżeli odwrócisz jego uwagę, sir Brianie - Reynaud uśmiechnął się. - Mnie się nie powiodło, ale ty jesteś przecież przyjacielem obojga: i Waltera, i Guya. To zupełnie naturalne, że sir Guy wyśle cię, byś jeszcze raz spróbował zmienić decyzję Waltera.

- Tak więc ja i moi ludzie będziemy w środku, gdy one będą ratowały Thomasa. - Brian przytaknął entuzjastycznie. - To doskonały pomysł, Reynaud. W ten sposób będę mógł im pomóc, jeżeli zostaną rozpoznane. To sprytne, panie Lisie.

- Musisz jednak wiedzieć, że zostaniecie rozbrojeni, zanim wejdziecie do środka - ostrzegł duchowny.

- To jednak nie powstrzyma mnie od użycia czyjegoś miecza, jeżeli zajdzie taka potrzeba. Chciałbym zmierzyć się z Walterem.

- Brian, przecież on mógłby cię zabić? - zaniepokoiła się Branwen.

- Ciebie również, kochanie, a jednak decydujesz się pomóc Thomasowi. Kiedy już będzie po wszystkim, poproszę Guya o nagrodę w postaci ziemi dla ciebie, moja pani, i zadam twojemu najbliższemu krewnemu jedno ważne pytanie - zaśmiał się Brian.

- Ja nie mam żadnych krewnych, Brianie, Rhys był ostatni z mojej rodziny.

- W takim razie zapytam ciebie i będę ufał, że powiesz tak, ale najpierw wykonajmy nasz plan.

- Waszym głównym problemem - Reynaud zwrócił się do Branwen i Meredith - będzie odnalezienie Thomasa, Pozwolono mi tylko raz go zobaczyć. Było to w wielkim hallu i nie mieliśmy możliwości, by porozmawiać: Nie mogłem też odkryć, gdzie go trzymają. Wszyscy służący tak bardzo boją się Waltera, że nie odważyli się ze mną rozmawiać.

- Ja myślę, że największym problemem będzie wytłumaczyć lordowi Guyowi naszą nieobecność - zauważyła Meredith niezdolna, by ukrywać uczucia, jakie do niego żywiła. - Wydaje mi się, że on powinien o tym wiedzieć.

- Gdyby się dowiedział, nie pozwoliłby wam tam iść - powiedział Brian. - On czuje się odpowiedzialny za to, co się stało. Na pewno nie chciałby mieć na sumieniu dwóch kobiet. Prawdopodobnie sam skorzystałby z sekretnej przejścia i podejrzewam, że gdyby został złapany, źle by się to skończyło.

- Dokładnie tak - przytaknął Reynaud. - Dla jego dobra nie możemy mu o tym powiedzieć. Stał przed ciężką próbą dokonania wyboru: albo zdradzi króla, albo pozwoli umrzeć bratankowi. Zwleka, bo nie wie, co zrobić. Z dużą ulgą przyjmie propozycję Briana kontynuowania układów. Podczas gdy on będzie się głowił, co uczynić, wy uwolnicie Thomasa. A później sir Guy będzie mógł zaatakować Waltera bez obawy o bratanka.

- Oto moje instrukcje. Jutro po południu obie wróćcie do jaskini w lesie. Nie jesteście już potrzebne, od kiedy wrócił Reynaud - mówił Brian. - Guy jest tak pochłonięty tą sprawą, że na pewno nie będzie chciał was odwiedzić. Przygotuję dla was dwa konie. - Po chwili jednak dodał: - O nie, nie mogę dać wam koni bez uzgodnienia tego z Guyem.

- Nic nie szkodzi - powiedziała Branwen. - Pieszko przybędziemy do Tynant nie zauważone. Dobrze znam drogę przez las. Wyruszymy o zmierzchu pojutrze i będziemy na miejscu krótko po południu.

- Dobrze - zgodził się. - Ja też wyruszę pojutrze i przybędę na miejsce późnym popołudniem. Tej samej nocy, gdy ja z moimi ludźmi będę w środku, wejdziecie do domu i odnajdziecie Thomasa. Powiem Guyowi, że potrzebujemy dodatkowe konie na wypadek, gdyby było trzeba przesłać mu wiadomość, trzy konie będą na was czekały w umówionym miejscu. Powiedzcie mi teraz, jak w razie potrzeby dotrzeć do tego sekretnego przejścia.

Omawiali szczegóły, aż zjawiała się najpierw Joan, a potem Guy. Wszyscy znowu spotkali się w wielkim hallu.

Meredith pomyślała, że Joan mogła ich słyszeć i postanowiła z nią porozmawiać.

- Meredith, słyszałam wiele sekretów w moim życiu, w szczególności, gdy byłam służącą lady Isabel i nauczyłam się trzymać język za zębami. Wiem, że jestem bezpieczniejsza, jeżeli nie mówię o tym, co słyszę.

Reynaud mówił z Branwen, że spisuje historię zamku Afoncaer.

- Powiedz mi więcej o tym, co tu się działo, gdy byłaś młodą dziewczyną,

- Wolałabym o tym raczej zapomnieć, ale myślę, że gdy ja odejdę, to historia pójdzie ze mną do grobu. Opowiem ci o Rhysie, o dzieciństwie Meredith. To także część historii Afoncaer. - Powiem ci o moim bracie Griffinie. - Jej twarz posmutniała na dźwięk imienia brata.

- Chodź do mnie. - Reynaud zaprowadził ją do swej komnaty, gdzie spędzili resztę dnia rozmawiając.

Brian natomiast udał się do Guya, by uzyskać jego pozwolenie na wyjazd do Tynant.

- Walter i ja byliśmy kiedyś przyjaciółmi - zaczaj. - Pozwól mi do niego pojechać, przynajmniej zaoszczędzimy trochę czasu, może akurat podczas mojej nieobecności nadejdą posiłki z Adderbury.

- Nie wiem, co takiego możesz zaproponować Walterowi, czego nie zaproponował już Reynaud, ale tak, to prawda, potrzebujemy więcej czasu, to dobry pomysł. Poślę jutro kuriera, który powiadomi Waltera o twoim przyjeździe. Brian, pamiętaj, to niebezpieczne



miejsce. Walter uszanował Reynauda, bo duchowny należy do króla, ale ty jesteś moim rycerzem, uważaj na siebie.

- Dzięki. Pokonamy Waltera i Thomas będzie bezpieczny.
- Modlę się, byś miał rację.

Późnym wieczorem Brian spotkał się z Branwen w jednej z komnat gościnnych. Położyła mu głowę na ramieniu. Ufała mu jak nikomu innemu w swoim życiu, chyba jedynie Rhysowi. Kiedy zamknął drzwi komnaty, Branwen poczuła się bezpieczna. Brian zamknął też małe okienko.

- Przyniosłem jedzenie i wino - powiedział.
- Jest tylko jeden kielich. - Wzięła od niego wino i spróbowała.
- Napijemy się z tego samego kielicha, kochanie.
- Zawsze. Obojętnie, co by zawierał.

Trzymał ręce na jej ramionach, a ona przysunęła kielich do jego ust i patrzyła, jak pije. Nie wstydzili się siebie. Byli kochankami już od ponad roku i znali się bardzo dobrze. Brian odstawił naczynie i przysunął się do niej. Zaczaj ją rozbierać, aż stanęła przed nim tylko w lnianej koszuli.

- Pozwól mi też. - Odpięła mu pas i zdjęła z niego tunikę.

Położyła głowę na jego piersi. Palcami delikatnie dotykała blizn, pamiątek po bitwach. Kochała w nim wszystko. Był dla niej całym światem. Czowała jego ciepły oddech, gdy całował jej ramiona, piersi i szyję. Tulił ją mocno.

- Kocham cię - wyszeptał. - Branwen, moja jedyna, jesteś tylko moja.

- Ty jesteś moim kochankiem. Kocham cię. Delikatnie poprowadził ją do sienników i położył.

Włosy oplatały jej ramiona i szyję, wyglądała przepięknie w świetle świec.

- Wkrótce przyzwyczaję się do tego domu i nie będę chciała wrócić do lasu - droczyła się.

- Czyżby było ci tutaj lepiej? - zażartował. - Zaslugujesz na pałac. Tak mi przykro, że musiałaś mieszkać w takich złych warunkach. Gdy to wszystko się już skończy, przygotuję dla nas dom, ale nie będzie taki piękny jak dwór królewski.

- To nic. - Całowała namiętnie jego usta. - Mam wszystko, czego kobieta może chcieć. Mam ciebie i wiem, że mnie kochasz. Nie chcę nic więcej.

Przestali mówić, a nawet myśleć. Skoncentrowali się na swoich uczuciach. Brian nie był tak delikatny i łagodny, gdy się kochali. Był rycerzem w każdym calu. Ale właśnie tę moc, która w nim drzemała, Branwen lubiła najbardziej. Tak długo pieścili się, aż nie mogąc znieść zwlekania, oplatali się mocno i stawali się jednością. Ich ciała i głosy mieszały się.

Brian położył głowę na jej brzuchu. Zanurzała palce w jego gęstej czuprynie, a on oddawał się tej pieszczocie.

- Chciałbym, byśmy mogli tak leżeć każdej nocy - powiedział cichutko.

- Cóż może nas od tego powstrzymać? - zapytała. - Nie jesteśmy już dziećmi, nikt nie może nam niczego zabronić.

- Ty zawsze będziesz młoda.

- Mam trzydzieści trzy lata, jestem o pięć lat od ciebie starsza i dobrze o tym wiem, ale dopiero teraz czuję, że naprawdę żyję.

- Niczego nie żałuję.

- Ani ja, cokolwiek się stanie. - Przestała go pieścić. Brian spojrzał na nią i usiadł na łóżku.

- Co się stało? - zapytał z troską w głosie.

- Nic.

- Przecież widzę, że coś cię dręczy. Powiedz mi, Branwen, chcę wiedzieć, co sprawia, że drżysz.

- To tylko przeczucie. Przeczucie związane z Tynant. Gdy o nim myślę, przesywa mnie strach.

- Branwen, nie myśl o tym teraz, spójrz na mnie.

- To może nic nie znaczyć, nie umiem tak przewidywać przyszłości jak Rhys. Denerwuję się podróżą do Tynant, każdy zresztą by się denerwował.

- Nie musimy przecież trzymać się planu, pojedę sam i sam wszystkiego dopilnuję.

- Myślisz, że mogłabym tu spokojnie czekać, aż wrócisz z tej jaskini smoka? Pojadę. Kocham Thomasa i pomogę mu, chcę mieć udział w ukaraniu Waltera, ze względu na Thomasa i Rhysa.

- To musi się nam udać - oświadczył Brian. - Jestem pewny, że się uda. Za dwa lufa trzy dni będziemy w tym pokoju znowu, już w lepszych humorach.

- Oby jak najprędzej! - Objęła go mocno. - Ale do tego czasu nakarm mnie, daj mi wina i kochaj mnie mocno, najmocniej jak potrafisz.

\*

Następnego dnia, gdy Meredith i Branwen opuszczały Afoncaer, Joan przyniosła im suknie, które zostały po dawnych służących Isabel, i koszyki pełne jedzenia.

- Życzę wam powodzenia. Będę się za was modlić - powiedziała i szybciotko odeszła, zanim Meredith zdążyła się odezwać. Była pewna, że Joan o wszystkim wie, ale nic nie zdradzi władcy Afoncaer. Meredith pożegnała się z Guyem, żałując, że nie może mu powiedzieć prawdy, ale tak było lepiej dla wszystkich.

- To lepiej, że odchodzisz - zgodził się. - O mało co kilka razy złamałbym naszą umowę. Gdy jesteś blisko mnie, zapominam o wszystkim. Będiesz bezpieczniejsza z dala ode mnie.

- Ale nieszczęśliwa. Muszę jednak odejść, bo mamy z Branwen dużo pracy w jaskini.

Ucałował ją i odszedł do Reynauda i Briana, aby uzgodnić, co Brian ma powiedzieć Walterowi. Meredith cała zapłakana biegła w kierunku drzwi, by dołączyć do Branwen. Wpadła na Geoffreya,

- Jadę do Tynant - oświadczył giermek. - Sir Guy powiedział, że jestem godny zaufania i powinienem jechać jako pomocnik sir Briana.

- Bardzo się cieszę, Geoffrey.

- Jak myślisz, co Brian chce mi powiedzieć? Przecież Reynaud zna moje zdanie - spytał Walter siedzącą nad haftami Isabel. Delikatnie przesunął palce po jej szyi, wywołując w niej dreszcz namiętności.

- Może zdecydował się oddać Afoncaer - odpowiedziała. - Wierzę, że to niedługo nastąpi.

Jego palce cały czas pieściły jej szyję i kark. Nie chciała, by zachowywał się w ten sposób przy służących. Alice nie odrywała oczu od swojego haftu, ale młodsza od niej Margaret, nową służącą, obserwowała ich śmiejącymi się jasnymi oczami. Jeszcze chwila, a ta głupia dziewczyna gotowa wybuchnąć śmiechem, pomyślała Isabel. Głównym tematem rozmów w Tynant było uwielbienie i miłość, jaką darzył Walter swoją piękną żonę.

Namiętność Isabel tyle lat trzymana w ryzach teraz się obudziła. Czowała ciepło pomiędzy udami i rozgrzewające płomienie w całym ciele. Wiedziała, iż on zdaje sobie z tego sprawę.

- Chodź - powiedział i wyciągnął do niej rękę. Odłożyła wyszywaną i wstała, udając, że nie widzi roześmianych oczu kobiet.

Poszli do prywatnej komnaty. Zamknął drzwi i wziął ją w objęcia. Stawał się coraz bardziej podniecony. Tak było zawsze. O każdej porze dnia i nocy był gotowy, by się z nią kochać. Uwielbiała tę jego gwałtowność i dzikość, z jaką ją całował i pieścił.

- Guy podda się i to niedługo, a wtedy ty będziesz panem Afoncaer - mówiła, ściągając z niego odzienie.

- Jeżeli nie - powiedział, pomagając jej w zdjęciu długiej tuniki - pošlę mu Thomasa w kawałeczkach.

- Kochanie, chyba nie mówisz tego poważnie?

- Dlaczegoż by nie? - Wzruszył ramionami i uśmiechnął się. Czasami obawiała się go i teraz też poczuła strach. - Oddałaś Thomasa pod moją opiekę, więc mogę z nim zrobić, co mi się podoba.

Walter wstał i szybko zdjął z siebie resztę ubioru. Isabel stała przestraszona okrucieństwem jego słów. Przyciskała jego tunikę do swoich piersi. Mimo wszystko była jednak pełna pożądania.

- Nie zrobisz krzywdy Thomasowi, prawda?

- Przecież on cię wcale nie interesuje, Isabel, skąd ta nagła troska? - Wyprostował się na łóżku gotowy, by go przyjąć. Wyciągnął do niej rękę. - Jesteś dzisiaj bardzo powolna, No! Zdejmij wreszcie suknię!

- Obiecuj, że nie skrzywdzisz Thomasa.

- Zrobię to, co będę musiał. - Obserwował jej twarz. - Chodź, Isabel, nie patrz na mnie w ten sposób. Przecież wiesz, że Guy odda zamek i Thomas będzie bezpieczny. Nie ma potrzeby, by o tym dyskutować. - Cały czas na nią patrzył, a ona powoli się rozbierała. Bala się go, usłyszawszy te okrutne uwagi na temat syna. Jego słowa powinny były ostudzić jej namiętność, ale nic takiego się nie stało.

- Szybciej, kochanie, chcę cię teraz, natychmiast - Walter wstał i podszedł do niej. - Chcesz mnie dręczyć oczekiwaniem?

Trzymała jedną nogę na krześle, by odpiąć podwiązkę. Wyrwał ją jej z ręki i podał pończochę.

- Walter! - krzyknęła.

Przyciągnął ją mocno do siebie i ucałował namiętnie. Agresywnie wsuwał język do jej ust. W ekstazie, jaka ją opanowała, drapała mocno jego plecy. Podniósł ją i zaniósł do łóżka. Położył się na niej i oboje oddawali się cielesnej przyjemności tak długo, aż w końcu poczuli się wyczerpani i zaspokojeni.

Później, gdy już ją zostawił i poszedł do swych zajęć, leżała wciąż naga na łóżku i myślała. Walter kochał ją i zrobiłby dla niej wszystko. Niechże Guy odda zamek i nic się Thomasowi nie stanie.

Gdzieś w głębi tliła się jednak iskierka niepewności i strachu.

Nie ufała już Walterowi tak jak kiedyś. Potrzebowała go, by zrealizować plan. Pożądała go, ale nie ufała mu.

## ROZDZIAŁ 29

Meredith i Branwen wstały, gdy tylko zaczęło robić się jasno. Wyruszyły bardzo wcześnie. Branwen objaśniała Meredith wszystkie szczegóły sekretnego przejścia.

- Z lasu aż pod dom w Tynant biegnie długi tunel - mówiła. Szły bez zatrzymywania się, pijąc wodę ze strumyków. Przez cały czas Meredith usiłowała zapamiętać rozmieszczenie pokoi w domu, o którym mówiła Branwen. - To tam - powiedziała Branwen, odgarniając krzewy, by Meredith mogła zobaczyć. - Jakież to wszystko zmienione, o ile większe. To był kiedyś mały dom, a teraz zobacz, ilu tam uzbrojonych żołnierzy. Mur obronny jest większy i mocniejszy niż ten z czasów mojego wuja. Jeżeli Walter dłużej pożyje, to zamieni to miejsce w fortecę.

- On wcale nie planuje długo tu mieszkać - przypomniała Meredith. - On chce Afoncaer.

- Ale go nie dostanie i nie będzie długo żył. Gdy tylko uwolnimy Thomasa, Brian i sir Guy każą mu drogo zapłacić za to, co zrobił. Chodź, musimy znaleźć wejście do tunelu. Dobrze pamiętam, gdzie to jest, ale musimy się upewnić, czy jest otwarty.

Był otwarty i bardzo niski. Musiały prawie się czołgać, by przejść nim kawałek. Obejrzały wnętrze tunelu, używając świeczek, które dostały od Briana. Tylko w jednym miejscu ziemia się trochę zapadła i było trudno się przecisnąć.

- Ktoś używał tego przejścia - powiedziała Meredith. - Spójrz, te belki są zupełnie nowe.

- Tak, widzę - zaśmiała się Branwen, sprawdzając dokąd prowadzi wyjście z tunelu. - Sir Walterowi ginie trochę zapasów i pewnie dziwi się, jakim cudem.

- Myślisz, że mimo tylu strażników ludzie przekradają się i zabierają zapasy Waltera?

- A czemuż by nie? On ich okrada, a oni jego, to całkiem w porządku. Wychodźmy stąd i poczekajmy, aż nadejdzie czas.

Do południa wycoczywały, jadły zapasy, które dostały od Joan i piły wodę ze strumyka. Wczesnym popołudniem zaczęły obserwować dom, wypatrując posłańców z Afoncaer. Niecierpliwiły się, gdyż słońce było coraz niżej.

- Gdzież oni się podziewają? Już późno. - Meredith była coraz bardziej przerażona. Jeżeli coś pokrzyżowało ich plany, to zdane będą same na siebie.

- Oto i są - powiedziała Branwen.

Brian, Geoffrey i sześciu żołnierzy zmierzali ku bramie Tynant.

- Idziemy - zdecydowały.

Przy świetle świec znowu przemierzały tunel. Wyszły do dużej, podziemnej spiżarni. Drzwiczki, przez które przeszły, ukryte były za beczkami z winem i piwem. Zamknięte, niczym nie odróżniały się od reszty ściany. Branwen zaznaczyła je, by łatwiej było je rozpoznać w drodze powrotnej.

- Meredith, zapamiętaj to miejsce na wypadek, gdybyś musiała sama wracać.

Przeszły teraz na drugi koniec spiżarni, gdzie były następne drzwi. Meredith zgasila świece, a Branwen uchyliła drzwi. Przed nimi widniało kilka drewnianych schodów.

- Ta część domu pozostała nie zmieniona - stwierdziła Branwen.

- Jest tytko trochę więcej spiżarni. Te ostatnie drzwi pod schodami prowadzą do pomieszczenia, gdzie trzymano więźniów, jeszcze za czasów mojego dziadka. To pierwsze miejsce, gdzie powinniśmy szukać Thomasa.

- Czy nie będzie tam strażników? - szepnęła Meredith pełna obawy. Serce biło jej mocno; pocila się. Modliła się, by nie upuścić świecy.

Branwen pospieszyła do drzwi i pchnęła je.

- Trzymaj świecę! Tutaj, Meredith - powiedziała. - Chcę się upewnić. Nie, tu go nie ma. Musi być gdzie indziej, z pewnością byłby strażnik, tek jak powiedziałaś.

- Teraz musimy iść na górę? - z wielkim wysiłkiem wyszeptala Meredith. Nerwowo poprawiała chustkę na głowie i prawie zemdlala, słysząc kroki.

- Ciociu, ktoś idzie!

- Tutaj! Szybko! - Branwen pchnęła Meredith do jednej ze spiżarni.

Zapach jabłek wypełnił ich nozdrza. Na ścianach wisiało mnóstwo koszy wypełnionych owocami.

- Trzymaj świecę wyżej, bym mogła wszystko widzieć. - Głos ciotki był nadspodziewanie spokojny. Chwyciła mały koszyk z ziemi i

wkładała do niego jabłka. - Jeżeli ktoś przyjdzie, mów, że pomagamy kucharzowi. Nie, nie odzywaj się lepiej, ja będę mówić. - Napelniała dalej kosz. Kroki przybliżały się. Drzwi otworzyły się z takim impetem, że Meredith krzyknęła i prawie upuściła świeczkę.

- Hej, kuchty! - Starszy mężczyzna patrzył na nie ze zdziwieniem, w jego ręce lśnił mały nóż. - Myślałem, że to ktoś od tego sir Guya, co to tu przyjechali, by rozmawiać. Juzem chciał was dźgnąć - śmiał się, pokazując zepsute, żółte zęby. - Wy ta bądźcie ostrożne, albo w inny sposób was dźgnę - rechotał lubieżnie z własnego dowcipu.

- Czy oni gadają z sir Walterem? - zapytała Branwen, starając się mówić podobnie jak on. - Czy on pozwoli chłopcu odejść?

- He, nie. On chce Afoncaer i go dostanie, albo chłopaka zabije. O, to twarda sztuka. - Branwen skończyła napełniać kosz jabłkami. Spojrzała na to, które trzymała w ręce.

- Chłopiec pewnie chętnie by coś zjadł, ale nie widziałam tego małego.

- Widzieć? Nikt go nie widzi, oprócz tej tam, no, Alice, a ona nic nie powie. No, oczywiście, widują go matka i sir Walter. Zamknięty w pokoju obok sypialni. Sypialnia! Myślicie, że ta lady Isabel była na dworze króla? Jaka napuszona! Myje ręce przed jedzeniem, on też, i codziennie ciepła woda do kąpieli. Już pleców nie czuję od dźwigania tych wiader. A co wy tu kuchty robicie? Mam rozkaz sprawdzić, by nikt się po piwnicach nie szwendał.

- Mamy już wszystko, czego potrzebujemy - odpowiedziała spokojnie Branwen. Kiwnęła na Meredith. - Chodź no, dziewczyno, a zwawo!

Szły schodami na górę odprowadzane przez mężczyznę. Na samej górze stał strażnik. Patrzył na nie podejrzliwie. Meredith schowała świeczkę do kieszeni fartucha.

- Nie widziałem was, jak schodziłyście na dół - powiedział, podnosząc rękę, by je zatrzymać.

- Dziadziejesz, stary głupcze! Jakaś to nie zauważył takich dwóch ślicznotek? Powinieneś był za nimi biec i zebrać jakieś owoce - mężczyzna znowu się zaśmiał.

Strażnik wycofał się udobruchany. Rozejrzały się dokoła i odnalazły kuchnię. Poszły do ciepłego, zatłoczonego pomieszczenia. Dwaj kucharze instruowali służące i giermków, co należy zabierać i



podawać gościom, a czego jeszcze nie. Rwetes był taki, że wszyscy się o siebie potykali.

- Dalej, daj to kucharzowi! - Branwen wepchnęła koszyk zdziwionemu giermkowi, który właśnie wracał z wielkiego hallu. - Meredith, bierz półmisek, to mi wygląda na jedzenie dla wieśniaków przy dolnych stołach. - Sama też wzięła półmisek. Szły zdecydowanym krokiem w stronę jadalni.

- Nie patrz w kierunku stołu dla gości. Lepiej będzie, jeżeli nikt nas nie pozna - szeptała ciotka. - Odstawisz półmisek i pójdziesz za mną.

Meredith rzuciła jednak szybkie spojrzenie na główny stół. Sir Walter zajmował honorowe miejsce, po jego prawej stronie siedział Brian, a po lewej ubrana w kosztowną suknię lady Isabel. Obok niej siedział ojciec Herbert. Wszyscy jedli srebrnymi łyżkami ze srebrnych talerzy. Przy jednym ze stołów zobaczyła Geoffreya. Spuściła głowę i podała półmiski wieśniakom. Kiedy były już puste, pozbyła się ich tak, jak wcześniej uczyniła to Branwen: wepchnęła je w ręce giermka. Wzrokiem szukała ciotki. Widziała ją, jak idzie wzdłuż stołów w kierunku podium. Pamiętała też to, co jej mówiono o rozplanowaniu domu. Musiała przejść obok głównego stołu, by dojść do schodów prowadzących do komnat prywatnych. Gdy już tam bezpiecznie dotrą, spróbują znaleźć Thomasa i uwolnić go.

Dopiero teraz zdała sobie sprawę, jak bardzo były szalone. Jak przeprowadzić Thomasa przez salę bankietową pełną gości? Przede wszystkim jak to zrobić w obecności Waltera i całej jego świty? Rozejrzała się dokoła i pomyślała, że to się nie uda. Jej oczy spotkały zdziwiony wzrok Geoffreya i Briana. Brian natychmiast się odwrócił i zaczął coś mówić do Waltera i Isabel, by ich zająć. Pośpieszyła w kierunku podium. Nigdzie nie było strażników. Wszyscy albo jedli, albo obserwowali ludzi Briana.

Branwen czekała na nią na pierwszym stopniu. Położyła palec na ustach i szła do góry, Meredith za nią. Doszły do sypialni, która była pusta, minęły jeszcze jeden pokój, w którym również nie było nikogo. Zostały jeszcze jedne drzwi zaryglowane od zewnątrz. Meredith zdjęła belkę, a Branwen najciszej jak umiała otworzyła drzwi.

Była to garderoba Isabel. Zapach perfum uderzał w nozdrza. Na sienniku w kącie było miejsce, gdzie z pewnością spała Alice. Weszły

do środka. Na drugim sienniku w głębi pokoju leżał Thomas. Branwen musiała zatkać mu usta, by nie krzyknął ze zdziwienia i radości.

- Cicho, Thomas, nic nie mów. Jesteśmy tu, by cię uratować. Na dole jest Brian. Musisz robić wszystko, co ci powiemy. - Thomas pokiwał głową i Branwen puściła go.

- Tak się cieszę, że was widzę - powiedział. - Sir Walter chce mnie zabić. Branwen, jeżeli mnie nie uratujecie, to musisz powiedzieć wujkowi Guyowi, że nie wolno mu oddać Afoncaer. Nigdy. Słyszysz?

Meredith zbierało się na płacz. Thomas był blady i wyczerpany, bardzo bał się Waltera i tego, co mógłby mu uczynić. Był tutaj zupełnie sam, bez żadnej nadziei, a jednak zdobył się na te szlachetne słowa.

- Thomas - powiedziała. - Jesteś prawdziwym rycerzem.

- Dziękuję, lady Meredith, Dziękuję, że po mnie przysłałaś.

- Nie możemy już stracić ani chwili - miękko, aczkolwiek ponagląco powiedziała Branwen. - Musimy zejść do wielkiego hallu. Ja i Meredith będziemy szły bardzo blisko siebie, a ty pomiędzy nami, wzdłuż ściany. Jest dosyć tłoczno, a akrobaci mają za chwilę zacząć przedstawienie. Miejmy nadzieję, że wszyscy będą na nich patrzeć.

Thomas patrzył raz na jedną, raz na drugą ogromnymi, przerażonymi oczami.

- Zabiją was, jeśli was złapią - powiedział.

- A jeżeli tego nie zrobimy, to zabiją ciebie. Już za późno, by o tym myśleć. Z wielkiego hallu musimy dojść do kuchni i do spiżarni. Jak już tam będziemy, pomyślimy, co dalej robić.

- Ale, Branwen...

- Mam lepszy pomysł - powiedział Geoffrey, wchodząc do pokoju. - Przepraszam, że was przestraszyłem. Ostatniej nocy Brian wtajemniczył mnie we wszystko i przysięgałem na mój honor, że was nie zdradzę.

- Nie powinieneś być tu przychodzić... - zaczęła Branwen, ale Geoffrey nie pozwolił jej dokończyć.

- Według sir Briana może wybuchnąć walka, a wtedy on może zginąć lub być ranny, więc ktoś zaufany powinien znać wasze plany, by wam pomóc. Sądzę, że właśnie potrzebujecie pomocy. Ludzie sir Waltera wcale nie są tacy pijani, jak nam się wydaje i rozkazano im

bacznie obserwować żołnierzy Briana. Udało mi się jakoś przejść, ale nie sądzę, że uda wam się przeprowadzić Thomasa bezpiecznie.

- Nie mamy wyboru, nie możemy go tu zostawić - odezwała się Meredith.

- Powiedziałem, że mam lepszy plan. - Podał Thomasowi płaszcz, który przyniósł. - Włóż go na siebie, chłopcze. Ty i ja pójdziemy tylnym wyjściem, za domem nie ma strażników.

- A co my mamy robić? - powiedziała Branwen trochę zdenerwowana, że następuje zmiana planu i że musi słuchać kogoś, komu nie do końca ufała. - Jak wydostaniemy Thomasa z Tynant?

- Ty i Meredith wyjdziecie stąd tak, jak przyszłyście, udając służące. My też przyjdziemy do kuchni, tyle że tylnym wyjściem.

- Przy drzwiach do spiżarni jest strażnik, ma na imię Roger - powiedziała Meredith.

- Dziękuję za ostrzeżenie, może uda mi się namówić jakąś służącą, by kokietowała go jakiś czas.

- Nie podoba mi się to - bąknęła Branwen. - Czy możemy ci ufać?

- Tak, możemy - oświadczyła Meredith.

- Lady Branwen, Geoffrey oddałby życie za wujka Guya i za mnie - odezwał się Thomas.

- Tak, oddałbym życie - dumnie powiedział Geoffrey.

- Dobrze - zgodziła się ciotka. - Ale nie marnujmy już więcej czasu. W każdej chwili ktoś może tutaj przyjść.

- Kto idzie pierwszy? - zapytała Meredith.

- Wy dwie, ostrzeżcie nas, jeżeli ktoś będzie nadchodził. Przystańcie przy schodach, aż do czasu, gdy ja i Thomas będziemy bezpieczni przy tylnym wyjściu.

- Dzięki ci, Geoffrey - uśmiechnęła się Meredith.

- To mój obowiązek. Wrócę na przyjęcie, gdy tylko doprowadzę Thomasa do spiżarni.

Obie wołały nie pytać, co by się stało, gdyby Walter i jego ludzie zauważyli, że Thomas zniknął. Można było się tego domyśleć. Brianowi na pewno nie udałoby się przekonać Waltera, że nic o tym nie wiedział. Rozpocznie się walka i ktoś będzie musiał zginąć. Podeszły do drzwi.

- Nie ma nikogo. Już czas.

Podążyły do sali. Tam wzięły puste półmiski i skierowały się do kuchni. Droga pomiędzy stołami była bardzo długa. Lęk powodował, że Meredith wydawało się, że czas stanął w miejscu. Akrobaci dawali właśnie przedstawienie i wszyscy zdawali się ich oglądać. Branwen była już w drodze do kuchni, a Meredith przystanęła przy ścianie, czekając na dogodny moment. Rozejrzała się dokoła. Przestraszyła się tego, co zobaczyła. Kogoś brakowało. Jeszcze raz spojrzała na główny stół. Sir Walter rozmawiał z Brianem, ojciec Herbert jadł coś, ale nie było lady Isabel. Meredith przerażona prawie biegła w kierunku kuchni.

Tam w przejściu stała Isabel. Dawła wskazówki kucharzowi. Strażnik przy wejściu patrzył na Isabel z uwielbieniem. Nie było dokąd uciekać. Meredith nie mogła teraz wycofać się w głąb sali, bo byłoby to podejrzané. Jeżeli zostanie, Isabel ją rozpozna, a wtedy podniesie krzyk. Meredith stała wryta w ziemię, niezdolna do żadnego ruchu.

Isabel odwróciła się. Uniosła brwi. Znowu powiedziała coś do kucharza i odwróciła się ponownie, teraz dopiero uświadamiając sobie, że to Meredith stoi przed nią. Za kucharzem stał Geoffrey z Branwen, a pomiędzy nimi krył się Thomas.

- Dokąd idziesz, Meredith?

- Mam obowiązki, moja pani - odpowiedziała zdławionym głosem. - Proszę, pozwól nam to zrobić, nie skrzywdź Thomasa. - Krótka chwila milczenia zdawała się wiecznością.

- Idź i zrób to, co każę - rozkazała Isabel kucharzowi, a ten poszedł, by zająć się potrawami. Meredith spojrzała na strażnika, oczy Isabel podążyły za jej spojrzeniem. - Ty chodź ze mną - powiedziała do niego. Meredith odczuła ulgę.

- Musicie się spieszyć - powiedział Geoffrey. - Lady Isabel z pewnością zaraz powie Walterowi, co zaszło, a jeżeli nie ona, to strażnik zrobi to z pewnością. Idę ostrzec Briana. - Geoffrey zamknął za sobą drzwi do spiżarni.

Ich oczy przez chwilę przyzwyczajały się do ciemności. Niepewnie schodzili po schodach do piwnic i magazynów. Meredith udało się nareszcie zapalić świeczkę Branwen znalazła zaznaczone wcześniej drzwiczki do tunelu. Thomas przystanął, rozglądając się niepewnie.

- Tędy dostałyśmy się do Tynant - wyjaśniła Meredith. - Wyjdziemy tą samą drogą, mój rycerzu. Czy podasz mi rękę? - Poczwała jego palce w swojej dłoni. Branwen w tym czasie zaryglowała drzwi.

- Musimy się teraz bardzo spieszyć - powiedziała. - Jestem pewna, że Walter wyśle za nami żołnierzy i nie zajmie im dużo czasu odblokowanie tych drzwi, gdy już je znajdą. Meredith, idź pierwsza, ja będę trzymała świeczkę.

Biegli, uważając, by nie uderzyć się o belki. Prawie natychmiast usłyszeli głośne łomotanie w ściany świadczące o tym, że żołnierze szukali przejścia, a po chwili hałas towarzyszący wyważaniu drzwi. Głosy za plecami i szcęk mieczy były coraz głośniejsze.

- To głos Briana - zatrzymała się Branwen.

- Ciociu! - krzyknęła przerażona Meredith. - Nie wolno nam się zatrzymywać. Brian na pewno chciałby, żebyśmy jak najszybciej biegły do przodu.

Dotarli do miejsca, gdzie zarwała się ściana tunelu. Meredith Pomogła Thomasa się wspiąć. Nie było to łatwe, gdyż dookoła było błoto i dużo kamieni.

- Ostrożnie Meredith, tu jest ślisko. - Wyciągnął do niej rękę.

- Uciekajcie! - krzyczała zza ich pleców Branwen. - To ludzie Waltera! Nie! Och, nie!!

## ROZDZIAŁ 30

Świeczka, którą trzymała Branwen, zgasła, ale nagle inne światło oświetliło tunel. Branwen czołgała się, niedaleko obok niej był Brian z pochodnią i mieczem.

- Meredith! - krzyknął. - Zaopiekuj się Thomasem, ja zajmę się Branwen.

Meredith objęła ramieniem chłopca i ponaglała go do biegu. Słyszeli głosy nadciągającej pogoni.

- Wszystko będzie dobrze - mówiła, nie wierząc we własne słowa. Całym sercem chciała wrócić i pomóc Branwen, ale nie mogła, jej obowiązkiem było wyratować Thomasa i ufać, że Brian da sobie radę.

- Słyszę Geoffreya - powiedział Thomas drżącym głosem.

- To dobrze. - Chciała, by zabrzmiało to pocieszająco. - On nam pomoże.

Nagle oboje przystanęli ogłuszeni przeraźliwym krzykiem i hukiem, od którego zatrzęsała się ziemia. Nastąpiła długa chwila ciszy. Po chwili rozległ się krzyk Briana:

- Branwen, nie!!!

Meredith zapomniała o wszystkim i pobiegła w tym kierunku. Brian klęczał na ziemi i ścierał piasek z twarzy Branwen.

- Zrobiła to, by mnie uratować - mówił. - Żołnierz Waltera ugodził ją mieczem. On chciał mnie zabić. Branwen chwyciła się obłuzowanej belki, pociągnęła i upadła. Żołnierze zapadli się razem z nią. Zrobiła to dla mnie, moja ukochana.

Przybiegł Geoffrey. Krew ciekła z jego ręki, ciężko oddychał.

- Sir Brianie, proszę! - błagał. - Nic już nie możemy dla niej zrobić, ale być może uratowała nas wszystkich. Ta zapadlina w ziemi powstrzyma wrogów na jakiś czas, może zdążymy uciec. Chodźmy, proszę.

- Nie mogę jej zostawić.

- Sir Brianie - nalegał giermek. - Pamiętaj o obowiązkach wobec lorda Guya. Musimy zaopiekować się Thomasem.

- Meredith? - To był głos chłopca, małego przestraszonego chłopca; nie było w nim śladu męstwa. - Czy Branwen nie żyje?

Przytaknęła. Nie mogła wymówić słowa, oczy miała pełne łez. Geoffrey objął ją. Znowu usłyszeli nadbiegających żołnierzy.

- Musimy iść - nalegał rozpaczliwie. - Oni nadchodzą.

- Uciekajcie! - wrzasnął Brian. - Geoffrey, zajmij się wszystkim, ja spróbuję ich zatrzymać. Umrę przy boku mojej ukochanej. Rób, co mówię!

- Ale, sir Brianie...

- Nie dyskutuj. Nie zostawię Branwen.

Kroki w tunelu były coraz głośniejsze. Geoffrey pchnął Meredith i Thomasa, ponaglając ich. Szli po omacku, dotykając ścian. Meredith próbowała się zmusić, by nie słyszeć odgłosów walki za plecami. Tak, trzeba iść dalej. Gdyby Walter złapał ich teraz, zabiłby z pewnością. Nareszcie znaleźli się przy wyjściu z tunelu. Na dworze było zupełnie ciemno. Jedyne gwiazdy błyszczały na niebie. Meredith szybko zorientowała się w terenie.

- Powiedz mi, która droga prowadzi do domu Waltera, a wtedy znajdę konie - wyszeptał Geoffrey do jej ucha.

- To ta - wskazała,

Kurczowo trzymała Thomasa. Znaleźli trzy osiodłane konie przywiązane do drzewa.

- Musimy jechać tak szybko, jak tylko umiemy. Mam nadzieję, że sir Walter myśli, iż jesteśmy ciągle w tunelu. Oby jak najdłużej, bo na pewno wyśle za nami pościg.

- Możesz jechać, Geoffrey? Czy najpierw opatrzyć twoją ranę?

- Później, wydaje mi się, że ręka już przestała krwawić.

Zatrzymali się tylko na chwilę, gdy Meredith zauważyła, że Thomas chwieje się w siodle. Krzyknęła do Geoffreya.

- Ja go wezmę - stwierdził i przytrzymał wodze konia Thomasa.

- Przecież widzę, że boli cię ręka i ciężko ci utrzymać się w siodle. Nie jestem najlepszym jeźdźcem, ale dam sobie radę. Nie kłóćmy się, nie mamy na to czasu.

Przeciągnęła Thomasa na swojego konia. Trzymała go przed sobą, nie wiedząc, czy chłopak śpi, czy też stracił przytomność. Jak dotąd nie było śladu pościgu.

Gdy dotarli do bram Afoncaer, było jeszcze ciemno. Czekali chwilę, aż otworzono im bramy i opuszczono most. Otoczyli ich uzbrojeni żołnierze.

- To Geoffrey! Przywiózł Thomasa!

Zsiedli wyczerpani z koni, dokoła nich tłoczyło się pełno gapiów. Geoffrey chciał pomóc Meredith, ale sprzeciwiła się widząc, że trzyma się za rękę. Plama krwi na jego rękawie była duża.

- Niech kto inny to zrobi - powiedziała. - To mój obowiązek oddać osobiście Thomasa w ręce sir Guya.

Nie powiedziała już nic więcej szczęśliwa, że dokonali tej niemożliwej rzeczy. Nie chciała myśleć o tych, których stracili. Jakiś mężczyzna pomógł jej dojść do wielkiego hallu, nogi się pod nią uginały. Geoffrey położył nieprzytomnego Thomasa przy kominku. Ukłękła przy nim i pocierała jego ręce, próbując je rozgrzać.

Nagle wszyscy wokół rozstąpili się. Przyszedł Guy. Patrzył na Thomasa, nie dostrzegając Meredith.

- Thomas? Thomas? Czy on żyje? - Zauważył ją wreszcie. Oczy rozszerzyły mu się ze zdziwienia. - Co ty tu robisz?

- Meredith go uratowała - powiedział Geoffrey. - To znaczy sir Brian i Branwen, i ja... wszyscy...

- Brian? Branwen? Co ty opowiadasz? - Całe opanowanie Guya nagle zniknęło. - O co tu chodzi? Przecież wysłałem ciebie i Briana, byście wynegocjowali z Walterem uwolnienie Thomasa! Czy zabraliście ze sobą te kobiety dla rozrywki? Naraziliście je na takie niebezpieczeństwo? Jak śmieliście nie słuchać moich rozkazów? Gdzie jest Brian?

- Mój panie. - Głos Reynauda brzmiał spokojnie. Duchowny położył rękę na ramieniu Guya. - Zapanuj nad sobą i pozwól Geoffreyowi usiąść. Niech ktoś mu przyniesie krzesło i coś do picia. Czyż nie widzisz, panie, że jest ranny? Geoffrey, odpocznij, napą się wina i opowiedz nam wszystko.

- Gdzie - Guy nie mógł się jednak opanować - gdzie na miłość boską jest Brian, odpowiadaj! Co Walter mu zrobił?

Meredith nie mogła tego dalej znieść. Guy wrzeszczał na Bogu ducha winnego Geoffreya, który z narażeniem życia ratował jego bratanka.

- Brian nie żyje! - krzyknęła, nie mogąc opanować złości i żalu. - Branwen też nie żyje! Umarli, byśmy mogli przywieźć tu Thomasa. Geoffrey nam pomagał. Nie żylibyśmy, gdyby nie oni. Moja ciocia nie żyje, och, biedna Branwen! - Wybuchnęła płaczem.

- Co ty mówisz, dziewczyno? - Złapał ją za ręce i potrząsał nią. - Dlaczego jesteś w to wplątana?

- Panie, proszę cię. - Reynaud wstał z ławy. Guy puścił Meredith.  
- Joan, nalej im wina, wszystkiego się dowiemy. Meredith, czy możesz powiedzieć, co się stało Thomasowi? Czy jest ranny?



- Nie wydaje mi się, żeby był źle traktowany w Tynant - powiedziała spokojniejszym głosem. Słowa kierowała do Reynauda. - Jednak dzisiejszego wieczoru widział potworne rzeczy i był bardzo przestraszony, a potem długo jechaliśmy w tym zimnym, nocnym powietrzu. Reynaud przytaknął i zapytał:

- Czy możesz mu jakoś pomóc?

- Postaram się. Czy mam na to zezwolenie sir Guya?

- Tak, lecz go, Meredith. On musi żyć.

- Meredith sama potrzebuje pomocy - zauważyła Joan, powstrzymując się, by nie rzucić w Guya dzbankiem, który trzymała w ręce. - Spójrz na nią, jest wyczerpana. Musi zażyć ciepłej kąpieli i napić się grzanego wina.

- Nie, najpierw zajmę się Thomasem. - Meredith uśmiechnęła się do Joan. - Zaopiekujesz się Geoffreyem? Ma zranione ramię. Musimy ogrzać Thomasa - zwróciła się do Guya. - Sądzę też, że lepiej mu będzie w jakimś spokojnym miejscu, a nie tutaj.

- Weź go do mojej komnaty, niech śpi w moim łóżku. Meredith, użyj wszystkiego, co uznasz za stosowne. Geoffrey, jak tylko Joan opatrzy twoje rany, chcę usłyszeć dokładny raport. Muszę wiedzieć, co się wydarzyło i czy mam spodziewać się ataku na Afoncaer.

- Nie słyszeliśmy pościgu, więc sądzę, że atak nie nastąpi ani dziś, ani jutro. Sir Walter będzie potrzebował kilku godzin, by zorientować się, co zaszło. Potem zadecyduje, co zrobić.

- Panie, ja również brałem udział w snuciu planów ratowania Thomasa - powiedział Reynaud. - Jeżeli chcesz, powiem ci wszystko, co wiem.

- Ty, Reynaud? Czyżby wszyscy oprócz mnie wiedzieli o tym planie? Później się z tobą policzę.

Reynaud wcale się nie przestraszył, odprowadził wzrokiem lorda, który zmierzał za Thomasem i Meredith.

Położono chłopca w łóżku Guya, które ogrzano podgrzewaczami. Wykapano go w gorącej wodzie. Okryto ciepłymi kocami i nacierano stopy i dłonie, aż stały się ciepłe. Po jakimś czasie otworzył oczy i Meredith podała mu kilka łyżek gorącego wina. Znowu zapadł w sen. Przez cały ten czas, Guy stał w pokoju i obserwował ich.

- On będzie teraz spał - powiedziała Meredith.

- Idź do Joan. - W jego głosie nie było nawet cienia współczucia.

- Przygotowała ci jedzenie. Ma też ciepłe rzeczy do przebrania. Kiedy

się odświeżysz, przyjdź do wielkiego hallu. Będę rozmawiał z wami wszystkimi.

Chłód i brak zainteresowania z jego strony był dla Meredith jak cios sztyletem w serce. Kochała go, był dla niej wszystkim. Jeszcze nie tak dawno leżeli razem w łóżku, w którym teraz spał Thomas, i czuli się tacy szczęśliwi. Dlaczego nie chce ulżyć jej trochę, okazując więcej ciepła? Poszła szybko do drzwi, by nie dostrzegł łez w jej oczach. Nie zwracał na nią uwagi. Cały czas patrzył na Thomasa.

Joan nie wiedziała, co ma zrobić, widząc roztrzęsioną, płaczącą Meredith.

- Wypij to. - Podała jej kielich ciepłego, przyprawionego wina. - To naturalne, że sir Guy jest taki zimny - powiedziała. - To wcale nie znaczy, że nie boleje nad stratą sir Briana i Branwen. Jemu po prostu nie wolno się załamać. Byłoby to nierycerskie, a on ma dużo obowiązków. Kobiety mogą płakać, ale mężczyźni wyładowują żal w zemście. Walter fitz Alan pożałuje tego, co zrobił, już sir Guy tego dopilnuje.

Gdy Meredith w nieco lepszym nastroju weszła do wielkiego hallu, Geoffrey i Reynaud kończyli już swoje opowieści.

- I zostawiliście Briana samego? - Twarz Guya była ciemna ze złości i bólu.

- Zrobiłem to na rozkaz sir Briana. - Geoffrey niepewnie spojrzał na swojego pana. - Nie chcieliśmy go zostawić, ale wiedzieliśmy też, że naszym głównym obowiązkiem jest sprowadzić Thomasa bezpiecznie do domu.

- A inni żołnierze, którzy pojechali z wami do Tynant, co z nimi?

- Gdy biegłem za sir Brianem do piwnic, walczyli z żołnierzami Waltera, starając się nas ochraniać. Nie sędzę - przyznał ze smutkiem - by którykolwiek z nich przeżył. Sir Walter ma wielu dobrze uzbrojonych żołnierzy do pilnowania swego domu.

- Jak duże są jego siły? Jak są rozmieszczone?

- Sporządziłem szczegółowe obserwacje. Sir. Brian był pewny, że będziesz chciał to wiedzieć.

- Tak, chcę. Na szczęście moi ludzie z Adderbury nadjechali wcześniej.

Meredith miała wrażenie, że Guy w ogóle jej nie zauważył, ale myliła się.

- Przykro mi z powodu śmierci twojej ciotki - powiedział. - Geoffrey powiedział mi, jaka była dzielna i jak mężnie zginęła. Ale jestem na was wszystkich zły. Dziwił mnie fakt, w jaki sposób Brian, który był rycerzem, a nie mówcą, miał zamiar negocjować z Walterem. Jak mogliście zataić przede mną całą prawdę?

- To ja nalegałem - odezwał się Reynaud. - Meredith nie chciała się na to zgodzić. Ja jednak sądziłem, że lepiej będzie dla ciebie, jeżeli nie będziesz o niczym wiedział. Obawiałem się, że zdecydujesz się ratować Thomasa na własną rękę i zostaniesz schwytyany przez Waltera. Poza tym, gdyby ta próba się nie powiodła, mógłbyś z czystym sumieniem powiedzieć, że nic o tym nie wiedziałeś.

- Jakież to sprytne, Reynaud. - Guy kiwał głową. - Znam Waltera lepiej niż ty i powiem ci, że gdyby ta próba się nie powiodła, to zabiłby bez wahania Thomasa i zaatakowałby Afoncaer. Nie spocząłby aż do chwili, gdy zamek znalazłby się w jego rękach.

- Teraz też może cię zaatakować - zauważyła Meredith. - Sir Walter jest bardzo zły, i to nie tylko dlatego, że stracił Thomasa, ale także dlatego, że lady Isabel nam pomogła.

- Słyszałem już to. - Spojrzał na nią i znowu się odwrócił. - Nie będę czekał, aż Walter zdecyduje się do mnie przyjść. Jutro my zaatakujemy Tynant.

- Jadę z tobą, mój panie. - Geoffrey wstał z krzesła. - Brian był też moim przyjacielem. Chcę pomścić jego śmierć.

- Jeżeli ja też mógłbym się na coś przydać, na przykład aby porozmawiać z Walterem przed walką, to chętnie pojedę z tobą, panie - zaofiarował się Reynaud.

- Zrobiłeś już więcej zamieszania niż trzeba. - Guy ostro spojrzał na architekta.

- Nie! - krzyknęła Meredith. - Nie pozwolę winić tego uczciwego człowieka, który miał na względzie dobro twojego bratanka. Pomysł uratowania Thomasa był mój, chociaż myślę, że Branwen też tego chciała. Poza tym знаła szczegóły, które to umożliwiły. Reynaud udoskonalił nasz plan, a jeżeli chodzi o Geoffreya, to on nic nie wiedział aż do chwili, gdy Brian powiedział mu o wszystkim w noc poprzedzającą zdarzenie. A więc jeżeli chcesz kogoś winić albo karać, to niech to będę ja, a nie ci mężczyźni. A w ogóle sądzę, że powinieneś podziękować nam wszystkim za to, co zrobiliśmy.

Guy najpierw roześmiał się głośno, a potem się zdziwił.

- Czy to jest ta spokojna, delikatna Meredith, którą znam? Nagroda? Rozważę to, ale później - droczył się. - Czeka mnie pracowita noc. Geoffrey, jeżeli chcesz jechać ze mną jutro, to idź się przespać. Meredith, ty zostaniesz tutaj z Thomasem. Reynaud, chodź ze mną, mam rozkazy dla ciebie i kapitana Johna, który będzie zarządzał Afoncaer w czasie mojej nieobecności.

Wyszli z hallu, Guy szedł pierwszy, a za nim Meredith i Reynaud.

- To było takie miłe - szeptał jej do ucha duchowny. - Dziękuję ci za to, że mnie broniłaś, Meredith. Dziękuję za te miłe słowa.

- Mówiłam prawdę.

- Mimo wszystko...

- Reynaud, idziesz? - powiedział Guy zniecierpliwiony.

Reynaud pospieszył za nim, nie odwracając się za siebie.

Meredith poszła do pokoju, gdzie leżał Thomas i usiadła przy nim. Po kilku godzinach zjawił się Guy, by osobiście sprawdzić stan zdrowia chłopca.

- Cały czas śpi - powiedziała Meredith, wstając z krzeselka przy kominku. - Potrzeba mu dużo snu.

- Wydaje mi się, że tobie też przydałoby się trochę odpoczynku. Każę Joan przysłać tutaj służącą, by przy nim siedziała, a ty idź spać. - Objął ją ramieniem. - Byłaś bardzo dzielna.

- Żałuję, że Brian i Branwen... - Nie mogła dokończyć, położyła głowę na jego ramieniu i płakała rzewnie. Tulił ją tak długo, aż się uspokoiła. - Teraz ty idziesz igrzać z życiem - powiedziała, wycierając oczy. - Co się stanie z nami wszystkimi, jeżeli Walter cię pokona?

- On mnie nie pokona. Nie da rady. - Spojrzała na niego z powątpiewaniem w oczach. - Tak powiedziałby nasz przyszły prawdziwy rycerz, Thomas. Pobjemy Waltera, by pomścić Briana i Branwen, i trochę też Thomasa, obiecuję. Wrócę i wtedy... - Wyszedł, nie dokończywszy zdania.

## ROZDZIAŁ 31

Rankiem stan Thomasa pogorszył się. Oddychał bardzo ciężko i nierówno. Nie trzeba było go dotykać, by czuć ciepło, jakie od niego biło. Miał wysoką gorączkę. Na przemian odzyskiwał i tracił świadomość. Chwilami majaczył coś lub mówił urywane zdania dotyczące swego uwięzienia lub śmierci Branwen i Briana.

Meredith siedziała przy nim przez jakiś czas, aż w końcu zdecydowała, co zrobi. Poprosiła służącą, by przemywała czoło Thomasa wilgotną szmatką, a sama poszła poszukać Guya. Wiedziała, że większość nocy spędził na przygotowaniach do ataku na Tynant. On i jego ludzie mieli wyruszyć wczesnym rankiem.

Znalazła go w wielkim hallu. Był zmęczony bezsenną nocą i zdenerwowany perspektywą walki. Geoffrey właśnie ubierał go w zbroję. Wiedziała, że nie spocznie, zanim nie dostanie Waltera w swoje ręce. Poczekala, aż Geoffrey skończył. Guy podszedł do niej, tupiąc głośno ciężkimi butami w kamienną posadzkę.

Piękny i dostojny był ten mężczyzna, któremu oddała serce dwa i pół roku temu. Kochała go ponad życie, gotowa była zrobić dla niego wszystko. Miał wszystkie te cechy, które najbardziej ceniła. Był uczciwy i sprawiedliwy, czasami porywczy, ale zawsze cierpliwy wobec innych, a przede wszystkim był uczuciowy i delikatny.

- Zostawiam cię pod opieką kapłana Johna - powiedział. - Będzie strzegł Afoncaer wraz z Reynaudem. Pozostań w zamku do mojego powrotu.

- Mój panie, chodzi o Thomasa.

- Mówiłaś, że potrzebuje tylko snu, nie zaglądałem do niego, nie chcąc mu przeszkadzać. Co się stało?

- Gorączkuje, jest bardzo chory, obawiam się o niego. - Dotknęła ręką jego dłoni, szukając ciepła i pomocy.

- Będzie żył, ty nie pozwolisz mu umrzeć, Meredith. Och, Walterze, zapłacisz mi za to, będziesz umierał w bólach, bardzo powoli.

- Nie chcę być ci nieposłuszna, ale muszę opuścić zamek.

- Rozkazuję ci tu pozostać. - Jego głos złagodniał: - Meredith, jestem od ciebie zależny. Zostań z Thomasem.

- Ja muszę iść w sprawie Thomasa. Muszę mieć twoją zgodę, inaczej kapitan John nie pozwoli mi przejść przez bramę. W jaskini są lekarstwa, które mogłyby pomóc Thomasowi.

- Dobrze, ale nie pójdziesz sama, Walter lub jego ludzie mogą ukrywać się w lesie. Pójdziesz w asyście uzbrojonych strażników.

Zgodziła się na wszystko i chciała go rozweselić, by nie myślał już o Thomasie. Zażartowała:

- Czy twoi strażnicy chętnie poniosą moje koszyki z ziołami?

- Tak, jeżeli im rozkażę.

- W takim razie chętnie skorzystam z ich pomocy... I gdyby... jeszcze pomogli mi zasypać wejście do jaskini. Nie mam po co tam wracać, kiedy nie ma już Branwen i Rhysa. Wezmę stamtąd tyle rzeczy, ile będę mogła. Pozostanę w Afoncaer tak długo, jak to będzie konieczne, a potem pomyślę, co zrobić, ale do jaskini nie wrócę.

- Cieszę się, że to słyszę, porozmawiamy o tym jeszcze. Muszę już iść - rzekł Guy - przekażę wszystko kapitanowi Johnowi.

Szybko, zanim się odwrócił, dotknęła jego twarzy i pogładziła policzek.

- Wracaj szczęśliwie - wyszeptła.

- Jak mógłbym nie wrócić, wiedząc, że czekasz tu na mnie - uśmiechnął się i odszedł.

Stała wpatrzona w drzwi, przez które wyszedł. Dopiero po dłuższej chwili zdała sobie sprawę z obecności duchownego.

- Bóg jest z nim, jestem tego pewny - powiedział.

- Ja też. Reynaud, czy widziałeś dzisiaj Thomasa?

- Tak i nie podoba mi się to. Kapitan John wybrał czterech strażników, by poszli z tobą do jaskini. Im szybciej pójdziesz, tym lepiej dla Thomasa.

- Tak bardzo we mnie wierzysz? - zdziwiła się.

- Ja wierzę w Boga i w narzędzia, których używa, by spełnić swoje zamierzenia. Ty byłaś narzędziem w rękach Boga, gdy uratowałaś Thomasa.

- Miałam również ziemską pomoc - powiedziała i zreflektowała się, gdyż nie chciała sprawiać bólu temu dobremu, choć trochę dziwacznemu architektowi. - Czy chciałbyś przejść się ze mną do jaskini?

- Przyznaję, że jestem ciekawy, jak to miejsce wygląda, ale sądzę, że będzie lepiej, jeżeli tu zostanę. Wewnątrz zamku już prawie wszystko jest skończone, więc robotnicy mogą się teraz zająć zewnętrzną częścią, na wypadek, gdyby Walter zaatakował.

- Wiem, myślałam jednak, że znajdziesz trochę czasu.

- Pamiętaj, że moje plany co do wieży przewidywały również pokój wypoczynkowy. Jak wiesz, wieża jest już prawie gotowa, i ta komnata zostanie wkrótce wykończona. Będzie to twój pokój Meredith.

Chciała go uściskać, nie zrobiła tego jednak przez wzgląd na jego sutannę, ale błysk w jej oczach i rozpromienione policzki mówiły same za siebie.

- Bez wątpienia to jest najlepszy pomysł, jaki słyszałam.

\*

Jaskinia była ciemna, zimna i pusta. Rhys i Branwen nie żyli, to czyniło ją jeszcze bardziej ponurą. Meredith chciała jak najszybciej spakować się i uciekać z tego miejsca. Żołnierze trzymali pochodnie, a ona wkładała do koszyków słoiki i torebki pełne różnych medykamentów.

- Ostrożnie to nieście, lepiej niech się nic nie wyleje i nie stłucze - ostrzegła strażników.

- Wszystko będzie dobrze - zapewnił jeden z nich i puścił na ziemię koszyk, gdy pod nogami przebiegł mu biały kot.

- Boże litościwy - przeżegnał się. - A cóż to za bestia?

- To tylko kot - śmiał się inny - nie wiesz, że białe koty przynoszą szczęście?

- Nie lubię kotów - odpowiedział ten pierwszy.

- Ma na imię Gwyn - powiedziała Meredith, zbierając z ziemi słoiki, które żołnierz upuścił. - Nic się nie stłukło, ale proszę bądź ostrożniejszy. Dobrze, nic więcej nie potrzebuję z tej izby.

Podniosła głośno protestującego kota i wsadziła do koszyka z wiekiem, które mocno zamknęła, zostawiając mały otwór, by zwierzę mogło oddychać. Ten koszyk poniosę sama, pomyślała. Z rzeczy osobistych wzięła tylko szal, który należał do jej cioci. Był zrobiony przez kobietę, której chore dziecko wyleczyła Branwen. Wzięła też książkę, która należała do Rhysa. Nie potrafiła jej przeczytać, bo była napisana w języku, którego nie znała, ale była dla niej cenną pamiątką. Ostatni raz rozejrzała się po jaskini, starając się zdławić wspomnienia i ból. Nie było czasu na płacz. Musiała wracać do Thomasa. Była jednak jeszcze jedna rzecz, którą musiała zrobić. Powiedziała do dowódcy żołnierzy:

- Zasypcie wejście do jaskini.

Patrzyła, jak żołnierze wykonują to polecenie, zamykając w ten sposób jeden rozdział jej życia.

Gdy wracali do Afoncaer zaczęło padać. Dziwnie musieli wyglądać. Czterej uzbrojeni żołnierze dźwigający każdy po trzy koszyki pełne ziół i medykamentów. Pomiedzy nimi szła kobieta w luźnej, szarej sukni, z opadającym na ramiona szalem i trzema koszykami w rękach. Z jednego koszyka dochodziło miauczenie.

- Dlaczego nie zostawisz tego zwierzaka? - zapytał ten, który nie lubił kotów.

- Nie mogę, Gwyn jest najlepszym lekarstwem - odpowiedziała.

Żołnierz umocnił się w przeświadczeniu, że Meredith nie jest zupełnie normalna. Dziękował niebu, że ta kobieta to nie jego zmartwienie, tylko władcy Afoncaer.

Przybyli do zamku. Wnieśli kosze do hallu. Ten z kotem wzięła Meredith i zaniósła go do pokoju, w którym leżał Thomas. Wysłała służącą do kuchni po miseczkę z mlekiem. Thomas spał. Cały czas miał wysoką gorączkę.

- Jest coraz słabszy - powiedziała kobieta, która siedziała przy nim. Potem popatrzyła na kosz, w którym coś zamruczało i podskoczyło. - Meredith, co jest w środku?

- Coś, co, jak sądzę, pomoże Thomasowi. Nalej pół kielicha wina, wymieszam w nim zioła i podamy to Thomasowi. Tymczasem wypuszczę Gwyna. - Uklękła przy ognisku i otworzyła koszyk. Kot nie od razu wyszedł, najpierw rozglądał się ciekawie i po chwili już zwiedzał pokój. Meredith zaśmiała się, widząc zdumiony wyraz twarzy kobiety. - Thomas bardzo lubi tego kota - zapewniła.

Meredith zajęła się chłopcem, który wydawał się słabszy. Oddychał w dalszym ciągu bardzo ciężko Poila go przygotowanym przez siebie lekarstwem. Przełykał, ale nie chciał otworzyć oczu. Dawała mu łyżeczkę po łyżeczce, był w tym koper i mięta, by złagodzić ból i zmniejszyć gorączkę. Przykryła go jeszcze jednym kocem i nacierała dłonie i stopy. W kącie pokoju ustawiono piecyki, Meredith rozpałała większy ogień, by nagrzać pomieszczenie. Najważniejsze, żeby Thomasowi było ciepło, gdyby teraz zmarł, z pewnością by umarł.

Gwyn zwiedził nowe miejsce, po czym wypił mleko, które postawiła dla niego Meredith. Potem usiadł obok kominka i mył sobie



uszy. Meredith przysiadła na skraju łóżka i głaskała Thomasa po głowie. Chłopiec odzyskał przytomność.

- Meredith? - Przysunęła się bliżej, by zrozumieć, co mówi; jego głos był bardzo słaby, - Wujku Guyu?

- Jesteś bezpieczny w Afoncaer - zapewniła.

- Brian? - powiedział jeszcze ciszej.

- Wszystko dobrze kochanie, poza tym, że jesteś bardzo słaby i chory. Postaraj się o wszystkim zapomnieć.

Znowu zapadł w sen. Po jakimś czasie pojawił się Reynaud.

- Są jakieś wiadomości od sir Guya? - zapytała. Duchowny pokręcił przecząco głową.

- Jeszcze nie - powiedział. - Czy pójdziesz do hallu zjeść coś? Ja tymczasem posiedzę przy Thomasie.

- Nie, dziękuję, Reynaud, nie chcę go zostawiać. Gdybyś zechciał, mógłbyś mi przynieść kilka rzeczy z pokoju wypoczynkowego.

Powiedziała mu czego potrzebuje i podziękowała za urządzenie pokoju dla niej. Przygotowała następną miksturę i nakarmiła nią chłopca. Potem siedziała obok niego, trzymając jego dłoń w swojej. Głowa opadła jej na piersi, myśli zaczęły się mącić i za chwilę już spała.

Obudziło ją cichutkie mruczenie. Otworzyła oczy i zobaczyła Gwyna wyciągniętego u boku chłopca. Palce Thomasa zanurzyły się w sierści zwierzęcia. Kot nie przestawał pomrukiwać, pomruk ten był jak kołysanka; Meredith znowu zasnęła.

Gdy się obudziła, pokój rozświetlały promienie słoneczne. U boku łóżka klęczał Reynaud z pochyloną głową. Meredith zerwała się na równe nogi.

- Thomas?! Reynaud... on chyba nie... - Przestraszona sięgnęła po jego rękę.

- Sama zobacz - powiedział Reynaud. - Modłę się i dziękuję Panu. - Thomas miał zamknięte oczy, ale oddychał normalnie i miał zaróżowione policzki. Gorączka ustąpiła. - On zdrowieje - powiedział.

- O tak! - Patrzyła na chłopca. - Minie jeszcze trochę czasu, zanim wyzdrowieje zupełnie.

- W tym pokoju jest mu dobrze, szybko o wszystkim zapomni. Zrobiłaś Guyowi ogromną przysługę, Meredith.

- Zrobiłam to dla Thomasa.

- Naturalnie - uśmiechnął się. - Ale myślę, że lord Afoncaer nie jest ci obojętny.

Spojrzała głęboko w jego zmęczone, niebieskie oczy. Nie umiała zaprzeczyć.

- Sądzę, że spotkałaś godnego i szlachetnego władcę, a on wspaniałą kobietę.

Zanim odpowiedziała, Thomas obudził się.

- Meredith? Dlaczego modlicie się nade mną? Czy ja nie żyję?

- Och, Thomasie, Thomasie, żyjesz! - Uściskała go najmocniej jak umiała.

- Ale umrze, jeżeli go zadusisz - powiedział Reynaud.

Roześmiała się i położyła chłopca z powrotem na poduszki. Starła z policzków łzy szczęścia.

- Ty mnie uratowałaś. Pamiętam. A gdzie jest wuj Guy?

- Możemy ci powiedzieć - zdecydował Reynaud, widząc niepewną minę Meredith. - Pojechał do Tynant walczyć z sir Walterem.

- By pomścić Briana i Branwen? To też pamiętam - powiedział.

- I dlatego, że Walter cię porwał i nie pozwalał ci wrócić. Teraz jesteś bezpieczny i nikt cię nie skrzywdzi.

- Gwyn jest tutaj. - Pieścił kota. - Przyniosłaś mi Gwyna?

- Pomyślałam, że on cię pocieszy.

Thomas wyzdrowiał szybko. Następnego wieczoru już wstał, ale Meredith nie pozwalała mu jeszcze wychodzić z pokoju.

- Jest za zimno, byś poszedł do wielkiego hallu.

Nie dodała, że jest jeszcze jeden powód, mianowicie bezpieczeństwo. Wieża była o wiele lepiej chroniona aniżeli hall. Meredith każdej nocy spała obok niego na sienniku, czując się bezpiecznie, gdyż przed drzwiami stali dwaj strażnicy. Była zadowolona ze stanu zdrowia Thomasa, ale coraz bardziej zaniepokojona brakiem wieści od Guya.

- Do tego czasu powinien był już wysłać jakąś wiadomość - powiedziała do Reynauda.

- Wyśle, jeżeli będzie miał coś ważnego do zakomunikowania.

Podziwiała jego cierpliwość. Minęły następne dwa dni. Po południu piątego dnia nieobecności Guya, Meredith usłyszała krzyki i wyrzła przez wschodnie okno.

- Widzisz coś, Meredith? - zapytał Thomas. Siedział na fotelu przy kominku okryty kocami.

Gwyn leżał na jego kolanach.

- Jacyś żołnierze jadą drogą do zamku. Thomas... To sir Guy! Wrócił!

Nic nie mogło powstrzymać chłopca, podszedł do okna, aby zobaczyć, jak jego wuj triumfalnie wjeżdża do zamku.

Guy, zdrow i cały, jechał na czele, za nim podążał Geoffrey. Walter fitz Alan był przywiązany do siodła łańcuchami i otoczony przez uzbrojonych żołnierzy. Trochę dalej jechała wciąż dumna lady Isabel, nie była związana, lecz bardzo pilnie strzeżona. Po jej lewej stronie jechał ojciec Herbert na mule. Thomas widząc go, wykrzyknął:

- Meredith, proszę, powiedz strażnikowi, żeby pod żadnym pozorem nie wpuszczali do mnie ojca Herberta. Nie chciał mi pomóc, gdy mnie uwięziono, a teraz z pewnością przyjdzie tutaj błagać, bym wstawił się za nim i za lady Isabel. Mojej matki też nie chcę widzieć! - Głos Thomasa przerywany był wybuchami spazmów.

- Pomimo wszystko myślę, że twoja matka cię kocha, Thomasie - powiedziała łagodnie Meredith. - Pozwoliła nam uciec - przypomniała mu.

- Tak, ale później nasłala na nas ludzi Waltera.

- Nie wiemy czy to lady Isabel, równie dobrze mógł to być ten strażnik, Roger.

Thomas zaczął kaszleć. Meredith nalegała, by odszedł od otwartego okna i położył się do łóżka. Przykryła go i zmusiła, by wypił jedną z jej mikstur. Potem podeszła do okna i zamknęła je. Jesień robiła się coraz chłodniejsza.

- To dziwne - wyszeptała.

- Co oni robią? - zapytał.

- Nie wchodzą do wielkiego hallu, chyba mają zamiar wejść tutaj, do wieży. Thomas, nie ruszaj się z łóżka. Obiecuj. Pójdę na dół i zobaczę, co się dzieje. Wrócę i wszystko ci opowiem.

## ROZDZIAŁ 32

Thomas bardzo niewyraźnie wypowiedział przyrzeczenie pozostania w łóżku. Meredith biegła już po schodach. Słyszała głosy dochodzące z dołu. Weszła do komnaty, która należała do strażników. Byli tam Guy, Geoffrey i Reynaud, trzech więźniowie z Tynant i kilku strażników. Siłą powstrzymywała się od rzucenia się Guyowi na szyję. Była bardzo szczęśliwą że go widzi.

Na środku pokoju stał Walter fitz Alan. Nie był już skuty łańcuchami, jedyną ich pozostałością były obręcze na jego nadgarstkach.

- Ty - zwrócił się do niego Guy - będziesz pierwszym gościem w moim nowym lochu. Pozostaniesz tam w łańcuchach, dopóki nie dostanę instrukcji od króla Henryka, jaką karę ci wymierzyć.

Meredith zatrzęsała się na samą myśl o lochach, raz je tylko widziała. Znajdowały się poniżej piwnic. Zbudowane z solidnego kamienia, z wąskim otworem u góry, przez który mała wiązka światła i trochę powietrza mogło dotrzeć do wewnątrz. Już zaczęła żałować Waltera, gdy przypomniała sobie, co uczynił i żal minął!

- Pierwszy więzień? - Walter wydawał się bardzo spokojny i dumny. - Drogi gospodarzu, cóż to dla mnie za honor! Żałuję tylko, że nie jest odwrotnie. Szkoda, że nie mogę opisać radości, jaką bym czuł, gdybym mógł cię tak samo potraktować.

- Weźcie go na dół - rozporządził Guy. - Dajcie mu koc i dopilnujcie, by był dobrze karmiony. Musi być w dobrej kondycji do dnia wymierzenia kary.

- Powiedzcie kucharzowi, że lubię dziczyznę, przydałaby się też miseczka sałatki z porów. To moje ulubione potrawy. Do tego trochę wina reńskiego - kpił Walter.

- Woda i chleb, oto na co zasługujesz i to tylko co drugi dzień - krzyknął za nim Geoffrey. - Jaką karę zarządzi król? Jak myślisz, panie? - zwrócił się do Guya.

- Nie mam pojęcia - odpowiedział. - Może być i tak, że król pozostawi to mnie. - Nie mówił tego z radością. Odczuwał żal i ból z powodu zdrady Waltera.

- Brat Waltera, Baldwin, wykupi go - odezwała się stojąca z boku Isabel. - Guy, wyślij zawiadomienie do Baldwina, potem Walter i ja opuścimy to miejsce i więcej nigdy nas nie zobaczysz.

- Och, mój panie, proszę! - Ojciec Herbert klęczał przed Guyem.  
- Zrób tak, jak mówi lady Isabel. Król cię wysłucha, jeżeli wstawisz się za Walterem. Niechaj nie przelewa się więcej krwi. Mówiono mi, że Thomas jest cały i zdrowy. Niech to niemiłe zdarzenie ma już swój koniec.

- Thomasowi nic nie jest - oświadczyła Meredith. - Był jednak ciężko chory i ciągle jeszcze przeżywa to, co widział.

- Mogę temu zaświadczyć - powiedział Reynaud. - Thomas mógł równie dobrze umrzeć, mój panie, gdyby nie było przy nim Meredith. Troszczyła się o niego jak o własne dziecko.

- Dziękuję ci, Meredith - ciepłym głosem powiedziała Isabel. - Och, Meredith, tak bardzo ci jestem wdzięczna, martwiłam się o niego.

- Martwiłaś się? - Meredith spojrzała na nią z ogromnym zdziwieniem. - Ty się martwiłaś? Ty wyrodna matko! Nigdy nie dbałaś o niego. Dla ciebie najważniejszą rzeczą była twoja pozycja, stroje i biżuteria.

- Pomogłam mu uciec! - zapewniała Isabel. - Uratowałam mu życie!

- Ty? - Meredith była zielona ze złości. Nie mogła wykrztusić słowa.

- To nieprawda! - krzyknął Geoffrey. - Ty nas zdradziłaś, widziałem, jak rozmawiałaś z Walterem.

- Nie powiedziałam mu, że poszliście do piwnicy, to strażnik przekazał tę informację Walterowi - upierała się.

- Kłamiesz, miła pani - Geoffrey tracił cierpliwość.

- Nie kłamię, Walter nigdy mi nie wybaczy tego, co zrobiłam dla Thomasa.

- Uspokójcie się wszyscy - zarządził Guy. - Będzie jeszcze czas, by znaleźć winnego. A tobie, ojczy Herbercie, nie zrobię krzywdy. Będziesz mieszkał zamknięty w pokoju gościnnym tak długo, aż nie zdecyduję, co z tobą zrobić.

- Ja nie podlegam świeckiemu prawu - przypomniał duchowny.

- Ale teraz jesteś w moim pałacu, pod moimi rządami, zresztą trzymałeś stronę zdrajców i to cię pograży. Straż, brać go!

- Reynaud, powiedz lordowi, że nie może tego zrobić!

- Będzie lepiej, jeżeli zrobisz to, co ci się mówi. Ojciec Herbert widząc, że nie uzyska od nikogo pomocy, poszedł za strażnikami.

- Teraz ty - Guy zwrócił się do Isabel. - Sądzę, że to był twój pomysł, aby posłużyć się synem mojego brata.

- Wiedziałaś, że nie pozwolisz mu umrzeć, za bardzo go kochasz. Byłam pewna, że zgodzisz się na wszystko.

- Myliłaś się, nie zdradziłbym króla Henryka.

- Nie wierzę ci - Isabel zbladła.

- Przez ciebie i Waltera nie żyje Brian i sześciu innych moich doskonałych żołnierzy. Nie żyje też ciotka Meredith.

- Co zamierzasz ze mną zrobić? - wyszeptła. Stała przed nim i trzęsa się. Nie płakała jednak, jak to miała w zwyczaju. Natomiast służące Alice i Margaret wylewały rzewne łzy.

- Do czasu mojej decyzji będziesz tak jak ojciec Herbert trzymaną w odosobnieniu pod ciągłą strażą. Modlę się, by Afoncaer nie miało już więcej takich gości.

- Proszę cię, Guy, pozwól mi wszystko wytłumaczyć. Zrozumiesz mnie, wiem, że ty mnie zrozumiesz. - Teraz Isabel odwołała się do swojej niezawodnej broni, jaką były łzy. - Miej dla nas litość, możesz nam pomóc, jeśli tylko zechcesz

- Zabierzcie ją do jej pokoju - Guy rozkazał strażnikom.

Jeden z nich chwycił jej ramię, ale wyszarpnęła się i poszła do drzwi z uniesioną głową, Trzasnęła drzwiami tak, że zadrżały ściany.

- Musimy skonsultować wszystko to, co do tej pory wiemy. Meredith - Guy zwrócił się do niej - znaleźliśmy ciała twojej ciotki i Briana w sekretnym przejściu. Zatrzymał sześciu żołnierzy Waltera, zanim sam nie zginął. Pochowaliśmy ich razem na pagórku, niedaleko Tynant Ksiądz z Llangwilym odprawił za nich mszę.

- Branwen spędziła tam szczęśliwe chwile jako dziecko. Cieszę się, że spoczywa w Tynant Dobrze, że jest z nią Brian, dziękuję ci. - Meredith nie mogła już nawet płakać.

- Co teraz, mój panie? - zapytał Reynaud.

- Moi ludzie są w Tynant i utrzymują go w imieniu króla. Teraz kiedy Walter jest pobity, nie spodziewam się ataku ze strony hrabiego Chester. Jak na razie nic nam nie zagraża. Jutro zaczynamy budowę. A dzisiaj - rozprostował ramiona i przeciągnął się - gdy już Geoffrey rozebrał mnie z tej ciężkiej zbroi, marzę tylko o ciepłej kąpieli, która złagodzi ból mięśni, o dobrym posiłku i spaniu. Czy Thomas w dalszym ciągu jest w moim pokoju?

- Tak, ale jest już na tyle zdrowy, że może się przenieść - zapewniła Meredith.

- Położmy go przy ognisku w wielkim hallu - powiedział Geoffrey. - Zaopiekuję się nim.

- Ja też - dodał Reynaud.

W całym tym wieczornym zamieszaniu przeoczyli Gwyna. Kot gdzieś się zawieruszył.

- Nigdzie go nie widziałem - martwił się Thomas, gdy już położyli go na sienniku w wielkim hallu. - Nie sądzę, by przyszedł tutaj, gdzie są psy - dodał i wskazał dwa ogromne charty kręcące się po wielkim hallu.

- Nie martw się. Jest najprawdopodobniej w wieży, zaniosę mu miseczkę z mlekiem.

Meredith poszła do kuchni po mleko, po czym udała się do wieży. Był tam ten sam strażnik, który pilnował Thomasa, gdy ten leżał ciężko chory.

- To mleko dla kota? - zaśmiał się. - Widziałem bestię przed chwilą, jak biegła do góry po schodach, prawdopodobnie szuka Thomasa.

W jaki sposób kot dostał się do komnaty lorda, tego Meredith nie wiedziała. Leżał skulony przy kominku i nie poruszył się, dopóki Meredith nie naląła mu mleka.

Drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł Guy, a' za nim jeden z jego nowych giermków, którzy właśnie przyjechali z Adderbury.

- Czekasz na mnie? - zapytał, patrząc na nią. Meredith zarumieniła się.

- Robert - Guy zwrócił się do giermka. - Zanieś kota Thomasowi i połącz się spać, nie będę cię już dzisiaj potrzebował.

- Tak, mój panie.

Gdy giermek wyszedł, Guy zamknął drzwi.

- Mój panie - odezwała się Meredith. - Ja też powinnam już iść.

- Jaka oficjalna! Czyż nie cieszysz się, że mnie widzisz? - Podeszedł do niej, a ona zrobiła dwa kroki do tyłu i znalazła się przy łóżku.

- Tak, tu właśnie miałaś stanąć - zaśmiał się. - Czy przywitasz mnie tak, jak na to zasłużyłem?

Trzymał ręce na jej ramionach i przyciągnął do siebie. Czuła ciepło na swoim policzku, a potem jego usta na swoich ustach.

Chciała zdławić pożądanie, ale nie mogła, to było silniejsze od niej. W rzeczywistości wcale nie chciała walczyć ze sobą, ani z uczuciem, jakie do niego żywiła, bez względu na konsekwencje.

- Meredith - szepnął jej imię. - Widziałem pokój, w którym trzymano Thomasa. Wiem, ilu strażników go pilnowało i jakie ryzyko podjęłaś, by go ratować. Byłaś taka dzielna i taka głupiutka zarazem.

- Branwen mi pomagała - powiedziała zdławionym głosem. - I Brian, i jego żołnierze. Nie byłam jedyną odważną.

- Ten tunel! - Przytulił ją mocniej, jakby się obawiał, że może ją stracić. - Gdy znalazłem tam Briana i Branwen... On przyczołgał się do niej, by złożyć głowę na jej ramieniu. Meredith, nie chciałem nawet dopuścić myśli, że to mogłabyś być ty, przecież to tylko przypadek.

- Och, Guy....

- Oni byli szczęśliwi ze sobą, podczas gdy my wyrzekliśmy się siebie.

- Mieliśmy ku temu powody - przypomniała.

- Teraz jestem znowu bezpieczny, czy nie rozwiązałibyśmy naszej umowy?

Spojrzała na niego zdziwiona tym pytaniem. Zgodzili się oboje, że będą się trzymać z dala od siebie. Teraz powinien wziąć ją bez pytania, przecież wiedział, jak bardzo go kocha i pragnie.

- Tak, Guyu, tak!

Czuła jego ręce na swoich plecach. Odpinał jej suknię i przytulał ją mocno do siebie, aż poczuła go całego. Całował ją namiętnie, wzbudzając w niej płomień pożądania i podniecenia. Delikatnie głaskała jego włosy. Poddawała mu się, a on poddawał się jej. Rozebrał ją i zanurzył głowę w jej piersiach, wdychając słodki zapach jej skóry. Przez okno doleciał ich chłodny wietrzyk i mimo ognia, jaki czuła w sobie, Meredith zadrzała.

- Czy jest ci zimno? - zapytał, obejmując ją ramionami. - Chodź, kochanie, przykryjemy się. Pozostaniemy tu do wiosny.

- Umarłbyś z głodu - śmiała się.

Było jej bardzo dobrze, ciepło, przyjemnie i bezpiecznie. Całowali się gorąco i pieścili swoje ciała tak długo, aż podniecenie sprawiło, że nie mógł już dłużej czekać. Wszedł w nią, a ona powitała go z radością. Łączyły się nie tylko ich ciała, ale i dusze. Byli jednym



umysłem, ciałem i duchem. Wszystko to, co pozostawało poza nimi, nie miało żadnego znaczenia. Liczyli się tylko oni.

\*

Trzeciego dnia swojego uwięzienia Isabel poprosiła o spotkanie z Guyem. Był zajęty rozmową z Reynaudem na temat budowy zamku. Wysłał jej wiadomość, że zjawi się, jak tylko będzie mógł. Świadomie kazał jej czekać następne dwa dni. W końcu przyszedł wraz z Reynaudem.

- Po tej rozmowie załącz sprawozdanie z jej przebiegu w raporcie do króla - powiedział Guy do duchownego, zanim weszli do środka.

Isabel wyglądała, jakby się postarzała o kilka lat. Miała podkrążone oczy i ciemne plamy na twarzy. Ubrana była w szarą suknię i oprócz obrączki nie miała żadnej biżuterii. Włosy związane były niedbale białym lnem bez złotej klamry, którą zawsze nosiła. Guy zastanawiał się, gdzie też znalazła ten strój. Wyglądała ubogo i Guy podejrzewał, że zrobiła to specjalnie.

- No cóż, moja lady - zaczął. - Mogę ci poświęcić tylko kilka chwil, zanim będę potrzebny gdzie indziej. Zapewne chcesz mi powiedzieć, że bardzo żałujesz tego, co zrobiłaś.

- Powiedz mi coś o Thomasie - przerwała. - Czy już wyzdrowiał? Strażnicy nie chcą mi nic powiedzieć.

- Nie steraj się mnie znowu nabrać na to, że troszczysz się o niego. To nie skutkuje.

- Jakże mógłby mnie nie interesować? Przez niego wydano mnie z dworu i musiałam żyć sama rodziłam go w samotności.

- On jest twoim synem, a zdaje się, że trzeba a o tym co jakiś czas przypominać.

Zaśmiała się szorstko.

- Nawet nie wiesz, jakim koszmarem było dla mnie małżeństwo z Lionelem. To była zniewaga, poniżenie. On był samym złem, a ja niewinną dziewczyną, pełną ufności, gotową kochać swojego męża.

Otarła łzy, a Guy poczuł irytację, jaką zawsze odczuwał, gdy zaczynała płakać. Odezwał się zimno, zanim mogła coś powiedzieć:

- Nie ma wytłumaczenia na to, co zrobiłaś Thomasowi, mnie i moim przyjaciółom, jak również i królowi. Ponadto zrujnowałaś życie Waltera. Posłużyłaś się jego miłością, uwiodłaś i nakłoniłaś, by złamał swoje rycerskie śluby.

- Ach, Walter - wzruszyła niedbale ramionami.

- Czy mamy rozumieć, że ciebie nie interesuje sir Walter? - wtrącił Reynaud.

- On mnie oszukał - powiedziała obojętnym głosem, - Dlaczegoż miałabym teraz temu zaprzeczać? Prawdopodobnie i tak o tym wiesz. To prawda, że plan był mój. Pokazałam Walterowi, jak zostać baronem Afoncaer. Byłeś dla mnie niegrzeczny, Guyu, i obraziłeś mnie, trzymałeś prawie jak więźnia. Chciałam ci się odplacić za moją urażoną dumę. Wiedziałam, jak bardzo cię to zrani, wybierać pomiędzy życiem Thomasa a lojalnością wobec króla. Nie przypuszczałam, że wybierzesz to drugie. I przysięgam, nie sądziłam, że Walter okaże się tak okrutny i zdecyduje się na uśmiercenie Thomasa. Dlatego pomogłam Meredith w wykradnięciu chłopca. Wtedy już wiedziałam, że jeżeli Thomas pozostanie w rękach Waltera, ten zrobi z nim, co zechce.

- Źle oceniłaś dwóch mężczyzn, co prawie kosztowało życie twojego syna - zauważył duchowny.

- Zamknij się! - krzyknęła, pokazując resztki swojego dawnego temperamentu. - Nie musisz mi mówić, co zrobiłam. Nienawidzę Waltera, nienawidzę. Okłamał mnie i zhańbił tą porażką. Już nigdy nie uda mi się powrócić na dwór. Guy, ale ty mnie ocalisz. Pozwolisz mi zostać w Afoncaer, nieprawdaż? Nie mam dokąd iść. Przecież jestem twoją bratową, a ty głową rodziny.

- Przestałaś być moją bratową i od kiedy wyszłaś za Waltera, nie jesteś pod moją opieką. Będziesz dzielić jego los, jak na małżonkę przystało.

Isabel nie miała cienia wątpliwości, co to za los. Każdy wiedział, jaka jest kara za zdradę.

- Nie! Guy, proszę, pomóż mi! - Chciała upaść na kolana, ale ją powstrzymał. - Kochałam go, byłam biedną, słabą kobietą. Czy to moja wina, że się myliłam?

- Miłość jest nierzeczywista, to marzenie trubadura - powiedział i puścił ją z obrzydzeniem. Płakała głośno i waliła ręką w ścianę. - Przed południem miałem wiadomość od króla Henryka - mówił dalej Guy. Odwróciła się. Patrzyła na niego z nie ukrywaną ciekawością i zdenerwowaniem zarazem. Wstrzymała oddech. - Jego, wysokość przesłał mi kopię dokumentu z Westminsteru. Hrabia Chester również przybił na nim swoją pieczęć. Dokument ten zwalnia sir Waltera z przysięgi wobec Chestera. Walter jest więc teraz nie związanym

rycerzem i musi zrzec się zamku, który otrzymał. - Guy starał się nie pokazać po sobie niechęci, jaką żywił do hrabiego Chester za umywanie rąk od tej sprawy. Znał go przecież i powinien był się tego spodziewać Isabel nie odezwała się ani słowem. - W takim wypadku - kontynuował - Walter byłby wysłany do White Tower i tam sądzony przed królem. Hrabiemu jednak udało się przekonać króla, że ten incydent nie był wymierzony przeciwko Henrykowi, tylko był wynikiem nieporozumienia pomiędzy mną a Walterem, Król Henryk uczynił mnie sędzią. Zasugerował, że najlepiej byłoby ściąć Walterowi głowę, by nie przysparzał już więcej trudności, ale to ja mam zdecydować, jaką karę mu wymierzyć. Tobie zresztą też.

Isabel nie uczyniła typowej uwagi, że królowa jest jej przyjaciółką i na pewno jej pomoże. Chyba nareszcie zrozumiała, że ta przyjaźń była tylko wytworem jej wyobraźni. Stała spokojnie blada jak ściana.

- Czy chcesz, by Reynaud przeczytał ci list króla?

- To nie jest konieczne. Co zrobisz? Czy zetniesz nam obojgu głowy?

- Myślałem, by decyzję pozostawić tobie, Isabel. Ostatnio to ty kazałaś mi wybierać. Teraz i ja uraczę cię jednakowo ciężkim wyborem.

- Między czym a czym?

Z tonu jej głosu wywnioskował, iż zastanawia się, czy wybór nie będzie czasami dotyczył rodzaju śmierci. Nie wzruszyła go tym, jego serce było jak z kamienia. Wiele przez nią przecierpiał, niech i ona poczuje trochę bólu.

- Albo Walter umrze - obserwował jej twarz, powiedziała przecież, że nie obchodzi ją los Waltera - a ty pozostaniesz w Afoncaer przez resztę swego życia, strzeżona prawie jak więzień, albo Walter będzie żył, ale ty będziesz musiała wyjechać z nim na dożywotnie wygnanie. Podpiszesz również dokument stwierdzający, że nigdy już nie ujrzysz Thomasa. - Gdy wymówił imię swego bratanka, wiedział, że nie zniósłby jej obecności w Afoncaer.

- Czy mam być odpowiedzialna za śmierć mojego męża tak jak i za inne? Iluż to ludzi zginęło w Tynant z powodu mej dumy?

- Osiemnastu mężczyzn i jedna kobieta. Isabel wzięła głęboki oddech i powiedziała:

- Dokąd będziemy wygnani?

- Brat Waltera, Baldwin, na własną rękę wstawił się u króla za bratem. Zaoferował Walterowi ziemie w swojej posiadłości w Bretanii. Jeżeli tam oboje pojedziecie, już nigdy nie będzie wam wolno wrócić do Anglii, chyba że szukając śmierci.

- Ale jest jeszcze Francja, Flandria i Brabant - Isabel jakby odzyskała wigor. - To nie brzmi tak źle. Wybieram wygnanie.

- Nawet z mężczyzną, którego nienawidzisz?

- Jeszcze bardziej nienawidzę Afoncaer. Być tu panią, to co innego, ale być więźniem, to też co innego. Wolałabym raczej umrzeć. Poradzę sobie z Walterem. Nawet gdy się dowiedział, że pomogłam Thomasowi, chociaż był zły, nadal mnie pożądał. Poza tym jego brat jest bogaty.

- Podpiszesz dokument dotyczący Thomasa?

- Oczywiście, z przyjemnością. Walter też podpisze, jeżeli sobie tego życzysz. Ile czasu to zajmie? Chcę opuścić to ponure miejsce jak najszybciej.

- Reynaud da ci dokument jutro. Pojutrze będzie oficjalne odczytanie kary. Potem będziecie eskortowani do najbliższego portu i stamtąd popłyniecie prosto do Bretanii.

- Przypuszczam, że nie podarujesz nam tej publicznej zniewagi i tego poniżenia?

Mógłby przysiąc, że myślała już o przyjemnościach czekających na nią w Brabancie lub Francji. Oczywiście będzie potrzebować nowych sukien. Na szczęście Guy nie będzie musiał za nie płacić.

- To chyba lepsze niż skrócenie o głowę - powiedział i wyszedł.

### ROZDZIAŁ 33

- Nie bądź głupia, Meredith. - Guy był zły. Siedzieli w jego komnacie po przeciwnych stronach okna, ale ich kolana się dotykały. - Nie możesz mnie opuścić. Dokąd pójdziesz? Chyba nie do tej jaskini?!

- Nie, nigdy tam nie wrócę. Tak bardzo bym chciała, byś mnie zrozumiał. Całe życie spędziłam ucząc się, jak być uzdrowicielką. Nie chcę porzucać tego zajęcia. Jak mogę zawieść tych, którzy potrzebują mojej pomocy? Muszę to robić. - Nachyliła się ku niemu i mówiła dalej: - Może w końcu zrozumiesz. To tak jak z tobą. Przez czternaście lat szkolono cię, jak być rycerzem i ciągle jeszcze doskonalisz swoją technikę. Nagle ktoś ci mówi, że masz to rzucić. Oszalałbyś chyba, wkrótce nie byłbyś już Guyem.

- To nie to samo. - Zacisnął zęby. - Życie w samotności jest niebezpieczne dla kobiety żyjącej poza prawem. Teraz jeszcze ostrzej przestrzega się zakazu używania starych metod. Kobietom nie zezwala się praktykować uzdrawiania. Jak tylko pomyślę, co ci grozi, serce mi pęka.

- Ja się nie boję.

- W takim razie masz mniej rozumu niż myślałem. Wcześniej chronił cię Rhys, ale jego już nie ma. Gdy opuścisz Afoncaer i oddasz się temu kaprysowi, nie będę mógł zagwarantować ci ochrony.

- To nie kaprys. Ta praca to moje życie.

- Meredith, zostań! - Chwycił jej dłonie i zaczął całować. Czują, że topi się pod wpływem jego czułości. Tak naprawdę to wcale nie chciała go zostawiać. - Zostań ze mną, proszę.

- Jako twoja kochanka?

- Potrzebuję cię.

- Gdybym była arystokratką, byłoby inaczej. - Odepchnęła go delikatnie.

- Gdybyś była arystokratką, to byś wiedziała, co kobiecie przystoi, a co nie. Nie pozwoliłbym ci porzucić Afoncaer i koniec.

Ale to nie był koniec. Będzie tak długo o tym mówić, aż Guy zrozumie, że ona musi opuścić Afoncaer. Przez chwilę chciała się poddać. Kochała go i była na niego zła jednocześnie. Powinna po prostu założyć płaszcz i odejść, zniknąć w lesie. Jeżeli zostanie, to zawsze będzie się ta sytuacja powtarzać. Nie chciała być tylko jego

kochanką, chciała pomagać ludziom. Jednak w chwili, gdy ją całował i prowadził do swego łoża, zapomniała o wszystkim. Kochała go.

\*

W dniu, w którym miało odbyć się publiczne oskarżenie Isabel i Waltera, była piękna pogoda. Listopadowe słońce przygrzewało nieznacznie. Nikt tego ranka nie pracował. Wieśniacy z Afoncaer nie chcieli przegapić takiego widowiska. Zresztą pracy było już niewiele. Wieża była już prawie gotowa. Mury zewnętrzne otaczające zamek i miasto były już wykończone. Na budowę czeka! jeszcze nowy wielki hall.

Za Guyem stał Reynaud, trzymając w ręce list i inne dokumenty. Obok nich zajął miejsce Geoffrey i nowi giermkowie Guya, Robert i Kenelm.

Była też Meredith z Thomasem. Guy nie chciał, aby chłopiec brał udział w tej ceremonii, sądząc, że jest jeszcze za słaby, ale Thomas bardzo nalegał. Przyszedł teraz ubrany w odświętne szaty i ciepły płaszcz. Guy domyślił się, że ten płaszcz na ramionach bratanka, to dzieło Meredith. Poczul radość i ciepło na sercu.

Gdy prowadzono więźniów, Guy starał się nic po sobie nie okazać. Pierwsza szła Isabel. Wiedząc, że nie grozi jej dożywotnie więzienie ani okrutna śmierć, uznała, że nie musi już więcej pokazywać się w szarych, skromnych sukniach. Miała na sobie piękną, mieniającą się, zieloną suknię, gdzieniegdzie wyszywaną złotą nitką. Włosy upięte były złotą klamrą, która błyszczała w promieniach słońca Strażnika, który wskazał Isabel miejsce, obdarzyła najbardziej czarującym uśmiechem. Za nią stanęły mniej pewne siebie służące, Alice i Margaret. Obok był ojciec Herbert, który z dużym rozczarowaniem przyjął wiadomość, że nie wolno mu pozostać w Afoncaer i że będzie towarzyszył lady Isabel na wygnaniu.

Teraz dopiero pokazał się Walter. Rankiem przeniesiono go z lochów do jednego z pokojów gościnnych i tam pozwolono mu zażyć kąpieli, ogolić się i nałożyć czyste, świeże rzeczy.

Reynaud przedstawił przebieg ceremonii, po czym podał Walterowi do podpisania dokument dotyczący Thomasa, który Isabel przypieczętowała już wcześniej. Guy świadomie odmawiał spotkania z Walterem, nie chcąc słyszeć jego złośliwych słów j wspominać ich dawnej przyjaźni. Walter jednak posłał wiadomość przez Reynauda.

- Powiedz Guyowi - prosił - że miał rację, mówiąc, iż jest niebezpiecznie kochać kobietę za mocno. Isabel posłużyła się moją miłością dla własnych celów i na dodatek zdradziła mnie, gdy pozwoliła uciec Thomasowi. Dopiero teraz moje oczy się otworzyły, kochałem sen, wizję, a nie kobietę. Nienawidzę jej i siebie. Powiedz mojemu przyjacielowi, Guyowi, że obmyślił najokrutniejszą z kar, gdyż zmuszony będę do końca mego życia patrzeć na Isabel i przypominać sobie, co razem zrobiliśmy i ile przez to straciliśmy. Powiedz mu, by dobrze strzegł swego serca i nie skończył tak jak ja.

Teraz Walter stał spokojny w środku placu. Miał na sobie czarną wełnianą tunikę do kolan, spodnie i buty z ostrogami. Zbroja i hełm zostały skonfiskowane jako dobra Afoncaer. Jeden z żołnierzy niósł miecz Waltera, inny jego tarczę i chorągiew, a trzeci trzymał płaszcz podróżny.

Nastąpiła cisza. Reynaud wystąpił na środek, gdzie rozwinął papiery, które trzymał w ręce. Guy obserwował niewzruszoną twarz Waltera, gdy czytano jego winy: chęć kradzieży zamku należącego do króla, uprowadzenie i grożenie śmiercią dziedzicowi barona tegoż zamku, zdrada i nierycerskie zachowanie.

W tym momencie Guy zauważył u Isabel zmianę wyrazu twarzy. Tak, tego się nie spodziewała. Gdy odczytano ostatnie oskarżenie, z jej twarzy zniknął wyraz wyższości i pokazało się najpierw zdziwienie, a potem strach. Miał nadzieję, że nie zrobi jakiejś sceny. Zasługiwała na to, co ją spotkało, oboje zasługiwali, pomyślał. Walter domyślał się, że właśnie to go czeka, ale Isabel nic nie powiedziano, by nie zmieniła swego zdania. Guy nie chciał mieć na sumieniu śmierci Waltera. Gdyby ona wiedziała, co spotka jej męża, na pewno pozwoliłaby mu umrzeć.

Guy zawsze podziwiał odwagę Waltera, a przede wszystkim podziwiał ją teraz. Dla rycerza najgorsza śmierć była niczym w porównaniu z tym, co miało teraz nastąpić. Nawet Guyowi ciężko było zachować spokój. Walter był moim przyjacielem i kompanem w walce, ale był też mordercą i zdrajcą, przypomniał sobie Guy.

Reynaud czytał teraz karę: dożywotnie wygnanie z Anglii sir Waltera fitz Alana i jego małżonki, lady Isabel. Przez twarz Waltera przebiegł smutek, gdyż po raz ostatni miano przeczytać jego imię i nazwisko poprzedzone tytułem rycerskim. Opanował się jednak i stał wyprostowany ze zwieszonymi rękoma. Reynaud czytał dalej:

- Sir Walter fitz Alan z Bretanii, zhańbiony rycerz, któremu odbiera się prawo bycia rycerzem, na rozkaz sir Guya fitz Lionela, drugiego barona Afoncaer, któremu król Henryk powierzył obowiązek wymierzenia kary.

Isabel zdławiła okrzyk, który i tak dobiegł uszu zgromadzonych. Ale była to jedyna rzecz, jaką uczyniła. Nie chciała upokarzać się przed wieśniakami i mieszkańcami zamku.

Rytuał odbierania tytułu właśnie się toczył. Żołnierz, który niósł tarczę należącą do Waltera, rzucił ją na ziemię i tak długo deptał, aż została zupełnie zniszczona. Ten, który niósł jego miecz, uniósł go wysoko w górę przed oczami Waltera. Później kowal jednym uderzeniem młota złamał miecz na pół i obie jego części cisnął w błoto. Rzucono na ziemię chorągiew Waltera, jak również ostrogi z butów. Gdy zdejmowano mu je, chwiało się trochę na nogach i odnosiło się wrażenie, jakby w ogóle nie wiedział, gdzie się znajduje. Dla Waltera były to tortury gorsze od śmierci.

Guy widział też twarz Thomasa. Był blady i przejęty, po jego policzku płynęła jedna samotna łza, ale chłopiec nie ścierał jej.

- Niniejszym, Walterze fitz Alanie, nie wolno ci już dłużej przebywać na terenie Afoncaer i całej Anglii. Jedź i nigdy nie wracaj - powiedział Reynaud.

Żołnierz przyniósł Walterowi płaszcz, inny przyprowadził konia pozbawionego jakichkolwiek rycerskich emblematów. Walter wsiadł na niego bez słowa i wyjechał z Afoncaer. Za nim jechało dziesięciu strażników.

Przyprowadzono rumaka Isabel, ale nie wsiadła nań od razu. Podeszła do Guya i musiał wysłuchać jej raz jeszcze.

- Oszukałeś mnie - mówiła wściekłym, ledwie słyszalnym głosem. Zresztą jedynymi, którzy ją słuchali, byli Guy i Reynaud. - Nic mi nie powiedziałeś o pozbawieniu Waltera honorów rycerskich, gdy kazałeś mi wybierać karę.

- Jedź Isabel i żyj w pokoju.

- W pokoju?! Będę żyła zhańbiona, ta kreatura nie jest nawet rycerzem!

- Przecież chciałaś, by żył - przypomniał Guy.

- Nienawidzę go i gardzę tobą. Jesteś taki jak twój brat! Zawsze musisz wygrać. Robisz to, co chcesz, a ja jestem wysyłana na wygnanie. - W jej oczach czaiły się błyski wściekłości i szału. - Tym



razem ja wygram, sir Guyu, już nic nie możesz mi zrobić, więc powiem ci coś, co ukrywałam tyle lat. Thomas, twój ukochany bratanek, dziedzic Afoncaer, nie jest synem sir Lionela. To paskudne zwierzę nie było nawet zdolne, by spłodzić dziecko, ale ponieważ tyle razy był pijany, udało mi się go oszukać. Udawałam, że to syn Lionela, by nie zaszkodzić własnej reputacji, ale teraz to już się nie liczy. To taki podarunek dla ciebie na do widzenia, drogi szwagrze. Thomas to bękart.

Guy nie zdążył się otrząsnąć, gdy Isabel już nie było.

- Nie powiedziała mi do widzenia - poskarżył się Thomas, podchodząc do Guya. - Widziałem, że miała oczy pełne łez, może nie mogła mówić. Z pewnością wstydziła się płakać publicznie. Ale wierzę, że mimo wszystko ona mnie kocha, nieprawdaż, wujku Guyu? Dlaczego by inaczej pomagała Branwen i Meredith mnie uratować?

Guy spojrzał na chłopca, który wpatrywał się w niego ufnymi oczami.

- Tak - powiedział. - Twoja matka bardzo cię kocha.

CZEŚĆ 5

GUY

Walia i Anglia, AD. 1105 - 1106

## ROZDZIAŁ 34

Listopad. AD. 1105

Guy osiodłał swojego najlepszego konia i wyruszył w godzinę po odjeździe Isabel i Waltera. Jechał w przeciwnym niż oni kierunku. W pierwszym odruchu chciał za nimi podążyć i siłą wyciągnąć prawdę z Isabel, jednak zrezygnował z tego. Równie dobrze w ostatnim geście zemsty mogła kłamać. Chciała go przygnębić i udało się jej to.

Prowadził konia na długich wodzach, pozwalając mu wyciągnąć szyję. Jechał galopem. Zawrócił jednak, ochłonawszy nieco. Tak, to było możliwe, Isabel mogła po prostu kłamać. To uderzające podobieństwo rodzinne! Poza tym przy całej ekstrawagancji, Isabel nigdy nie posądzano o zdradę męża. Świadomość, że Isabel uchodziła za najwierniejszą żonę na dworze Williama Rufusa, uspokoiła Guya i utwierdziła w przekonaniu, że Thomas jest synem Lionela.

Mogło jednak też być i tak, że Walter jest jego ojcem. Był w niej zakochany do szaleństwa, od kiedy tylko się poznali. Nie, to jednak nie było możliwe. Guy przypominał sobie, że Walter po raz pierwszy zawitał na dwór w styczniu 1092 roku, gdy Guy został jego giermkim. Thomas urodził się dwudziestego czerwca tego samego roku. Chłopiec musiał być poczęty w ostatnich dniach września 1091, zaraz po tym, jak król William sprowadził cały dwór z Normandii do Anglii. Z królem byli jego dwaj bracia Guy pamiętał, że Lionel był potwornie niezadowolony z tej miłości pomiędzy królewskimi braćmi, gdyż czuł się zaniedbywany. Może chciał być wtedy pocieszony przez Isabel? W tym czasie na dworze było dużo miłości. Sam Guy właśnie wtedy przeżył swoją pierwszą miłość z Kate, kucharką. Zapomniał już o niej przez te wszystkie lata. To stało się w tę noc, gdy Lionel był bardzo pijany i Guy musiał zaprowadzić go do łóżka Isabel.

Uśmiechnął się na wspomnienie Kate. Potem przypominał sobie, że gdy on miał ochotę powtórzyć to miłe spotkanie, ona nie chciała. Po tej nocy była bardzo niedostępna, ile razy chciał ją dotknąć, odpychała go. Nie była dziewicą, teraz to wiedział na pewno i sądził, że jego niedoświadczenie sprawiło, że go nie polubiła. Dziwne, bo wydawało mu się, że tamtej nocy spontanicznie reagowała na jego uściski i pocałunki.

Nagle coś nim wstrząsnęło. Przytrzymał wodze i stanął pośrodku drogi, starając się przywołać w pamięci każdy szczegół nocy sprzed

czternastu lat, chcąc odepchnąć od siebie tę myśl, która nasza go niespodziewanie.

- To była Kate - szeptał sam do siebie, jakby chciał się upewnić. Czyżby to była żona jego brata? To grzech. Nie miało znaczenia, czy ją mąż zaniedbywał i był zainteresowany innym mężczyzną. Nie miało znaczenia także to, iż Guy nie wiedział, że to ona; mimo wszystko był to grzech. Obrzydliwe, podstępne działanie. Dlaczego to zrobiła? Szybko zrozumiał dlaczego: by mieć syna i w ten sposób wzmocnić swoją pozycję na dworze. O ironio, ten plan też się nie udał, bo Isabel wysłano do Adderbury na pięć lat. Może jednak skorzystała z okazji i uwiodła własnego męża, gdy leżał w jej łóżku pijany? Lionel nigdy nie wątpił, że Thomas jest jego synem. Tylko Isabel знаła prawdę, ale ona mu jej nie zdradzi. Chce, by się zadreczał.

Jechał w kierunku Afoncaer, nie przestając o tym myśleć. Pierwszą osobą, którą zobaczył, wchodząc do wielkiego hallu, był Thomas. Guy patrzył na niego tak, jakby widział go po raz pierwszy w życiu. Czy był jego bratankiem czy bękartem? Kochał tego chłopca i obojętnie, jaka była prawda, to nie jest wina Thomasa. Jego nie można za to winić.

Pojawiła się Meredith, delikatna, czuła Meredith. Niosła mu wino dla wzmocnienia po długiej i męczącej jeździe. Guy czuł nieodpartą potrzebę położenia głowy na jej ramieniu i zwierzenia się jej ze swoich problemów. Jednak nie mógł tego zrobić. Nie mógł powiedzieć prawdy nawet księdzu na spowiedzi, bo jej nie znał. Tak, to była ostatnia zemsta Isabel. Był przygnębiony i nic go nie interesowało, nawet jedzenie. Poprosił, by zostawiono go samego. Reynaud, jedyny, który słyszał słowa Isabel, nawet nie wspomniał o tym. Tak, on był bardzo dyskretny.

O świcie, trzy dni po ceremonii hańbiącej Waltera, miały miejsce dwie inne ceremonie. Z opactwa Llangwilym przybył ksiądz, by odprawić mszę. Guy pasował na rycerza Geoffreya i publicznie pochwalił go za dzielność w ratowaniu Thomasa. W ten sposób Geoffrey stał się zaufanym rycerzem Guya. Nowo upieczony rycerz otrzymał tarczę, miecz i zbroję. Geoffrey, choć szlachetnego urodzenia, był bardzo biedny i tylko dzięki szczodrości Guya mógł zostać rycerzem.

- Okazałeś się dzielnym żołnierzem i godnym zaufania przyjacielem - powiedział władca Afoncaer. - Zasłużyłeś sobie na taką nagrodę.

Geoffrey miał łzy w oczach ze wzruszenia.

Uważano za dobry znak, jeżeli przy pierwszym nałożeniu zbroi obecna jest kobieta, toteż Geoffrey zwrócił się z tym do Meredith.

- To będzie dla mnie zaszczyt - odpowiedziała i szybko pobiegła do Thomasa po instrukcje, jak pomóc Geoffreyowi w trakcie ceremonii.

Po pasowaniu Geoffreya, odbyła się jeszcze jedna uroczystość. Guy kazał pobłogosławić Thomasa i sam mianował go giermkim.

- Jesteś o rok za młody, by być giermkim, ale okazałeś się nadzwyczaj dzielny w obliczu niebezpieczeństwa. Byłeś doskonałym paziem, teraz czas, byś zajął ważniejsze stanowisko. Będiesz służyć sir Geoffreyowi aż do czasu, gdy sam nie zostaniesz rycerzem.

Thomas był zarumieniony i dumny.

- Gdy będę miał dwadzieścia jeden lat - mówił z przejęciem do Meredith - wuj Guy pasuje mnie w tej samej kaplicy, w której pasował Geoffreya.

- Z pomocą Boga na pewno - wtrącił Reynaud. - Jesteśmy z ciebie dumni, Thomas.

- Cieszę się, panie Reynaud. - Thomas poszedł odszukać Geoffreya.

Reynaud zwrócił się do Meredith.

- Co zamierzasz teraz zrobić? - zapytał. - Chyba nie wrócisz do swojej jaskini?

- Sir Guy nie pozwoli mi opuścić Afoncaer - powiedziała, przypominając sobie ich ostatnią rozmowę na ten temat. - Pewno zostanę pomocą kuchenną.

- Wątpię, by ci pozwolono być pomocnicą kuchenną. Wiem, że umiesz trochę czytać.

- Tylko trochę. Rhys mnie nauczył, mówię też po walijsku, angielsku, francusku, ale czytać umiem tylko po francusku.

- Czy chciałabyś, bym cię nauczył lepiej czytać? Zanim nie zostanie podjęta ostateczna decyzja dotycząca twojej osoby, mogłabyś mi pomóc - zasugerował.

- O tak, bardzo ci jestem wdzięczna. Mam książkę, która należała do Rhysa, może nauczyłbyś mnie ją czytać? Ale, Reynaud, nie chcę

spędzać całego dnia, czytając rękopisy. Jestem uzdrowicielką. Może, jeżeli sir Guy mnie nie uwolni, uda mi się przyrządzać lekarstwa i pomagać chociaż tym, co zamieszkują tereny przy zamku.

- Oczywiście, będziesz miała czas na wszystko - zapewnił. - Jeżeli chcesz, to porozmawiam z sir Guyem w tej sprawie. Chodźmy teraz do stołu.

Uczta na cześć nowego rycerza Geoffreya była wspaniała. Nowy kucharz pod kierunkiem Joan czynił cuda. Potrawy przyrządzone były smakowicie i popijane przepyszным winem. Uczta trwała całą noc aż do świtu. Kiedy już wszyscy poszli do domów albo ułożyli się do snu w wielkim hallu, Guy chwycił rękę Meredith i zaprowadził ją do swojej komnaty. Spędziła w niej wiele nocy i dobrze się tu czuła.

- Podoba mi się tutaj - powiedziała. - Przychodziłam tu, gdy wieża nie była jeszcze gotowa, by patrzeć z góry na twoje posiadłości.

- Wiem - tulił ją i ścisnął mocno.

Chciała znowu z nim porozmawiać o swojej przyszłości, ale jego bliskość uniemożliwiła to. Całował ją namiętnie i pieścił. Nie pozostawała mu dłużna w pieszczotach. Kochali się chciwie, jakby się bali, że ktoś mógłby ich rozdzielić.

- Meredith - słyszała jego szept. - Meredith, kocham cię, kocham!

- Ja też cię kocham, zawsze cię kochałam i zawsze będę kochać. - Nie wiedziała nawet, kiedy to powiedziała, słowa same się układały. Leżeli ciągle jeszcze spleceni i objęci. - To niemożliwe - powiedziała. - Muszę odejść, zanim moje serce pęknie. - Nie dodała, że pęknie właśnie w tej chwili, gdy będzie odchodzić.

- Nie pozwolę ci odejść. - Przytulił ją jeszcze mocniej. - Potrzebuję cię, pozostań tu, pod moją opieką, możesz wykonywać swoją pracę. Jest tutaj wielu rannych i chorych, którym możesz pomóc, a i ci spoza Afoncaer też mogą tu przychodzić po ratunek. - Pocałował ją mocno. - Potrzebuję cię, chcę, byś była ze mną - wyszeptał, ale nie poprosił, by za niego wyszła. Wiedziała, że nigdy tego nie uczyni. Nie miała dobrego pochodzenia, nie należała do tej samej klasy, nie należała do jego świata. Lord Afoncaer musi poślubić bogatą arystokratkę, która wniesie mu w posagu nowe dobra.

Jeżeli go posłucha i zostanie, będzie jego kochanką. Jaki los ją czeka, gdy on poślubi inną? Która żona zaakceptuje kochankę pod tym samym dachem, nie wspominając już dzieci, które nieuchronnie

przyszłyby na świat? Nie zniosłaby nocy, które spędzałby z inną, by mieć prawowitego dziedzica.

Poruszył się. Ich myśli, byty bardzo podobne i on o tym wiedział. Meredith dała mu spokój i pogodę życia, jakiej jeszcze dotąd nie zaznał. Przy niej nie czuł

się samotny. Chciał, by z nim była, ale nie mógł prosić jej o rękę. W życiu normńskiego barona nie było miejsca na miłość. Tak jak kiedyś powiedział Walterowi, żonę wybiera się ze względu na wiano, jakie może wnieść i umiejętności zarządzania gospodarstwem. Przez umysł Guya przewijała się jeszcze jedna myśl, która bardzo go męczyła. Kto jest ojcem Thomasa? Nie mógł znieść myśli, że to on spędził tę noc z Isabel. Jednak jeżeli ani Lionel, ani Guy nie jest ojcem Thomasa, to niestety Guyowi potrzebny jest prawdziwy dziedzic, bez względu na ogromną miłość, jaką żywił do chłopca. W takim wypadku obowiązkiem Guya było poślubienie odpowiedniej kobiety i zapewnienie sobie dziedzica.

\*

Guy z dnia na dzień stawał się coraz bardziej przygnębiony. Cała radość z uratowania Afoncaer przyćmiona była problemami związanymi z dwoma osobami, które kochał: Meredith i Thomasem.

Pewnego dnia Reynaud sprowokował rozmowę na temat Meredith. Pisywał on ciągle obszerne listy do króla Henryka. Guy wnioskował, że dotyczą one próby zagarnięcia Afoncaer.

- Jakie są twoje plany względem Meredith? - zapytał duchowny.  
- Każdy w Afoncaer wie, że spędzacie razem noce, ale ona cały czas nie ma tutaj zapewnionej pozycji. Są tacy, którzy patrzą na nią z góry i traktują nieuprzejmie, mówiąc, że nie jest niczym innym jak tymczasową kochanką. Inni mają ci za złe, że wykorzystujesz ją, choć warta jest czegoś lepszego, chociażby ze względu na swoje powiązania z Rhysem. Mówią, że to tylko pożądanie.

- To nie tylko pożądanie - odpowiedział ostro; wiedząc, że w końcu sprowadził na nią wstyd, choć tak bardzo chciał ją od tego uchronić.

- Panie, uczyniłeś wiele, by utrzymać pokój z Walijszymi. Jesteś uczciwym i honorowym rycerzem. Każdy ma szansę żyć przy tobie bezpiecznie i dostatnio. Nie niszczy tego przez trzymanie Meredith jako swojej kochanki. Albo ją poślubisz, albo odeślesz.

- Poślubić? - Oczy Guya były szeroko otwarte. - Nigdy się nie ożenię. Thomas jest dziedzicem. - Choć mówił te słowa dość pewnie, jakiś wewnętrzny głos podpowiadał mu, że chyba będzie musiał to zrobić, jeżeli okaże się, że w Thomasie płynie obca krew.

Architekt spojrzał na niego przenikliwie; obaj wiedzieli, że myślą o tym samym. Przynajmniej był na tyle taktowny, że nie wypowiadał myśli na głos.

- Przykro to mówić, ale Thomas jest śmiertelny, mój panie - powiedział, dostarczając jeszcze jednego argumentu na to, że władca Afoncaer powinien się ożenić. - Poznałem na tyle twoją historię, by zrozumieć, że postępowanie twojej matki i bratowej nastawiło cię negatywnie do małżeństwa. Musisz jednak mieć prawowitego dziedzica z twojej krwi i kości. Afoncaer potrzebuje kobiety, by nim zarządzała, a ty potrzebujesz żony.

- Ale Meredith nie jest arystokratką i jest nieślubnym dzieckiem.

- Nieślubnym dzieckiem był też sir Brian, a jednak został rycerzem. Branwen powiedziała mi, że Meredith jest córką normañskiego barona.

- Jednak różnica pomiędzy Brianem a Meredith jest taka, że ojciec Briana uznał go i dbał o niego. Meredith wychowywała się w dziczy, nie zna dobrych manier.

- Czy z tego powodu kochasz ją mniej? Ależ tak, przecież wiem, że ją kochasz. Dzięki Branwen i Rhysowi Meredith jest o wiele lepiej wychowana niż niejedna arystokratką. Z pomocą Joan szybko by się wszystkiego nauczyła. A jeżeli chodzi o posag, to jesteś wystarczająco bogaty, by o to nie dbać.

- Król nigdy na to nie zezwoli.

- Zapytaj go. Jeżeli chcesz, sam napiszę list i zasugeruję, że powinienes tę pannę poślubić. Napiszę, że to małżeństwo utrzyma pokój z Walią. Henrykowi na pewno ten pomysł się spodoba.

- Jako mężczyzna, który ślubował czystość i celibat, jesteś dość skory w namawianiu innych do żeniaczki - zauważył Guy.

- Mam na uwadze twoje dobro, mój panie, i dobro Meredith; ona nie zasługuje na publiczne potępienie.

- Przemyślę to, co powiedziałaś, Reynaud.

Tydzień później Guy postanowił wyjechać do Westminsteru, by tam spędzić święta Bożego Narodzenia i spotkać się z królem Henrykiem, który właśnie powrócił z Normandii. Guy zamierzał



osobiście zdać sprawę z konfliktu między nim a Walterem. Reynaud tymczasem pisał swoje sprawozdania, w których w szczególności wychwalał odwagę, poświęcenie i oddanie pewnej Meredith, córki lorda Ranaulfa z Kelsey w Mercji, barona króla Williama Rufusa.

Guy przybył do Londynu i miał spotkać się z królem po trzech dniach; tak wyznaczono datę spotkania. Chciał te trzy dni poświęcić na odnowienie starych znajomości i posłuchanie plotek. Sprawa Waltera była dość głośna. Baldwin, brat Waltera, sprawując pieczę nad dwójką banitów, pozwolił im osiedlić się na niewielkim skrawku ziemi w swoich posiadłościach w Bretanii.

Rozmowy o Walterze i Isabel znowu przywołały myśli o Thomasie. Zastanawiał się, czy udać się do Isabel i kazać jej wyjawić prawdę, ale porzucił ten pomysł. Miał nadzieję, że znajdzie kogoś, kto będzie wiedział coś więcej na ten temat.

Jeszcze raz przypomniał sobie tę noc. Służąca Agnes chyba nie mogłaby dużo pomóc, bo wysłano ją tej nocy do komnat kobiecych. Zresztą ona już nie żyła. Lionel też już nie żył. Pozostawała jeszcze sama Kate. Ona mogłaby mu powiedzieć, czy tę noc spędzili razem, czy nie.

Podążył do pałacu westminsterskiego. Tam udał się do kuchni, w której spędził tyle czasu, obserwując piękną dziewczynę o rudych włosach z piegami na twarzy. Zaczął wypytywać. Nikt jej nie pamiętał. Był już bliski załamania, gdy nagle pojawił się starszy mężczyzna; przypominał mu kogoś.

- Sir Guy z Adderbury? - Spojrzał na niego. - Pamiętam cię, gdy byłeś jeszcze paziem, panie. Dużo czasu spędzałeś w kuchni - powiedział i mrugnął do niego. - Był z ciebie przystojny chłopak i lubiłeś nasze kucharki.

- A pamiętasz dziewczynę imieniem Kate? Pracowała tutaj - zapytał Guy.

- Kate? - Starzec zastanawiał się tak długo, że Guy miał ochotę nim potrząsnąć. - Była tu taka, poślubiła potem Hugh'a. Czy to o tę ci chodzi?

- Nie wiem, sprawdzę. Czy wiesz, gdzie ona mieszka?

- To niedaleko. Hugh ciągle jeszcze pracuje dla pałacu.

Guy spędził połowę popołudnia na szukaniu domu Kate, gdyż wskazówki starca nie były precyzyjne. Dom był solidny, dobrze zbudowany, dokoła niego rozciągał się mały ogródek. Niedaleko była

pracownia, w której wyrabiano broje dla żołnierzy. Dochodziły stamtąd odgłosy uderzeń młota i kucia metalu. Gdy chciał podnieść rękę, by zapukać do drzwi domu, podbiegła do niego dziewczynka, miała może dziesięć lat. Spod przepaski wymykały się jasnokasztanowe włosy, a na nosie miała mnóstwo piegów.

- Czy chcesz się widzieć z moim ojcem, panie? - zapytała. - On jest tam - wskazała na pomieszczenie, z którego dochodził hałas.

- Nie, chciałbym porozmawiać z twoją matką - odpowiedział.

- Proszę za mną, panie.

Poprowadziła go do domu. W kuchni przy stole stała kobieta w średnim wieku i kroił chleb.

- Ten pan przyszedł do ciebie, mam - powiedziała dziewczynka.

- Kate, to na pewno nie do mnie. Zaprowadź pana do ojca. - Kobieta odwróciła się, odgarniając włosy z czoła i spojrzała na nieznanego. Patrzyła na niego długo, aż w końcu odezwała się:

- Lord Guy.

- Dzień dobry, Kate.

- Pan do mnie?

- Tak. Chciałbym ci zadać jedno lub dwa pytania i usłyszeć szczerą odpowiedź. - Uśmiechnął się do niej przyjacielsko.

- Kate, idź do ogrodu - powiedziała Kate - mama. - Proszę usiąść, sir Guyu. Czy chciałbyś napić się piwa? - Ścierała mąkę ze stołu.

- Usiądę przy stole, a ty możesz dalej gotować.

Napił się piwa, które mu podała i podeszła do stołu, by dalej kroić chleb. Pod czepkiem, który miała na głowie, widać było pasma siwych już włosów. Pod oczami widniały zmarszczki. O tak, zestarzała się, od kiedy widział ją po raz ostatni. Na nosie ciągle jednak miała piegi, które tak mu się kiedyś podobały. Mimo zmęczonej twarzy, wydawała się szczęśliwa. Była dobrą żoną i matką

- Jakie są twoje pytania?

- Chcę się dowiedzieć - zaczął, choć nie było to łatwe - czy spędziłaś ze mną kiedykolwiek noc?

- Co takiego? - Wlepiła w niego zdziwiony wzrok, przestała kroić chleb. - Co powiedziałaś?

- Czy kiedykolwiek kochaliśmy się? W ciemności, bym nie mógł widzieć twojej twarzy.

- Z tobą, ty głuptasie? Zawsze starałeś się do mnie przytulić. - Zamyśliła się. - Nie! Nigdy - odpowiedziała stanowczo. Widząc

jednak jego poważny wzrok, opanowała się i zapytała: - Czy coś się stało?

- Miałem nadzieję, że tak było. - W jego głosie był ból.

- Gdyby tak było, pamiętałbyś to. - Usiadła naprzeciw niego. - Nie miałam żadnego posagu - powiedziała. - Jedyne, co mogłam ofiarować przyszłemu mężowi, to czystość. Jedyńm mężczyzną w moim życiu jest mój mąż. Kocham Hugh'a i on kocha mnie. Nigdy nie spojrzalam na innego mężczyznę. Ty i ja nigdy się nie kochaliśmy - zakończyła

- Żałuję, że to nie byłeś ty - powiedział.

- Ale dlaczego ja?

- Ponieważ jeżeli to nie ty przyszedł do mnie tamtej nocy, to był to ktoś, kto nie powinien był tego zrobić.

- Ja również nie powinnam była - powiedziała ostro. - Czy wyniknęło z tego coś złego?

- Tak. - Objął głowę rękami. Był przytłoczony, pełen grzechu, obrzydzenia i złości na Isabel. Jak mogła tak go wykorzystać? Teraz był już pewien, że Thomas jest jego synem. Byłby głupcem, gdyby w to wątpił. Wystarczy spojrzeć na chłopca, by pozbyć się złudzeń.

- Jeśli nie wiedziałeś, kim była ta kobieta, to nie możesz się o nic winić - pocieszała Kate.

- Nie odepchnąłem jej, wprost przeciwnie, było mi dobrze. - W jego słowach była nienawiść do samego siebie.

- Jestem pewna, że było ci dobrze. Lubieś dziewczęta. Ile miałeś wtedy lat?

- Czternaście i pół.

- Byleś taki młody. No cóż, nie zamartwiałabym się tym teraz, tym bardziej, jeżeli stało się to tylko raz. Sądzę, że nie polubiłeś tej kobiety, więc to się nie powtórzy.

- Nie.

- Czy chcesz mojej rady? Spojrzał na nią znad kufła piwa. Dobra, rozumna, uczciwa Kate. Szczęściarz z tego Hugh'a. Kate zawsze traktowała Guy'a jak równego sobie, nigdy nie mówiła do niego „mój lordzie” i za to ją kochał.

- Znajdź sobie księdza - doradzała. - Wspowiadać się i odpraw pokutę. Zrzuć to z serca i zapomnij!

- Nie sądzę, bym umiał.

- Wy, arystokraci. - Zrobiła zniecierpliwiony gest - Nie macie za grosz zdrowego rozsądku.

- Może masz i rację. - Odstawił pusty kufel.

- Wiem, że mam, rację. Nie patrz za siebie, patrz w przyszłość.

- Przyszłość... - Wyciągnął z kieszeni małą paczuszkę i podał jej. Wiedział, że nie przyjęłaby od niego żadnych pieniędzy, ale z tego powinna być zadowolona. Obserwował, jak odpakowywała zawiniątko i trzymała w ręce kawałki brązowych korzeni.

- Cynamon. To bardzo drogie - powiedziała. Wstała i oddała mu paczuszkę. Nie chciała tego przyjąć. Przytrzymał jednak jej rękę.

- Ty jesteś droga memu sercu.

Pocałował ją w policzek i wyszedł z kuchni na dziedziniec. W jego kierunku zmierzał Hugh. Uśmiechał się do Guya przyjacielsko. Dobry człowiek, pomyślał Guy. Kate jest z nim na pewno szczęśliwa. Dziewczynka u jego boku była taka piękna jak kiedyś jej matka.

- Dobrego dnia, mój panie - powiedział Hugh trochę zdziwiony.

- Tobie również.

Guy odszedł. Nareszcie znał prawdę. Nie czuł się jednak przygnębiony, rozmowa z Kate pocieszyła go. Znajdź księdza, powiedziała. Poszedł za jej radą. Był zdziwiony, że otrzymał łagodną pokutę.

Miał teraz syna. Nie mógł go jednak oficjalnie uznać, w ten sposób skrzywdziłby chłopca. Wiedział jednak, że będzie się o niego troszczył i jeżeli nie będzie miał innego dziedzica, może ze spokojnym sercem zostawić wszystko Thomasowi.

Z lekkim sercem poszedł na spotkanie z królem.

## ROZDZIAŁ 35

- A więc darowałeś życie zdrajcy, czyż tak? - powiedział król, wysłuchawszy opowieści Guya. - To zły przykład.

- Nie sędzę, mój panie. Brat Waltera, Baldwin, jest tak zły na brata za pohańbienie rodziny, że trzyma Waltera pod strażą. Każdy rycerz, nie wykluczając Waltera, wolałby śmierć niż odebranie tytułu. Pozostawiłeś mi, panie, wolną rękę co do wymierzenia kary i sędzę, że ta właśnie była najgorsza, jaką mogłem wymyślić, wiedząc, jak bardzo nie lubisz przemocy.

- Tak, zgadzam się z tobą. A jeżeli chodzi o lady Isabel - Henryk chrząknął i zaczął się śmiać, pojmując sens kary Guya. - O tak, spryciarz z ciebie, drogi Guyu. Dla niej to też ciężka kara. Znając wygórowane ambicje twoją byłej bratowej, musi mocno przeżywać wygnanie do Bretanii. Nie ma teraz szans na to, by błyszczeć w towarzystwie, bo tam nikogo ważnego nie ma. Poza tym nie ma pieniędzy na kosztowne stroje. Ciężki los ją spotkał. Dobrze to rozegrałeś - chwalił król. - Widzę, że twój pobyt na wschodzie nie został zmarnowany, wiele się nauczyłeś od pogan. - Henryk śmiał się głośno. Uspokoiwszy się otarł łzy śmiechu i kontynuował: - Dom w Tynant, który dostał swego czasu Walter, otrzymałem teraz ja jako prezent od hrabiego Chester, Jak powiedział, na znak jego lojalności. Drogi Chester, zawsze taki hojny. Tylko nic nie wspomniał, że wcześniej darował go Walterowi. - Na twarzy króla pokazał się grymas. - Daję ten dom tobie, zasłużyłeś na to.

- Dzięki ci panie.

Będzie to dobra posiadłość dla Geoffreya, pomyślał Guy.

- Teraz - król chciał coś jeszcze powiedzieć - jeżeli chodzi o twoją przyszłość. Rozumiem, że wzięłaś sobie jako kochankę kobietę, która według prawa powinna być moją wychowanką.

- Nie rozumiem. - Guy wiedział, że Reynaud pisywał swoje sprawozdania do króla. Mógł się domyślać, że duchowny nie pominie i tej wiadomości. Jednak nie czuł gniewu.

- Meredith z Kelsey w Mercji - powiedział król. - Jedyne dziecko lorda Ranaulfa z Kelsey, który już nie żyje.

- Wiem, że Meredith jest nieślubnym dzieckiem - powiedział Guy. Tak, to sprawka Reynauda, pomyślał. Z pewnością zasugerował, by sprawdzić przeszłość Meredith. - Jej ojciec uwiódł jakąś dziewczkę, ale nigdy nie uznał córki. Jak więc może ona być twoją wychowanką?

- Chyba mówiła ci coś o swojej przeszłości? - Guy nie odpowiedział, więc król mówił dalej: - Lady Branwen, walijska arystokratka, zabrała Meredith z terenów należących do Ranaulfa wbrew prawu. Meredith należała do Ranaulfa tak jak i Branwen poprzez małżeństwo z niejakim Alfricem, wieśniakiem z Kelsey. Gdy Ranulf powrócił do Kelsey, kobiet już tam nie było, toteż kazał je ścigać. Jednak bez rezultatu. Miał wobec Meredith pewne plany. Chciał, by poślubiła jego przyjaciela. Nigdy jej jednak nie odnaleziono. Uznano, że nie żyje. Lord Ranulf zapomniał o całej tej sprawie. Umarł dwa lata temu, nie pozostawiając prawowitego spadkobiercy ani żadnych bękartów poza Meredith. Gdy umarł, jego posiadłości włączone zostały do korony.

- Wielu arystokratów ma nieślubne dzieci, a ten lord Ranulf nie był z pewnością znaczącą postacią - odezwał się Guy, nie rozumiejąc, do czego zmierza król. - Co sugerujesz, panie?

- Czy nie uważasz, że Meredith należy się jakaś rekompensata za to, co przeszła, za uratowanie Thomasa i lojalność wobec ciebie?

- Tak, z pewnością, ale nadal nie rozumiem twoich planów.

- Nie rozumiesz?! - Henryk patrzył na niego rozbawiony. - Ziemie Ranaulfa będą posagiem Meredith. Taka nagroda, zgadzasz się? Jest moim obowiązkiem znaleźć jej męża, by razem utrzymywali te posiadłości.

Maż dla Meredith? Jeden z arystokratów Henryka? Nie, Meredith należała do niego, należała do Afoncaer.

- Będiesz, panie, miał problemy, by znaleźć jej normńskiego męża. Ona jest w połowie Saksonką. - Nie dodał, że to też utrudni jego związek z nią. Miał nadzieję, że Henryk nigdy nie znajdzie jej męża.

- Moja żona też pochodzi z Sasów - przypomniał stanowczo król.

- Ale Jej wysokość jest również córką króla Szkocji - odpowiedział Guy. - Twoje małżeństwo ma zabarwienie polityczne.

- Nie całkowicie - uśmiechnął się król. - Widzę dobre efekty z pomieszania krwi normńskiej z saską. Tak musi się dziać, jeżeli chcemy żyć w bezpiecznym państwie. Moja żona jest dobra, kochająca i uczuciowa. Matylda jest najlepszą z żon. Czy twoja Meredith też nie może być taką żoną? Sądzę nawet, że mając na uwadze twoje zasługi, mógłbym cię zwolnić z podatku małżeńskiego.

- Mój panie, ja... ja nie rozu...

- Ożeń się z nią, Guy.

W głosie króla nie było kpiny. Mówił to z wielką powagą. Był to królewski rozkaz. Guy sam nie wiedział, czy gniewać się, czy też błogosławić Reynauda, który był sprawcą jego szczęścia. Guy nigdy nie chciał mieć żony, ale Meredith... Meredith była Jego.

Ukląkł przed królem, nie mogąc ukryć podniecenia i szczęścia, jakie go ogarnęło.

- Tak, panie - powiedział cicho.

## ROZDZIAŁ 36

Afoncaer tonęło w bieli. Śnieg skrzył się w słońcu. Guy i jego żołnierze zbliżali się galopem do wrót twierdzy. Bramy nie były jeszcze zamknięte przed nocą, strażnicy witali swojego pana, ale on nie zatrzymał się. Dopiero przy wjeździe do zamku zatrzymał konia. Oddał go w ręce stajennego, a sam podążył w kierunku wielkiego hallu. Po drodze zrzucił z siebie płaszcz i rękawiczki.

Reynaud wstał z miejsca, gdzie siedział nad jakimiś księgami.

- Panie, witamy w domu. - powiedział.

- Porozmawiam z tobą później o twoich listach do króla. Gdzie jest Meredith?

- Jest w pokoju gościnnym albo w twoim, panie - Reynaud zauważył nieprzychylnie spojrzenie Guya. - Powinieneś pamiętać, że tak jak i ty jestem związany z królem przysięgą lojalności i wierności.

- Wiem. Ale to nie upoważnia cię do szpiegowania w mojej sypialni.

- Nikogo nie szpieguję. Napisałem tylko o tym, co słyszałem i widziałem i o tym, co opowiedzieli mi lady Branwen i sir Brian. Uwierz mi panie, jestem twoim przyjacielem.

- I przyjacielem Meredith. - Guy spojrzał na duchownego i zrozumiał, że nie ma prawa złościć się na niego.

- Z całą pewnością jestem jej przyjacielem - odpowiedział duchowny.

Guy popatrzył na niego z pełnym zrozumieniem i Reynaud domyślił się, co chodzi po głowie władcy Afoncaer.

- Niech mi będzie wolno przypomnieć ci, panie, że choć nie jestem wyświęconym księdzem, ślubowałem czystość.

- I nigdy nie zламаłeś przysięgi?

- Nigdy, mój panie.

- Wierze ci. Porozmawiamy później. Będę miał okazję podziękować ci za twoją gorliwość, panie Lisie.

Guy udał się do wieży. Meredith nie było w pokoju gościnnym. Zatrzymał się na chwilę, wdychając świeży zapach ziół. Były porozwieszane do suszenia. Dokoła pełno było słoiczków, małych miseczek i koszyków pełnych lawendy. Ten zapach przypominał mu Meredith. Pragnął jej, a zapach lawendy podsycił jego pożądanie. Wspinał się po schodach bardzo szybko. Chciał jak najszybciej ujrzeć Meredith. Spotkali się w połowie drogi. Rzuciła się w jego ramiona.



- Usłyszałam twoich żołnierzy na dziedzińcu. Służący zaraz przyniesie wodę do kąpieli. Przygotowałam dla ciebie świeże ubranie. Guy, Guy!

Zanurzył twarz w jej włosach. Całował jej szyję, usta, wsłuchując się w jej ciche pojękiwanie.

- Czy chcesz mnie tutaj na schodach, mój panie? - mówiła rozbawiona. - W tej zbroi? Co powiedzą służący? - Dopiero teraz zauważył, że leżeli na schodach wtuleni w siebie. - Czy nie byłoby ci wygodniej w łóżku? - droczyła się dalej, delikatnie gryząc go w ucho. - Możesz się najpierw rozebrać, nie mówiąc już o tym, że łóżko jest wygodniejsze i cieplejsze niż te schody.

- Idziemy na górę, moja pani.

Lekko klepnął ją w pośladki ponagłając. Oboje śmiali się wesoło. Sam jej widok przynosił mu radość. Jej głos był jak muzyka, w jej oczach kryło się ciepło i troska o niego.

Rzucała na niego krótkie spojrzenia, gdy biegli tak wesoło do sypialni i pewno zaraz zaczęliby się kochać, gdyby nie to, że pojawili się służący z wodą i giermek Robert, by pomóc Guyowi się rozebrać.

W związku z przyjazdem Guya było dużo zamieszania. Służący biegali tu i tam, a wszystkim dowodziła Meredith. Szło jej tak dobrze, jakby całe życie nie robiła nic innego. Pojawił się też służący z jedzeniem. Było już za późno, by przygotować posiłek w wielkim hallu i zdecydowano, że każdy zje w swojej komnacie. Uczta powitalna miała się odbyć dwa dni później.

Gdy Guy był już przebrany, wykąpany i najedzony, Meredith zamknęła drzwi za ostatnim służącym. Stała przy drzwiach i powiedziała.

- Witaj w domu, panie.

- Podejdź tutaj.

Objął ją mocno i choć walczył z ogromnym pożądaniem, był bardzo delikatny i czuły. Pocałował ją w czoło, w czubek nosa i usta. Dotykał jej ciała i poczuł, że jej kształty się zaokrągliły, piersi były pełniejsze. Chciał zażartować, że jadła za dużo podczas jego nieobecności. Tuliła go mocno, przynosząc mu radość spełnienia. Nie miał wątpliwości co do tego, że jej pragnie i chce poślubić, wbrew swoim wcześniejszym przekonaniom.

- Kocham cię - wyszeptała.

- I ja cię kocham - zapewnił. - Kocham cię całym sercem i duszą.

- Byłam taka samotna bez ciebie.

- Już nigdy więcej, Meredith. Nigdy, dopóki ja żyję.

Później Guy poczuł znowu głód, więc wstał i podszedł do stołu, na którym stała taca z jedzeniem pozostawiona przez Joan. Myślał, że Meredith śpi, ona jednak otworzyła oczy i usiadła przy nim na krześle. Wypiła kilka łyków wina.

- Muszę powiedzieć ci coś bardzo ważnego - zaczęła - ale nie wiem, jak to zrobić.

Widział, że cała się rumieni. Chciała schylić głowę, ale chwycił jej podbródek i spojrzał prosto w oczy.

- Co takiego, Meredith?

- Sądzę, że powinnam stąd odejść, tak będzie najlepiej. Może jakiś klasztor mnie przyjmie. Jestem szczęśliwa, ale nie chcę robić ci żadnych problemów. Zrobię wszystko, co każesz.

- Mam wrażenie, że nie mówisz o uzdrawianiu?

A więc o co ci znowu chodzi, na miłość boską? Dlaczego powinnaś odejść?

- Jestem przy nadziei.

- Co?

- Nie widzisz? Moje ciało się zmieniło.

- To moje dziecko - powiedział powoli.

- Oczywiście, że twoje. Jak mógłbyś mieć wątpliwości? - Chciała wstać, najwyraźniej zdenerwowana jego reakcją. Przygarnął ją mocno do siebie.

- Nie mam wątpliwości co do ojca dziecka. - Trzymał ją blisko przy sobie. - Czy posiedzisz spokojnie i posłuchasz tego, co ja mam tobie do powiedzenia? Nie pozwolę ci odejść z Afoncaer, zresztą już ci to mówiłem.

- Nie pozwolisz? - Łzy napłynęły jej do oczu. - Guy, czy ty uznasz to dziecko? Mój ojciec nigdy mnie nie uznał, dlatego moje dzieciństwo było takie nieszczęśliwe. Inne dzieci bardzo mi dokuczały. Nie chciałabym, by to samo spotkało moje dziecko.

- Nasze dziecko. Twoje i moje. Zrobię więcej, ożenię się z jego matką.

Schowała na chwilę twarz w jego ramionach i potem powiedziała:

- Dziękuję ci, panie, ale nie mogę ci na to pozwolić. Lord Afoncaer musi poślubić bogatą spadkobierczynię, tak byś miał więcej ziem i jakiś tytuł, a ja nie mam nic.

- Mylisz się kochanie, wniesiesz posag. Jesteś dziedziczką, nie wielką, ale to nie ma dla mnie znaczenia.

Opowiedział jej rozmowę z królem.

- Kelsey ma być moje? - Meredith nie wierzyła własnym uszom.

- No, może nie twoje, tylko moje, poprzez ciebie, ale tylko wtedy, gdy mnie poślubisz. Czy odmówisz mi Meredith?

- Czy oddasz Kelsey swojemu synowi jako posiadłość, gdy już dorośnie?

- Jesteś pewna, że to syn? - zapytał, kładąc rękę na zaokrąglonym brzuszku.

- Jeżeli teraz nie, to następny na pewno - powiedziała z powagą.

Parsknął śmiechem, przytulając ją mocno i nie mogąc się nadziwić, ile szczęścia i radości wniosła w jego dom. Ona jednak odepchnęła go znowu. Spojrzał na nią z zaciekawieniem.

- Zanim jednak zgodzę się za ciebie wyjść, postawię jeden warunek - powiedziała.

- Myślałem, że już się zgodziłaś i nie będzie żadnych warunków. To rozkaz króla, byś za mnie wyszła. Pobierzemy się.

Ona jednak mówiła dalej.

- To jest Walia i król nas nie dosięgnie. Albo spełnisz mój warunek, albo nie ma ślubu.

Usiadł zdumiony tym, co słyszy, a ona szybko zaczęła go całować, by złagodzić ostre słowa.

- Chciałabym mieć miejsce, gdzie mogłabym opiekować się chorymi, którzy do mnie przyjdą. Zbuduj mi dom w mieście, Guy gdzie mogłabym pracować.

- Nie w mieście, w żadnym wypadku. - Chciała zaprotestować, ale jej nie pozwolił. - Będziesz miała pracownię między murami zamku, gdzie będziesz pod moją opieką. Nikt, nawet ktoś tak ograniczony jak ojciec Herbert, nie zakwestionuje twoich praktyk, jeżeli będziesz je wykonywała w murach zamku. Oczywiście wszyscy będą mogli do ciebie przychodzić.

- Zgoda - ucieszyła się. - Będę musiała założyć ogród, w którym będą rosły zioła. Rozmawiałam ostatnio z jednym księdzem z Liangwilym, który odprawiał tu mszę i obiecał mi, że przyniesie trochę roślin z ogrodów opactwa. Będę również potrzebowała pomieszczenie na magazyn i jeden lub dwa sienniki dla pacjentów.

- Dobry Boże, kobieto! - Znowu zacznij się śmiać. - Powiedziałaś, że tylko jeden warunek, czyż twoim prośbom nie ma końca?

- W tym momencie, kochanie - położyła ręce na jego piersi - mam tylko jedną prośbę...

\*

Uczta, która odbyła się w dwa dni po przyjeździe Guya, miała być początkowo ucztą powitalną, ale przerodziła się w ucztę weselną.

Geoffrey i Thomas pospieszyli do Llangwilym, by sprowadzić tego księdza, który obiecał Meredith pomoc. Gdy Guy prowadził swoją wybrankę poprzez nawę kościelną, wszyscy patrzyli na nich z podziwem i uwielbieniem.

Joan uszyła Meredith na tę okazję przepiękną sukienkę ślubną. Meredith nie związała swoich włosów. Pokazywała swoje kasztanowe loki z dumą. Na czubku głowy przyczepiony miała jedwabny welonik. Po ceremonii Guy przypiął do welonika złotą klamrę, symbol jej nowej pozycji. Od dzisiejszego dnia będzie upinać włosy w kok - znak, że jest mężatką.

Uczta weselna nareszcie się skończyła i zamek odpoczywał w ciszy. Guy stał przy oknie w swojej komnacie i patrzył na ziemię Afoncaer. Gdy Meredith podeszła do niego, przyciągnął ją mocno do siebie i razem podziwiali wspaniały krajobraz.

- To jest mój prawdziwy dom, moje miejsce - powiedział.

- I moje, tak długo jak ty jesteś tutaj.

- Razem będziemy przypatrywali się ostatnim wykończeniom w budowie zamku. - Pocałował ją w policzek. - Będzie mocny i bezpieczny dla naszych dzieci.

- Wszystkich! - powiedziała śmiejąc się.

Reynaud

Pozostałem w Afoncaer jeszcze dwa lata od chwili ślubu lorda Guya fitz Lionela i jego ukochanej lady Meredith. Przyglądałem się ostatnim pracom w zamku. Uczestniczyłem w wielu przyjęciach wydawanych już w nowym wielkim hallu. Brałem też udział w chrzcie ich pierwszego dziecka, pięknej, malej dziewczynki o niebieskich oczach jak jej ojciec i kasztanowych lokach jak jej matka. Widziałem szczęście w oczach Meredith i zadowolenie z pracy, jaką wykonywała. Ich małżeństwo było szczęśliwe i nie żałuję niczego, co zrobiłem, by je umożliwić.

Pewnej nocy mój przyjaciel Guy opowiedział mi prawdziwą historię dotyczącą ojcostwa Thomasa. Dał mi pozwolenie, bym o tym napisał, gdyż te informacje mogą pewnego dnia mieć wpływ na kwestię dziedziczenia posiadłości zarówno Guya, jak i Thomasa. Zgodziliśmy się, że księga zawierająca te informacje będzie zabezpieczona do dnia, kiedy nadejdzie konieczność jej otwarcia. Mam nadzieję, że tak się nigdy nie stanie. Ani lord Guy, ani ja nigdy więcej nie wspominaliśmy już tego tematu.

Muszę teraz opuścić Walię. Mój król chce, bym gdzie indziej wykorzystał swoje talenty i moim obowiązkiem jest być mu posłusznym. Przekażę moją biblioteczkę, którą tak pieczołowicie gromadziłem przez cały ten czas, a która zawiera starą książkę Rhysa ap Daffyddda i moje zapiski historii zamku w ręce lady Meredith. Będę ją prosił, by zatrzymała te historie dla siebie i swoich dzieci. Na pewno dotrzyma słowa. Jest uczciwa i lojalna. Meredith, moja przyjaciółka. Moja droga, droga Meredith.